http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BIBLIOTEKA

NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

Literatura Polska.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA
(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów").
1890.

http://rcin.org.pl

J. J. Kraszewski.

WYBÓR PISM.

ODDZIAŁ VII.

UTWORY DRAMATYCZNE

poprzedzone wstępem krytycznym

PRZEZ

Władysława Bogusławskiego.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy-Świat, Nr. 41.

1890.

http://rcin.org.pl

1770/7

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Апрѣля 1890 г.

http://rcin.org.pl

WSTĘP

(Twórczość dramatyczna Kraszewskiego).

W ciągu swéj półwiekowéj niezmordowanéj działalności w najrozmaitszych gałęziach literatury ojczystéj, miał czas Kraszewski napisać kilkanaście komedyj i dramatów, którym słów parę jako wstęp do niniejszego wydawnictwa poświęcić zamierzam.

Ze wycieczki Kraszewskiego w sfery teatralne mają cechę czysto przygodną, że powieściopisarz przywiązywał do nich naczęściéj znaczenie wypoczynku, który takie wyjątkowe organizacye znajdują w przejściu od jednéj pracy do drugiéj,—o tém nie pozwala wątpić sam autor, wyjaśniając czytelnikowi w stosownych przemówieniach warunki, towarzyszące narodzinom każdéj prawie komedyi, czy obrazka, lub udramatyzowanéj anegdoty albo dyalogowanéj przypowiastki. Rozmowa o zadaniu i zakresie komedyi; krytyczny a doraźnie, gorąco odczuty w stosunkach społecznych przełom; chęć zasilenia repertuaru dźwigającéj się sceny; wrażenie dobréj gry utalentowanego aktora; literacka z „warszawskim kusicielem“ gawęda, bogdaj nawet dobrotliwe przychylenie się do prośby jakiegoś amatorskiego teatru: oto bodźce, pod działaniem których Kraszewski ubierał swoje pomysły w dramatyczną sukienkę.

Jeżeli wobec ogromu pracy Kraszewskiego, trudno powiedzieć, że utwory jego dramatyczne pisane były w „wolnych chwilach“—bo takich wczasów Kraszewski rzadko, bardzo rzadko zażywać musiał,—to niemniéj przecież nie ulega wątpliwości, że je odnieść można do pewnych „chwil“, nacechowanych przeważnie okolicznościowém znamieniem.

http://rcin.org.pl

Charakterystyka powyższa nie jest bynajmniéj zarzutem — bo pojęcie o przygodnéj doniosłości jakiegoś dzieła może być nader względném. Chwila, wywołująca twórczość pisarza w pewnym kierunku, trwa krócéj lub dłużéj; może być wynikiem wrzenia, nurtującego głęboko w społeczeństwie czy w literaturze, albo podmuchu powierzchownie tylko muskającego fale życia; a pisarz, który pod piórem odczuwa zarówno silne wstrząśnienia całego organizmu społecznego, jak lekkie dreszcze literackiéj gorączki; pisarz wrażliwy na prądy wielkich idei i na drobne natręctwa przemijających tendencyj, słowem pisarz tworzący pod hasłem Terencyusza: *homo sum*..... i przedstawiający odbicie swego społeczeństwa i swego czasu — jest zawsze w pewnym stopniu i w pewném rozumieniu pisarzem okolicznościowym.

W dziejach każdéj literatury znaléść można wielkie nazwiska, związane z całemi jéj okresami; na téj łączności odbijają się jednak charakterystyczne różnice rasowe. Pewne gieniusze narzucają swemu wiekowi własne piętna; inne w swoim rozwoju powtarzają wiernie rozwój współczesnéj epoki. Nie tu miejsce rozstrzygać, które ludzkości większe oddają usługi; dość co do nas zaznaczyć, że potężnych inicyatorów mieliśmy nie wielu; że wielkie prądy dziejowe ze zródeł naszéj literatury nie wypływały; że gdy społeczeństwo nasze tworzyło literaturę — literatura nie wytwarzała nawzajem, jak gdzieindziéj, społeczeństwa, aż do chwili, kiedy się stała jedyną jego matką. Ale może dlatego właśnie żadna zapewne literatura nie odwzorowywała z taką rasową zdolnością assymilacyi: ducha czasu i społeczeństwa. Nie jest że takiém wiernem zwierciadłem (że tylko nowszych sięgniemy czasów), cała twórczość Kraszewskiego jako powieściopisarza?

Nie tu miejsce mówić o jego powieściach, oceniła je historya literatury, przyznając Kraszewskiemu: „że, jak wszystkie inne wielkie umysły, wcielał w siebie ogólne prądy, potrzeby, idee i dążności wieku... że dość otworzyć którą z jego książek, by zrozumieć nie tylko to, czém byli ludzie danéj epoki, jakie rządziły niemi przekonania, jakie mieli przesądy, jaki duch owiewał społeczeństwo; ale nawet z jakiego punktu zapatrywać się wówczas musieli na różnorodne przejawy cywilizacyi..... że wreszcie szereg powieści Kraszewskiego stanowi pod tym względem doskonały obraz lat, w których były pisane“.

Jeżeli do scenicznych utworów Kraszewskiego nie da się z całą ścisłością zastosować powyższa ocena, to staje się ona pewną pomocniczą wskazówką w badaniu usposobienia, w którém je autor

http://rcin.org.pl

tworzył. Zasadniczy tego usposobienia pierwiastek: wewnętrzna i nieodłączna od organizacyi Kraszewskiego potrzeba tworzenia, pod działaniem trwalszych, głębiéj sięgających pobudek, znajdowała sobie ujście w formie epickiéj, podrażniona zaś słabszemi niewątpliwie, choć może niecierpliwszemi impulsami, przez świat kulis drogę sobie torowała.

Niecierpliwość właśnie zdawała się być matką dramatycznéj dziatwy Kraszewskiego. Powieściopisarz, znający wszystkie mozoły i trudności artystycznego opowiadania, posługujący się z całą świadomością dzisiejszych wymagań, pendzlem narracyjnym do tła powieściowego i skalpelem analitycznym przy badaniu charakterów, które na tém tle działają,—uczuwał widocznie od czasu do czasu potrzebę szybszego rozprawienia się z postaciami, urodzonemi pod wpływem okoliczności, mniéj więcéj pilnych i doniosłych. Wtedy od ogniska jakiéjś palącéj kwestyi odpadała drobna iskierska, ażeby rozniecić naprędce akcyą sceniczną tendencyjnego utworu, zanim z silniejszego płomienia wyjdzie dzieło z jednego odlewu; lub zabłąkany rys szlacheckich obyczajów dawał początek obrazkowi kontuszowemu; albo wreszcie okruszyna z opoki dziejowéj tradycyi, wypryskująca z pod dłuta bądź dziejopisarza, bądź artysty, przybierała kształty anegdoty historycznéj.

Miałoż-by to znaczyć, że Kraszewski uważał formę dramatyczną za łatwiejszą od powieściowéj?

Zdaje mi się, iż nie grzeszę zbytnią śmiałością, przypuszczając, że ją uznawał za mniéj dla siebie obowiązującą.

Zbytecznem byłoby tu rozwodzić się nad zasadniczemi różnicami między organizacyą powieściopisarza i dramaturga, między technicznemi warunkami tworzenia powieści i dramatu; historya literatury powszechnéj świadczy aż nadto dowodnie, że pisarze, łączący w sobie tę dwoistą naturę w równomiernym stosunku, należą do osobliwości, a codzienne doświadczenie wykazuje nieuleczalną słabość wszystkich tworów, przeniesionych choćby najwprawniejszą ręką z atmosfery powieściowéj na deski teatralne.

To téż dość rozejrzéć się w produkcyi scenicznéj Kraszewskiego, ażeby dojść do wniosku, że autor, będąc zupełnie świadomym trudności pisania dla teatru, bynajmniéj nie myślał w kompozycyi, ani w technicznem obrobieniu swoich kilkunastu utworów dramatycznych, o przezwyciężeniu lub nawet wyminięciu napotykanych szkopułów. Kraszewski pisał widocznie nie z przeświadczeniem, iż z pod jego pióra wyjdzie coś pod względem scenicznym silnie żywotnego, ale dlatego, aby jaknajrychléj usłyszéć wypowiedziane

http://rcin.org.pl

przez usta bohaterów to, co mu albo dolegliwym ciężarem na sercu leżało, albo po prostu zaprzątało niedogodnie myśl, której swoboda potrzebną mu była do szybowania po szerszych lub po wyższych przestworzach.

Więc tło pozostawiał wtedy Kraszewski dekoratorowi, o budowę sztuki zbytecznie się nie troszczył, w dobieraniu sytuacyi nie był wymyślnym, akcyą popychał często powieściowym szlakiem, a postaci swoje charakteryzował mową więcéj aniżeli czynem; i wynikały stąd utwory, według wskazań techniki dramatycznéj niezupełnie może zdolne do życia, w których jednak żyją wszystkie postaci jedynie siłą dyalogu, prowadzonego z dziwnym darem indywidualizowania każdéj, najmniéj nawet znaczącéj figurki.

W dyalogu powieściopisarz stawał się dramaturgiem: w sztukach Kraszewskiego każdy mówi językiem zwięzłym, treściwym, odpowiednim swemu charakterowi, swojéj sferze, stanowisku społecznemu, które zajmuje, sytuacyi, w któréj się znajduje; mówi tyle, ile potrzeba, ani mniéj, ani więcéj, bez frazeologii, bez deklamacyi, bez retorycznych zwrotów. Przyglądając się téj przedmiotowości charakterystyki konwersacyjnéj, którą autor prostemi a skutecznemi osiągał środkami, możnaby przypuszczać, że Kraszewski całe życie dla sceny tylko pisywał, gdyby nie okoliczność, że cenny ten przymiot nadaje i powieściowym jego bohaterom ostateczną, prawdziwie plastyczną wypukłość.

Być może nawet, że powieściopisarz, który zwykle przeszkadza dramaturgowi, w tym razie przysługę mu oddawał: bo dzieci wyobraźni, wyrosłe z powijaków powieściowych, wytrzymałą niewiastą kompleksyą i lepiéj niekiedy bywają do starć dramatycznych przygotowane, aniżeli bohaterowie sceniczni, z góry do pewnych przewidzianych sytuacyj przeznaczeni i przy narodzinach przypominający poniekąd owe anormalne istoty, które z włosami i z zębami na świat przychodzą.

Powieściopisarz, tworzący postać sceniczną, przed uwikłaniem jéj w akcyą bądź dramatu, bądź komedyi, przeprowadził ją w myśli przez główne fazy rozwoju życiowego a choć proces analityczny, spostrzegawczy, pozostał się w laboratoryum mózgowém twórcy, widz zaś teatralny nie mógł go śledzić, jak śledził czytelnik powieści,—to przecież wynik procesu: typ, charakter czy figura tylko lub sylwetka nosi na sobie cechę jakiéjś dojrzałości, jest to widocznie istota, która żyje w danéj chwili dlatego, że żyła przedtém choćby najkrócéj w wyobraźni twórcy pełnią tego życia, na jakie stać ją było z jéj natury.

http://rcin.org.pl

Zadną z postaci scenicznych Kraszewskiego nie stać na wielkie rzeczy, bo każda wyszła ze sfery realnéj, codziennéj, potocznéj, z pośród ludzi, którzy, nie będąc koniecznie pospolitemi, nie są przecież nadzwyczajnemi; którzy nie wspinając się do bohaterstwa, mają prawo i obowiązek mówić swoim, nie autora językiem i od których nic więcéj się nie wymaga, prócz świadectwa w rozmowie, że żyją życiem własném, nie pożyczaném.

I nic téż więcéj nie dają osoby, wprowadzone na scenę przez Kraszewskiego. Prawdziwe są i wzięte z życia, gdzie zapewne nie zdobywały się na czyny bardziéj, niż na teatrze, zajmujące, więc usprawiedliwiają poniekąd słabość akcyi, któréj są dość zwyczajnemi sprężynami. Charakterów między niemi wiele, typów niema wcale—postaci za to i figur obfitość, przedstawiających wiernie odbicie bądź przeszłości karmazynowéj lub kapotowéj, bądź teraźniejszości surdutowéj albo siermiężnéj. Otacza je atmosfera jakiegoś spokoju, który znów spływa na dramaturga z powieściopisarza, zbyt różnostronnie rozglądającego się w życiu, aby mu się jego kontrasty dramatyczne czy komiczne w jaskrawych uprzytomniały zestawieniach. Pod tym względem Kraszewski jest zupełném przeciwieństwem Wiktora Hugo, którego powieści są obrazowanemi dramatami, gdy dramata Kraszewskiego nazwać-by można dyalogowanemi powieściami.

Kraszewski nie miał temperamentu teatralnego, i dlatego zapewne spokój, który go w najdramatyczniejszych nie opuszcza sytuacyach, nie podobny jest do owego greckiego spokoju, towarzyszącego wielkim tragicznym katastrofom — ale przypomina raczéj niezamąconą pogodę doświadczenia, które wiele widziało, wiele jeszcze spodziewa się zobaczyć, a zatém niczemu się nie dziwi, niczém zbytecznie się nie przeraża. Taki nastrój, nieoceniony w powieściopisarzu, jest pewną zawadą dla dramaturga. Pierwszy ma tysiące sposobów wywołania grozy, choćby sam krył pod bezpieczną osłoną objektywizmu własne wrażenia, jak np. dzisiejsi powieściopisarze naturaliści; drugi musi sam doznawać tego, co chce udzielić,—w przeciwnym razie może w dziele swojém nagromadzić wiele materyału dramatycznego, a nie stworzy dramatu.

Nadmienić tu wszakże wypada, że taki sposób zużytkowania na scenie materyału historycznego zdaje się odpowiadać ideałowi dramatu dziejowego, postawionemu przez Kraszewskiego w „Studyach literackich“. Ideał sięga dość odległych czasów, bo 1842 r.; porównywając go jednak z dwoma powyższemi utworami scenicznemi, z których drugi, chronologicznie ostatni, zjawił się przed czternastu laty — przekonywamy się, że skrystalizowane snać od-

http://rcin.org.pl

dawna pojęcia Kraszewskiego o dramacie historycznym, wistocie nie ulegały już dalszym przekształceniom: „Dramat historyczny— pisze Kraszewski (*Studya Literackie*, str. 213) — odtwarzałby epokę w głównych jéj wybitnych rysach najdoskonaléj; rozszerzałby wyobrażenia czyste i zdrowe o przeszłości daleko skuteczniéj, daleko prędzéj i jednostajniéj, niż jakikolwiek utwór innego rodzaju. Przeszłość utkwiłaby calsza, pojętniejsza w umysłach wszystkich; interes, jakiby sztuka miała, nie potrzebuje dowodzenia. Ale autor historycznego dramatu musiałby wcale inaczéj przedmiot wzięty obrabiać, niżeli dotychczas pisarze dramatyczni czynili, którym historya pretekstem, duch czasu i obyczaju ozdobą,— rzeczą główną: czynność, akcya, wypadek, intryga. Tutaj wszystko za podrzędne uważaćby należało, a za główne — obraz epoki, czasu danego. Postacie działające, historyczne musiałyby uosabiać stany, stronnictwa—więcéj klassy, niż indywidua-by były“... „Dodajmy, że sztuka zawsze sztuką i dramat historyczny musiałby być przedewszystkiém dramatem,—to jest czynnością pełną życia, zajęcia, odpowiadającą dzisiejszym wymaganiom smaku i prawidłom przyjętym sztuki“.

Że słowa powyższe wypowiedziane były przez autora „Halszki z Ostroga“ we cztery lata po ukazaniu się tego dramatu,—nic nad to naturalniejszego: widziéćby w nich nawet można świadectwo dojrzewania w pisarzu zmysłu krytycznego, zastosowanego do własnych utworów, gdyby nie mniéj już zrozumiała okoliczność, że przypuszczalna *Selbstkritik* poprzedziła o dwa lata pięcioaktowy dramat p. t. „Tęczyńscy“ (Wilno 1844), który w spotęgowanéj sile zawiera wszystko, cokolwiek Kraszewski zarzucał „dotychczasowym pisarzom dramatycznym“, uważającym „historyą za pretekst, duch czasu i obyczaje za ozdobę, a za rzecz główną— czynność, akcyą, wypadek, intrygę“.

Tylko działanie przemożnego podówczas w literaturze europejskiéj prądu romantyzmu może rozjaśnić gienezę tych dwu utworów, między któremi przytoczona wyżéj teorya dramatu historycznego brzmi jak głos zdrowego rozsądku, powściągający wybujałość fantazyi *okolicznościowego* romantyka. Podkreślam wyrażenie, *okolicznościowego*, bo wistocie był nim Kraszewski tylko przygodnie, krócéj niż którybądź ze współczesnych mu pisarzy, ale za to gwałtowniéj—jak gdyby wyobraźnia poety w jednym młodzieńczym wybuchu rzucić chciała rękawicę werwie spostrzegawczéj i przedmiotowéj trzeźwości Kleofasa Fakunda Pasternaka.

Nie widzę téż powodu wyłączać „Halszki“ i „Tęczyńskich“ z pod ogólnéj, na początku zaznaczonéj charakterystyki utworów

http://rcin.org.pl

okolicznościowych. Jeżeli bowiem romantyzm był w ogólnych dziejach poezyi potężniejszą tylko od innych „okolicznością“, chwilą, która w błyskawicznem mgnieniu wskazała poetom nowe ideały, to tém bardziéj przemijającém musiało być odbicie téj chwili w twórczości Kraszewskiego, którego organizacya umysłowa na inne popchnęła drogi. W autorze: „Czterech wesel“, „Pana Karola“ „Wielkiego świata małego miasteczka“, trudno było niewątpliwie przewidzieć twórcę „Halszki“ i „Tęczyńskich“: ale po przeczytaniu „Halszki“ i „Tęczyńskich“ łatwo przychodziło się do wniosku, że Kraszewski nie będzie do późnéj starości walczył na wyłomie romantyzmu, jak Wiktor Hugo, którego „Han Islandzki“ był tylko pierworodném dziecięciem w licznem rodzeństwie, uderzająco do siebie zbliżoném wspólnością familijnych rysów.

Z pośród kilku zasadniczych żywiołów romantyzmu, niewiele miał Kraszewski do wyboru. Średniowieczny, rycersko-klasztorno-mistyczny pierwiastek, obcy był naszym dziejom, a tam gdzie go użyto (np. u Pola w „Mohorcie“) raził cudzoziemskim kolorytem. Wycieczki w sferę nadzmysłową nie przypadały do smaku Kraszewskiemu, który w tych samych „Studyach literackich“ wyraźnie oświadczył (str. 28), że bardzo się mylą ci, którzy myślą, że romantyzm na pewnych zawisł martwych formach, na balladzie, sonecie, na różnomiarowym wierszu, *upiorach*, *widmach* i t. p. Pozostała więc tylko specyficzna psychologia romantyzmu: nadzwyczajne uczucia, nadzwyczajne namiętności, wyjątkowe stany duszy w wyjątkowych naturach, z całym przyborem gwałtownych sprzeczności, niebywałych zestawień, uwydatnionych przy pomocy posępnego a sztucznego światłocienia.

Wszystko to i więcéj to, niż co innego, znajduje się w „Halszce“ i w „Tęczyńskich“. Jeżeli gdzie, to w tych dramatach, historya jest wyraźnie pozorem, ramą do akcyi odgrywającéj się z charakterystyczną egzaltacyą, podniesioną jeszcze szczegółami sceneryi romantycznéj do nastroju gorączkowego, który tak często, z najlepszą wiarą podawano w owym czasie za polot poetyczny,—za siłę dramatyczną.

Książę Dymitr Sienguszko porywa Halszkę, księżniczkę Ostrogską, od matki jéj Elżbiety, przy pomocy stryja bohaterki, księcia Wasila Ostrogskiego. Przygotowania do porwania w akcie pierwszym, napad na zamek w akcie drugim, śmierć Dymitra, jako banity, ściganego zemstą pokrzywdzonych kobiet, w ostatnim akcie— oto treść „Halszki“ przydatna niewątpliwie na dramat historyczny, ale spożytkowana przez autora w sposób, nie pozostawiający żadnéj wątpliwości co do wpływów, pod któremi urodził się ów pierwszy

http://rcin.org.pl

utwór sceniczny Kraszewskiego. Tytułowa bohaterka biernie przesuwa się przez kilka scen drugiego aktu: konszachty zaś książąt i sceny gwałtu, wypełniające dwa akty, tracą poniekąd pierwszorzędne znaczenie wobec postaci Mołni, uosabiającéj w sobie czynnik romantyczny, zabarwiony kolorytem szkoły ukraińskiéj. Uczucie Mołni dla Dymitra, nie znające granic ani we względach społecznych, ani w zasadach moralnych, ani we właściwościach natury niewieściéj, ani wreszcie w prawach psychologii, odwołujące się do instynktów natury i dlatego najchętniéj przez romantyków w piersi ludu umieszczane—unosi się, niby fatum jakie, nad całym dramatem, wypełnia go i przenika nierównie silniéj, niż jakiebądź inne motywa i przenosi punkt ciężkości utworu do aktu trzeciego, gdzie już wystąpić może wśród najodpowiedniejszéj atmosfery, wśród wszystkich akcesoryów prawdziwego romantyzmu.

Scena dzieje się na cmentarzu, w domku grabarza. W małéj izdebce, oświetlonéj lampką szklaną, palącą się u ściany, krzyż wielki stoi koło drzwi; grabarz siedzi przy stole; żona jego po drugiéj stronie trzyma na kolanach całun czarny trupiemi głowami naszyty, który łata; dziecko śpi w trumnie po prawéj ręce teatru; kot leży na ławie.

Takie jest tło ostatecznéj katastrofy dramatu.

Któż tu nie pozna ulubionego przyboru romantycznego? kto nie zrozumie, że służył on wedle obowiązującéj techniki romantyzmu do nastrojenia wyobraźni widza na ponury ton występujących do walki namiętności? Na takiém tle miłość Mołni gotowa na wszystko, nie cofająca się nawet przed morderstwem, popełnioném na bezbronnym mieszczaninie, który podpatrzył schronienie banity: walka jéj ze Zborowskim, obrońcą praw korony, wreszcie i rozpaczliwe samobójstwo, wszystko zlewa się w jeden jaskrawy obraz, którego postacią główną jest nie historyczna bohaterka, ale prosta ukraińska dziewczyna, obdarzona uczuciami, zaczerpniętemi z romantycznéj psychologii.

Rzecz zaiste wielce charakterystyczna, że w tém efektownem oświetleniu bohaterstwa, występuje po raz pierwszy — kobieta; że podstawą tego bohaterstwa jest demoniczny żywioł natury niewieściéj, który tak często i tak uparcie występować ma późniéj w tylu kobietach Kraszewskiego. Możnaby powiedzieć, że jako twórca postaci kobiecych, Kraszewski stał nieodmiennie na tém samém stanowisku, utrwalonem tylko głębokiemi studyami, które, nie rozwikławszy mu sfinksowéj zagadki serca kobiecego, dodawały wytrawnemu badaczowi odwagi do streszczenia długich poszukiwań

http://rcin.org.pl

w słowach „ja tylko wiem, że nic nie wiem“, i do zapuszczania się po odpowiedź w otchłanie, pełne przerażających sprzeciwieństw:

„Kobieto, królowo, szatanie, aniele,
„Motylu, głazie, kwiecie,
„Duchu z niebios w ludzkiém ciele,
„Nie ze świata, a na świecie,
„Niepoznana, niepojęta,
„Odmienna i jednakowa
„I słaba i nieugięta,
„Niewolnica i królowa,
„Witam cię gwiazdą w młodocianém niebie,
„Witam cię słońcem starości wieczorném,
„Księżycem smutku bladym i pokornym,
„Nic i wszystko, witam ciebie!

Tak rozpoczyna Kraszewski fantazyą swoję o „kobiecie“. („Szatan i kobieta“ 1841)—a oto jak ją kończy:

„Po raz ostatni jeszcze wszystkie witam społem,
„Wszystkich krajów, wieków, lat,
„Witam i kolano zgiąłem
„Ja poeta—ja i świat!
„Anioły czy szatany, nikt was nie rozumie,
„Lukrecyo, Cenci, Julie, Eponiny—
„Czasem cnotą błyśniecie w zadziwionym tłumie,
„Czasem zbrodnią szatańską i jadem gadziny,
„A serce wasze przepaść!!

Konkluzya, jak widzimy, nie odbiegła od punktu wyjścia, choć ją oddzielają całe poetyczne przestwory, ponad któremi bujając, fantazya ogarnęła kobietę we wszystkich jéj postaciach. Coś podobnego stało się z twórczością Kraszewskiego. Od chwili, kiedy poeta ukląkł przed kobietą, jak przed „gwiazdą w młodocianém niebie“,—aż do momentu, gdy ją wita psycholog „słońcem starości wieczorném“, upłynęło życie całe, którego filozofia w stosunku do kobiet zdawała się zamykać w wykrzykniku: „a serce wasze—przepaść“.

„Serce — przepaść“, oto epigraf „Tęczyńskich“, na którym wsparłszy się widz lub czytelnik, powinienby czuć się wolnym od zawrotów głowy, doznawanych niechybnie nad głębinami psychologii romatycznéj. Tak jednakże jest; dewiza nie wystarcza — i dramat pozostawia chorobliwe wrażenie, dzięki bohaterce, któréj stan duszy usprawiedliwić może prędzéj patologia, aniżeli zagadkowość natury ludzkiéj.

http://rcin.org.pl

Historya a raczéj podanie wspomina głucho o rozpustném życiu Doroty z Tęczyna. Kraszewski, korzystając z praw poety, dopełnił je romantycznym motywem. Bohaterka zmuszona przez stryjów: Żegotę i Wojsława z Tęczyna do oddania ręki Ottonowi z Rabsztyna, ulega przemocy, ale nie wyrzeka się miłości oddawna żywionéj dla Nawoja, ubogiego szlachcica, któremu powierzoną była na zamku w Przegini straż nad osieroconém dziewczęciem. Gwałtowność téj namiętności popycha do wiarołomstwa, którego hańbę pokrzywdzony małżonek obmywa we krwi Nawoja. Do szału doprowadzona Dorota żyje już tylko dla zemsty i używa dla niéj broni okrywającéj ohydą nazwisko Tęczyńskich:—rozpusty. W splotach tego psychologicznego zawikłania postać Doroty przybiera potworne kształty. Nierządnica, tarzająca się w bezwstydzie z zupełną świadomością swego głębokiego upadku i świadcząca własną hańbą o niewygasłém dla zabitego uczuciu; obrońcy nazwiska Tęczyńskich, mordujący jéj kochanków *pro honore domus*; orgia na zimno, która ma być zarazem hołdem dla miłości i ofiarą, złożoną na jéj ołtarzu: usprawiedliwienie sromoty przez zemstę: wszystko to zamiast układać się w konsekwentną akcyą dramatu, wije się raczéj jakimś kłębem monstrualnym na dnie „przepaści“, którą nam odsłania Kraszewski z pochodnią romantyzmu w ręku.

Płomień téj pochodni, dziwaczniéj tu jeszcze, niż w „Halszce“ wystrzela, — dlatego może, iż wkrótce ma zupełnie wygasnąć pod tchnieniem, które już przenika „Studya literackie“, a szczególniéj wieje z teoryi o dramacie historycznym; przed skonaniem jednak rozświeca jeszcze jeden rys, powracający niejednokrotnie w bohaterach Kraszewskiego: słabość, chwiejność mężczyzny, wobec energii, inicyatywy kobiety. Dymitr w „Halszce“ stanowczy, gdy ma za sobą siłę fizyczną, a trwożliwy przed zbliżającą się katastrofą; Nawój w „Tęczyńskich“, odpowiadający lękliwemi skrupułami, pokorą niższości na miłośne uniesienia Doroty, któréj ani sprostać namiętnością ani oprzéć się charakterem nie potrafi: są to przodkowie późniejszych bohaterów, usprawiedliwiających w stosunkach sercowych znany aforyzm: „my rządzim światem, a nami kobiety“. W pierwszych dramatach Kraszewskiego zdaje się już wyraźnie rysować ten stosunek dwu jego zasadniczych typów niewieścich: „Pięknéj pani“ lub „Heroda-baby“, do kilku kategoryj kochanków, którzy bądź z braku hamulców moralnych zaprzedają cyrografem, podpisanym szatanowi-kobiecie, wszystko aż do ostatniéj iskierki godności człowieka, bądź miękką tkliwością zwątleni padają tragicznie w rozpaczliwéj walce z niewieścim demonem, bądź wreszcie w niefrasobliwém poznaniu swéj słabości świadczą o niéj, powtarzając zakończenie „Fausta“:

http://rcin.org.pl

„Das Ewig-Weibliche
„Zieht uns hinan".

W spożytkowaniu materyału dziejowego dla sceny, talent Kraszewskiego temi samemi, co w powieściach historycznych, szedł drogami. Zyskując w miarę dojrzewania na przedmiotowości, coraz oględniéj obchodził się z żywiołem ściśle bohaterskim, który zwykle z natury rzeczy najsilniéj zabarwionym być musi subjektywizmem poety. Historyczni działacze Kraszewskiego tak w książce, jak i na teatrze, żyją życiem swego czasu, czerpaném przez artystę nie z systematów historyozoficznych, które są zmienne i na których odbijają się zawsze kierunki, pragnienia lub interesa chwili obecnéj, ale z anegdotycznéj strony dziejów, stanowiącéj w historyi każdego narodu najdosadniejszą może danéj epoki charakterystykę.

Jak wyśmienicie pojął Kraszewski znaczenie anegdoty historycznéj w charakterystyce bohaterów dziejowych, z jakim przedziwnym taktem spożytkować ją potrafił, świadczy o tém cały cykl opowiadań z czasów saskich — dowodzą równie przekonywająco „anegdoty dramatyczne" z życia rozgłośnego wojewody wileńskiego: „Panie Kochanku" (3 akty—Poznań 1867) i „Radziwiłł w gościnie" (3 akty—Lwów 1872). Powieści i utwory sceniczne, o których mowa, mają jednę wspólną cechę: pogodę spokojnego z pewnych odległości i z pewnych wyżyn wejrzenia na ludzi, rzeczy i wypadki. Takie usposobienie, jak już wyżéj zauważyłem, nie łatwo przechodzi w nastrój dramatyczny;—i to jest może przyczyna powściągliwości Kraszewskiego w wynajdywaniu motywów dramatycznych i skłonności do dobierania postaciom dziejowym tła obyczajowego, które, oddalając się od dramatu, zbliża się do komedyi. Przygotowawszy sobie tło odpowiednie w „komedyi kontuszowéj" („Miód kasztelański", 5 aktów, Kijów 1860, „Ciepła wdówka", 3 akty, Poznań 1866), Kraszewski rzucił na nie anegdotę historyczną—i przysporzył naszéj literaturze dramatycznéj nowy rodzaj utworów, który na każdéj scenie polskiéj winien zyskać sobie tytuł obywatelstwa.

Bohaterów na tém tle napróżnobyśmy szukali, albo nawet charakterów psychologicznie skomplikowanych, — lecz nie znajdziemy téż zdrożności ani występków, których wyszukując gdzieś w najgłębszych tajnikach natury ludzkiéj, dzisiejsi komedyopisarze potrącać muszą o dramat, zamiast przedstawiać wady, śmieszności, zamiast dążyć do wywołania „starego a poczciwego i czerstwego śmiechu".

http://rcin.org.pl

Powtarzam tu w krótkich słowach treść rozmowy z „poważnym staruszkiem“, służącéj za przedmowę do „Miodu kasztelańskiego“ i zawierającéj protest przeciw uroszczeniom nowożytnéj komedyi, która, jak zauważył późniéj Kraszewski we wstępie do „Panie Kochanku“ — chce być „dramatem, tragiedyą, poematem, rozprawą, liryką i epopeją — słowem wszystkiém, prócz tego, czém była pierwotnie“. Z tego protestu według zapewnienia autora powstała „komedya kontuszowa“, szukająca w przeszłości żywiołów do „starego poczciwego śmiechu, którego dziś niéma w życiu“.

Jestto niewątpliwie jeden z dowodów legitymacyjnych „komedyi kontuszowéj“ — ale zdaje nam się nie jedyny. Drugiego szukaćby może wypadało w stopniowém układaniu się w umyśle pisarza wszystkich konturów, wszystkich barw życia, wszystkich jego planów blizkich lub perspektywą historyczną w przeszłość oddalonych, do łagodnéj harmonii, w któréj wygładzają się chropowatości charakterów, słabnie naprężenie sytuacyi, a żadne sprzeciwieństwa nie rażą wzroku spostrzegacza.

Spokojne téj harmonii uczucie udziela się i widzowi, patrzącemu na komedye Kraszewskiego, budzi w nim zdrową, poczciwą, umiarkowaną wesołość, która nie wybucha niepowściągnionym „szerokim“ śmiechem, towarzyszącym tradycyjnemu polskiemu humorowi. Bo z komizmem Kraszewskiego dzieje się to, co z jego siłą dramatyczną: odbija się w nim trzeźwe jakieś pojęcie o względném w życiu znaczeniu żałości i wesela, łzy i śmiechu; wśród takiego nastroju słabnie zwykle dramatyczność, a *vis comica* traci swoję samorzutność, bez któréj wady, śmieszności natury ludzkiéj nie dosięgają potęgi typów, kolizye zaś nie tworzą sytuacyj nawskroś komicznych.

Co przedewszystkiém pociąga widza i sympatycznie do komedyi Kraszewskiego usposabia, to atmosfera pełna dodatnich pierwiastków, w któréj śmieszności ludzkie nie niweczą dla ludzi sympatyi, a wady nawet nie zamykają drogi do pobłażania. Czy może być coś serdeczniejszego, jak to wiejskie zacisze, w którém pędzi żywot wdowi w towarzystwie swéj krewnéj, panny Marty, Barbara Sulimierska? („Miód Kasztelański“)? Młoda wdowa jest ulubioną postacią Kraszewskiego: jako „Ciepła wdówka“ odgrywa główną rolę w innéj komedyi kontuszowéj; pod różnemi postaciami po wielu snuje się powieściach; a gdziekolwiek się zjawia, roztacza około siebie urok jakiś silny, choć cichy, który nie kruszy wprawdzie egzystencyj męskich, ale je ku sobie nagina spokojną potęgą „des Ewig-Weiblichen“.

Otoczenie młodéj wdowy różni się w obu komedyach kontu-

http://rcin.org.pl

szowych dosadnością charakterystyki, która w „Miodzie kasztelańskim“ skupiła się w jednéj postaci Jacka Sołoduchy z krzywdą rotmistrza Kaniowy i sąsiada Petryły, a w „Ciepłéj wdówce“ jednakowém życiem obdziela aż trzy figury: Żegotę, Bodzantę i Strukczaszego. Nazwał ktoś Jacka Sołoduchę Tartuffem polskim, budując naturalnie analogią na tożsamości motywu charakterowego — obłudy. Zbytecznem byłoby dowodzić powierzchowności takiego zestawienia; poprzestanę tylko na uwadze, że Tartuffe ze swoją głębią rysów psychologicznych, ze swoją zbiorową naturą, streszczającą wszechludzkie cechy typu, byłby potwornem zjawiskiem na łagodném, trochę nikłém tle polskiego szlacheckiego dworku. Ażeby wywrzéć to wrażenie, które mu zdobyło nieśmiertelność w dramatycznéj literaturze świata, Tartuffe potrzebuje znaleźć się między takiemi postaciami jak: Orgon, Elmira, Damis, Maryanna, Kleant, Doryna, t. j. między charakterami odgrywającemi w obrazie względem głównego typu rolę barw dopełniających. W domu Barbary Sulimierskiéj, do narzucenia się swoją osobą dwóm spokojnym kobietom, do zamącenia wody zamaszystemu żołnierzowi i miękkiemu jak wosk wieśniakowi, wystarcza Jacek Sołoducha, pośledniego gatunku obłudnik, bez silniejszych namiętności, bez gwałtownych żądz, pod maską cnoty tłumionych,—hipokryta, którego wszystkie apetyty streszczają się w prostém pieczeniarstwie. To pieczeniarstwo jest tak wydatnym rysem charakteru Sołoduchy, że gdyby nawet, prowadząc daléj paralelę ze „Świętoszkiem“, przypomnieć podobieństwo scen, w których Elmira mistyfikuje Tartuffa, a pani Hurska Sołoduchę—to w rezultacie potknąć się trzeba o ów „miód kasztelański“, podniecający wrażliwość rezydenta nie na wdzięki kobiety, ale na perspektywę wygodnéj egzystencyi.

„Ciepła wdówka“ Marya Montrymowa jest rodzoną siostrą Barbary Sulimierskiéj; tylko po jéj czole przebiega niekiedy chmurka melancholii, którą napróżno w pocieszych o pierwszeństwo zabiegach usiłują rozproszyć: wojak historyami o Szwedach i Tatarach, myśliwy anegdotami o łowach, palestrant opowiadaniem procesów. To, co nie powiodło się żadnemu z trzech konkurentów, naszkicowanych z werwą i humorem—udaje się opiekunowi wdówki, Cześnikowi, znającemu przyczynę tajonego smutku Montrymowéj. Sprowadza on cichaczem pod dach ciepłéj wdówki dawnego jéj z czasów panieństwa wielbiciela, chorążego Hołuba, któremu, naciskana wolą matki, przeniewierzyć się musiała, aby z innym stanąć na ślubnym kobiercu. Sceny między chorążym a wdową, nie zupełnie wprawdzie z kontuszem licują; on jest trochę bajronicznym, ona nieco sentymentalną: w końcu jednak sentyment pokonywa bajronizm, który wkradł się tu niewiadomo jakim sposobem, jedyny

http://rcin.org.pl

może raz spłatawszy figla objektywizmowi Kraszewskiego. „Cóż to za gość nowy, kto to jest... skąd się wziął u licha?“ pyta Bodzanta, spostrzegłszy Hołuba — a za nim gotów to samo pytanie czytelnik i widz powtórzyć. W odpowiedzi Kraszewski wskazuje zwycięstwo „pierwiastku niewieściego“, jak gdyby chciał święcić tryumf zdrowego uczucia nad obcą duchowi naszemu niemocą i przypadkowe te rozdźwięki znów się w pierwotnéj rozpływają harmonii.

W ramy komedyi kontuszowéj ujął Kraszewski anegdotę historyczną, która w takiéj całości tworzyć ma „komedyą historyczną“, formę, zdaniem autora, możliwą u nas i godną uprawiania na naszym teatrze. Że tam, gdzie przeważa anegdota, nie może być mowy o komedyi właściwéj ze stopniowaną akcyą, z rozwijającemi się charakterami—nad tém oczywiście rozwodzić się nie potrzebujemy. Ale anegdota ma w takim razie pewną nieocenioną właściwość: wydobywa z pośród świateł i cieni historyi odrazu takie rysy postaci dziejowéj, które jéj prawie dotykalną nadają wypukłość.

Spojrzyjmy na księcia Karola Radziwiłła: niéma może w dziejach naszych postaci, któraby sprzeczniejszym podpadała sądom potomności. Do malowania jéj każde stronnictwo innych barw dobierało: w otyłéj figurze „Panie Kochanku“ wcielano wszelkie poglądy na Polskę szlachecką i magnacką, tworząc uosobienie to wszystkich przymiotów, to wszystkich wad całéj warstwy narodu. Cóż dziwnego, że wojewoda wileński był częściéj argumentem pewnéj historycznéj tezy, aniżeli żywym z krwi i kości człowiekiem?

Takie życie przywraca mu anegdota, odsłaniając kolejno niespodziane zawikłania bogatéj i oryginalnéj natury, która w Kraszewskim zaciekawiła, niepokoiła zarazem powieściopisarza i dramaturga. Z téj niecierpliwości powstały dwie wymienione wyżéj anegdoty dramatyczne i szkic powieściowy: „Ostatnie chwile księcia wojewody“, podający niejako ostatnie słowo charakteru najpopularniejszéj u nas w końcu XVIII-go wieku postaci.

„Panie Kochanku“ i „Radziwiłł w gościnie“, stanowią dwie części trylogii scenicznéj, któréj trzeci epizod pozostał w tece autora. Nie wiem, jaką stronę dziwacznego charakteru księcia Karola miał nam przedstawić nieznany jeszcze obraz sceniczny; to pewna, że w dwóch pierwszych spotykamy najgłówniejsze rysy tego charakteru: fantazyą rozbujaną do dziecinnych niemal majaczeń i butę magnacką, nie znającą nigdzie i w niczém żadnych ograniczeń.

Fantazya przejawiająca się w słynnych kłamstwach Panie Kochanku, w mistyfikacyach i teatralnych przyborach życia na nieświeskim zamku traktowaną była rozmaicie — jak zresztą cała je-

http://rcin.org.pl

go osoba. Widziano w niéj świadectwo ostatecznego ograniczenia umysłu lub nawet obłudnéj, jeżeli nie przewrotnéj natury. U Kraszewskiego Radziwiłł wierzy w połowie własnym zmyśleniom, dykteryjkom, facecyom, konceptom—i kto wie, czy ta wiara nie wyjaśnia nam lepiéj mnóstwa sprzeczności, niż wiele innych wywodów? Widzimy przed sobą indywidualność, któréj wola jednostkowa, upojona swobodą bez hamulca, potrzebuje tworzyć sobie w życiu nadzwyczajne okoliczności, sztuczne przeszkody, zmyślone niebezpieczeństwa, aby wyjść ze stanu bierności, na który skazaną jest zawsze, ilekroć jéj upór do czynu nie budzi. Za wiarą w bredzenia własnéj wyobraźni idzie łatwowierność wobec cudzych mistyfikacyj—i na tym właśnie rysie psychologicznym opiera się trzyaktowa akcya anegdoty dramatycznéj, p. t. „Panie Kochanku". *Au menteur, menteur et demi*, powiedziałby Francuz. Radziwiłł znajduje mistrza w młodym Syruciu, którego miłość do Leosi Puciatówny, panny respektowéj, natchnęła dyplomacyą i pomysłowością. Szlachcic z pod Lidy wkradłszy się pod cudzém nazwiskiem do Nieświeża, zrobiwszy waryatem zausznika wojewody, który mógł go zdradzić, zdmuchnął z przed nosa dziewczynę wojedzie fortelem tak grubym, że się na nim mógł nie poznać ten tylko, kto jak Panie Kochanku stracił już prawie poczucie różnicy między rzeczywistością a dziwolągami rozkapryszonéj wyobraźni.

„Radziwiłł w gościnie" trafia znów, niby kosa na kamień, na szlachcica równego wojewodzie. Kurcewicz nie chciał ustąpić Radziwiłłowi z popasu pierwéj w karczmie zajętego. Ze starcia tych dwóch ambicyj wysnuwa się szereg scen tryskających werwą komiczną, która w niczém nie ustępuje humorowi poprzedniéj anegdoty. W pierwszym akcie Panie Kochanku ścięty ostrym językiem Kurcewicza z despektem karczmę opuszcza, w drugim zgryść musiał afront od zawziętego sąsiada z Siennéj Wólki, który nietylko nie przyjmuje zaprosin Radziwiłła na barszczyk z rurą, ale sam do siebie na odwrót śmie inwitować wojewodę. W trzecim akcie kniaź Hrehor Koryatowicz Kurcewicz fantuje się do koszuli, aby tylko godnie przyjąć księcia Karola Radziwiłła i jego dwór, zajeżdżający w czterysta koni. Kto zwycięży? „Widzisz Panie Kochanku— mówi Radziwiłł, wyściskawszy przemocą Koryatowicza,—jak nie mogę siłą, to wezmę sercem". Zwycięża więc serce, *ultima ratio*, grunt polskiéj, szlacheckiéj natury—i niewątpliwie główne tło charakteru wojewody wileńskiego. Trudno czasem tego tła dopatrzyć pod mnóstwem poplątanych, krzyżujących się rysów, pod grubo rozpostartemi cieniami, ale w tém właśnie artyzm Kraszewskiego, że w jego rysunku tło przebija tam, gdzie potrzeba, i nie więcéj jak potrzeba. Kraszewski nie oszczędza samego bohatera, ale go

http://rcin.org.pl

też nie pognębia; jego Radziwiłł ma wszystkie cechy prawdy przedmiotowéj, która się bynajmniéj nie troszczy o czasowe teorye historyczne. A otoczenie wojewody! Pani Generałowa Morawska, Łopuski, de Larzac, Wirszyłł, Wołodkowicz— jakie figury z parawanu! jaka w nich siła charakterystyki, zwięzłością swoją wymowna! — Ta właśnie charakterystyka, doprowadzona do możliwego skupienia, oszczędna w słowach, powściągliwa w efektach, stawia anegdoty dramatyczne Kraszewskiego na najwyższym szczeblu artystycznym między utworami, które pisał dla sceny. Jestto potomstwo pesymistycznego nieco dramatu historycznego i łagodnéj komedyi kontuszowéj; wyrazistość rysów wzięło od ojca, spokój temperamentu od matki—a dziś żyje już w literaturze życiem własném, samoistném.

W ośmiu sztukach Kraszewskiego — jak to widzieliśmy w powyższych uwagach—występuje na scenie przeszłość; teraźniejszości poświęcił dramaturg cztery tylko utwory (mówimy o drukowanych) — a z tych właściwie jedna: „Kosa i kamień“, przyjemna wiązanka scen czysto konwersacyjnych—należy do dzisiejszéj doby, inne, jak n. p. „Stare dzieje“ (4 akty, Poznań 1859), „Portret“, komedyjka we trzech aktach i „Łatwiéj popsuć, niż naprawić“, trzyaktowa przypowiastka dramatyczna (Wilno 1856)—sięgają dalszéj teraźniejszości, a raczéj bliższéj przeszłości. Czyż nie w taką chwilę odgrywa się akcya sztuki „Stare dzieje?“ — czyż istotnie, nie stare-to dzieje, ta historya ruiny hrabiego Zawalskiego, którego niedołężne, fantastyczne, senne marzycielstwo wyzyskał rządca zaszarganych dóbr, aby skupiwszy pańskie długi, postawić dziedzica między dwiema równie strasznemi ostatecznościami: między oddaniem jedynéj córki ekonomczukowi — a kijem żebraczym? O ileż zakończenie téj historyi—wykup dóbr hrabiego przez gromadę przywiązanych włościan,—starszém wydać się musi nam, którzy je czytamy po 1859 r., t. j. po daniu pierwszego przedstawienia „Starych dziejów“ w teatrze żytomirskim?

Przypowiastka: „Łatwiéj popsuć, niż naprawić“, z tych samych względów nastręcza sposobność do mniéj więcéj podobnych uwag. Można w tym utworze znaleść zarodek pomysłu, na którym Kraszewski oparł późniéj treść dramatu: „Równy wojewodzie“; możnaby dopatrzyć pokrewieństwo między księciem Bronisławem a Bogusławem, między hrabiną Elizą a Julią; między pieczeniarzami z XVIII-go a pasorzytem XIX wieku, między Kordyszem i jego córką a Hrehorem i Anną Hrehorówną; tylko że arena akcyi uszczuplona, że motyw jéj: lekkomyślność i sceptycyzm upadającego bohatera, mizerniejszym się wydaje bez tragicznego tła, a odkupienie cicho i mozolnie odbywać się musi nie w jednodniowém, lecz w co-

http://rcin.org.pl

dziennem bohaterstwie pracy bez rozgłosu, obowiązku bez poezyi wielkich czynów.

Bądź co bądź pokrewieństwo istnieje i uwydatnia się cechami wspólnemi w dramatach i komedyach Kraszewskiego, a rysy familijne wydały mi się tak zajmującemi, że dla nich wspominałem w swym szkicu o utworach nie objętych niniejszym zbiorem; sądziłem bowiem, że te wzmianki uzupełniające obraz twórczości scenicznéj Kraszewskiego nie przeszkodzą czytelnikowi w ocenieniu tego, co znajdzie w wydawnictwie jego teatru.

Władysław Bogusławski.

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

MIÓD KASZTELAŃSKI:

KOMEDYA KONTUSZOWA

W PIĘCIU AKTACH PROZĄ.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W czasie przedstawienia znanéj bardzo oryginalnéj komedyi jednego z naszych najwziętszych pisarzy, trafem siedziałem przy jakimś poważnym staruszku, który wsparty na lasce, przysłuchiwał się jéj z wielką uwagą, uśmiechał niekiedy, ale wogólności do ostatniego aktu dosyć posępnie i milcząco dotrwał. Choć nieznajomi, przemówiliśmy w ostatku do siebie, wzajem udzielając naszych postrzeżeń nad sztuką i grą aktorów.

— Jakże się panu podoba?—zapytałem.

— Bardzo — rzekł — ale to dziwna rzecz, przyznam się panu, że mi się od lat kilkunastu nie zdarzyło być na teatrze, i znajduję wogóle, że od dawnéj komedyi dzisiejsza odstała bardzo, wyrosła, zestarzała, spoważniała.

— Znajdujesz pan, że jéj z tém lepiéj? — spytałem.

— Nie przeczę, ale ta dojrzałość i spotężnienie w siły, czy jéj nie ujęły uroku młodości? Dawna komedya — dodał — za zadanie miała przedstawienie wad i śmieszności, nie tykając zdrożności i występków: dzisiejsza przeszła w kazanie i satyrę. Polem komedyi była strona życia komiczna.

— Lecz jest-że w dzisiejszém życiu ta strona?—zapytałem.

— Zapewne, może to być winą smutnego czasu, że i komedya stała się smutną: nie będę się temu sprzeciwiał; ale bądź co bądź czy to jest komedya? To coś nakształt Diderotowskiego łzawego dramatu: wiele deklamacyi, a poczciwego szerokiego śmiechu starego ani widać.

— Dawniéj téż — odpowiedziałem — śmieliśmy się raźniéj. Przypomnijmy sobie staruszków naszych: ile to dykteryjek, facecyj i konceptów się ich trzymało! Teraz téj wesołości ani widać.

— Tém gorzéj dla nas! — westchnął stary. — To dowodzi, że nie mamy czystego sumienia i pokoju w duszy; niechby choć teatr był weselszy.

http://rcin.org.pl

— Skąd-że ma wziąć do tego żywioły, kiedy ich w życiu nie ma? — spytałem.

— Z przeszłości bodajby — odparł staruszek i odszedł powoli.

Wyrazy te utkwiły mi w pamięci: starałem się z nich w téj komedyi korzystać. Wątpię bardzo, by mi się ta piérwsza próba udała — osądzicie.

Dnia 15 grudnia 1859 roku.
Zytomierz.

---

http://rcin.org.pl

OSOBY:

Barbara Sulimirska, wdowa po Cześniku Sulimirskim, lat dwadzieścia kilka. Ubranie domowe, nie wykwintne, ciemne.
Panna Marta, Łowczanka, jéj krewna, lat dwadzieścia kilka.
Pani Hurska, lat dwadzieścia ośm, przedstawiająca księżnę Bamberlink.
Rotmistrz Kaniowa, konfederat, ubrany z żołnierska, lat trzydzieści kilka.
Jacek Sołoducha, rezydent i totumfacki pani Sulimirskiéj, czarno odziany, strój zaniedbany, lat około czterdziestu; blady, suchy, pokorny.
Kacper Petryłło, z Zabłocia, sąsiad wdowy, lat około czterdziestu: wiejski strój i postawa.
Grześ Stopka, sługa domu, lat trzydzieści kilka.
Rózia, służąca.
Hajduk.
Wojtek.

Rzecz dzieje się w domu pani Sulimirskiéj za Augusta II.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

AKT I.

Scena przedstawia obszerny pokój, po staroświecku umeblowany: portrety kontuszowe na ścianach, szpinecik w kącie, krosienka u okna. Drzwi troje: jedne w głębi, dwoje po bokach; przeciwległe scenie wychodzą na ganek ogrodowy. Ranna godzina.

SCENA I.

GRZEŚ *pomrukując ściera pył i zamiata,*
ROTMISTRZ *wpada żywo w stroju podróżnym krótkim: buty do kolan, ładownica i szabla, drzwiami z lewéj strony.*

ROTMISTRZ.

Jak się masz, Grzesiu, kochanie! jak się masz? A co tu u was słychać?

GRZEŚ *(rzucajac szczotkę i łamiąc ręce).*

A! co ja widzę? pan Rotmistrz kochany! A to go Pan Bóg tu nam zesłał! Niechże twe kolana, złoty mój panie, uścisnę! A dalipan! Sasafras! oto w porę z nieba spadł! Nigdym jeszcze pana tak serdecznie nie witał.

ROTMISTRZ.

Widzę to, i dziwię się, i trwożę. Już kiedy mnie tu było potrzeba, to chyba konfederacyą zawiązujecie. Powiadasz, żem spadł z nieba, a wiédz, Grzesiu kochany, że z niego na ziemię kamienie

http://rcin.org.pl

tylko czasem spadają, nigdy ludzie, i to jeszcze tacy jak ja! Więc tém lepiéj, żem w porę: gość nie w czas gorzéj Tatara, choć to ja nie gość.

GRZEŚ (*ściskając go za kolana*).

Prawda, nie gość, kochany Rotmistrzu! Sasafras!

ROTMISTRZ.

Co to za licho ten sasafras?

GRZEŚ (*zmieszany nieco*).

Przepraszam pana, to ja sobie takie wziąłem przysłowie. Wszyscy jakoś mieli różne pogadanki i przysłowia: nieboszczyk Cześnik, pan Podczaszy, nawet Pisarz grodzki, proszę pana; tak i ja téż myślę, dlaczego mam być gorszy? Wziąłem sobie *sasafras*. Niczego, dobre, nikt go nie rozumié, wszyscy mu się dziwują, a jak wyrazu zabraknie, to się niém zatka, że ani widać. Ale niechże pana uściskam, ot to gość!

ROTMISTRZ.

Chwała Bogu, żeście mi radzi! Nie było co robić: konfederacyą deszcze rozwiązały, tak ja do was jak w dym na spoczynek. Jakże się ma siostra Barbara? panna Marta? twoja Rózia?

GRZEŚ (*wzdychając*).

Gdybyż już moja!

ROTMISTRZ.

Przyjdzie to z czasem, bylebyś miał determinacyą, afekt szczery i trzos nabity. No! a sąsiad nasz Petryłło? a ludzie, a konie, a psy gończe? Het, gadaj mi wszystko, bom i dawno nie bywał i kocham was do ostatniego kota za piecem.

GRZEŚ.

Sasafras! Chwała Bogu wszystko dobrze... to jest... to jest... nie koniecznie, a prawdę powiedziawszy, wszystko źle.

ROTMISTRZ.

Śledzienniku, ha! Wyglądasz jak jabłko, a stękasz jak miech kowalski: abyś gdérał.

GRZEŚ.

Ja! sasafras! ja gdérać nie lubię; ale kiedy biéda, to biéda!

ROTMISTRZ.

Chory kto? Mam doskonałe pigułki, które wszystkie leczą choroby.

GRZEŚ.

Ale gdzież zaś!

ROTMISTRZ.

Nie urodziło, czy grad wybił?

GRZEŚ.

Cóż znowu? to się u nas nie wodzi.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Cóż? proces z pieniaczem jakim?

GRZEŚ.

Ale uchowaj Boże!

ROTMISTRZ.

A to wiész, że chyba dziś lewą nogą wstałeś z łóżka?

GRZEŚ.

Żartuj zdrów, Rotmistrzu, z cudzéj doli! Mamy tu takiego kaduka, że jeśli pan nas z jego szponów nie wyratujesz, wszyscy poginiemy z kretesem.

ROTMISTRZ.

Więc to sprawa jakaś konfederacka, w któréj szerpentyny potrzeba? A nu! dobrze, dawaj rąbać kogo: na kapustę posiekam!

GRZEŚ.

Zdałoby się i posiekać; alu tu nie tyle szabli, co głowy potrzeba.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

A to wiész, że źle trafiłeś. Głowa u mnie na to, żeby było gdzie gębę pomieścić i na co czapkę włożyć; zresztą, *simplex servus Dei*.

GRZEŚ.

Kiedy serce jest, to głowa będzie.

ROTMISTRZ.

Serce! jak polędwica... ogromne!

GRZEŚ.

Pana się żarty trzymają, sasafras, a tu nieszczęście, kara boża, klęska, upadek, zniszczenie.

ROTMISTRZ.

Powiedz-że mi przecie, co się stało?

GRZEŚ.

Nie stało się nic, ale się może stać.

ROTMISTRZ.

No, gadajże, co się tam ma stać?

GRZEŚ.

Zaraz, zaraz, sasafras! Nie przywiduje mi się, nie śni, szczera prawda: bieda jest... grozi... tylkom dotąd milczał, chowając to dla pana, bo tu nie ma komu powiedzieć.

ROTMISTRZ.

Dobrze; zrobiłeś jak mój kozaczek, co jak mnie w domu nie ma, mięso zjada, a kości dla mnie w szafce zamyka na wieczerzę, gdy wié, że jéj jeść nie będę. Praw daléj.

http://rcin.org.pl

GRZEŚ (*wzdychając*).

Sasafras! Szczęście, że pan mnie nie rozumiész jeszcze; ale gdy przyjdzie do rzeczy, weźmiesz się pan za czuprynę.

ROTMISTRZ.

Przerażasz mię, a czupryny mi szkoda. Gadaj!

GRZEŚ.

Możeby dać co przekąsić?

ROTMISTRZ.

Nie głodnym a ciekawy; gadaj już...

GRZEŚ.

Ale pan zmęczony?

ROTMISTRZ.

To siądę, a praw swoje; uszów nie mam zmęczonych, tylko nogi. Rąb, a krótko i węzłowato.

GRZEŚ.

Sasafras! Historya nie wesoła, nie wiedzieć od czego zaczynać.

ROTMISTRZ.

Od końca, od początku, od środka, wszystko jedno: ja to sobie pozszywam. Jakbym widział, że się na panią siostrę skarżyć będziesz.

GRZEŚ.

Na panią? a chowaj mnie Boże! na tę świętą, kochaną panią naszę: niechajby mi język usechł!

ROTMISTRZ.

To na pannę łowczankę; jeszcze gorzéj.

GRZEŚ.

Ale i to dobre, aż nadto; tylko obie gąski, panie Rotmistrzu, i to biéda, że gąski...

ROTMISTRZ.

Prawże, bo nie rozumiem, co ci jest.

GRZEŚ.

Bo nie chcesz pan słuchać. Ot zaraz całą rzecz wyłożę, tylko wprzód zajrzę do drzwi, żeby nas nie podsłuchano, bo i to się u nas trafia.

ROTMISTRZ.

Oho! jest tedy Piłat w *Credo*?

GRZEŚ (*wracając ode drzwi*).

Jest Piłat! otóż to sęk, że jest! Zaraz się pan dowiész, kto taki.

ROTMISTRZ.

Zbierasz się mi powiedzieć, jak nieboszczyk Szafraniec córkę wydawał, aż mu sama z ekonomem w świat poszła. Gadaj, a nie mydl dłużéj.

http://rcin.org.pl

GRZEŚ.

Dom nasz znasz pan oddawna?

ROTMISTRZ.

Ba! jakżeby nie? Tu-m się przecie sierotą wychował na zawadyję, rodzice Basi byli przybranemi mojemi; tu nie mając ani domu, ani łomu, powracam nieproszony spocząć, gdy kulbaka dopiecze. Nigdzie na świecie kąta nie mam, a poczciwa Basieczka pozwala mi dach ten za mój własny uważać. Przecież-em wam kulawego konia i sukę ze szczeniętami zostawił tu na remanencie.

GRZEŚ (*smutno*).

Koń zdechł, a suka poszła na wędrówkę.

ROTMISTRZ.

Mniejsza o to, wracajmy do domu.

GRZEŚ.

Już jedziemy, panie... Nasza cześnikowa, jak to panu wiadomo, serce złote, ale i była nieszczęśliwa, i święci się jéj być już nią na całe życie.

ROTMISTRZ.

Co pleciesz! Przecież sam Pan Bóg jéj wziął cześnika, a teraz swobodna jak ptaszyna.

GRZEŚ.

Prawda! wziął sobie, nie powiem kto, cześnika, który był, sasafras, między nami mówiąc, impetyk, choleryk i pijanica, choć miał dobre momenta... Skończyło się tedy jejmościne piekło, owdowiała...

ROTMISTRZ.

No! i pójdzie za mąż, za kogo zechce.

GRZEŚ.

Ba! żeby-ż chciała! Ludzie poważni i stateczni stręczyli się i stręczą, ale pan pojechałeś wojować w polu z wiatrami, a u nas tu okropne się rzeczy stały.

ROTMISTRZ.

Cóż u licha, czy Tatarzy napadli?

GRZEŚ.

Gorzéj Tatara... Pamiętasz pan jednego wieczora, jak to tu szlachcic jakiś zajechał pokornie kałamaszką, ni to pielgrzym z Rzymu, ni ciura, hołota, biedaczysko, w czarnéj kapocinie, prosząc się na służbę?

ROTMISTRZ.

Jacek Sołoducha, a toć go znam i pomnę.

http://rcin.org.pl

GRZEŚ.

Pani go przyjęła, że był biedny i potulny, więcéj z litości niż z potrzeby. Był sobie ni ekonomem, ni gumiennym; chodził cicho, na paluszkach, ani go było słychać, a jak się dobrze usadowił... oho! teraz spójrz jegomość, gdzie siedzi.

ROTMISTRZ.

O! o! na grzędzie!

GRZEŚ.

I na grzędzie i wszędzie, sasafras! Domem, nami, panią rządzi, ani pytaj. Zrazu to się to kłaniało i drzwiom i piecom i mnie i stróżowi folwarcznemu, a teraz jemu się, co żywe, i to niziuchno kłaniać musi, chceli być całe. Pokorny, słodki, choć do rany, oczy zawraca, wzdycha, potakuje, liże się, kocha wszystkich, a dyabeł w nim siedzi.

ROTMISTRZ.

Cicha woda brzegi rwie! tak zawsze. Miałem takiego konia, co bywało idziesz do niego, ani drgnie, siadasz, stoi jak mur, gdyby baranek, da ci się dosiąść, a potém jak utnie szczupaka, leżysz niechybnie na ziemi.

GRZEŚ.

Słowo w słowo taka szkapa i to.

ROTMISTRZ.

Ale ci się nie przywiduje, śledzienniku!

GRZEŚ.

Sasafras! cóż znowu! Wiecie, na co panią namówił: żeby sobie słowo dała nigdy nie iść za mąż... Tak jéj stan wdowi odmalował świętym i szczęśliwym, że i ona i panna Marta...

ROTMISTRZ.

Jakto! i ona! A to wisielec!

GRZEŚ.

I panna łowczanka... i panna Rózia, choć najrozumniejsza z nich, a i ta już czasem przebąkuje przeciwko małżeństwu i przeciwko mnie...

ROTMISTRZ.

Otóż masz! domacaliśmy się przyczyny!

GRZEŚ (*urażony*).

E! rzuć pan to! trafił właśnie! Tu o panią naszę chodzi, a nie o nas; niech nas wszystkich dyabli biorą, mnie, Rózię, a choćby i kogo w dodatku, aby cześnikowéj dobrze było na świecie. Słyszał to kto taką historyę: wdowa, bezdzietna, młoda, piękna, bogata, świata ani skosztowała, i miałaby tak zaschnąć!

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

To nie może być!

GRZEŚ.

Sasafras! przekonasz się pan sam... Pan Jacek wié dobrze, na co to robi; powoli, powoli od śpichrza dochrapał się do szkatułki i worka, od worka doszedł do serca, i Pan Bóg go wié, jakie sobie osnuł projekta. Co dzień, sasafras, potężniejszy, a daléj go i kijem nie wypędzisz.

ROTMISTRZ.

To tak coś, jak historyjka: *złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.*

GRZEŚ.

I tak trzyma, że jejmościnych konkurentów, gdzie jaki był, poodprawiał z kwitkiem.

ROTMISTRZ.

Jakto i poczciwego Petryłłę?

GRZEŚ.

A! tego najpierwéj: na każdego szepnął coś pocichu.

ROTMISTRZ.

No! no! to jeszcze nic: da się licho naprawić...

GRZEŚ.

Jak nie pan Rotmistrz, to nikt; ja mówiłem i powtarzam: w panu nadzieja!

ROTMISTRZ.

Ale, rybeńko złota, czy ty tylko nie bałamucisz tak jak ów, co to mu się przywidziało, że po pijanemu przez łeb dostał, dlatego, że go plastrami ostawili, i choć rany nie było, a kawęczał.

GRZEŚ.

A! czyż pan mnie nie znasz...

ROTMISTRZ.

Znam, żeś tetryk... Ale sprawdzimy to zaraz.

GRZEŚ.

Zobaczycie. Ot i panna łowczanka!

---

http://rcin.org.pl

SCENA II.

CIŻ SAMI — PANNA MARTA — *Grześ w czasie téj sceny sprząta w pokoju, niekiedy mieszając się do rozmowy.*

P. MARTA.

(*wchodzi i zobaczywszy Rotmistrza staje osłupiała*).

Rotmistrz... pan tutaj!

ROTMISTRZ.

(*z nizkim ukłonem podchodząc do ucałowania ręki*).

Ja, ja sam, z kośćmi i skórą ścielę się do stóp pani i dobrodziejki mojéj.

P. MARTA.

Skądże? kiedy? jak tu przybyłeś?

ROTMISTRZ.

Skąd? z obozu wprost; kiedy? dziś; jak? konno na szpaczku, łowczanko dobrodziejko... O! tak, góra z górą się nie zejdą, a człowiek z człowiekiem zawsze, tembardziéj mężczyzna z kobietą, którą nad życie adoruje.

P. MARTA (*uśmiechając się*).

Co waćpan pleciesz!

ROTMISTRZ.

Nie żadne to plotki, moja łowczanko droga, ale prawda złota, któréj tylko jedna waćpani dobrodziejka uwierzyć nie chcesz.

P. MARTA.

A któżby wam wierzył?

ROTMISTRZ.

Jednakże, kiedy się to lat tyle stale powtarza ciągle, możnaby naostatek wziąć w konsyderacyą...

GRZEŚ (*na stronie*).

Jest racya, sasafras! jest racya!

P. MARTA.

Zacząłeś waćpan obcesowo, po swojemu od komplementów, a nie pytasz o nic, nawet o siostrę...

ROTMISTRZ.

Bo wiem, że siostra zdrowa i dobrze jéj się dzieje, a ja o mojéj biedzie, bo mi ta najbliższa! A! panno łowczanko! panno łowczanko!

http://rcin.org.pl

P. MARTA.

Mówmy o cześnikowéj lepiéj.

ROTMISTRZ.

Wola pani: cóż, nie słychać, żeby za mąż iść miała?

P. MARTA.

Iść za mąż! a toż po co?

ROTMISTRZ.

Jakto? a cóż, myśli tak zostać na zawsze?

P. MARTA.

Opłakuje nieboszczyka męża!

ROTMISTRZ.

Męża! a dalipan! gdyby nieboszczyk cześnik sam wstał z grobu, toby się śmiał z tego do rozpuku! Czy się to oni tak bardzo kochali, czy tak długo żyli z sobą?... Ale u was tak zawsze: ten lepszy, kogo nie stało.

P. MARTA.

A u waćpanów ten najgorszy, kogo macie...

ROTMISTRZ.

Trudno dysputować... Ale młoda, wolna, bogata.!.

P. MARTA.

To są właśnie powody, dla których iść za mąż nie powinna; nie ma się czego śpieszyć, i tak jéj dobrze...

GRZEŚ (*na stronie*).

Oj dobrze! a drugim jeszcze lepiéj! Sasafras!

ROTMISTRZ.

Dzięki Bogu, że choć dobrze!

P. MARTA (*z westchnieniem*).

Bardzo dobrze; a gdyby nie to gospodarstwo, kłopoty, interesa, które szczęściem wziął na siebie zacny i poczciwy przyjaciel... gdyby...

ROTMISTRZ.

Tak! gdyby kulawy miał dwie nogi, nie byłby kaléką! Ale cóż tu za przyjaciel przybył pod moję niebytność? niechże go poznam.

P. MARTA.

Przecież waćpan znasz pana Jacka...

ROTMISTRZ.

A! tego biedotę, co to tak pokornie się kłania, że czupryną pył zamiata...

P. MARTA.

Pokora nigdy nie zawadzi... Nie żartuj, Rotmistrzu, to najzacniejszy, najpoczciwszy z ludzi. Co za człowiek, jak rozumny, jak pobożny! On to pierwszy oczy nam otworzył, Basi i mnie,

http://rcin.org.pl

okazując całe niebezpieczeństwo małżeńskiego stanu, i skłonił nas do postanowienia, byśmy nigdy za mąż nie szły.

ROTMISTRZ.

Mam za co mu być wdzięcznym! Tak to jest!

GRZEŚ (*do Rotmistrza*).

A co? nie mówiłem! Teraz czym śledziennik?

ROTMISTRZ.

Cicho! potém o tém.

P. MARTA.

Bo na cóż, pytam, mieniać swobodę i niezależność na pęta i kaprysy, którym ulegać potrzeba?

ROTMISTRZ.

Zapewne, lepiéj siebie tylko kochać i obchodzić się bez serca cudzego.

P. MARTA.

Waćpan zawsze o tém kochaniu (*rusza ramionami*), ale co warta ta wasza miłość?

ROTMISTRZ (*żywo*).

Co warta! dla kobiet ja nie wiem: jeśli się bez niéj obejść możecie, winszuję, ale nie zazdroszczę; dla nas, panno łowczanko, choć na oko jesteśmy czém innem zajęci: wojną, gospodarstwem, urzędem, zbieraniem grosza, przecie to pierwsze w sercu i na myśli. A jakby nam kochać nie było kogo, i żyćby się odechciało.

P. MARTA.

A! bałamuty wierutne; aby omamić.

ROTMISTRZ.

Bałamuty! jakto? wszyscy bez wyjątku?

P. MARTA.

Nie ma żadnego wyjątku, i nie będzie.

GRZEŚ (*do Rotmistrza*).

Aha! sasafras! widzisz waćpan, co się tu święci!

ROTMISTRZ.

Wyrok okrutny, ale gdy od niego do trybunału przyszłości apel założę, *de noviter repertis*... może inaczéj raczycie osądzić... Kto wie?

P. MARTA.

O! nic waćpan nie wygrasz.

ROTMISTRZ.

Choć nadzieję, moja łowczanko dobrodziejko!

P. MARTA.

Cieszże się sobie nią, kiedy ci tego dosyć.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Dosyć, nie; ale za nadzieją, może jak za jutrzenką dzionek, lepsze szczęście zawitać. To tylko przekąska przed obiadem...

(wzdycha).

Więc ferowałyście panie wyrok ostateczny przeciwko całemu rodzajowi męskiemu!

P. MARTA.

Ostateczny i nieodwołany.

ROTMISTRZ.

A pan Jacek trzymał pióro i sekretarzował?

P. MARTA.

Proszę tylko nic nie mówić na niego.

GRZEŚ *(na stronie).*

Słyszysz pan? sasafras!

ROTMISTRZ.

Ja się tylko pytam.

P. MARTA.

Ale czuć w zapytaniu urazę, a to człowiek, na którego my z Basią nic powiedzieć nie damy: najzacniejszy, najpoczciwszy.

ROTMISTRZ.

U nas w pułku, moja łowczanko dobrodziejko, jest niejaki Maciórka, który ma władzę nad ciurami; nie znałem go wcale: przyjeżdżam, pytam, ten i ów z ludzi chwalą go, pod niebiosa wynosząc... Ha! myślę, musi to być człek wielkiéj zacności; aż mówi pułkownik: a on ich wprost ze skóry odziera i dlatego tak chwalą, bo się boją. Ale tu, to co innego. P. Jacek ósmy cud świata... To tylko śmiech, że mimo postanowienia celibatu, takiście się bez mężczyzny nie obeszły.

P. MARTA.

Ależ dom, interesa...

ROTMISTRZ.

I na wszystko starczy, (nawet na pozawracanie głowy); dziwna istota, aż muszę pójść po gospodarstwie, bo tu dobrze, ale w polu nie wiem jak.

P. MARTA *(żywo).*

I w polu, i w gumnie, i w oborze, i wszędzie...

GRZEŚ *(na stronie).*

A najlepiéj w jego kieszeni podobno.

http://rcin.org.pl

P. MARTA.

Ale biegnę oznajmić Basi, która nic jeszcze o Rotmistrzu nie wié, a będzież mu rada.

ROTMISTRZ *(czule)*.

I tak mnie panna łowczanka, po wiekowém niewidzeniu się, rzucasz niepocieszonego, bez dobrego słówka, bez uśmieszku, bez nadziei! Godziłoby się inaczéj!

P. MARTA.

Waćpan zawsze swoje.

ROTMISTRZ.

Nie lepiéj i łowczanka: nie masz litości w sercu!

P. MARTA.

Ej! porzuciłbyś już waćpan.

ROTMISTRZ *(nastając)*.

Nie porzucę, jak mi Bóg miły; nie, i póty błagać będę choć o nadzieję...

P. MARTA *(żywo)*.

Aż ją waćpanu odbiorę? Czy tak?...

ROTMISTRZ.

Nie będziesz tak okrutną! *(całuje ją w rękę. P. Marta wychodzi drzwiami w prawo)*.

SCENA III.

ROTMISTRZ. — GRZEŚ.

ROTMISTRZ *(stoi chwilę zamyślony)*.

Źle, bardzo źle: miałeś wacpan słuszność, Grzesiu! Myślałem już doprawdy, żem ją kochać przestał; widzę, nie ma na to lekarstwa, jeno ożenienie: ledwiem zobaczył, dawna choroba wróciła! To tak jak mój węgrzynek do flaszki: póki jéj nie widzi, klnie się, że statkować będzie; aby zobaczył, już się upił. Otóż i ja,

http://rcin.org.pl

zobaczyłem i znowum po uszy zakochany, a łowczanka gorzéj niż kiedy mnie przyjmuje.

GRZEŚ.

To jeszcze nic: napatrzysz się tu wacpan pięknych rzeczy.

ROTMISTRZ.

Prawda, że Jacek głowy pozawracał; prawda.

GRZEŚ.

A cóż! tetryk jestem? śledziennik? sasafras, nie mówiłemże?

ROTMISTRZ.

Mówiłeś, ale na to trzeba radzić i poradzimy: już kiedyśmy z panem Podskarbim dali sobie rady, damy z niemi. Nie było grosza, nie było, a taki choć przez pół zapłacić nam musieli.

GRZEŚ.

Tu przez pół nic do rzeczy: wykurzyć go, wykurzyć!

ROTMISTRZ (*myśli*).

Widzi mi się i Petrylle trzeba dać znać: nigdy sprzymierzeniec nie zawadzi!

GRZEŚ.

Różnie to się trafia, a Petryłłę odprawili z kwitkiem i bywać u nas przestał...

ROTMISTRZ.

Póki mnie nie było: teraz gdy o mnie zasłyszy, wszak przyjechać może zobaczyć starego przyjaciela, i przekonać się, że mnie Sasi na pekeflejsz nie osolili.

GRZEŚ.

Tst! cicho! cicho! po chodzie kocim poznaję pana Jacka. Idzie, idzie! A łżyjże pan przed nim serdecznie, żeby się nie dowąchał roboty.

ROTMISTRZ.

Bądź spokojny i zmykaj!

(*Grześ wymyka się w lewo; w téjże chwili prawie wchodzi p. Jacek Sołoducha z głębi).*

http://rcin.org.pl

SCENA IV.

ROTMISTRZ *zdejmujący z siebie ładownicę i odpasujący pałasz*— P. JACEK.

JACEK (*cicho, pieszczono, słodko*).

A! kogożto ja oglądam? Rotmistrza dobrodzieja kochanego! (*ściskają się*). Kopę lat! stęskniliśmy się... Do nóżek się ścielę, stopeczki całuję! Cóż za szczęśliwa gwiazda i fortunne fatum w dom cześnikowéj go sprowadza? Może nie raczysz sobie przypominać sługi swego?

ROTMISTRZ.

Jakże! Zarazem wacpana poznał, zwłaszcza, że miałem w pamięci jego oblicze.

JACEK.

Ot, to szczęście dla domu!

ROTMISTRZ.

Kury, indyki i piwnica niech się cieszą, bo wygłodniali konfederaci gotują się serdecznie je powitać. Konfederacya, mocimdziu rybeńko złota, rozwiązana: no, gdzież było jeśli nie do was, jak w dym, do siostruni kochanéj?

JACEK.

Serce złote, kochany Rotmistrzu; będzie serdecznie rada!

ROTMISTRZ.

Nie wątpię, panie Jacku; przywykła do moich figlów od dziecka, przyjacieleśmy starzy i z nią, i ze śpiżarnią, i z piwnicą: serce jéj znam, jak kąty tego domu.

JACEK.

Szczęśliwy, bardzo szczęśliwy wypadek.

ROTMISTRZ.

Wcale nie wypadek: to tak coś, jak mój nieboszczyk brat, który miał ząb do Horyczki, i po pijanemu, jak go chłaśnie... wypadkiem, a on na to trzy miesiące czekał, żeby go poczęstować...

JACEK (*przerywa*).

Na to wyrazu trudno znaleźć, jaką nam sprawia rozkosz.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Nie szukajcie słów, a dajcie jeść mnie i koniom, to lepiéj: reszty się ja domyślę. Ale jak się miewacie? co wacpan porabiasz?

JACEK.

Ja? at, służę i Bogu się modlę.

ROTMISTRZ.

Oboje dobre, byle nie nadto. Powiadają o jednym szlachcicu, że się tak do swego patrona modlił i umizgał, że mu ten w końcu raz z obrazka przemówił: „A nie nudźże mnie, trutniu, choćby jeden dzień w tygodniu!“

JACEK.

Żart trochę śmiały.

ROTMISTRZ.

Istna prawda; wszak i święci nudziarzy nie lubią. Jakże się ma siostra, bom jéj dotąd nie widział?

JACEK (*smutnie, wzdychając*).

Zawsze opłakuje męża.

ROTMISTRZ.

To coś tak, jak ten, który spróchniałego zęba wyrwanego przez cyrulika, żałował, i w papierku go nosił zanadrzą.

JACEK.

Zawsze to był jéj małżonek!

ROTMISTRZ.

Spróchniały i bolący. Ot, czasby jéj pono o innym pomyśléć.

JACEK.

Nie wiem; kilkakroć to insynuowałem ostrożnie (bo co to do mnie sługi należy?): zawsze się oburza, i o mało nie pogniewała się na mnie.

ROTMISTRZ.

Osobliwsza rzecz, jak to ludzie czasem po śmierci nieboszczyków kochają: i nie dziw, bo za życia nie było sposobu.

JACEK.

Nie miałem szczęścia znać ś. p. cześnika.

ROTMISTRZ.

O! gdybyś go był znał, dałby ci się we znaki: bez bizuna się nie ruszył, częstokroć jeszcze pięści używał, a co komplementów, tych było u niego nie kupić.

JACEK (*zagadując*).

Święta to pani nasza i pobożna!

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Jużciż za mąż idąc, z Panem Bogiem kłócić się nie ma potrzeby.

JACEK.

Trzeba to zostawić czasowi

ROTMISTRZ.

Masz słuszność, to majster; on najlepiéj przekonać potrafi, i gdy będzie zapóźno, siostra się obejrzy niezawodnie. No, a więcéj co u was słychać?

JACEK.

Nic; siedzimy, pracujemy: życie się wlecze, jak zwykło na tym padole płaczu.

ROTMISTRZ.

Polujesz wać?

JACEK.

Ja! a gdzieżbym zaś niewinne stworzenia miał zabijać?

ROTMISTRZ.

Co tłuste, to winne, panie Jacku; o chudych nie mówię. Konie dobre macie?

JACEK.

Do kolebki? są...

ROTMISTRZ.

Tfu! pod siodło! pod siodło!

JACEK.

Nie wiem, może się znajdą.

ROTMISTRZ.

Trzeba wyszukać; zresztą, aby młode, najeździć to ja potrafię. Jest u mnie berejter rzemienny, pleciony, z gałką na końcu, który tak najeżdża, jak żaden w świecie. A że tu myślę zabawić, a z piecem w cztery oczy siedzieć nie lubię, trzeba mi koni i ludzi: sąsiadów ja sam poproszę. Na starą moję kwaterę czy już rzeczy znieśli?

JACEK.

Stamtąd zaraz moje wyniosą.

ROTMISTRZ.

Toś mi ją zajął?

JACEK

(zakłopotany).

U mnie w piecu swędziło: z rozkazu pani cześnikowéj musiałem... chwilowo...

ROTMISTRZ.

No, to się nie ruszaj: ja gamrat dobry, pomieścimy się razem, a że w nocy czasem z pistoletów strzelam, do tego się przyzwy-

http://rcin.org.pl

czaisz. Miałem w obozie delikacika towarzysza, który zrazu tak tego nie lubił, że się zrywał, krzycząc; ale w dwa tygodnie prosił mię sam, żebym sobie pukał.

JACEK.

Ale ja mam alkierz dla siebie; będziemy się starali jak najgościnniéj przyjąć Rotmistrza.

ROTMISTRZ.

A na co mnie przyjmować? ja się sam przyjmę, bądźcie spokojni! Wiem wszystkie zakamarki.

JACEK.

Bylebyś wacpan dobrodziéj miał satysfakcyą.

ROTMISTRZ.

Jak nie będzie gotowéj, to ją sobie zrobię: nie kłopocz się o mnie, i tak musisz mieć dużo roboty.

JACEK.

Służę, co sił staje...

ROTMISTRZ.

Nie rwij tylko nad siły. Był u mnie koń taki strasznie gorący, bata mu ani pokazać: cóż myślisz? poderwał się, i potém żydom wodę woził.

JACEK (*śmiejąc się*).

Bodaj wacpana, panie Rotmistrzu, zawsze dykteryjka.

ROTMISTRZ.

Nauczę cię ich, ile umiem.

JACEK (*po namyśle*).

Gdybyś pan pozwolił sobie jednę uczynić uwagę.

ROTMISTZZ.

I dwie, i trzy, jeśli łaska.

JACEK.

Co się tyczy naszéj pani, nie uwierzysz, Rotmistrzu, jak się od niejakiego czasu zmieniła, zwłaszcza o małżeństwie słuchać nie lubi.

ROTMISTRZ.

Ja to wiem, ale to zależy od przyprawy. Miałem kopcidyma, co tak baraninę przyprawiał, że jéj nawet psy jeść nie chciały: zbrzydziliśmy ją, ani patrzéć; kiedy — patrz! jak ją drugi potém upiekł, palceśmy oblizywali... jak sarnina!

JACEK.

Jednak lepiéjby z nią o tém nie mówić.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Zostaw to mnie; ja wiem, jak się ta potrawa przyprawia.

JACEK.

O! kochany pan Rotmistrz! nie wątpię.

SCENA V.

CIŻ—BASIA *wbiegając wesoło.*

BASIA.

Gdzież on jest? gdzie? A! bratuniu kochany, jak mi się masz? *(całują się serdecznie).* Pokaż-że no mi się, jak wyglądasz? Osmalony, czarny, zarosły, ale zdrów i rumiany, chwała Bogu!

ROTMISTRZ.

Cześnikowo kochana! Basieczku złota! a waszećże no pokaż buzię i oczki, czy zawsze tak śliczne jak dawniéj? Dalipan, jeszcześ mi wypiękniała na utrapienie ludzkie! choć trochę mizerna.

BASIA

Cóż chcesz? zwyczajnie biedna wdowa.

ROTMISTRZ.

Ślicznie biedna! jak ten, co w sienniku miał milion, a piszczał, żebrząc po ulicy. Biedna! wieś jak ziemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca, szkatułka nie pusta, twarzyczka jak u aniołka na obrazku, dzieci nie ma; krewnych dokuczliwych, oprócz mnie, nikogo; przyjaciół, kamieniem rzuć, pewnie którego trafisz... co asindzce za bieda?

BASIA.

Zawsze ten stan wdowi!

ROTMISTRZ.

Otóż to złote słóweczko, Basiu kochana, cześnikowo droga! Wdowi stan nic potém, prawda święta; dawno ci się poczciwy mąż należy.

http://rcin.org.pl

BASIA.

Co-bo ty mówisz, sowizrzale?

JACEK.

(*pokaszlując przerywa*).

Zwyczajnie, pan Rotmistrz po wojskowemu sobie te sprawy lekko bierze, choć rzecz pewna, że stan wdowi poważny jest i święty.

ROTMISTRZ.

Błogosławiony! święty! a małżeński także, jeżeli nie lepszy, bo człowiek ma co Bogu ofiarować. Starym wdowom tylko siedzieć pod kościołem i różaniec odprawiać, ale pani siostrze!...

BASIA.

I ja już nie jestem młoda!

ROTMISTRZ.

Właśnie, i na pasku ci chodzić nie potrzeba.

JACEK (*chrząkając*).

Prędko mijają latka, a zwłaszcza niewiastom.

ROTMISTRZ (*do Jacka*).

Nie gadaj wacpan, kochany Jacku, o tém, czego nie rozumiész. Co tobie do kobiet, a kobietom do ciebie? Twoja rzecz złożyć ręce i wzdychać... a na kwestarza bernardyńskiego jakbyś na urząd był zrobiony.

(*Śmieją się, Jacek się krzywi*).

JACEK (*chmurno*).

Wolałbym być kwestarzem, niż bezbożnikiem.

ROTMISTRZ.

Cyt! kochanie! nie róbże mnie ateuszem, póki nim nie zostanę, i nie pal na stosie, bo ci się na pieczyste nie przydam — za twardym! A co prawda to prawda, że Basi trzeba za mąż.

BASIA.

Dajże pokój, kochany bracie!

JACEK (*uniżenie*).

Niechże się pan nie gniewa... prawdziwy sługa pański.

ROTMISTRZ.

Ja czasem biję, ale nie gniewam się nigdy! My także przecie modlimy się w obozie, ale dlatego nie wyklinamy, gdy kto za mąż idzie. Sam Pan Bóg ten stan pobłogosławił... Chcecie chyba, żeby się świat skończył?

BASIA.

Dosyć już tego; mów lepiéj, gdzie bywałeś?

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

A cóż? w polu, moja Basiu; konfederowaliśmy, obozowali, krzyczeli, mokli, głodnieli, pili dużo, a jedli mało, hetmana przepędzili, pieniędzy wymęczyli trochę, a teraz już folga do przyszłego lata: z bocianami na wiosnę znowu w pole. Mów lepiéj, coś ty tu porabiała?

BASIA.

Tęskniliśmy, pracowali, modlili się.

ROTMISTRZ.

O! o! jejmość sobie, a do jejmości też tu nie jeden modlić się musiał.

BASIA.

Porzuć te płoche żarty: szanuj mój stan wdowi.

ROTMISTRZ.

E! Basiu, Cześnikowo kochana! nie żartem mi stetryczałaś; trzeba na to lekarstwa, a nie ma jak wesoły sąsiad i skrzypki. Cóż to, czy cię ludzie opuścili? pustki w domu.

BASIA.

Mało kto bywa w istocie.

ROTMISTRZ.

A kochany Petryłło?

BASIA.

Ten także bywać poprzestał.

ROTMISTRZ.

On!! a niechże go kaczki zdepczą (jak mówią Litwini), najwierniejszy twój przyjaciel! Nie wiedzieć już komu wierzyć, kiedy ten zawiódł.

BASIA.

Daj mu pokój, on nic nie winien.

ROTMISTRZ.

No, to jejmość?

BASIA.

Może, trochę...

ROTMISTRZ.

Chybaś go odprawiła.

BASIA.

Po cóż mi się oświadczył?

ROTMISTRZ.

Piękne pytanie! bo się chciał ożenić.

http://rcin.org.pl

BASIA.

Ale ja za mąż iść nie myślę; wolę mój stan wdowi.

ROTMISTRZ.

Ciągle to wdowieństwo!

JACEK (*przerywając*).

Rotmistrzu kochany! pozwól sobie pokorną uczynić uwagę, że złote jarzmo małżeńskie zawsze jarzmem, a w Bogu żywot wdowi słodszy, niż z najlepszym mężem.

BASIA.

Nieprawdaż?

ROTMISTRZ.

Głowy się wam pozawracały; przecież po bożemu i z mężem żyć można! Wszyscyć za mąż idą...

BASIA.

I żałują.

ROTMISTRZ.

Tak jak i ci, co nie szli, bo człowiek zawsze żałować musi tego, co zrobił. Bywa tak, bywa inak. Był u mnie dawniéj Piotrek, dobre chłopię, a miał taki nałóg, że się objadał; jak się obeżre, krzyczy a płacze: *póki życia nie będę!* a wygłodniawszy się, żałuje, że nie jadł. Nigdy z nim do ładu trafić nie mogłem.

BASIA.

A! pleciuchu ty jakiś!

ROTMISTRZ.

Pogadamy o tém jeszcze... Ot, chodźmy-no po kątach się rozpatrzyć i pogawędzić wolnym czasem. Służę ci, siostruniu!

(*Wychodzą razem*).

SCENA VI.

P. JACEK *sam, chodzi po pokoju.*

Źle! źle! już się było niezgorzéj ukartowało: miałem siedzieć jak u Boga za piecem, kiedy tu licho konfederata wniosło; trze-

http://rcin.org.pl

baby pomyśléć, jak go leciuchno stąd wysadzić, bo mi za skórę zaleje. Niech długo nie popasa, bo wszystko przerobi. Kobiety— słabe stworzenia: jak zacznie, jak zacznie konwinkować, poprzerabia na swoje kopyto. Już wszystko miałem w ręku... kto wié, na czém się to skończyć mogło; możeby poczekawszy cześnikowa poszła za mnie, a tu gotów i Petryłłę i innych gachów naprowadzić! Pomodliwszy się, pocichutku trzeba użyć wszelkich sposobów, aby sobie ruszył, skąd przyszedł. Cześnikowéj łatwo będzie przedstawić niebezpieczeństwo: człowiek bez obyczajów, bez wiary, zawsze dla domu niebłogosławieństwo: niechby sobie wracał do obozu. Lepiéj mu co dać, a pozbyć się takiego gościa.

SCENA VII.

P. JACEK — CRZEŚ.

JACEK.

Słyszysz, Grzesiu, kochanie?

GRZEŚ.

Sasafras! a słyszę.

JACEK.

Żeby tam koniom i ludziom kochanego Rotmistrza na niczém nie zbywało.

GRZEŚ.

Nie frasujcie się! krzywdy sobie uczynić nie dadzą. Znają wszystkie kąty: do masztarni, do śpiżarni, do lochu, jak kluczów nie znajdą, to się włamią.

JACEK *(przestraszony)*.

Co mówisz, kochanie?

GRZEŚ.

To tacy ludzie!

JACEK.

I kochany Rotmistrz?

http://rcin.org.pl

GRZEŚ.

Rotmistrz najpoczciwszy człowiek, ale jak się pogniewa, wyłajać, wybić, a choćby i powiesić z prędkości, u niego jak chleb z masłem zjeść. Prawda, że za tych, których powieszał i porąbał, regularnie się modli i nabożeństwo odprawia.

JACEK.

To tak, kochanie moje! to źle, moje kochanie! Śliczna pociecha.

GRZEŚ.

A tak! Szczególniéj nienawidzi tych, co mu się w oczy wdzięczą, a za oczy buty szyją: tym to nie daruje nigdy.

JACEK *(z westchnieniem)*

A! bo też to są źli ludzie, kochanie!

GRZEŚ (*rusza ramionami poglądając na niego*).

Sasafras!

JACEK.

A jak ci się zdaje, długo oni tu zabawią?

GRZEŚ.

Mówią: rok—półtora pewnie.

JACEK (*przestraszony*).

Co mówisz? kochanie!

GRZEŚ.

Jeżeli nie dwa! A co im tu źle?

JACEK.

Miły Boże! wszystko zjedzą!

GRZEŚ (*kończąc*).

I wszystko wypiją i dom do góry nogami przewrócą.

JACEK.

Nieszczęście! czyżby nie mogli gdzieindziéj trochę popaść?

GRZEŚ.

Dom siostry ma swe prawa.

JACEK.

Już ja w tém, żeby się nie gniewała... Co mówisz, kochanie?

GRZEŚ.

Milczę, sasafras!

JACEK.

Ja także, ale pani mi szkoda.

GRZEŚ.

Pani rada. Byle im było dobrze.

http://rcin.org.pl

JACEK *(miarkując się z pokorą)*.

Masz słuszność, kochanie! co nam do tego? myśmy słudzy. Idź, przygotuj śniadanie; ale lepszéj starki nie dobywaj: zostawimy ją napotém.

GRZEŚ.

Nie bójcie się, dobiorą się i do najlepszéj, bo obu wkrótce nie stanie.

(Wychodzi).

SCENA VIII.

P. JACEK *stoi chwilę zamyślony, wchodzi* BARBARA.

BASIA.

Jakiżeś wacpan niedobry! czemu do nas nie przychodzisz? Szukam was po całym domu. Musiałam Rotmistrza przy pannie Marcie strojącego koperczaki zostawić; mocno mnie ubawił: śmieliśmy się, jak nie pamiętam.

JACEK *(wzdycha)*

Śmiech! śmiech! A! mościa dobrodziejko, gdyby tylko po śmiechu nie płakać.

BASIA.

Śmiech tak niewinny...

JACEK.

Zapewne, ale wesołości ostrożność zawsze obawiać się każe: szatan w niéj często swe sidła zastawia.

BASIA.

Ale tak umiarkowana wesołość?

JACEK *(podnosząc oczy ku niebu)*.

Możeż człowiek słaby być pewien, że ją umiarkuje?

BASIA.

Kochany panie Jacku, trudno wszystkim tak być świętym jak wacpan.

http://rcin.org.pl

JACEK (*składając ręce*).

Ja? A! na Boga! jestem najnędzniejszym grzesznikiem! Znam to do siebie.

BASIA.

Ganisz więc tę wesołość naszę?

JACEK.

Niebezpieczna! Robię tylko uwagę pokorną—niebezpieczna!

BASIA.

Prawda, wy zawsze zdrowo radzicie: sama to czuję, i bardzo wdzięczną wam jestem.

JACEK.

Gdybym się ośmielił jeszcze jednę pani zrobić uwagę...

BASIA.

Dlaczegoż nie, proszę bardzo.

JACEK (*cicho, ostrożnie*).

Ledwie śmiem przyznać się, że mnie przybycie kochanego Rotmistrza jakąś trwogą napełnia.

BASIA.

Trwogą? ale o cóż? dlaczego?

JACEK.

Przywiązanie moje do was sprawia, że drżę o dom nasz cały, o panią Cześnikowę dobrodziejkę..

BASIA.

A w czémże Rotmistrz groźnym mi być może?

JACEK.

Najzacniejszy z ludzi, kochany, szanowny, ale człowiek pomimo to lekki i lekceważący wszystko; zwyczajnie wojak, wedle ich obyczaju i życia poglądający na świat. W obozie to dobre, ale w tak świętym domu, daj Boże! by nie zasiał niepokoju.

BASIA.

Jakiego? czém? nie rozumiem prawdziwie...

JACEK.

Może być, że moje obawy są płonne, ale one pochodzą z serca przejętego czcią i przywiązaniem. Jużeśmy byli na dobréj drodze pogardy świata i marności jego: pani obrałaś sobie bogobojny żywot wdowi, panna Marta postanowiła nie iść za mąż, ja z rzewném uczuciem szedłem w ich ślady... człek świecki może nas na inny wprowadzić gościniec! Ta wesołość...

http://rcin.org.pl

BASIA.

Przyznam ci się, panie Jacku, że nie gniewałabym się za trochę dystrakcyi.

JACEK.

Co słyszę!

BASIA (*nieśmiało*).

Wstyd mi wyznać, ale bardzo u nas jakoś tęskno.

JACEK (*ruszając głową*).

Święta to tęsknota pobożnéj duszy, która zawsze poprzedza błogi stan uspokojenia i szczęśliwości. Po uciechach światowych tylko męty zostają.

BASIA.

A! to prawda!

JACEK.

Jeżeli mi wolno daléj ciągnąć uwagę moję, trochę rozrywki sprawi pragnienie ciągłéj zabawy: powoli wejdzie to w nałóg, a towarzystwo płochych ludzi łatwo naprowadzi na złamanie uczynionego ślubu.

BASIA.

Nigdy! nigdy!

JACEK.

Wierzę w to, lecz truchleję. Rotmistrz ma całkiem inne pojęcia. Kochany Rotmistrz!! Ale to żołnierz, hulaka! A gdyby w końcu miał swe przekonania tu zaszczepić?

BASIA.

Ale cóż za myśli!

JACEK.

Myśli zuchwałe pokornego sługi... Wszakci już mówi, że skrzypki i sąsiadów posprowadza.

BASIA.

Jemuż się trzeba rozerwać.

JACEK.

Niech jedzie się rozrywać, ale ich tu nie sprasza (jeżeli wolno słudze uczynić uwagę). Niechby mu pani stanowczo swą wolę oświadczyła.

BASIA.

Toby od nas uciekł; ja tego nie chcę!

JACEK.

Wola pani święta dla mnie, ale i on i Petryłło...

BASIA.

Scierpieć ich trzeba.

http://rcin.org.pl

JACEK (*wzdycha*).

Tak, (jeżeli wolno uczynić mi uwagę) to się w początku cierpi, potém się przywyka, przyzwyczaja, polubi, pokocha, i najświętsze postanowienia w zapomnienie idą. A ileżto tak dusz poginęło!..

BASIA.

Prawda, ale jakaż na to rada?

JACEK.

Trzeba mocnego charakteru.

BASIA.

Zdaje mi się, że mi go nie braknie; oprę się pokusom.

JACEK.

Jeśli mi wolno uczynić uwagę, jako pokornemu słudze, w kobiecie cała siła, od pokusy uciekać.

BASIA.

A jeśli nie można uciec?

JACEK (*pokornie zawsze*).

Zawsze można! Ale usta zamykam, aby najlepsze chęci moje fałszywie tłómaczonemi nie były.

BASIA.

O! panie Jacku! mówże, proszę, zaklinam.

JACEK (*waha się*).

Tak, pokorny sługa, uczynię to z obowiązku... Dlaczegóżby pani widząc niebezpieczeństwo, nie miała Rotmistrza kochanego zasilić i... odprawić!

BASIA.

Bój się Boga: to mój brat!

JACEK (*zmieszany*).

Milczę więc... choć jego dobra i pani dobra pragnąłem. Niebezpieczeństwo groźniejsze, niż się zdaje; utracić duszę, to więcéj niż pożegnać brata! Kto wié, kto wié, co wyniknąć może! ale milczę... milczę!

BASIA.

Doprawdy, napełniasz mnie strachem.

JACEK.

Sam pełen jestem trwogi o siebie.

BASIA.

Święty człowiek doprawdy! gdybyśmy z niego przykład brali!

JACEK (*spuszcza oczy*).

Czyń pani, co jéj natchnie własne uczucie... Widzę, żem pragnął niemożliwéj rzeczy...

http://rcin.org.pl

BASIA.

Tak, Panie Jacku, niemożliwa! Będziemy się mieli na baczności; któż wie, może i jego nawrócim. Twój przykład, twe słowa...

JACEK.

Niedołężną jestem istotą.

SCENA IX.

CIŻ—GRZEŚ.

GRZEŚ (*wchodząc*).

Pani tam proszą; panna Marta Rotmistrzowi opędzić się nie może: chce ją w nogi całować.

BASIA.

A! nieszczęście! biegnę!...

JACEK (*żywo*).

Widzi pani, oto się już zaczyna historya...

(*Barbara wybiega w prawo. Jacek w lewo odchodzi*).

SCENA X.

GRZEGORZ *sam*.

No, zdaje mi się, że się harce już poczęły: p. Jacek zasępiony jak środa na piątek, Rotmistrz w ferworze, w to mu graj; kobiecięta same nie wiedzą kogo słuchać: kto tu wygra, a kto weźmie dublę? nie wiem. Stawiłbym coś na Rotmistrza, ale i to licho chytre, a poczciwość nie zawsze górą.

http://rcin.org.pl

SCENA XI.

GRZEŚ—ROTMISTRZ *wchodzi śpiewając.*

ROTMISTRZ.

Było ich dwie u matusi;
Obie śliczne, obie młode:
Jednę za mnie wydać musi,
Nie, to na łeb skoczę w wodę.

Płakał, stękał, matka w strachu,
Cóż już robić, bierz-że sobie.
Ot i bieda, miły gachu,
Którąż wybrać?? chyba obie!!
(bis)... chyba obie.

(*postrzega Grzesia*).

Posłałeś po Petryłłę?

GRZEŚ.

Pojechał kozaczek na szpaku.

ROTMISTRZ (*śpiewa*).

„Chyba obie, chyba obie!“

Wyniósł się tam ten zakrystyan z mojéj kwatery? hę?

GRZEŚ.

Właśnie jego węzełki powoli wyprowadzają.

ROTMISTRZ.

Szkoda, niechby był stał ze mną, byłbym go na żołnierza przerobił.

GRZEŚ.

Sasafras! albo on waszmości na kapucyną.

ROTMISTRZ.

Trochę trudno; zobaczymy, kto tu z nas kogo wyforuje, bo jegomość już mi baby pobuntował: Basia mi się przyznała. Otóż kiedy wojna, no to wojna: kłaniasz się ty i ja się będę kłaniał; kochasz, będę kochał; łżesz, będę i ja łgał: zobaczymy, kto tu z nas wygra.

GRZEŚ.

Wszelako nie łatwa sprawa.

ROTMISTRZ.

Najlepiéj kiedy trudna: człowiekowi we łbie smaży się jak w rynce i zawsze coś się upiecze. To tak jak ten mieszczanin, co go to byli na szubienicę skazali i posadzili na wieży; widzi, że

http://rcin.org.pl

nie przelewki, z pasa i koszuli postronek ukręcił, na dół się spuścił, uciekł na Wołoszczyznę i... hospodarem został!!

GRZEŚ (*trzęsąc głową*).

A jakby się urwał postronek?

ROTMISTRZ.

Byłby sobie o bruk łeb rozbił, co zawsze lepiéj niż wisiéć na postronku: rzecz bardzo słyszę niewygodna!!

GRZEŚ (*śmieje się*).

Rotmistrzu, dobrodzieju, ratuj!

ROTMISTRZ.

Tylko cicho, niech Petryłło przyjedzie; mam już coś na myśli: zobaczysz, jak zakrystyana wystrychniemy na dudka.

GRZEŚ.

Tylko strach! strach...

ROTMISTRZ.

Dla wilka nie iść w las, e! to nie po konfederacku, nie takieśmy zdobywali obozy! A jak się nie uda, siądziemy z tobą na koń, Grzesiu, i pojedziemy na Wołoszczyznę: jednego z nas niezawodnie hospodarem obiorą...

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

http://rcin.org.pl

AKT II.

Część dziedzińca przed domem, na przodzie widać dwór stary, w lewo oficyna, na prawo folwark, kilka drzew pośrodku.

SCENA I.

ROTMISTRZ—PETRYŁŁO *przechadzając się.*

ROTMISTRZ.

Przyjacielu serdeczny i stateczny, to nie są żarty; ciebie już stąd wiernego i poczciwego druha przepędzili, daléj i ze mną to zrobią. Basię ten uniżony sługa opętał, że go słucha; potrzeba radzić, obmyślić coś i ratować, inaczéj nie mam i ja tu czego gościć. A żal mi Basi: tak ją jak siostrę rodzoną kocham.

PETRYŁŁO.

A jaż! Rotmistrzu, ja aż schudłem z desperacyi, gdy mnie odprawiła... Ale co tu na to za rada: nie ma żadnéj. Ech! bo te kobiecięta, kto z niemi do ładu trafi! Ja sobie prosty człowiek, weredyk; jak mnie widzisz, tak mnie pisz, planów żadnych układać nie umiem, prawdę tylko mówić potrafię nie zająknąwszy się. Tajemnicy mi żadnéj powierzyć nie można, bo ją za pierwszém słowem wyplunę, do pokątnéj robotym się nie zdał. Jeżeli wam potrzeba serca, to jest; głowy, nie koniecznie; a chytrości, ani pytaj.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Toż ja cię znam z kościami; ale gdybyś choć na dwa dni naturę przemienił? hę?

PETRYŁŁO (*z ruchem wyrazistym*).

A kiedy nie mogę!

ROTMISTRZ.

A tu ja rachowałem na ciebie jak na Zawiszę: myślałem, że taki na polityka wyrosłeś.

PETRYŁŁO.

Trudno: abym tylko chciał skłamać, język mi się zawraca i rznę, czegom nie powinien. Zdajmy wszystko na wolę bożą.

ROTMISTRZ.

To znaczy, niech się z Basią żeni ten włóczęga!

PETRYŁŁO (*oburzony*).

Niechże Bóg broni!

ROTMISTRZ.

Inaczéj nie będzie, kiedy ty się jéj wyrzekasz; on powoli poczeka, wypatrzy godzinę i jak swoję zabierze.

PETRYŁŁO.

Ten... ten... niezdara! panią cześnikową: świętokradztwo!!

ROTMISTRZ.

I stanie się to z twojéj winy... Przynieśli nam raz na kwaterze we Lwowie pieczeń, ale tak skąpo, że na dwóch nie starczyło: był u mnie Podczaski. „Jedz" powiadam: on w ceremonie, ja w ceremonie; tymczasem mój chart machnął i mięso pochwycił.

PETRYŁŁO (*żywo*).

A niechby go dyabli porwali... No cóż? radzić? wziąć go, związać w kij, wynieść na rozstajne drogi i rzucić.

ROTMISTRZ.

A piękna rada (*śmieje się*). Tobyś go właśnie męczennikiem uczynił niewinnym, żeby go potém mieli za świętego, który dla wiary cierpiał... Trzebaż tu, mosanie, pokazać czarno na białém, że to oszust.

PETRYŁŁO.

Jaki z ciebie statysta, Rotmistrzuniu! Prawda, nigdybym na tę myśl nie wpadł, a to jedyne zbawienie! Trzeba ich przekonać, że to furfant!

ROTMISTRZ.

Więc mi do tego dopomóż! Razem! ławą! wiara ze mną!

http://rcin.org.pl

PETRYŁŁO.

Pójdę za tobą w ogień i wodę, gdzie rozkażesz: weźmiemy łotra i powiesim.

ROTMISTRZ.

Bój się Boga, ty znowu swoje: tak nie można!

PETRYŁŁO.

Prawda, więc jak?

ROTMISTRZ.

Na intryganta potrzeba intrygi użyć i podstępu.

PETRYŁŁO.

Istotnie, jedyny sposób!

ROTMISTRZ.

Trzeba go wywieść w pole!

PETRYŁŁO.

Nie inaczéj! Co to z ciebie za polityk!

ROTMISTRZ.

Wszystkiego nauczyła konfederacya: tam powiadam ci, i z ciebieby zrobili statystę, bo nieustannie potrzeba było łgać.

PETRYŁŁO.

To nad moje siły! taka głupia natura...

ROTMISTRZ.

I mojać nie lepsza: prawdę wolę, choć w oczy kole, tylko że niezawsze nią dojedziesz do końca: kiedy błoto, musisz kałużę bokiem obchodzić, a tu właśnie kałuża.

PETRYŁŁO.

I to prawda!

ROTMISTRZ.

Tylko mi dopomagaj: zażyjemy go z mańki.

PETRYŁŁO.

Czém chcesz: workiem, szablą, ręką, sercem, byle nie głową i językiem.

ROTMISTRZ (*namyśla się*).

To pewna, że lisem podszyty pan Jacek, że sobie na cześnikową zakroił, że grosza chciwy, że mu i ładne oczki nieobojętne; więc gdyby i buziaka jakiego i grosiwa mu znaléźć, a wystawić na pokusę, kto to wié, czyby nie wydał się z naturą?

PETRYŁŁO.

Jak dwa a dwa cztery.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Wymyśl-że co!

PETRYŁŁO.

Ja czekam, żebyś ty wymyślił.

ROTMISTRZ.

Przecież cośbyś mógł mi poddać.

PETRYŁŁO.

Nie pytaj: jak nie bić i nie wiązać, nie potrafię nic.

ROTMISTRZ.

Nie wielką mi jesteś pomocą: coś jak ów, co to stał w rynku, gdy dzwon na wieżę wciągali, i sobie patrząc na robotników, kurczy się, jakby pracował. Pyta go ktoś: co waszeci? — A ja też dzwon ciągnę, powiada.

PETRYŁŁO (*śmieje się*).

Słowo w słowo ja tak... (*myśli*). A gdyby go poprostu wziąć i szepnąć mu w ucho: ruszaj, jeśli chcesz być cały.

ROTMISTRZ.

Poskarży się jejmości, a Basia weźmie jego stronę.

PETRYŁŁO.

Prawda, źle.

ROTMISTRZ.

Źle! (*Chodzą i myślą*).

PETRYŁŁO.

A gdyby...

ROTMISTRZ.

Co? rybeńko złota!

PETRYŁŁO.

Nic, nic, i tak nie można.

ROTMISTRZ.

Możeby można..

PETRYŁŁO (*przerywa*).

Co?

ROTMISTRZ.

Na nic się i to nie zdało; potrzeba tu się nam kogo poradzić: ot, jakby w samę porę, Rózia idzie. Dziewczyna filut jak mało, trzeba z nią pogadać. Słuchajno, Różieczku!

http://rcin.org.pl

SCENA II.

CIŻ. — RÓZIA.

ROTMISTRZ.

Stój, śliczna panno, niechże się z tobą przywitam! Dalipan, wszystkieście tu wyładniały jeszcze.

RÓZIA.

Chyba pobrzydły i pobladły.

ROTMISTRZ.

O! o! z czegoż? toć to raj!

RÓZIA.

Jeżeli nie czyściec! Pan chyba nie wiesz, co się tu u nas dzieje i pod czyjém jesteśmy panowaniem?

ROTMISTRZ.

Trochę wiem! Chwała Bogu, że choć ty zdrowa i nieopętana.

PETRYŁŁO.

Rózi dobrodziejki służeczka!

RÓZIA (*do Petryłły*).

A! pan tu znowu do nas zawitał? Myślałam, że go już nie zobaczymy.

PETRYŁŁO.

I nie byłybyście oglądały, gdyby nie Rotmistrz, chyba w kościele na odpuście; boby tu noga moja niepostała. Nie mogę patrzyć na to, co się u was dzieje.

RÓZIA.

A któż temu winien, jeśli nie panowie?

PETRYŁŁO (*razem oba*).

Ja?

ROTMISTRZ (*razem oba*).

My?

RÓZIA (*ciszéj*).

A któż? Gdybyście panowie nas nie opuścili, nie porzucili samych, byłoby inaczéj.

PETRYŁŁO.

Rozumnie mówi.

ROTMISTRZ.

Biéda tylko, że po harapie; a jak teraz posiedzimy?

http://rcin.org.pl

RÓZIA.

Czy nie zapóźno to będzie?

ROTMISTRZ.

Nie są rzeczy zdesperowane: gdy kogo do grobu w trumnie niosą, jeszcze czasem wstanie.

RÓZIA.

Ludzie umieją z czasu korzystać. U nas teraz co innego w głowie. Nie, panowie, iść za mąż nie myślimy wcale; mężczyznami się brzydzim.

ROTMISTRZ.

I ty, Róziu, także?

RÓZIA (*markotnie*).

Jużciż muszę...

ROTMISTRZ.

A Grześ?

RÓZIA.

Bałamut i niecnota!

ROTMISTRZ.

Srodze go to boli.

RÓZIA.

Panów nie mniéj.

PETRYŁŁO.

Zna rzecz, sprytna! Ale nie bawmy się próżno w te zagadki; powiedz nam lepiéj, jak tu na to poradzić?

RÓZIA (*wesoło*).

Jakto? Panowie we dwóch nie możecie znaléźć na to sposobu, a chcecie, żeby jedna biedna dziewczyna od was była mądrzejsza?

ROTMISTRZ.

Przecież jest przysłowie: gdzie dyabeł nie może...

RÓZIA.

Tam posyła konfederata. Cha! cha!

PETRYŁŁO (*śmiejąc się*).

Ot to mu ucięła!

ROTMISTRZ.

Jakieś nowe przysłowie.

RÓZIA.

Ale dobre!

ROTMISTRZ.

Ale ty jesteś także konfederat w spódniczce, Róziu kochanie. Przystępuj z nami do związku, a nie, to cię rozsiekamy! Jak mi

http://rcin.org.pl

co dobrego poddasz, przyrzekam i klnę się, że ci takie z Grzesiem wyprawię wesele, jakiego żadna z twoich praprababek nie miała: sam ci marcypany będę oddawał, i utnę mowę, że koty płakać będą.

RÓZIA.

A któż się będzie śmiał?

ROTMISTRZ.

Ja!

PETRYŁŁO.

Mowy nie powiem: to mi trudno; ale gdybyś co poradziła, po weselu dam dworek dożywociem w Zabłociu, jak się patrzy, z ogrodem.

RÓZIA.

Ja to wolę, i biorę za słowo, żeby tylko na dożywocie zarobić.

PETRYŁŁO.

Zarabiaj, serce, a prędko.

ROTMISTRZ.

Ja-m już to trochę przymyślał, czém go wyforować, ale nie wiem, jak to wykonać.

RÓZIA (*po namyśle*).

Nie można inaczéj, tylko trzeba, żeby sobie sam poszedł dobrowolnie.

PETRYŁŁO.

Zachciałaś: to poczekamy!

RÓZIA.

Jeśli go wypędzicie, tyle po nim zostanie, jakby sam był, i pewniusieńko powróci.

PETRYŁŁO (*zdumiony*).

Co to za rozumna kobieta!

ROTMISTRZ.

Wotujemy na jedno. Prawda, że gdyby go do tego przywieść, aby się wstydu napił i wydał, czém jest, byłoby formalne zwycięstwo; ale czy ma on dyabła za skórą? tu sęk!

RÓZIA.

Hm! hm! Nie święty, to pewna: oczki mruży, ale i pod brodę głaszcze, i na grosz łakomy; złakomiłby się i na... (*wstydzi się i przerywa*). Ale co ja mam panom mówić?!

ROTMISTRZ.

Słowo w słowo moje zdanie: siedzimy na jednéj ławie, Róziu

http://rcin.org.pl

kochana. Myślę, że gdybyśmy mu podstawili tu kogo młodego, a niby bogatego, coby mu słodkie oczki zrobił...

PETRYŁŁO.

Gdyby! ale skądże wziąć?

RÓZIA.

Jestem prawie pewną, że choć ma zamiary na panią naszę, ale wolałby co łatwiejszego: tu jeszcze kruche nadzieje.

PETRYŁŁO.

Śliczny interes! I mamy mu szukać ożenienia bogatego. A niechby go licho porwało, żebym ja go swatał!

RÓZIA.

Przecież nie naprawdę.

PETRYŁŁO.

E! to już filozofia, któréj ja nie zgryzę.

ROTMISTRZ.

A ja ukąszę, ukąszę, tylko—czekajcie-no!

(*Rózia długo szepce mu w ucho*).

Bóg zapłać, toś mi przypomniała w samę porę. Będzie wesele i marcypany.

PETRYŁŁO (*zdumiony*).

Co? ty będziesz bogatą wdowę udawał? ja? czy ona?

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

Bądź spokojny, już mam, co potrzeba. Dobra nasza bez maryasza! A Rózia mi poddała taką osobę, któréj tylko komedyę grać.

PETRYŁŁO.

Dożywocia nie cofam.

(*Rózia kłania się i odchodzi żywo*).

http://rcin.org.pl

SCENA III.

ROTMISTRZ. — PETRYŁŁO.

PETRYŁŁO.

Wytłómaczże mi, czegoś taki rad, i co ci Rózia na ucho szepnęła?

ROTMISTRZ.

Wiész, mówiła mi, żeśmy oba głupi.

PETRYŁŁO.

No, ja jak ja, ale za cóż wacpan, Rotmistrzu?

ROTMISTRZ.

Żem się nie domyślił, czegom był powinien. Ciesz się, Petryłło!

PETRYŁŁO.

Cieszę się na kredyt, z góry, z największą chęcią.

ROTMISTRZ.

Mamy już wdówkę: śliczności, miluchną, bogatą, zalotną, wesołą; i ty i ja będziemy się do niéj zalecali.

PETRYŁŁO.

Twoja rzecz, ale potrosze i moja, kiedy i ja mam się umizgać. Powiedzże mi, co to za jedna, bo ja w ciuciubabkę grać nie lubię.

ROTMISTRZ.

Słuchaj tylko: jadąc tu, po drodze, o dziesiątek mil może, spotykam Hurską, siostrę poczciwego Bogusia. Znasz ją? wdowa po chorążym Hurskim.

PETRYŁŁO.

Nie znam ani jéj, ani brata.

ROTMISTRZ.

Tém lepiéj. Wdówka ciepła, młoda, zalotna, wesoła jak ptaszek, poczciwa, miła, a trzpiot! ach! ach! Jechała na Ruś do swoich; tośmy się naśmieli przez drogę, żem dopiéro w miasteczku o milę ją porzucił. Wystawże sobie, jaki ze mnie gamoń: zapomniałem o tém, choć Basi i Marcie o niéj opowiadałem rano; dopiéro mi ją Rózia, która podsłuchiwała, przypomniała.

http://rcin.org.pl

PETRYŁŁO.

Aleś ją o milę porzucił?

ROTMISTRZ.

To ją o dwie mile złapię. Zobaczysz, cacko nie kobieta!

PETRYŁŁO.

Piękniejsza od cześnikowéj?

ROTMISTRZ.

Piękniejsza.

PETRYŁŁO.

I od Łowczanki?

ROTMISTRZ (*urażony*).

A gdzie zaś? to nie może być! Dosyć, że ładna, rezolutna i stworzona do komedyi; sprytna jak ogień. Jadę do niéj, opowiem, co się święci: jéj w to graj; przyjedzie, i jeżeli w pole nie wyprowadzi pana Jacka, nie zbałamuci i nie spokusi, tom nie konfederat.

PETRYŁŁO.

Czyżby chciała?

ROTMISTRZ.

Upadniemy do nóg, pocałujemy w nogi...

PETRYŁŁO.

I ja także?

ROTMISTRZ.

I ty, bo pojedziesz ze mną.

PETRYŁŁO (*namyślając się*).

Hm! a nuż którego z nas za jednym zachodem zbałamuci?

ROTMISTRZ.

Będziemy się ostro trzymali, podkuwszy na cztery nogi. Przywieziemy ją tu, wcale nie wydając za chorążynę Hurską, ale za bogatą księżnę niemiecką: rozumiész?

PETRYŁŁO.

A! jaki z ciebie filut!

ROTMISTRZ (*chodzi i myśli*).

Jak ją tu nazwać?

PETRYŁŁO.

Nazwisko, to się nie komponuje: rzecz poważna.

ROTMISTRZ (*myśląc*).

Tak, tak, dobrze: księżna! Księżua Bam-ber-link...

http://rcin.org.pl

PETRYŁŁO (*podchwytując*).

Jak? jak? Dalibóg i nazwisko potrafił skomponować: jak z bicza trzasł! Jak się będzie nazywać?

ROTMISTRZ.

Bamberlink! Tylko cicho i *motus!* ani słowa: ja zaraz wszystko przygotuję... *(woła)* Grześ! Grześ!

SCENA IV.

CIŻ.—GRZEŚ (*wpadając żywo*).

GRZEŚ.

Sasafras! Co pan rotmistrz każe?

ROTMISTRZ.

Konie żeby mi były natychmiast gotowe.

GRZEŚ.

Konie? na co?

ROTMISTRZ.

Jadę zaraz.

GRZEŚ.

Pan! sasafras! cóż się stało? dokąd?

ROTMISTRZ.

Nic się nie stało, ale jechać muszę.

GRZEŚ.

A! ulituj się! nie opuszczaj! miéj miłosierdzie! zginiemy bez ciebie!

ROTMISTRZ.

Na godzinę?!

GRZEŚ (*uspokojony*).

A no, oddycham; godzinę, to i bez Rotmistrza przeżyjemy.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Koni parę a dobrych, kulbakę wziąć moję; niech kozaczek dobrze ją umocuje... Jadę, to jest jedziemy oba po księżnę, która się tu do was wprosiła w gościnę, o czém zapomniałem, jakom żyw, powiedzieć. — Chwała Bogu, ot i Basia; zaraz się z poselstwa sprawię.

(Grześ odchodzi).

SCENA V.

ROTMISTRZ.—PETRYŁŁO.—BASIA. (*Petryłło zmieszany kłania się, Cześnikowa zmieszana i zarumieniona także*).

BASIA (*do Petryłły*).

Takeśmy już was dawno nie oglądały, kochany sąsiedzie!

PETRYŁŁO (*kłania się*).

Nie chciałem być natrętnym...

ROTMISTRZ.

A serce najpoczciwsze, Basiuniu, doprawdy lepszego (po mnie rozumie się) nad niego przyjaciela nie masz...

BASIA.

Zawsze mi téż miło było pana u nas oglądać!

ROTMISTRZ.

Ale jemu nie było miło siedzieć, patrzeć i oblizywać się, jak temu, com to go widział w refektarzu u kapucynów w Lublinie; zajadają wszyscy, a on stoi i czyta, wąchając potrawy, których nie liźnie. Na coście mu, siostruniu, dali odprawę?

BASIA (*zmieszana*).

Cichoż, Rotmistrzu! ale ja iść za mąż nie myślę, a przyjaźń sąsiedzka zawsze mi była drogą.

PETRYŁŁO (*rozczulony*).

A! moja Cześnikowo dobrodziejko kochana, kiedy bo ze mnie głupie chłopisko: albo wszystko, albo nic! Kochałem cię chyba

http://rcin.org.pl

równo z Bogiem, to już teraz na zmarzłéj przyjaźni przestać trudno: wolałem nie widzieć, by nie boléć!

BASIA (*wzruszona*).

E! nie mówmy o tém, sąsiedzie: dobrze, że przyjechałeś.

PETRYŁŁO.

Cześnikowo! to dla mnie wielkanocne święto, kiedy ciebie oglądam.

ROTMISTRZ.

No, ale muszę wacpaństwu przerwać czułości: gadu gadu, a psy w krupach... Przybyłem tu w poselstwie, ale jak-em zaczął was kochać i rozczulać się, zapomniałem ze szczętem o najpilniejszéj sprawie... Mam do asindzki prośbę od wielkiéj osoby.

BASIA.

Od wielkiéj osoby, do mnie?

ROTMISTRZ.

Któréj ja jestem wierzytelnym posłem, siostruniu. I ta osoba i ja prosimy cię o jednę wielką łaskę...

BASIA.

Co tylko każesz, spełnię; wszak znasz serce moje dla ciebie.

ROTMISTRZ.

Serce anielskie, ale posłuchaj, o co chodzi. Wystaw sobie, że jadąc tu, o mil dziesiątek od was, spotykam na gościńcu ogromny jakiś tabor, ludzi, koni, dwór, kolebkę; jakoś tak droga wypadała, że ani się minąć: jedziemy tedy razem... Zaglądam przez ciekawość do kolebki, a w niéj siedzi niewiasta piękna jako Wenera, mości dobrodzieju.

BASIA (*ruszając ramionami*).

Otóż jest! zawsze bałamut!

ROTMISTRZ.

Nie posądzaj, bo będziesz grzech miała. Piękna, ale nie dla mnie; jest nawet przysłowie stosowne: *nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło*... Jedziemy tedy daléj, wloką się powoli, szwargoczą koło niéj po niemiecku, są i Polacy, marszałek dworu pludrowaty, koniuszy kontuszowy, wszyscy zakłopotani, jejmość chora, noga za nogą ciągniemy, ja z niemi przez ciekawość. Więc na popasie, mając gdańską wódkę, zabieram znajomość z koniuszym, dopytuję: nic dobyć... Pijemy dwa kieliszki, pijemy trzy...

PETRYŁŁO.

Najlepszy sposób dostania języka.

ROTMISTRZ.

Jakoż rozwiązała mu się gęba: gadu gadu, przyznaje mi się,

http://rcin.org.pl

że to jest księżna niemiecka Bamberlink, która świeżo straciła męża. Nieborak najadł się grzybów i wypił stągiew wody: niestało go w dwadzieścia cztery godzin. Powiada mi, że chociaż Polka, bo z domu księżniczka Ostrogska, ale jedzie do Saksonii dla interesów...

BASIA.

Ostrogska? która?

ROTMISTRZ *(zagadując)*.

E! to tam z Rusi! z innéj linii, ale bogatych, dziedziczka trzystu wsi i dwudziestu czterech miasteczek; król ją sam słyszę wydał za tego Bamberlinka, aby dobra téj rodziny weszły do niemieckiego worka (a może i z innych konsyderacyj)... *(uśmiecha się i mruga)*.

PETRYLŁO *(głośno)*.

Ależ kłamie! ależ pływa!

ROTMISTRZ *(na stronie)*.

Milczałbyś! szczera prawda; spytajcie świadomych...

BASIA.

Więc cóż daléj?

ROTMISTRZ.

Ja tedy przez koniuszego, który mnie prezentował po piątym kieliszku, poznałem się z księżną J. M. Dobre na podziw i miłe stworzeńko. Wystaw sobie, niedomagającą zostawiłem ją w gospodzie żydowskiéj... a że zapachu cebuli znieść nie może, mdleje co chwila... Zaraz tedy zaproponowałem jéj, aby tu do cześnikowéj dobrodziejki odpocząć przyjechała wygodnie... ale żem nie śmiał sam decydować, staję tu jako poseł.

BASIA.

O! mój Boże! najchętniéj przyjmę! ale gdzie ją posadzę, czém nakarmię, jak uhonoruję!

ROTMISTRZ.

Nie frasuj się, myślisz, że to tak straszna Niemka? A to powiadam ci, kubek w kubek nasza szlachcianka prosta, i aby tylko trochę odeszły szpary, zobaczysz, jak wesoła i wyśmienita.

BASIA.

Toś ją tak zblizka poznał?

ROTMISTRZ.

W podróży znajomość łatwa, przytém, widzisz, nie było doktora; mdlała, musiałem ją leczyć: znam się trochę na medycynie, bo w obozie zawsze wszystkie konie chore kuruję.

http://rcin.org.pl

BASIA.

O! szałapucie!

ROTMISTRZ.

Tak jest, jużciż koń—szlachetne zwierzę; a co jemu pomaga, czemuby księżnie nie służyło?

PETRYŁŁO.

Rotmistrzu! herezye gadasz...

ROTMISTRZ.

Nie, między koniem a kobietą jest wiele podobieństwa: oboje kochamy, obojgu nie wierzym, bez obojga się nie obejdziemy.

BASIA.

Czego wy na nas nie wymyślacie!

ROTMISTRZ.

Więc jadę po księżnę: miał ze mną jechać Petryłło, ale widzę, że mu się nie chce; pozwalam więc, by został i czekał na mnie, a sprawował się przyzwoicie.

PETRYŁŁO.

Za to zaręczam.

ROTMISTRZ.

Zostawuję ci go, Basiu, i pod twoję oddaję opiekę.

BASIA (*skłopotana*).

Ale jakże tę księżnę przyjmiemy?

ROTMISTRZ.

Bądź spokojna: niech na wieczerzę kapłona zarzną, krupniku nastawią, a ja w tém, że gęby sznurować nie będzie... zaraz ci ją przywożę...

(*odchodzi żywo*).

---

http://rcin.org.pl

SCENA V.

BASIA.—PETRYŁŁO (*oboje pomieszani jakiś czas w milczeniu stoją*).

BASIA.

Doprawdy, miły sąsiedzie, jeszcze ci raz muszę wypowiedzieć, żeś o nas zupełnie zapomniał...

PETRYŁŁO.

Ja! a! cześnikowo dobrodziejko! mnież to mówisz, cobym dla was życia nie pożałował...

BASIA.

Życia! cha! cha! sąsiedzie kochany, jak wam mężczyznom nic słowa nie kosztują; mówisz, że życiabyś nie pożałował, a oto podąsawszy się na mnie, żem wacpanu nie odpowiedziała po myśli, nie mogłeś przenieść, żeby się nie pogniewać, i nie chciałeś mi już i oczów pokazać.

PETRYŁŁO.

A! gdybyś wiedziała, cześnikowo, jak mi serce bolało.

BASIA.

I z wacpana bałamut, sąsiedzie.

PETRYŁŁO.

Już co sobie chcecie, aby nie bałamut: gbur, chłopisko niezdarne, nazywajcie jak się podoba, ale nie bałamut. Czyżem ja na to wiernemi swemi służby dorobił się u wacpani?... Ej! kochana cześnikowo, srogoście zawinili gardząc moim afektem.

BASIA.

Afektem nie gardzę, ale za mąż iść nie myślę.

PETRYŁŁO.

Czemu?

BASIA.

Uczyniłam postanowienie.

PETRYŁŁO.

Nie do rzeczy, cześnikowo.

BASIA.

Winnam to p. Jackowi, że mnie zreflektował, poczciwy.

http://rcin.org.pl

PETRYŁŁO (*oburzony*).

Poczciwy! śliczna poczciwość! ludzi durzyć: ot to bałamut!

BASIA.

On! miły Boże! a! nie mówcież!

PETRYŁŁO.

Dajmy lepiéj temu pokój święty, ja jestem gorączka, a ten mi zalazł za skórę; to lis! lis! wié on, dlaczego to czyni, ale damy mu radę!

BASIA (*przestraszona*).

Co? jakto? któż—my?

PETRYŁŁO.

Mnie to wiedzieć, zobaczycie...

BASIA.

My!... doprawdy trwożysz mnie wacpan... cóż to jest?

PETRYŁŁO (*zagryza usta na stronie*).

Tfu! otóż papla, jużem się wygadał!

(*głośno*).

E! to mi się tak wyrwało bez myśli!

BASIA.

Chyba! bo on Bogu ducha winien; człowiek cichy i spokojny, a rzadkiéj bezinteresowności, nawet nagrody nie przyjmuje.

PETRYŁŁO.

Do czasu, weźmie on ją sobie późniéj nawiązką, jeśli doczeka... ale nie doczeka...

BASIA (*znowu przestraszona*).

Czego nie doczeka?

PETRYŁŁO (*zmieszany*).

To ja tak trochę przeklinam z wielkiego żalu.

BASIA.

Czasby się pomiarkować, doprawdy; zresztą cóż on winien, żem ja postanowiła, idąc za jego przykładem, nie iść za mąż...

PETRYŁŁO.

Za jego przykładem? otóż zobaczycie... (*urywa*).

BASIA.

Co?

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Znowu o mało nie wygadałem się... (*głośno*). Wierzcie zdrowi: jakby mu się co dobrego trafiło, nie rzuci na drodze.

http://rcin.org.pl

BASIA.

Nie sądzę, by słowo złamał, człek poczciwy i zacny.

PETRYŁŁO (*rusza ramionami*).

Bodaj go tak! gdyby był poczciwy i zacny, byłby moje przywiązanie do asindzki ocenić potrafił, nie byłby wacpani bałamucił. A co to lepszego, że ja uschnę, a cześnikowa się zanudzisz... A! a! droga sąsiadko, jakbyśmy to byli żyli z sobą! O mój Boże, byłby to raj na ziemi!

BASIA (*zagadując*).

Dajmy temu pokój.

PETRYŁŁO.

Nie mogę nie myśleć, nie żałować, nie mówić! Podumajcie tylko, w jakim pokoju, zgodzie i miłości bylibyśmy spędzili dni nasze. A nie milejże toby było we dwojgu zasiąść, Pana Boga chwalić, niż osobno tęsknić, cierpieć i męczyć się!... A! cześnikowo, u mnieby ci chyba ptasiego mleka zabrakło! W Zabłociu jak w ziemi obiecanéj.

BASIA (*żywo*).

Ale jabym się do Zabłocia nie przeniosła!

PETRYŁŁO.

No! to siedzielibyśmy u ciebie, kochana cześnikowo; toć jedno, a jakby nam jeszcze Bóg poblogosławił, a dał szczebiotkę...

BASIA (*rumieniąc się*).

Co-bo mówicie!

PETRYŁŁO.

Nie byłżeby to raj ziemski! Toćbym ja tego na koronę nie pomieniał!

BASIA.

Wacpan jesteś tak prędki.

PETRYŁŁO.

Prawda, ale mnie cześnikowa końcem palca mogłabyś trzymać, jak na żelaznym munsztuku: serce prędkie, ale gorące też i stałe.

BASIA.

Nic nie mówię przeciwko sercu, ale...

PETRYŁŁO (*machając ręką*).

Nie ma ale: byłby raj!

BASIA.

Cóż, kiedy być nie może!

http://rcin.org.pl

PETRYŁŁO.

Za to ten człowiek odpowie; ale trochę cierpliwości, a wypłacim się za swoje.

BASIA.

Co wacpan mówisz? mieliżbyście jakie zamiary?

PETRYŁŁO (*poprawując się*).

Ale żadnych! żadnych! to tak żal za mnie gada! (*na stronie*). Jak dłużéj to potrwa, języka nie strzymam: ratujcież mnie, ratujcie! gdyby choć kto nadszedł!

BASIA.

Prawdziwie zaczynam być niespokojną.

PETRYŁŁO.

Niéma czego! licho go nie weźmie... Mówmy o czém inném, cześnikowo... Nieprawdaż, że i dzisiejsze życie nie wesołe: dość osamotnienia, kłopotów i nudy? przyznajcie.

BASIA.

To prawda: czasem bywa mi dosyć tęskno.

PETRYŁŁO.

I przyjdzie myśl, że gdyby tak poczciwy mąż, a dziatki, nie ciężyłoby życie.

BASIA.

Pan Bóg mi zabrał męża, a dzieci nie dał! Wola Jego...

PETRYŁŁO.

A! a! inna wola Jego: ja wiem najlepiéj, tylko jéj pani słuchać nie chcesz, a wolisz tego zausznika! Doprawdy, póki asiódzki nie widzę, no to jeszcze jakotako człek się durzy, choć markotny; ale zobaczywszy, serce się kraje, stracić taki skarb przez takiego niezdarę!

BASIA.

Mój sąsiedzie, obwiniajże mnie, nie jego.

PETRYŁŁO.

Wacpanią! nigdy, kochana cześnikowo: choćbyś mnie zabić i poćwiertować kazała, słówka nie pisnę. A! nie wiész-bo asiódzka, jak ją kocham! a gdybyś raczyła spróbować, przekonałabyś się, że com zrazu mówił: iż życie dałbym jéj moje, szczera prawda. Gdybyście mnie widzieli w domu! ludzi litość bierze.

BASIA (*zmiękczona*).

Czemuż nie przyjedziecie czasem?

http://rcin.org.pl

PETRYŁŁO.

Po cóż przyjadę? bym gryzł się i martwił widokiem tego skarbu, którego nie posiądę? A pono przyjdzie przypasać szablę i pójść na Tatara, aby choć zginąć prędzéj...

BASIA.

A nie mówcież tego!

PETRYŁŁO.

Co serce czuje, język wypowiada! A jeżeli z Rotmistrzem oba nie potrafimy nic...

BASIA (*żywo*).

Cóżeście obmyślili z Rotmistrzem?

PETRYŁŁO (*zmieszany*).

My?... ale nic, nic... myślimy razem stąd jechać tylko.

BASIA.

Nie jedźcie i mnie często za wami tęskno!

PETRYŁŁO.

Musimy. Póki była jaka taka, choć słaba nadzieja, mogłem tu bywać; dziś, gdy wszyscy wiedzą, żem desperat, że mnie odepchnięto, coby ludzie powiedzieli, żebym się włóczył? Na konkurenta nikt gadać nie śmié, a takiéj jak moja przyjaźni nie zrozumieją.

BASIA (*czule*).

A! nie gniewajcież się na mnie!

PETRYŁŁO (*chwytając jéj rękę i rzucając się do nóg*).

Basiu złota! Cześnikowo dobrodziejko! płakać mogę, umrzéć potrafię, a gniewać się na was! gniewać! nie znacie wy tego serca!

(*Basia rozczulona schyla się ku niemu; w téjże chwili ukazuje się Sołoducha: oboje pomieszani odstępują żywo od siebie*).

http://rcin.org.pl

SCENA VI.

BASIA.—PETRYŁŁO.—SOŁODUCHA.

PETRYŁŁO (*gniewny na stronie*).

Kaduk go przyniósł, właśnie w porę.

JACEK.

Przepraszam panią...

BASIA.

Czy jest interes jaki?

JACEK.

Chciałem spytać o dyspozycyę. Zatrwożono mnie przybyciem jakiéjś księżnéj: nie wiem co przygotować.

PETRYŁŁO.

Tak, tak, przyjedzie księżna! (*śmieje się.*) Rotmistrz ją tu zaprosił. Warto, byś wacpan téż brodę do niéj ogolił i pas słucki przywdział.

JACEK.

Co mnie do gości? Wolne żarty panu z uniżonym sługą. Rotmistrz wistocie gości naspraszał, nie pytając, jak ich przyjąć będziemy mogli, nie będąc przygotowani do festynów.

BASIA.

Damy sobie rady; jak nas stało: niéma się co frasować.

PETRYŁŁO.

A ja wotuję najprzód, by pan Jacek brodę ogolił... (*na stronie.*) Ale cicho! trzeba uciekać, bo się wygadam. Pójdę tymczasem do ogrodu. (*Wychodzi*).

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

BASIA. — P. JACEK SOŁODUCHA.

(Chwila długiego milczenia).

JACEK.

A to nasłanie jakieś! Goście! goście! Jeżeli mi wolno zrobić uwagę, pani cześnikowa nadto jesteś dobrą i powolną. Rotmistrz z końmi, psami, luzakiem, kozakiem, teorbanistą, węgrzynkiem i ciurą; Petryłło samotrzeć także; księżna jeszcze przybędzie ze dworem: gdzie nam to pomieścić i wykarmić?! Mniejszaby o koszt, choć się jedna kura nie ostoi na śmiecisku, jak to tu pomieszka; ale spokój zamącą, naprowadzą biedy: kto tam wie, czego nam naniosą! Księżna, i jeszcze niemiecka!

BASIA.

Nie sądźcież, panie Jacku, nie wiedząc.

JACEK (*pokornie*).

Ja tylko czynię uwagę, jako wierny sługa, bo się boję, mocno boję, nie o siebie, ale o moję dobrodziejkę, wiedząc, jak szumu i hałasu nie lubi, a bez tego się nie obejdzie.

BASIA.

Przecież i dla ludzi żyć potrzeba!

JACEK.

Zapewne, ale jeśli mi wolno uczynić uwagę, najprzód dla Boga.

BASIA.

Jedno drugiemu nie przeszkadza.

JACEK.

Milczę, gdyż dziś niefortunny dla mnie dzień: nie będę miał racyi.

BASIA.

Gniewacie się i wy na mnie, poczciwy panie Jacku?

JACEK (*podnosząc ręce, z oburzeniem*).

Sługa, pokorny sługa, na swą dobrodziejkę?!

http://rcin.org.pl

BASIA.

Prawdą a Bogiem, ja-m wam więcéj niż wy mnie jesteście winni.

JACEK (*skromnie*).

A nie mówcież tego, cześnikowo dobrodziejko, słudze swojemu, pokornemu robakowi. Jeżeli zgrzeszę teraz, darujcie mi, bo choć robak, a muszę usta otworzyć. Strzeżcie się, strzeżcie!

BASIA.

Ja? czego? Nie przestraszajcie mnie!

JACEK (*tajemniczo*).

Niebezpieczeństwo nas otacza! Wszystko to ludzie poczciwi, ale istoty płoche: jużem pani mówił o tém. Kochany, zacny Rotmistrz wodzem téj wojny przeciwko nam; jest już za nim Petryłło, jedzie księżna jakaś. Strzeż nas, Panie!

BASIA.

Petryłło bardzo zacny i serdeczny człowiek.

JACEK.

Kochany, serdeczny, poczciwy, najlepszy! A któż go zna lepiéj nade mnie? ale impetyk, ale niepomiarkowany! Widzę, niestety, że znowu może wam przyjść myśl nieszczęśliwa małżeństwa: kupicie sobie tyrana, jeśli mi wolno uczynić uwagę.

BASIA (*śmiejąc się*).

On! on tyran?!

JACEK.

Właśnie najgorszy, bo napozór baranek, bo wistocie zacny człowiek, ale nie panuje nad sobą i nie wié nigdy, ani gdzie sam pójdzie, ani dokąd z sobą poprowadzi. Czułością swą, sercem, może skrępować, związać, niewolnicą uczynić!

BASIA.

Panie Jacku! co mówicie?

JACEK.

Jeżeli mi wolno uczynić uwagę, oto skutki jednego widzenia się z nim: już pani inaczéj o nim sądzisz.

BASIA.

Zawszem go tak sądziła.

JACEK (*cofając się*).

Pokorny sługa, milczę. Boję się, by szczerość moja nie zanadto mię uniosła: wolę zamknąć usta, chociaż... Daruj, pani, że zbytek przywiązania ośmielił mnie zadaleko.

http://rcin.org.pl

BASIA.

Owszem, mów, proszę, wszystko.

JACEK.

Już nie śmiem: rady moje nie będą przyjęte.

BASIA.

Zawsze ich mile słucham: mów wacpan.

JACEK.

Nic nie mam, tylko tę uwagę, którą ośmieliłem się już uczynić: życzyłbym, życzył co najrychléj pozbyć się Rotmistrza, pozbyć się gacha i gości, a wrócić do spokojnego życia.

BASIA (*z westchnieniem*).

Musimy przecie przyjąć tę księżnę.

JACEK.

Wola pani święta! Gdyby ją jednak niezbyt czule przyjmować, domyśliłaby się prędzéj odjechać.

BASIA.

Muszę być gościnną.

JACEK.

Znalazłyby się powody przyśpieszenia jéj wyjazdu. (*ciszéj.*) Ja sam, gdybyś mi pani rozkazała, mógłbym ich dostarczyć.

BASIA.

Czyż to konieczne?

JACEK.

Czynię uwagę, że nieodzowne.

BASIA.

Pozbyć się ich wszystkich?

JACEK.

Księżnéj, Rotmistrza kochanego, szanownego Petryłły: wszystkich, jutroby ich można pożegnać.

BASIA.

Jeśli widzicie konieczność...

JACEK.

Ja tylko czynię uwagę.

BASIA (*z westchnieniem*).

Róbcie, jak wam sumienie doradzi.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

http://rcin.org.pl

AKT III.

Pokój jak w pierwszym Akcie.

SCENA I.

ROTMISTRZ—HURSKA, *przebrana za księżnę: strój z niemiecka, robrond kwiecisty, puder, muszki, wachlarz i wiele klejnotów.*

KSIĘŻNA (*śmiejąc się do lustra*).

Mówże mi wacpan przynajmniéj, jak mam grać tę komedyą, bo doprawdy nie potrafię.

ROTMISTRZ.

A któżby już umiał komedyą grać, jeśli nie kobieta? Przytém pani, a raczéj Waszéj książęcéj Mości nie trudno udawać, bo natura ją sama na księżnę i panią stworzyła. Radzić się mnie, to tak właśnie jak nieboszczyk hetman, który przed batalią zawsze wołał Mroczka i pytał, go jak wojsko ustanowić, a Mroczek całe życie był pijany i słowa rzec nie mógł, tylko głową kiwał (bo mu się sama trzęsła), a hetman brał to za potakiwanie.

KSIĘŻNA.

Nie pochlebiaj mi wacpan: ja tego nie lubię.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Szczera prawda, nie żadne pochlebstwo. Wy jéjmoście domyślicie się w mig, czego my pół roku szukać często musimy, nim dojdziem. O co chodzi? o to chodzi, żeby owego pana Jacka rozkochać i przywieść do oświadczyn. Hołysz, prawda, nie łatwo ośmieli się do księżnéj, ale w tém Waszéj Książęcéj Mości sztuka.

KSIĘŻNA (*uśmiechając się*).

E! zbałamucić? Ja trochę taki potrafię.

ROTMISTRZ (*z ukłonem*).

Powtóre, dozwolisz Wasza Książęcia Mość, żebyśmy się do niéj wszyscy hurtem zalecali: ja pierwszy.

KSIĘŻNA.

Jużeś trochę począł, swawolniku; ale ja wiem, że to żarty.

ROTMISTRZ.

Muszę moję pannę do zazdrości przywieść. Drugi stanie w zawody Petryłło, sąsiad, wieśniak, niepozorny, ale poczciwy z kościami, bo ten się stara właśnie o moję siostrę.

KSIĘŻNA.

A i téj potrzeba napędzić zazdrości?

ROTMISTRZ.

Koniecznie. Z niemi, to tak jak z dziećmi: niejész, to oddam drugiemu, aż w końcu namówi się i weźmie łyżkę. Trzeci, ten pan Jacek, najtrudniejszy: bo do niego wypadnie czy okiem, czy słowem, pierwszy krok zrobić.

KSIĘŻNA.

Dalipan, pęknę ze śmiechu! Doskonały sprawiliście mięsopust! Ale gdy mi przyjdzie mówić o sobie, cóż powiem?

ROTMISTRZ.

To, com już mówił: że jesteście wdową po księciu Bamberlink; że macie miliony, miasta, wioski; że wam stan wdowi dokuczył, i że gotowibyście wziąć bodaj ubogiego, aby gospodarnego i poczciwego człowieka. A! potraficie i bezemnie.

KSIĘŻNA.

A jeśli się wyda kłamstwo?

ROTMISTRZ.

Nie może to być, chybabyście sami zapomnieli. Ludzi powyuczałem jak pacierza: żaden inaczéj nie piśnie.

KSIĘŻNA.

A siostra waszmości?

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Ta o niczém wiedzieć nie powinna: przed nią jesteście księżną. Ale idźcież się bliżéj poznać, i weźmijcie ją odrazu za serce, tak jak wy to umiécie. Ktoś idzie!

(*Otwiera drzwi w prawo: księżna wchodzi. Rotmistrz wraca i zastaje pana Jacka, który wsunął się z lewéj strony*).

SCENA II.

ROTMISTRZ — JACEK.

JACEK.

Kochanego Rotmistrza! dzień dobry!

ROTMISTRZ.

Dzień dobry ci, panie Jacku! Witasz mnie jakbyś, się stęsknił.

JACEK.

Mamy tedy gości...

ROTMISTRZ (*udając zakłopotanego*).

Szkuta się rozbiła, prawda? Dla was i dla siostry to rzecz nie wielce przyjemna, i kłopotliwe, i kosztu niemało!

JACEK.

Mówicie świętą prawdę! Ale wy sami...

ROTMISTRZ.

Jam nic nie winien. Gdybyśmy Niemcowéj gościny odmówili, krajbyśmy zhańbili. (*poufnie*) Przytém ona bardzo dobrze u dworu położona, gdyż, w sekrecie ci powiem, sam król kochał się w niéj półtora dnia podobno.

JACEK.

Jak na Sasa, to nawet długo.

ROTMISTRZ.

Dziwowali się téż i zazdrościli, że go tak przetrzymała! Ale zobaczycie, to kobieta dobra, niezawadna, przylepka! Nie widzieliście jéj jeszcze?

http://rcin.org.pl

JACEK.

Nie miałem szczęścia.

ROTMISTRZ.

Młoda, śliczna, krew z mlekiem, trochę zalotna.

(Jacek spluwa).

ROTMISTRZ.

Nie brzydź się, rybeńko złota; ty, widzę, jesteś jak mój stary ogar, co byle sztukamięsę na stół podali, zaraz ślini. Przekonasz się, że wdówka miła i warta grzechu, a bogata!

JACEK.

Bogata! bardzo?

ROTMISTRZ.

Mówią, że u niéj w zamku Bamberlink w Saksonii, gdy przyszło robić inwentarz po śmierci męża, dukaty korcem mierzyli, i było ich (koniuszy mi się przysięgał) trzydzieści sześć korcy, ćwierci trzy, garncy pięć, kwart dwie i pół, a kamieni drogich pełna izba! Pomimo to, taka sobie prosta, dobroduszna, że powiada, iż nie pójdzie tylko za takiego, coby nic nie miał, choćby jéj bez koszuli wziąć go przyszło. Prawda, że nieboszczyk ją katował!

JACEK *(kiwa głową)*.

A na tym, to się ona chce odegrać?

ROTMISTRZ.

Łagodna jak baranek, dziwnéj dobroci...

JACEK.

I dziwna historya!

ROTMISTRZ.

Bardzo dziwna! Dała sobie słowo nie iść, tylko za ubogiego, to jeszcze nic; ale mi sto razy powtarzała, ona i jéj koniuszy, że młodego nie chce, pięknego nie żąda mężczyzny, byle człek cichy, potulny, a rządny, stateczny i bogobojny. Widać jéj o to chodzi, żeby majątek utrzymała.

JACEK.

No, toć sobie łatwo wyszuka, bo gołych na świecie—przepaść.

ROTMISTRZ.

Jednakże zważ, że dotąd przebiera, przebiera i dobrać sobie nie może. Są ludzie, którzy lubią ulęgałki: i ona mówi, że lubi bladych, podstarzałych, zawiędłych.

JACEK.

Osobliwsza kobieta! gdyby nie Niemka, tobym nie wierzył.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Chce przytém, aby jéj przyszły był obyczajów skromnych, pobożny, cichy: a to nie tak łatwo się znajdzie.

JACEK.

Dobrzeby zrobiła, żeby go sobie, nie tracąc u nas czasu, szukała gdzieindziéj, peregrynowała daléj, a nie zasiadła tu, uchowaj Boże! na dłużéj.

ROTMISTZR.

To prawda, ja sam się tego boję.

JACEK.

I kłopot, i koszt niemały!

ROTMISTRZ.

(*wzdychając z udanym smutkiem*).

Kłopot zwłaszcza dla Basi, któréj to życie jéj spokojne zamącił

JACEK.

Święte słowa, Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Chociaż się one pogodzą.

JACEK.

Wątpię!

ROTMISTRZ.

Niéma jak różne charaktery, najpewniéj do siebie przystaną ot, naprzykład, my z wacpanem.

JACEK.

To prawda; ale pani Cześnikowa?

ROTMISTRZ.

Zbyt dobra, żeby się na księżnéj nie poznała. Zresztą, powiem ci, że gdyby się był król dowiedział, że ona tu w miasteczku leżała, a nikt jéj nie prosił, okolicęby całą Sasi zjedli.

JACEK.

Być może: ale oni nas i tak nadkąsują!

ROTMISTRZ.

Lepiéj-że księżnę, niż rajtaryą przyjmować.

JACEK

Może, chociaż kto wie! Przecież, Rotmistrzu, przez miłość dla siostry postarajcie się ją co rychléj wyprawić, nie wstrzymujcie, nie zabawiajcie, nie wymyślajcie, jeśli mi wolno uczynić uwagę.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Tobie wolno czynić uwagi, a nam ich nie słuchać! Ale żart na bok, ja sam jestem téj chęci, chciałbym sobie spocząć z wami, pogawędzić, powzdychać, a to kłopot niepotrzebny... Ale cyt, czekaj, idą tu obie, przypatrzże się jéj, nie uciekaj...

(*przytrzymuje go*).

SCENA III.

CIŻ—BASIA—KSIĘŻNA.

KSIĘŻNA (*wchodząc*).

Jakżem wdzięczna panu Rotmistrzowi Kaniowie, że mi tu u was spocząć doradził i gościnę u was wyprosił... Odetchnąwszy tą ciszą i spokojem, tak się czuję lepiéj; tak lepiéj... że, gdyby skrzypki, poszłabym tańcować.

JACEK (*na stronie*).

Ona nigdy chyba nie chorowała, wygląda jak jabłko.

BASIA.

Niewymownie mnie to cieszy...

ROTMISTRZ (*z ukłonem*).

Siostra moja najszczęśliwsza, że dom jéj przypadł do smaku Waszéj Książęcéj Mości. (*na stronie cicho*) Patrzno pani na tego trutnia, oto tu stoi.

KSIĘŻNA (*tak samo*).

Widzę go... (*głośno*) Boję się, żebym wacpaństwu nie przyczyniła kłopotu, ale tak mi tu dobrze!

BASIA

Kłopotu! żadnego niéma!!

ROTMISTRZ (*z ukłonem*).

Jest tylko satysfakcya i wdzięczność...

JACEK (*na stronie*).

Nacóż ją tak bardzo za poły trzymają!

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA.

A! tak to miło odpocząć na wsi, po długiéj nużącéj podróży (*spogląda ku panu Jackowi pytając półgłosem Rotmistrza*). Któż jest ten pan, tak pięknych i wyrazistych rysów twarzy?

ROTMISTRZ.

Godny i zacny,—(*do Sołoduchy*) chodź wacpan tu bliżéj,—przyjaciel domu, jegomość pan Jacek Sołoducha pisarzowiczowicz oszmiański...

(*Jacek się kłania*)

KSIĘŻNA.

Imię wacpana przypomina mi młodość moję: u nas jadają sołoduchę! Był téż u książąt Ostrogskich jeden tego imienia, pewnie krewny jego?...

JACEK (*mocno zmieszany*).

Nie wiem, mam wielką obfitość krewnych... pieczętujemy się kółkiem nakształt obwarzanka...

KSIĘŻNA.

Ci sami! niezawodnie... Rysy mi nawet przypominają... ale o tém zamilczę...

JACEK (*kłania się*).

ROTMISTRZ (*poważnie*).

Nad pana Jacka nie mamy lepszego przyjaciela, ani znam godniejszego człowieka; głowa, serce, (*cicho*) ręce... nogi... (*kończy mruczeniem, które uchodzi za pochwałę*).

JACEK (*kłania się*).

Panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Wstrzymuję się, aby cię nie rumienić, ale dodać muszę, że to jest egzemplarz poświęcenia przyjacielskiego. Wystaw sobie, Księżno dobrodziejko, że on tu w domu dziesięć razy jeden: marszałek, komisarz, adwokat, doradca, kasyer, koniuszy, łowczy i ręczę, gdyby go poprosić... pokojeby zamiatał!

JACEK (*zmieszany*).

Ale przestańże wacpan, panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Jak ja się rozpędzę, nadzwyczaj mi trudno się wstrzymać.

BASIA.

Dziękuję ci, bracie; byłam pewną, że mu oddasz sprawiedliwość.

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA.

Drogi to dar, taki przyjaciel domu! taki doradca i dobrodziéj; a! gdy pomyślę, jak trudno podobnego znaléźć na świecie, zazdroszczę pani!

BASIA (*żywo*).

A poznawszy go bliżéj...

JACEK (*do Rotmistrza*).

Wcale przyjemna...

ROTMISTRZ (*do Jacka cicho*).

Mówiłem ci, anioł kobieta... Zobaczysz, jak się lepiéj poznacie (*podchodzi do siostry, rozmawia chwilę i uprowadza ją powoli w prawo*).

SCENA IV.

KSIĘŻNA *na kanapie* — SOŁODUCHA *stoi.*

KSIĘŻNA

(*długo patrzy na niego... Jacek spuszcza oczy i składa ręce pokornie*).

To osobliwsza rzecz, jak mi rysy wacpana kogoś... kogoś przypominają.

JACEK (*powoli z ukłonem*).

Za wielkie to sobie poczytuję szczęście, że mam honor przypominać Waszéj Książęcéj Mości!

KSIĘŻNA.

A! i bardzo! Był to człowiek przyjemny wielce, za którego miałam początkowo iść za mąż, (*wzdycha*) ale zmarł młodo, a ja...

JACEK (*prostując się na scenie*).

A nie wódź nas na pokuszenie! Osobliwsza kobieta!

KSIĘŻNA (*do siebie, ale głośno*).

Nadzwyczajne podobieństwo! postawa, twarz, głos, ruch... A! jak miłe we mnie obudzają sentymenta...

JACEK (*na stronie*).

Co ja tu pocznę?

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA (*wzdychając*).

Przybliżże się, panie Pisarzewiczu, i chciéj na chwilkę przysiąść koło mnie: tu, bliżéj (*wskazuje mu krzesło*)

(*Jacek kłania się, miesza, probuje z kolei trzech krzesełek coraz bliższych i w końcu siada*).

KSIĘŻNA.

To był bardzo miły, młody człowiek, i pięć lat tak po nim płakałam, żem na rok potém wzrok straciła... ale poszedłszy za mąż, odzyskałam.

JACEK (*skromnie*).

Prawdziwie, Wasza Książęca Mość napełniasz mnie konfuzyą: gdzieżbym ja do tak dystyngowanego kawalera miał być podobnym.

KSIĘŻNA (*smutnie*).

Przepraszam, jeżeli zanadto wydam mu się szczerą, to wada moja... a w téj chwili wspomnienie lat młodości, sentyment! W naszym biednym stanie wdowim mało jest chwil weselszych; każdą się chwyta skwapliwie. Pozwól mi wacpan na siebie popatrzyć.

JACEK (*spuszcza oczy— chwila milczenia—na stronie*)

Ot tom wpadł w jamę!

KSIĘŻNA.

Nie byłeś wacpan żonaty nigdy?

JACEK (*żywo*).

Niech Bóg broni, jako żywo, Mościa Księżno!

KSIĘŻNA.

To szkoda, mogłabym zaręczyć, że wacpan będziesz bardzo dobrym mężem...

JACEK.

Nie miałem wcale powołania.

KSIĘŻNA.

Widać, żeś waćpan nigdy w życiu nie trafił na osobę, któraby mu się podobała.

JACEK.

Broniłem się pokusom wszelkim.

KSIĘŻNA.

Dziwna rzecz, że kobiety dozwoliły wacpanu pozostać tak, i nie starały się serce jego pozyskać. Wydziwić się temu nie mogę, tak miły i pełen przymiotów człowiek!

http://rcin.org.pl

JACEK (*kłania się*).

Wasza Książęca Mość zbyt jesteś łaskawą!

KSIĘŻNA.

Bez pochlebstwa, wacpan mi się tak podobasz... ale to tak, że bardzobym go bliżéj poznać sobie życzyła.

JACEK.

Za prawdziwy to sobie mam zaszczyt, (*na stronie*) jeszcze mi się nic też podobnego w życiu nie trafiło. (*głośno*) Wasza Książęca Mość napełniasz mnie, niegodnego sługę swego, wstydem: gdzieby tak mizerne, jak ja, stworzenie, miało zwrócić wejrzenie dostojne Waszéj Książęcéj Mości.

KSIĘŻNA.

Na świecie (*wzdycha*) dziwne bo się trafiają sympatye... osobliwsze od pierwszego wejrzenia pociągi... Znam naprzykład kanclerzynę...

JACEK.

Kanclerzynę!

KSIĘŻNA.

Kanclerzynę Kurtenbach, Saksonkę prawda, która ujrzawszy na ulicy garbatego jednego, jak się potém pokazało, lokaja, tak się w nim rozmiłowała, że za niego poszła.

JACEK.

Istotnie dziwna to była sympatya.

KSIĘŻNA.

Wacpan przecie nie jesteś garbaty i nie lokaj... dlaczegożbyś się podobać nie miał... A wacpan nie czujesz też ku mnie trochę sympatyi?

JACEK (*przestraszony*).

Ja! a! Mościa Księżno (*na stronie*) czy oszalała! (*głośno*) Gdyby nawet tak było, nie śmiałbym!

KSIĘŻNA.

To przyjdzie późniéj, bo tego rodzaju sympatye są zawsze wzajemne.

JACEK (*na stronie*).

Choć uciekać.

KSIĘŻNA.

Wacpan masz familią?

JACEK.

Nikogo na świecie: jestem zupełnym sierotą.

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA.

Doprawdy? to bardzo przyjemnie nie mieć krewnych; prawdziwie, jeszcze mi się wacpan przez to bardziéj podobasz.

JACEK.

Ale familia, z któréj pochodzę, szlachecka.

KSIĘŻNA.

I nie wątpię, że starożytna...

JACEK.

Pierwszy Sołoducha przybył na Litwę z Palemonem i fundował miasto Sołoduchówkę, w późniejszych czasach przezwane Oszmianą; mamy to w papierach...

KSIĘŻNA.

Z fizyognomii znać dystyngowany ród wacpana... Ostatni z rodu, prawdziwie, nie uwierzysz pan, jak mnie to cieszy.

JACEK.

Jakto? żem ostatni?

KSIĘŻNA.

Nie, ale żeś sam jeden; doświadczyłam na sobie, że najlepiéj jest nie mieć familii: człowiek swobodny jak ptak.

JACEK (*sentencyonalnie*).

A cały ród ludzki składa jednę wielką familią.

KSIĘŻNA.

Z wyjątkiem szalbierzów i trutniów.

JACEK.

Naturalnie.

KSIĘŻNA.

Jakże się wacpanu wiodło w życiu? byłeś szczęśliwy?

JACEK (*wzdychając*).

Nie pochwalę się tém: los mnie prześladował.

KSIĘŻNA (*smutno*).

Jak zawsze sprawiedliwych nęka: to i w Piśmie Świętém stoi.

JACEK.

Pierwszy to dom, w którym nieco spokoju zażyć mi się udało.

KSIĘŻNA.

Zawsze w końcu Bóg nagradza... Wacpan tu zajmujesz się?...

JACEK (*żywo*).

Wszystkiém gieneralnie i każdą rzeczą, która do mnie należy i nie należy, poszczególnie; pracować lubię, Mościa Księżno, i prawdę rzekłszy, umiem.

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA.

Nie ciężko tu wacpanu?

JACEK (*pokornie*).

W życiu ludzkiém potrzeba umieć i ciężary dźwigać.

KSIĘŻNA.

Cóż to za szczęście téj wdowy, że sobie tak skutecznego przyjaciela znalazła: to dar boży, taki przyjaciel.

JACEK.

Wasza Książęca Mość znowu zawstydzasz pokornego sługę; rad jestem, że za kawał chleba mogę ludziom być użytecznym...

KSIĘŻNA.

Wysoka bezinteresowność! wszystkie cnoty! Nie mówże wacpan więcéj, abyś mojéj nie budził zazdrości.

JACEK (*na stronie*)

Jaka przyjemna kobieta! Ktoby się domyślił, że niemiecka księżna! ani znaku!... Dalipan to specyał taka wdowa!

KSIĘŻNA.

Ale wacpan nudzisz się ze mną, a tu nas opuszczono we dwoje, czemum ja bardzo rada, bo milszego nie mogłam sobie dobrać towarzysza. Jest tu ogród, panie Jacku?

JACEK.

Stary, szpalerowy.

KSIĘŻNA.

Możebyśmy się po nim przeszli; chciałabym obszerniéj z panem pomówić i poradzić się o administracyą mojego księstwa..

JACEK (*zmieszany*).

Po ogrodzie? sami? my?... to jest.. ja bardzo chętnie, ale czy to będzie przyzwoitém dla Waszéj Książęcéj Mości?

KSIĘŻNA (*śmiejąc się*).

Dla mnie? dla mnie wszystko jest przyzwoite, co ja chcę, a nieprzyzwoity, ktoby miśmiał zaprzeczyć i nie postąpić według mojéj woli. Chcę użyć powietrza: daj mi rękę i pójdziemy do ogrodu.

http://rcin.org.pl

JACEK (*na stronie*).

Herod-baba, ale bardzo przyjemna! Jakie oczy! (*głośno*) Służę Waszéj Książęcéj Mości! (*na stronie*) Jednak jak mnie z nią tak zobaczą?!

(*Wychodzą. Grześ wchodzi drzwiami drugiemi i patrzy długo za niemi*).

SCENA V.

GRZEŚ *sam, zamyślony.*

Sasafras! sasafras! niepojęte dziwy! Wzięli się pod ręce i poszli do ogrodu. Księżna! piękna to jakaś księżna, daj go katu, kiedy zaraz ten specyalik tak jéj przypadł do smaku, że go sobie przywłaszczyła! Swój swego wszędzie dopyta. Ależ winszuję dobrego gustu! Chyba to dlatego, że Niemka, to jéj się ten śledź holenderski tak podobał. A! gdyby go téż za sobą raczyła wziąć do Saksonii, obchodziłbym ten dzień uroczyście całe życie, albobym go zapościł! Ale gdzie tam, prędko ona pozna pana Jacka, że z nim zabawa niebezpieczna. Sasafras!

SCENA VI.

GRZEŚ — ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

Jakie hasło? co słychać?

http://rcin.org.pl

GRZEŚ.

Awantury, Rotmistrzu! Przyjechała jakaś niemiecka księżna, sasafras! niewiele myśląc, wzięła sobie pana Jacka poufalutko pod rączkę, i zaprowadziła się z nim do ogrodu.

ROTMISTRZ.

Jakto? z panem Jackiem poszli do ogrodu, nos w nos, oko w oko? A to śliczne mi rzeczy powiadasz!

GRZEŚ (*z przerażeniem*).

Na moje własne oczy widziałem; a to okazuje jawnie i dotykalnie, jaki to człowiek niebezpieczny: ledwie go zobaczyła, już ją skonwinkował!

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

O! Herod-baba!

GRZEŚ.

Baba jak baba, ale ten jegomość to ptaszek: on wszystkiemu winien! A pan Rotmistrz, cobyś miał na to radzić, śmiejesz się.

ROTMISTRZ.

Cicho, bądź spokojny!

GRZEŚ.

Ależ pan widzisz, co to za czarnoksiężnik! Ot, taki naszę panią opanował. Jego trzeba koniecznie stąd wyparować.

ROTMISTRZ.

Cicho, cicho, ot i Basia!

SCENA VII.

ROTMISTRZ—BASIA—GRZEŚ.

BASIA.

Gdzież się księżna podziała?

ROTMISTRZ.

Gorąco jéj tu było: poszła się z panem Jackiem do ogrodu ochłodzić.

http://rcin.org.pl

BASIA (*zdziwiona*).

Z panem Jackiem? nie może być!

ROTMISTRZ.

Takci jest, swój swego zaraz pozna: on pobożny, ona pobożna; on skromny, ona skromna; on poczciwy, ona zacna: podobali się sobie; a że pan Jacek rezolutny i śmiały, wziął ją pod rękę i poszli.

BASIA.

Jużciż z miny trudnoby się jéj tak podobał, a poznać go nie miała czasu.

ROTMISTRZ.

Dobry ma nos i dużo przeczucia...

BASIA.

Przyznam się, że to dziwne postępowanie mnie zastrasza. To jakaś osobliwsza kobieta!

GRZEŚ (*na stronie*).

I ja tak mówię, z pozwoleniem, sasafras!

ROTMISTRZ.

A mnie to ani dziwi, ani straszy: ja ją lepiéj znam od was. Pełen otwartości charakter podobał się: czemu nie miała mu tego okazać? Nudzić się nie lubi: toć i mnie tak w drodze w niewolą zabrała.

BASIA.

Przyznam się, że nie wiem, jak ją tu zajmiemy?

ROTMISTRZ.

Na to my jesteśmy z Petryłłą: zabawimy ją we dwojgu!

BASIA.

Czy i Petryłło będzie?

ROTMISTRZ.

Musiałem go wziąć w sukurs, bobym sam księżnie nie wystarczył.

BASIA.

Zaprosiłeś go?

ROTMISTRZ.

Z ukosa.

BASIA.

Bardzom mu zawsze rada.

ROTMISTRZ.

Dobrze robisz, bo to zacny człowiek. Idź, Grzesiu, każ tam nakrywać.

http://rcin.org.pl

(*Grześ wychodzi*).

Tak, tak, siostruniu kochana; a najlepiéjbyś zrobiła, żebyś odwołując niebaczne słówko, podała mu rączkę i została jego żoną. Z serca życzę!

BASIA.

Nie mogę tego uczynić, nie mogę!

ROTMISTRZ.

Dlaczego?

BASIA.

Ja i Marta dałyśmy sobie słowo.

ROTMISTRZ.

Dałyście sobie i możecie go sobie odebrać. Słowo, to taka rzecz, że ci jéj nie zabraknie; ani poczujesz. Za króla Kazimierza był szlachcic, który dał sobie słowo, że się obwiesi, jeśli mu wdowa, o którą się starał, odmówi: pojechał, dostał grochowy wieniec; po drodze schwycili przyjaciele, do panny zawieźli i ożenili. Pytają go potém: „a słowo?“ Rzecze na to: „obwiesiłem się na szyi mojéj żony, a cóż chcecie?“ I nikt na to nic nie rzekł, bo miał rozum.

BASIA (*z uśmiechem*)

Ja się wieszać, ani iść za mąż też nie myślę. Ty to wszystko, braciszku, bardzo sobie po żołniersku bierzesz.

ROTMISTRZ.

Jak kto dźwignie, tak bierze. Prawda, że żołnierski mam rozum, ale i tym nie gardzić. Ale poczekawszy, może cię ta księżna nawróci, kiedy już i pana Jacka zaczęła na swoję wiarę przerabiać.

BASIA.

Tegom ciekawa!

ROTMISTRZ.

A gdyby się jéj udało?

BASIA (*śmiejąc się*).

A! to jużbym i ja zmieniła postanowienie.

ROTMISTRZ (*zbliżając się*).

Dobrze; rozmówmyż się wyraźniéj: jeśli pan Jacek oświadczy się księżnie, ty przyjmiesz Petryłłę?

BASIA (*śmiejąc się*).

A! w takim razie mogę obiecać.

ROTMISTRZ.

Słowo?

BASIA (*ciągle się śmiejąc*).

Najmocniejsze!

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ (*zaciera ręce*).

Słowo się tedy rzekło, siostruniu, i cicho!

BASIA.

Jaki ty jesteś zabawny!

ROTMISTRZ.

Ja zabawny, ale i wszyscy się tu podobno doskonale zabawimy z łaski księżnéj jejmości. Mam waścine słówko, pani siostro; mam słówko!

BASIA.

Masz je, masz; nie odwołuję.

SCENA VIII.

CIŻ — PETRYŁŁO.

ROTMISTRZ.

O wilku mowa, a wilk za płotem. Dobrze, że się na apeł stawiasz: mamy gości, będziem się umizgać okrutnie. Księżna piękna i powolna; a kiedy Basia dała sobie słowo zostać mniszką wraz z panną Martą, my musimy uciec się aż do konsolacyi gdzieindziéj.

BASIA (*trąca go, pocichu*).

Co pleciesz, bracie?

ROTMISTRZ.

Szczerą prawdę! A cóż, nie jest tak? Ciebie zbałamucił pan Jacek, ty zbałamuciłaś pannę Martę: musimy więc odegrywać się gdzieindziéj. Więc, kochany sąsiedzie, darmo już nie zerkaj na Basię, bo to nie dla ciebie kąsek, i chodźmy się księżnéj zalecać na wyprzódki. Wdówka, bogata... weźmiemy się oba do niéj: zobaczymy, kogo wybierze? Tymczasem na przekąskę wzięła pana Jacka!

http://rcin.org.pl

BASIA.

Ej! Rotmistrzu! godziż się to tak, godzi z biednych kobiet żarty stroić?

ROTMISTRZ.

A oneż z nas nie stroją żartów? Chciałybyście, żebyśmy odprawieni z grochem, wciąż taki do was tylko wzdychali; ale to nie może być: nieprawdaż, Petryłło?

PETRYŁŁO.

A! może być, Rotmistru! Ja przynajmniéj zostaję przy starym obyczaju.

ROTMISTRZ *(ciągnąc go)*.

Ale-no, chodź tylko, księżnę zobacz; inaczéj mi zaśpiewasz.

PETRYŁŁO.

Nic pilnego. Pani cześnikowo dobrodziejko, proszę tego nie kłaść na mój rachunek.

BASIA.

Rachunków z sobą nie mamy. *(woła)* Marto! Marto! chodź-no w pomoc, bo sobie sama z Rotmistrzem nie dam rady!

(Wchodzi Marta ze drzwi prawych).

SCENA IX.

CIŻ — P. MARTA.

BASIA *(do Rotmistrza)*.

Powtórzże-no przy Marcie, co proponowałeś sąsiadowi.

P. MARTA.

Co takiego?

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Zaraz się panna Łowczanka dowié, bo jeśli głupstwo robię, mam to do siebie, że się chętnie do tego przyznaję. Otóż rzecz taka: panieście naszym afektem wzgardziły, więc ja, Petryłło, p. Jacek, wszyscy hurmem poczynamy się do księżnéj zalecać. Pan Jacek nawet, jako najskorszy, już skutecznie się jął dzieła, i jejmość do ogrodu poprowadził; gdy powrócą, koléj na nas!

P. MARTA (*rusza ramionami*).

Cóż dziwnego, że u wacpanów nowe siteczko na kołku?

ROTMISTRZ.

E! byłoby i stare, gdyby samo nie zleciało.

PETRYŁŁO.

Dobrze wacpan mówisz: myśmy nie zrzucili sitka, samo się wyrwało.

P. MARTA.

A nam to co szkodzi, że wacpanowie do księżnéj zalecać się będziecie? Ona się pośmieje, my także, i koniec.

ROTMISTRZ.

A jak którego z nas sobie wybierze?

P. MARTA.

Niech go sobie weźmie!

PETRYŁŁO (*do Rotmistrza*).

Nie nastraszyła się wcale, Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Jeszcze bo téż nie ma nic; zobaczymy daléj, tylko sza! To strachy na lachy. Ale ty, Basieczku, powinnabyś już wyzwolić i pana Jacka i księżnę jejmość, a pójść po nią do ogrodu, żeby na pierwsze danie nie zanadto znowu miała tego specyału. Panu Jackowi téż gotowo zabraknąć wątku do rozmowy.

BASIA.

Kiedy się nas pozbywają, chodźmyż doprawdy.

(*Wychodzą z Martą do ogrodu drzwiami w głębi*).

ROTMISTRZ.

A my dokąd?

PETRYŁŁO.

Ja za cześnikową, trochę się przejdę po ogrodzie.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Zaraz i ja was napędzę, ale muszę trochę dać gębie spocząć, bo mi się wystrzępiła od wczorajszego dnia.

(*Petryłło odchodzi, Rotmistrz siada w krześle i wyciąga się; po chwili wchodzi p. Jacek ocierając pot z czoła, drzwiami z głębi*).

SCENA X.

ROTMISTRZ—P. JACEK.

JACEK.

A! pan Rotmistrz kochany tu!

ROTMISTRZ.

A wacpan gdzieżeś Księżnę porzucił?

JACEK.

To ona mnie porzuciła... Zobaczywszy te panie, poszła do nich.

ROTMISTRZ.

No! prawda, beród-baba! Wacpan zawsze masz słuszność: przeczułeś, że nam z nią będzie niewygodnie! Gwałtuby jéj się ztąd pozbyć! Przeklęta Niemka!

JACEK.

Hm! Już to ona nie jest Niemka, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Niemka, czy nie... ale mi się nie podoba; chwyciła saskich obyczajów.

JACEK.

Niewiele uważałem tego, kochany Rotmistrzu.

ROTMISTRZ.

Obcesowa... natrętna!

http://rcin.org.pl

JACEK.

To owszem prostota i otwartość, jeśli mogę uczynić tę uwagę..

ROTMISTRZ.

Poczciwa z waszeci dusza, wszystko starasz się uniewinnić, a ja taki, choć ją tu sam wprowadziłem, powiadam, że utrapienie mieć z nią będziemy; pozbyćby się nam jéj co rychléj.

JACEK.

Ja tam nie wiem, jak się wacpaństwu podoba... ale znowu...

ROTMISTRZ.

Co znowu?

JACEK (*jąkając się*).

Obca osoba, księżna, respektby jakiś mieć należało dla stanu położenia... przytém chora.. Zresztą gdyby i zabawiła cokolwiek, cóż to szkodzi?... Prawa gościnności są święte.

ROTMISTRZ.

Tym sposobem świerszczów i myszy nie godziłoby się pozbywać z domu...

JACEK.

Sądzę téż, jeśli mi wolno uczynić uwagę, że pani cześnikowéj przykroby było, gdyby tak prędko stąd odjechała.

ROTMISTRZ (*na stronie*).

Już go ma dobrze! (*głośno*) Ale bestya Niemka, niczego, prawda p. Jacku?

JACEK.

Jużciż... zapewne... tak... (*spluwa*).

ROTMISTRZ.

Młoda: widziałem metrykę u koniuszego, lat 20, miesięcy sześć, tygodni dwa, dni cztery; ładna, nie zaprzeczysz; bogata jak Krezus: ot to kąsek, mosanie, komu się to dostanie!

JACEK (*obojętnie*).

Wszystko to marności światowe!

ROTMISTRZ.

Wszystko marności, prawda; ale nim to do licha zmarnieje, wartoby, żeby się kto pocieszył... Ja pierszy myślę się dobrze wziąć do Jejmości.

JACEK (*zdziwiony*).

Kto? kochany Rotmistrzu! wacpan? wacpan?

ROTMISTRZ.

Ja! albo co?

JACEK.

A panna Marta?

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Kiedy mnie nie chce...

JACEK (*powoli*).

Tak! pono postanowienie uczyniła nie iść za mąż... tylko, że to te postanowienia bywają odmienne. Myśl wspaniała nie ugiąć się pod jarzmem małżeńskiém, ale czy w niéj dotrwa?

ROTMISTRZ.

Trudnoż mnie dwadzieścia lat czekać, czy wiatr nie powieje inny..

JACEK.

Widać, że wacpan nie masz prawdziwego przywiązania.

ROTMISTRZ.

No! ja jak ja: może się oprę pokusie; ale co Petryłło, któremu Cześnikowa formalnego dała odkosza, ten ręczę, że pójdzie w konkury, i spodoba się jéj pewnie.

JACEK.

Sądzisz pan??

ROTMISTRZ.

A cóż? charaktery dobrane: oboje weseli, trzpioty...

JACEK.

Jeśli mi wolno uczynić uwagę, Księżna jest osobą wcale poważną i charakteru surowszego, niż się zdaje.

ROTMISTRZ.

E! to ci się tak zrazu wydało: niechno skrzypki zagrają... Właśnie Petryłło umyślił ją prosić do siebie do Zablocia, i nas wszystkich także; będziemy mogli rozruszać się trochę.

JACEK (*żywo*).

Jakto? już ją widział? już zamyśla?

ROTMISTRZ (*tajemniczo*).

Między nami mówiąc, zdaje się, że go zajęła mocno.

JACEK.

Płochy człowiek: zawszem go takim sądził.

ROTMISTRZ.

Czegóż będzie znowu czekał? nasze kobiety nie chcą słuchać nawet o małżeństwie, próżnobyśmy wyglądali, kiedy się tak uparły: trzeba szukać gdzieindziéj szczęścia.

JACEK.

Albo i biedy, jeśli wolno uczynić uwagę; że téż panowie nie myślicie o czém innem, tylko o niewiastach.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Ba! żebyśmy tak byli święci ludzie jak wacpan, co bożéj woli nie czujesz, a szatana odpędzasz dyscypliną! Ale Petryłło hreczkosiéj, nudno mu w domu, ja konfederat poddeptany; obu nam żonyby się przydały: o czémże myśléć mamy, jeśli nie o kobiecięta.

JACEK.

Jużciż jednéj Księżnéj na wszystkich zamało.

ROTMISTRZ.

Niech sobie wybiera; (*po chwili*) ale i wacpan coś u niéj w łaskach (*uśmiecha się*).

JACEK (*zmieszany*).

Ja? ale gdzież tam!

ROTMISTRZ (*grożąc mu palcem*).

Łatwo to było dostrzedz; co za dziw! Ta kobieta i anacho retęby obałamuciła; a do wacpana zaraz jakąś uczuła sympatyą, byłbyś z kamienia, żebyś jéj się nie wywzajemnił... Ot, kto wié czy nas jeszcze nie odsadzisz.

JACEK.

Ale, cóż znowu! skądże posądzenie?

ROTMISTRZ.

Wygadała się pono, żeś się jéj waszmość podobał.

JACEK (*spuszcza oczy*).

Ale nie! ale nie! gdzieżby się wygadała!

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

A toby było pocieszne.

JACEK (*spluwa*).

Tfu! bałamuctwo!

ROTMISTRZ.

Zostaw to nam dwom, dla ciebie to niezdrowa potrawa: tobie z tego nic... Kiedyś z Męciszewskim w Sokalu nad Bugiem przynieśli nam węgorza, a trzeba wiedzieć, że oba go pasyami lubimy.

http://rcin.org.pl

Mój człowiek go przyrządził zawiesisto z sosem i rodzenkami, aż miło; podają na stół: wtém utrapienie przynosi Konarskiego, a nam aż ślinka ciecze do węgorza, którego tyle co na dwóch. Męciszewski wpadł na koncept: jak zaczął prawić o tych, co się węgorzem potruli i pomarli, Konarski ani ruszył, a myśmy we dwóch zjedli i zdrowi byli. Nie jedźże waść naszego węgorza

(*odchodzi śmiejąc się*).

SCENA XI.

P. JAGEK (*sam*).

Nie mogę się jeszcze opamiętać, i wypadałoby sobie uczynić niektóre uwagi... Księżna wyraźnie, jasno i oczywiście daje mi do zrozumienia, żem jéj wpadł w oko, z powodu tego osobliwszego podobieństwa do nieboszczyka jéj konkurenta. Gdyby to miała być prawda, rzecz niezgorsza! tentująca! awantura jedyna! Byleby mi Petryłło z Rotmistrzem nie przeszkadzali, mogę zajść daleko! Kto wié! trafiają się po świecie dziwniejsze rzeczy. Ale ci, jak się uwezmą po swojemu, nie sprostam im, bo do kobiet nie mam wprawy i konkurencyi nie wytrzymam: przez nogę mnie przesadzą. Potrzeba ich oddalić, a niema innego sposobu tylko ich do starych amorów odesłać: te panie nadto się z niemi ostro obchodzą, należy wpłynąć na to, by ostatecznéj nie odbierały im nadziei! Chytro, mudro, mógłbym ja to dokazać... (*myśli*) Da się zrobić; kobiecie łatwiéj wmówić, by była czulszą, niż wstrzymać od afektu... tak uczynię... Otóż i panna Marta, od niéj poczynę...

---

http://rcin.org.pl

SCENA XII.

P. JACEK — P. MARTA.

JACEK.

Gdzież to pani Rotmistrza rzuciła?

P. MARTA.

A cóż on mnie obchodzi? poszedł za Księżną.

JACEK.

Co obchodzi? wszakże to dawny służka pani?

P. MARTA.

Odprawiłam go przecie, jako wiécie, i może sobie nowéj służby szukać, bo mu się kontrakt skończył.

JACEK.

Ho! ho! skończył!

P. MARTA.

Nie wierzysz?

JACEK.

Nie spełna, a myślę sobie, po co go do desperacyi doprowadzać ostatecznéj?

P. MARTA.

A na cóż go uwodzić?

JACEK.

Zapewne! zapewne! Ale gdyby też nikt za mąż nie szedł?

P. MARTA.

To cóż! sam wacpan powiadasz, że byłoby najlepiéj.

JACEK *(powoli sentencyonalnie)*.

To jest nie generalna reguła, ale dla wybranych, dla wybranych; pospolitsze zaś, słabsze istoty...

P. MARTA.

Dziękuję: widocznie liczysz mnie wacpan do pospolitych i słabych.

http://rcin.org.pl

JACEK (*tak samo*).

Uchowaj Boże! Jednakże rada, którą ośmieliłem się uczynić pani Cześnikowéj jako wdowie, nie daje się ściśle stosować do panny Łowczanki: wielka jest bowiem różnica między stanem wdowim a panieńskim.

P. MARTA.

Co się dziś wacpanu stało?

JACEK.

Ale ja zawsze jedno prawię i ośmielam się uczynić uwagę, że nie zmieniam zasady.

P. MARTA.

Jak żyję, nicem podobnego od wacpana nie słyszała.

JACEK (*wzdycha*).

Jakto trudno być od ludzi zrozumianym!

P. MARTA.

Przecież nie jestem tak ograniczona... dziś się panu zebrało na komplementa.

JACEK.

Przepraszam! (*do siebie*) ot tom sobie biedy napytał: nie miałem w myśli...

P. MARTA (*do siebie*).

Co jemu jest?

JACEK.

Gdybyś pani raczyła posłuchać uwagi, którą się uczynić ośmielę...

P. MARTA (*urażona*).

To może znowu wacpana nie zrozumiem... Cały rok prawiłeś wacpan przeciwko małżeństwu, a teraz nagle bierzesz je w obronę.

JACEK (*argumentując*).

Nie jestem za niém dla wszystkich, ani przeciwko niemu dla wszystkich. Czy panna Łowczanka uczyła się dyalektyki?

P. MARTA.

Dajże mi wacpan ze swoją lektyką pokój!

JACEK (*poważnie*).

Dlatego to wacpanna mnie nigdy nie zrozumiesz. Jest bowiem prawda generalna, i prawda *quo ad casum... ad personam;* co przedziwne dla Cześnikowéj, to dla panny Łowczanki może być niewłaściwe. Tak! uczyniłbym tę uwagę.

http://rcin.org.pl

P. MARTA.

Co mu dziś jest?

JACEK.

Gdyby panna Łowczanka miała swój dom, niezależność, rodziców, święciéj byłoby może nie iść za mąż i ślubować panieństwo wiekuiste; ale w jéj położeniu, gdy przyjdzie starość, osierocenie, brak podpory a potém z tego urodzą się narzekania na Opatrzność... co się ma obrażać niemi Boga, lepiéj wziąć męża.

P. MARTA (*składając ręce*).

Wacpan to mówisz!!

JACEK.

I zawsze to mówiłem.

P. MARTA.

Gdzieżem była, żem tego nie słyszała! Więc za mąż pójść nie jest grzechem?

JACEK.

Nawet cnotą... to zależy...

P. MARTA.

I niekoniecznie potém prowadzi za sobą nieszczęście?

JACEK.

Tu różnie się trafia: wybór osoby, ośmielę się uczynić uwagę, grunt; jeśli stateczny, łagodny, przywiązany...

P. MARTA.

Jak Rotmistrz naprzykład?

JACEK.

Może mieć wiele z tych przymiotów!

P. MARTA.

Doprawdy, nie poznaję wacpana... nawet Rotmistrz!

JACEK.

Godny i zacny człowiek... zawsze to mówiłem i powtarzam... tylko panna Łowczanka pokornego sługi swego rozumieć nie chce.

P. MARTA.

Dziś doskonale rozumiem.

JACEK.

Alem zawsze mawiał: sprawa gardłowa! małżeństwo! sprawa gardłowa! Dobrze się trzeba zastanowić, płocho nie iść, serce badać, a gdy się okaże inklinacya i wola boża... cóż począć! lepiéj ślubować niż żałować!

P. MARTA.

Cóż to zagadało przez wacpana?

http://rcin.org.pl

JACEK (*żywo*)

Ośmielam się uczynić uwagę, żem to zawsze mówił.

P. MARTA. (*stoi zdziwiona*).

Prawda, żem chyba go nie zrozumiała.

SCENA XIII.

CIŻ SAMI—BASIA *wchodzi od ogrodu.*

P. MARTA.

Chodźże, chodź, a posłuchaj, co pan Jacek prawi, zalecając święty stan małżeński.

BASIA.

Żartujesz chyba!

JACEK (*zmieszany*).

Panna Łowczanka nie chce mnie rozumieć...

P. MARTA.

Niechże powtórzy tobie kazanie, które mnie prawił: sama osądzisz.

JACEK.

Najchętniéj wypowiem, bo to są te maksymy, które ośmielałem się nieraz już głosić. Że lepszy stan bezżenny, to pewna; że stan wdowi błogosławiony, niema wątpliwości; że w małżeństwie są niebezpieczeństwa wielkie, doświadczona; że to jarzmo złote, ale jarzmo... nic pewniejszego: ale że nie wszyscy do doskonałości stworzeni, i to prawda.

P. MARTA.

Szczególniéj, widać, ja nie do niéj stworzona jestem, bo mi pan Jacek dowodzi, że powinnam iść za mąż.

BASIA (*do Jacka*).

Czyż tak? czy tak?

http://rcin.org.pl

JACEK (*zakłopotany*).

Ale nie, inaczéj to było. Zgadało się o różnych rzeczach: spostrzegłem, że afekt Rotmistrza do panny Łowczanki jest bardzo głęboki i szczery: skierować się ośmieliłem uwagę jéj na to... Któż wie, czy nie lepiéj dać sobie czas do rozmysłu, nie odpychać go całkowicie, zostawić mu jakąś nadzieję? Człowiek doprowadzony do rozpaczy...

BASIA.

Rozpacz! Cha! cha! dalekoż jeszcze do tego! Oba oni z Petryłłę takie do księżnéj koperczaki stroją, tak się śmieją i skaczą przed nią, aż strach!

JACEK (*żywo*).

Doprawdy? To źle! to bardzo źle! to najgorzéj!

BASIA.

A cóż złego? Znalazł swój swego.

JACEK.

Pani to bierzesz tak chłodno?

BASIA.

Martwić się nie mam czém. Chwała Bogu, że i Petryłło wybił sobie z głowy próżne konkury. Niech się zaleca!

JACEK.

I on tam! oba przy niéj?

BASIA.

Oba.

JACEK.

A księżna?

BASIA.

Szczerzy do nich ząbki, aż miło.

JACEK (*oburzony*).

To bardzo źle! to niegodziwie!

(*Chodzi żywo*).

Dosyć, że nigdy mnie nie zrozumiécie państwo.

BASIA.

I ja?

JACEK.

Ośmielę się uczynić uwagę, że i pani Cześnikowa; bo po cóż było zrazić tego zacnego, kochanego Petryłłę?

BASIA.

Jakto? sam wacpan radziłeś!

http://rcin.org.pl

JACEK.

Ja? uchowaj Boże!

BASIA.

Mówiłeś o niebezpieczeństwie przywyknienia, o niewoli małżeńskiéj.

JACEK (*z przyciskiem*).

Generalnie, ale nie *partykularnie*! Petryłło człek otwarty, szczery, godny.

BASIA.

I jam go zawsze za takiego miała.

JACEK.

To prawda, żem się nie radził śpieszyć; mówiłem zawsze: *festina lente*.

P. MARTA.

Festynów żadnych nie było.

JACEK.

Nikt mnie nie rozumié...

BASIA.

Po cóż wacpan po łacinie z nami mówisz?

JACEK.

Stary nałóg! Ale doprawdy, Cześnikowo dobrodziejko, ośmielę się uczynić uwagę, że na wszelki wypadek szkoda człowieka, tego Petryłły.

BASIA.

Wacpan to mówisz?

JACEK.

Zawszem to dawał do zrozumienia, chociaż niewyraźnie.

BASIA.

Bardzo jakoś niewyraźnie.

JACEK.

I teraz wartoby go od téj księżnéj odciągnąć, żeby nie miéć takiego bałamuctwa na sumieniu.

BASIA (*do Marty*).

Co mu się stało?

P. MARTA.

Nie wiem; ale to pewna, że takim go pobłażającym nie pamiętam.

http://rcin.org.pl

JACEK *(powoli, dobitnie)*.

Est modus in rebus! Niepotrzeba ani nazbyt ośmielać, ani raptownie odpychać; niekoniecznie iść za mąż, ale można być grzeczną, i, ośmielam się uczynić uwagę, nieco powolniejszą... Któż wie, a jeśli się dowodnie okaże i moc przywiązania i wola boska?

BASIA *(żywo)*.

To możnaby pójść za mąż i wdowie?

JACEK *(skłopotany)*.

Nie mówię, by dobrze było; ależ w tém nie ma grzechu.

BASIA.

Ja zawsze sobie tak myślałam. Chwałaż Bogu!

P. MARTA.

Widać, żeśmy go obie nie rozumiały!

(Odchodzą w prawo).

JACEK *(sam)*.

Otóż masz! wygadałem się zbyt stanowczo. Jakże je teraz będzie znowu, gdy przyjdzie potrzeba, na dawną drogę zawrócić? Ciągłe kłopoty! *(podnosząc oczy i ręce do góry)* Chyba Opatrzność z nich wydźwignie ręką wszechmocną! *(wzdycha)*.

SCENA XIV.

JACEK—*od ogrodu wchodzi* KSIĘŻNA.

KSIĘŻNA *(do Jacka)*.

Stój pan, czekaj; wszędzie go szukam i znaleźć nie mogę! Ledwiem się pozbyła natrętów... Gdzież są panie?

JACEK.

Tylko co odeszły. Wasza książęca mość prawdziwie łaską swą przywodzisz mnie do konfuzyi.

KSIĘŻNA.

Szczerze mówię, żeś mi się wacpan bardzo podobał. U nas,

http://rcin.org.pl

w Saksonii, nie ma tych ceregielów co w Polsce; jeżeli, szczególniéj wdowie, podoba się mężczyzna, przychodzi wprost do niego, ot tak jak ja do wacpana, i mówi mu, gładząc go pod brodę:

(*P. Jacek się cofa*).

Serdeńko, kocham cię, i... kwita.

JACEK.

Przyjemny bardzo obyczaj, ale...

KSIĘŻNA.

Ja znajduję także, iż dogodny jest, krom głaskania pod brodę, bo to już można na późniéj zostawić. I choć to w Polsce, ale jako księżna saska, zdaje mi się, że mam prawo, choć trochę obcesowo, powiedzieć wacpanu, że mi bardzo przypadłeś do smaku.

JACEK (*kłania się*).

Byłoby to szczęście dla mnie nad zasługę.

KSIĘŻNA.

Póki tu ich niema, siadaj; pogadamy sobie.

(*Jacek i księżna siadają obok siebie*).

JACEK.

Co mi wasza książęca mość rozkaże?

KSIĘŻNA.

Słyszę tu od wszystkich, że z wacpana wielki nieprzyjaciel małżeństwa?

JACEK.

Ze mnie? Uczynię waszéj książęcéj mości uwagę, że dolą moją jest być niezrozumianym od ludzi.

KSIĘŻNA.

Cześnikowa, panna Marta, Petryłło, Rotmistrz: wszyscy mówią, żeś ich zdysgustował całkiem od małżeństwa, i postanowili, skutkiem jego namowy, wyrzec się słodyczy tego stanu.

JACEK (*skłopotany*).

Ale wasza książęca mość nie dajesz temu wiary, spodziewam się; umysł jéj wzniosły pojmie łatwo, że są prawdy różne, wedle położeń, usposobień, wieku i charakteru człowieka. A co się tyczy wdów... (*do siebie*) o mało głupstwa nie wyrzekłem.

KSIĘŻNA.

Gadaj-no daléj, bo jeszcze nie rozumiem, choć istotnie umysł mam bardzo wzniosły.

JACEK.

Co dobrém jest dla wdowy...

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA (*przerywa*).

To mnie właśnie obchodzi najwięcéj, bom wdowa...

JACEK (*kończąc*).

I wdowy nizkiego stanu, małéj fortuny, jak cześnikowa, to może nie przystoi pannie lub osobie tak wysoko położonéj, téj krwi i pozycyi co w. ks. mość.

KSIĘŻNA.

Co to ma za związek z krwią? Dość, że wacpan wdowom nie pozwalasz iść za mąż.

JACEK.

Ja? uchowaj Boże! owszem zalecam; ale obstaję przy rozumnym wyborze. Tu samo rzeczy ognisko, tu waga, wybór wedle głowy, serca i wszelkich konsyderacyj...

KSIĘŻNA.

Rozumiem; to znaczy: gdyby która wacpana chciała, co innego, a gdyby inszego, co innego znowu.

JACEK.

Nie o mnie tu chodzi, ale o przymioty pretendenta, aby był... nie płochy.

KSIĘŻNA.

Nie frant.

JACEK.

Nie szaławiła, nie pustak, nie zaśniedziały jakiś hreczkosiej.

KSIĘŻNA.

Rozumiem.

JACEK.

Wreszcie, tu pociąg i sympatya grunt rzeczy.

KSIĘŻNA.

Masz słuszność: gdzie niema sympatyi wzajemnéj, tam trudno, by było pożycie dobre. Cóż daléj?

JACEK.

Ale jeśli są wszystkie warunki, małżeństwo staje się nietylko dobrém, ale koniecznem. Zawsze czyniłem tę uwagę.

KSIĘŻNA.

Jakże mi to miło, że wacpana tak mówiącego słyszę! Zaraz muszę wywieść z błędu cześnikową, która czule spogląda na sąsiada, on na nią, a zbliżyć się do siebie nie śmieją.

JACEK (*z westchnieniem*).

Szczęśliwy Petryłło, że znalazł w życiu port spoczynku i cień życzliwości, pod którym wytchnie.

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA.

Czyżbyś mu wacpan zazdrościł?

JACEK.

Nie osoby, ale afektu.

KSIĘŻNA.

Rzecz rzadka w teraźniejsze czasy, afekt stały i szczery.

JACEK.

Rara avis in terris! to jest...

KSIĘŻNA.

Nie tłómacz pan: rozumiem po łacinie.

JACEK (*zdziwiony*).

I po łacinie rozumié! Co to za kobieta!

KSIĘŻNA.

Uczyłam się na akademii w Padwie... Ale wracając do afektów, trzeba wiedzieć, że z niemi tak, jak w grze: im kto dłużéj przegrywa, tém pewniejszy, że w końcu na cetno trafi... A wacpan to nigdyś się w życiu nie kochał?

JACEK.

Nigdy, chociaż... chociaż czuję, że mam zdolność do tego.

KSIĘŻNA.

Mógłbyś się zakochać? Możeś już zakochany?

JACEK (*skromnie*).

Jeszcze nie wiem, ale się tego lękam właśnie...

KSIĘŻNA.

Nie masz się wacpan czego lękać...

JACEK.

A jeśli przedmiot afektu nie odpowié mojemu przywiązaniu?

KSIĘŻNA.

Cóż znowu? chybaby szczęśliwa ta niewiasta oczów i serca nie miała! Choć od niedawna mam przyjemność znać wacpana, ale szczerze mówię, że gdybyś się wacpan nawet w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym... (*z przyciskiem*) zobaczymy!

(*Odchodzi w prawo niby zmieszana; Soloducha pozostaje zamyślony*).

http://rcin.org.pl

SCENA XV.

JACEK—*później* GRZEŚ.

JACEK.

Czy mi się nie przysłyszało, jak rzekła: „Gdybyś się wacpan w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym: *zobaczymy!*“ To wyraźnie, aż nadto wyraźnie! Obo! jest tedy rzecz! Idę, ogolę się i ubiorę, aby galante wystąpić. Cześnikowa mały ptaszek przy niéj, to gruba co się zowie zwierzyna: młoda, bogata i księżna! A że się król jegomość do niéj zalecał, kto wié, co mnie czeka? (*mówi powoli z przestankami.*) Naprzód maleńkie starostwo... naturalnie, na początek; daléj kasztelanijka drążkowa... Cicho, sza, to jeszcze nic! aż i województwo *in partibus!* Daléj łapię urzędzik nadworny malutki, potém laseczkę lub buławkę, i siedzę w ministeryum między senatorami!

(*Siada szeroko i nadyma się*).

GRZEŚ (*wpada nagle*).

Proszę wydać owsa dla koni!

JACEK.

A! a!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

http://rcin.org.pl

AKT IV.

Ta sama dekoracya.

SCENA I.

ROTMISTRZ.—GRZEŚ.—RÓZIA.

ROTMISTRZ.

Wszystko tedy idzie jak z płatka! księżna nasza dokazuje cudów, pan Jacek zmieniony do niepoznania, przylgnął do niéj, i inném okiem patrzy na nasze zaloty; cześnikowa nie odpędza Petryłły; mnie panna Marta dziś trzy razy dała się w rękę pocałować: spodziewam się, że i wacpanna Grzesiowi nie będziesz okrutną?

RÓZIA (*figlarnie*).

Muszę iść za przykładem starszych.

ROTMISTRZ.

Choć nie rada!

GRZEŚ.

Sasafras! U nas sług, zawsze ciągnie się wszystko za panami: napatrzywszy się, nasłuchawszy, musimy ich piosnkę śpiewać. Niech pan tylko zważa, który tylko pan w karty grywa, pewnie

http://rcin.org.pl

ludzie jego na dyszlu tną w drużbarta; który koperczaki stroi, już tam przy nim gachy; który pieniądze dusi, pewnie ma służbę lichwiarzy. Otóż i tu, musimy z panną Rozalią akomodować się do wiatru, jaki powieje, a że szczęśliwa aura zawiała ku ślubnym kobiercom, i nasza nawa ku nim dąży: byle się nam tego specyalika pozbyć, ile nas jest, staniemy w rzęd do ołtarza.

ROTMISTRZ.

Cierpliwości! chwila niedaleka, byle język Petrylle nie zaświerzbiał, a nie wygadał się niepotrzebnie. Lada chwila p. Jacek księżnie się oświadczy, a mam słowo Basi, że skoro go zobaczy w tym stanie, sama postanowienie odmieni. Trzeba tylko tak urządzić wszystko, aby w chwili stanowczéj nasze panie mogły oracyi pana Jacka posłuchać.

RÓZIA.

Ale czyż do tego przyjdzie?

ROTMISTRZ.

Wolą czy niewolą, musi.

RÓZIA.

Ja nie wiem, ale się czegoś boję, bo się coś knuje, czego nie rozumiem.

ROTMISTRZ.

Któż knuć może i co?

RÓZIA.

Pan Jacek jakiegoś chłopca tu zwołał do dworu, który sługiwał u wojewody, i coś mu w ucho kładzie: gotują się go gdzieś posyłać w wielkiéj tajemnicy.

ROTMISTRZ.

Cóż nam zrobi?

GRZEŚ.

A nuż wymyśli sposób panów stąd ruszyć? Bez was sobie rady nie damy.

RÓZIA.

To bardzo być może.

GRZEŚ.

I wszystko w łeb wzięło! Ale, sasafras! nie poważy się!

RÓZIA.

Gdzie o tak ważne idzie rzeczy, potrzeba się mieć na ostrożności.

http://rcin.org.pl

GRZEŚ.

Co Rózia poradzi, złote słowa; trzeba jéj słuchać: niema jak ona w ciężkim razie.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

Wartoby ją ministrem zrobić! Coś ty, Grzesiu, jak ten imperator rzymski, który konia konsulem mianował.

RÓZIA (*urażona*).

A to ślicznieś mnie pan porównał!

ROTMISTRZ.

Zważże proporcyą: jak Grześ się ma do imperatora rzymskiego, tak ty do konia. Nie chybiłem!

GRZEŚ.

Wszelako Róziby się więcéj należało.

RÓZIA.

Chcesz pan, słuchaj, czy nie, mnie to wszystko jedno: ja ostrzegam.

ROTMISTRZ.

Adnotuję... ale panna Marta idzie. Na stronę! mam z nią ważną naradę.

(*Rózia i Grześ szepcąc odchodzą w lewo*).

SCENA II.

ROTMISTRZ. — P. MARTA.

ROTMISTRZ (*zalotnie*).

Niechże mi, korzystając ze szczęśliwego trafu, wolno będzie przybliżyć się do Łowczanki dobrodziejki, bo przez cały dzień próżno szukałem zręczności, a długo spragnionemu choć w oczki popatrzyć, kordyał wielki.

P. MARTA.

Nie żartowałbyś wacpan...

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Klejnocie mój! Łowczanko droga! nie krzywdź mnie, obracając w żart, co łzami i krwią wypisać jestem gotów. Wszak ci wiernie, jako królowi mojemu służę, i noszę, jak zbroję na piersiach, miłość moję, od dawnych lat wzdychając do szczęścia, bym tę rączkę przed ołtarzem mógł uścisnąć.

P. MARTA.

A księżna?

ROTMISTRZ.

Księżna? przyjechała i pojedzie.

P. MARTA.

A wacpan za nią, tak-eś się w niéj rozmiłował.

ROTMISTRZ.

Ja?! Jeżelim do niéj zagadał, to tylko z desperacyi chyba, że mi panna Łowczanka i oczkiem nie mrugniesz.

P. MARTA.

Gdybym była powolniejszą, ślebym bardzo na tém wyszła, kiedy co chwila afekt wacpanów się zmienia, jak chorągiewka na dachu.

ROTMISTRZ.

Ale gdzież afekt? to żarty!

P. MARTA.

Ja takich żartów nie rozumiem.

ROTMISTRZ.

Ależ do rozpaczy byłem przywiedziony.

P. MARTA.

I rozpaczy takiéj nie pojmuję.

ROTMISTRZ.

Łowczanko dobrodziejko, bądź łagodniejszą dla sługi swojego.

P. MARTA.

Wacpan nie zasługujesz na to. Co znaczą te wszystkie zaklęcia i przysięgi, kiedy lada pierwsza z brzegu kobieta zaraz wacpanu głowę zawraca?

ROTMISTRZ.

Czyż wacpanna nie widzisz, że to są żarty?

P. MARTA.

Piękne żarty! Widziałam, jak-eś ją wacpan w rękę całował.

ROTMISTRZ.

W rękawiczkę tylko.

http://rcin.org.pl

P. MARTA.

I szeptał.

ROTMISTRZ.

Pytała mnie o drogę.

P. MARTA.

Kłamiesz wacpan: nie wierzę!

ROTMISTRZ.

Jak mi Bóg miły! klnę się...

P. MARTA.

Proszę się nie przysięgać i duszy nie ubić! Oczymaś wacpan przewracał, aż wstyd!

ROTMISTRZ.

Mrugałem na Petryłłę.

P. MARTA (*ciągle z urazą*).

To wszystko nieprawda! nieprawda! Chciałam tylko doświadczyć, jak daleko zajść może fałsz i obłuda mężczyzny, i dlatego pytałam wacpana.

ROTMISTRZ.

Łowczanko, klejnocie drogi!

P. MARTA.

Szczęście to, żem wacpanu nie przyrzekła mojéj ręki, żem się nie dała uwieść jego zaklęciom: bo gdyby to było po ślubie...

ROTMISTRZ.

O! żołnierskiém słowem zaręczyć mogę pannie łowczance, że tegoby po ślubie nie było.

P. MARTA.

Mniejsza o to; teraz wiem, co mam trzymać, i o żadnym ślubie, ani afekcie między nami niema mowy: pójdę raczéj do klasztoru.

ROTMISTRZ (*przyklękując*).

Łowczanko! na wszystko się zaklinam, trzy godziny cierpliwości tylko!

(*Panna Marta wzrusza ramionami i wychodzi; Rotmistrz wstaje*).

Szczęście, że to dłużéj nie trwało, bobym się był wydał z tajemnicą i popsuł wszystko. Cierpliwości, Rotmistrzu! a wszystko się naprawi.

---

http://rcin.org.pl

SCENA III.

ROTMISTRZ. — BASIA.

BASIA (*gniewna wchodzi żywo*).

A już też tego dosyć, w moim domu! nie zniosę tego zgorszenia! patrzeć na to nie chcę!

ROTMISTRZ.

Co ci to jest? co się stało?

BASIA.

A tyś wszystkiemu winien: ślicznego mi tu wprowadziłeś gościa... Ta księżna twoja...

ROTMISTRZ.

Otóż masz! co księżna mogła przewinić?

BASIA.

To jakaś wierutna dworka!

ROTMISTRZ.

Dworka! pewnie: była przecie na dworze u Sasa!

BASIA.

Wacpan nie chcesz mnie rozumieć...

ROTMISTRZ.

Nie rozumiem wistocie: cóż zrobiła? mów!

BASIA (*oburzona*).

Ja tego dłużéj nie zniosę! to zgorszenie!

ROTMISTRZ.

Ale cóż u Boga się stało? mów, proszę...

BASIA.

Petryłło się do niéj obrzydliwie zaleca.

ROTMISTRZ.

A ona?

BASIA.

Ona ohydnie, niegodziwie go łapie, przyjmuje, mizdrzy się do niego. To wstyd, sromota!

ROTMISTRZ.

Co za wstyd? cóż w tém złego? On kawaler, ona wdowa; kie-

http://rcin.org.pl

dy sobie się podobali, wszakże wolni ludzie: żadna ich przysięga nie wiąże!

BASIA.

Ależ Petryłło...

ROTMISTRZ.

A cóż Petryłło?... tyś go nie chciała. Jeśli jéj dobry, co masz mu szczęścia zazdrościć? jeszcze się pochwalisz, że co dla szlachcianki było nie hoże, to sobie saska księżna wzięła za przysmak.

BASIA.

A któż powiedział, żem ja go nie chciała?

ROTMISTRZ.

Dałaś mu formalną odprawę przecie.

BASIA.

A może to było tylko... na próbę.

ROTMISTRZ.

I spróbowałaś, że się to na nic nie zdało. Co miał sobie z rusznicy w łeb wypalić, albo się na dębie obwiesić, lepiéj, że z wdówką ożeniwszy się, piwko będzie u Sasów zapijał.

BASIA.

Tacyście wy wszyscy...

ROTMISTRZ.

A wy lepsze! oj! oj! Kocioł garnkowi przymawia, a obadwa smolą.

BASIA.

My przecie tak serca zmieniać nie umiemy.

ROTMISTRZ.

Jak nie? a wacpani, siostro dobrodziejko, nie kochałażeś Petryłły, i nie zmieniłażeś afektu dla niego?

BASIA.

Któż to wié?

ROTMISTRZ.

Dostał grochu nieborak, to jasno.

BASIA.

A jeśli to było na próbę?

ROTMISTRZ.

Śliczne próby, człowieka do rozpaczy przywodzić! To tak, jak ów co strzelił do idącego i ubił; pytają go, co uczynił? powiada, że rusznicy próbował dawno nabitéj, czy wystrzeli.

http://rcin.org.pl

BASIA.

Mniejsza o was, bardzo sobie teraz winszuję, że się tak stało, bo przynajmniéj wstydzę się za niego, ale nie cierpię...

ROTMISTRZ.

Basieczku kochana, wierzaj mi, to są żarty: on cię kocha... kto wié, czy i on nie czyni tego na próbę.

BASIA.

Piękna próba! to zgorszenie! to zgroza!

ROTMISTRZ.

A, próba za próbę!

BASIA.

Petryłło płochy, jak to wy wszyscy, ale co ta księżna, to niegodziwa zalotnica; niech przenocuje sobie, ale jutro ani myślę ją wstrzymywać: niech rusza na cztery wiatry; prosić jéj nie będę pewnie.

ROTMISTRZ (*śmiejąc się*).

Powiedz tylko Petrylle, on ją do siebie zabierze.

(*Odchodzi, i we drzwiach spotyka Petryłłę, któremu wskazuje cześnikową*).

SCENA V.

BASIA. — PETRYŁŁO.

PETRYŁŁO.

A! pani Cześnikowa dobrodziejka tu?

BASIA (*urażona, żywo*).

A wacpan tam u nóg księżnéj?

PETRYŁŁO.

Ja? u nóg? to się po mnie nie pokaże.

BASIA.

Może się wacpan zaprzesz, żeś tam koperczaki stroił?

PETRYŁŁO.

Ja? ja? (*na stronie*) licho Rotmistrza wyniosło, byłby mi dopo-

http://rcin.org.pl

mógł. Kłamać nie umiem; jak przyciśnie, to się wygadam... a tu milczéć potrzeba... (*głośno*).

BASIA.

Co tam wacpan mrucysz... jużci to było jawne: wszyscy widzieli! Śliczny z pana człowiek! rano jednéj się przysięga, wieczorem przed drugą klęczy...

PETRYŁŁO.

O! żem nie klęczał, na to świadków postawię.

BASIA.

Przynajmniéj blizko tego było.

PETRYŁŁO.

Daleko i bardzo daleko, cześnikowo dobrodziejko; bo chociażem jéj prawił trzy po trzy, tom nie myślał, com gadał.

BASIA.

A prawiłeś dlatego! To jeszcze gorzéj, to szkaradnie! Jakże można przysięgać, uwodzić, nie myśląc.

PETRYŁŁO.

A! ja-m Bogu ducha winien! to było... (*zatrzymuje się*).

BASIA.

Wacpan! wacpan gorszy jesteś od wszystkich, boś tak udawał niewinnego, żem mu wierzyła, a koniec końcem takiś dobry jak i drudzy.

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Już dalipan nie wytrzymam i powiem jéj, jak to było... że to czysta komedya? (*głośno.*) Cześnikowo dobrodziejko, na złote jéj serce zaklinam, nie przywódź mnie pani do rozpaczy, bom nie zasłużył: szczególny zbieg okoliczności...

BASIA.

Wacpan zasłużyłeś na rozpacz...

PETRYŁŁO.

I nie trudno będzie o nią: rzeknij słowo jeszcze, a pójdę.

BASIA (*szydząc*).

Do księżnéj?

PETRYŁŁO.

Nie: do téj trzpiotnicy, nie.

BASIA.

Więc do drugiéj podobnéj?

PETRYŁŁO (*gniewnie*).

Otóż to kobiety! lada pozór, lada słowo: żadnéj wiary w człowieka...

http://rcin.org.pl

BASIA.

A wacpanowie, byle oczki nowe, byle nowa twarzyczka, choćby bielona, wnet o dawnym afekcie zapominacie...

PETRYŁŁO.

Nie, póki życia!

BASIA.

Przecież widziałam...

PETRYŁŁO.

A! to było! to było umyślnie tak.

BASIA.

Wierzę, że nie przypadkiem! Oczki się wacpanu śmiały!

PETRYŁŁO.

Komedya, cześnikowo!

BASIA.

I szeptałeś!

PETRYŁŁO.

Prawda, ale tak wypadało.

BASIA.

I za rękę ją wacpan ścisnąłeś.

PETRYŁŁO.

Nie! to ona mnie.

BASIA (*żywo*).

To jeszcze gorzéj!

PETRYŁŁO.

Alem mimoto nic nie winien!

BASIA.

Gdybyś wacpan nie był powodem, ręki nie podał, nie byłaby jéj ściskała: to zbrodnia!

PETRYŁŁO.

Prawda, winienem, ale rzecz ta wyklaruje się wkrótce, i okaże, żem czysty i niewinny, jak nowonarodzone niemowlę... To wszystko z powodu... Rotmistrza...

BASIA.

Co? Rotmistrz winien, żeś wacpan płochy? Słyszał kto podobne tłómaczenie?

PETRYŁŁO.

No, tak; wierz pani, nie wierz, a ja powiadam, że to jego robota, i bierz licho wszystko...

http://rcin.org.pl

BASIA.

Opamiętajże się wacpan: jak możesz zrzucać winę na brata mojego?

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Prawda! jak tu się wykręcić! O! gdyby nadszedł i wyrwał mnie z téj toni, bo daléj albo zdradzę go, albo ucieknę: języka nie utrzymam... Co począć!

BASIA.

Tłómaczże się choć wyraźniéj!

PETRYŁŁO (*kładzie palec na ustach*).

Nie mogę!

BASIA.

Rozumiem! winien jesteś i nie możesz się wytłómaczyć... Bądź wacpan zdrów! żegnam go! (*gniewna odchodzi*).

SCENA V.

PETRYŁŁO.—ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

A co?

PETRYŁŁO.

Niech cię pioruny... nie biją! Człowieku, coś ty mi narobił, a toć rozbrat wiekuisty z cześnikową... tak mnie przyjęła!

ROTMISTRZ.

Czegoż chcesz? powinieneś się cieszyć!

PETRYŁŁO.

Ale mnie wyłajała niemal, znienawidziła.

ROTMISTRZ.

Najlepszy znak. Mówią, że są kraje, w których żony wątpią o miłości mężowskiéj, skoro ci bić je przestają; toż samo ma się rozumieć o kochankach: póki ich łają, póty o nich dbają!

http://rcin.org.pl

PETRYŁŁO.

Wolałbym się obejść bez tego dowodu!

ROTMISTRZ.

Nie wygadałeś się przecie.

PETRYŁŁO.

Niewiele brakło, a jak jeszcze raz się z nią spotkam, bierz licho Sołoduchę... ciebie; ja kłamać nie będę dla zbawienia duszy; powiem, jak się rzecz ma.

ROTMISTRZ (*zimno*)

To i dobrze: pójdziesz z kwitkiem i basta.

SCENA VI.

CIŻ — WOJTEK.

ROTMISTRZ.

Co to chcesz, chłopcze?

WOJTEK.

Szukam JW. Rotmistrza Kaniowy.

ROTMISTRZ (*wpatrując się*).

A na co ci on? Oto go masz, stoi przed tobą; coć po nim?

WOJTEK.

Posłanym do niego...

ROTMISTRZ.

(Rozumiem) a od kogo?

WOJTEK.

Od wojewody.

ROTMISTRZ.

Ba! przypomniał sobie stary, że żyję... No? i cóż ma do mnie?

WOJTEK.

Toć ja tam nie wiem. Dla bardzo pilnéj sprawy, uniżenie was prosić przykazał, abyście do niego dziś jeszcze pośpieszyli.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Dziś jeszcze? a gdzież pismo?

WOJTEK.

Nie było czasu pisać, nie dali mi pisma; ino sam konia mi kazał dosiąść i śpieszyć ze słowem do was.

ROTMISTRZ *(potrząsa głową)*.

Ho! ho! jakto licho ukuto! posłaniec bez listu! od wojewody! nie pleć się, nie pleć... To dziw! prosił na dziś jeszcze!

WOJTEK *(zmieszany trochę)*.

Koniecznie...

ROTMISTRZ.

Rozumiem... Ej! chłopcze! daleko zajdziesz tak wcześnie poczynając: albo na wieżę, albo na szubienicę!

WOJTEK.

Cóżem ja winien, proszę pana, że mi pisma nie dali. A to sam wojewoda wyszedł i powiedział mi targając wąsa: „Pokłoń-że się Rotmistrzowi i powiedz ode mnie, (bo wiem, że do siostry przyjechał), niech choć zmęczony i nie rad przyleci tu do mnie, bo sprawa gardłowa!"

ROTMISTRZ.

Jużto ja wiem, że tam zawsze sprawa gardłowa, bo ci leją w gardło roztruchanami zieleniaku, że aż w karku trzeszczy; ale na ten raz... gardła nie dam, i dosyć będzie jutro wojewodę przywitać.

WOJTEK.

A! kiedyż tak pan prosił.

ROTMISTRZ.

To się wie, że prosił... Chłopcze! patrzno mi w oczy! *(przygląda mu się)* O frant!... tak! wiem pewnie, kto go posłał.

PETRYŁŁO.

A któż go miał posyłać; tu nie ma co zwlekać, ino na koń i do niego: może idzie o sejmik...

ROTMISTRZ.

Ale ba! ja to wiem, o co idzie, i kto go wyprawił!

PETRYŁŁO.

Ale któżby się ośmielił?

ROTMISTRZ *(cicho)*.

Cyt! będę wiedział co robić.

PETRYŁŁO.

Chyba się w łóżko położyć i zachorzéć; ale cię widział chłopiec.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ (*do Wojtka*).

Otóż siadaj na koń wasze, i od bramy czwałem leć nazad do wojewody.

WOJTEK.

A wy, przybędziecie?

ROTMISTRZ.

Ja, nie.

WOJTEK.

Jakto? a czemużby?

ROTMISTRZ.

Pierwsza rzecz, żem dziś z konia zlazł...

PETRYŁŁO.

Bój się Boga, co za racya dla konfederata!

ROTMISTRZ.

Powtóre powiész mu...

WOJTEK.

Ale mi nie uwierzą.

ROTMISTRZ.

E! to i na piśmie dam choć z pieczęcią...

WOJTEK.

Czekająż mnie plagi!

PETRYŁŁO.

Czemużbyś nie pojechał?

ROTMISTRZ.

Bo i nie chcę i nie mogę; słuchaj, chłopcze, druga jest racya...

PETRYŁŁO.

E! niezręcznie...

ROTMISTRZ.

Owszem, zobaczysz! Druga racya, że wojewoda wasz mężczyzna... a tu mamy księżnę, kobietę, około któréj także sprawa gardłowa; powiész więc, że najprzód odsłużę księżnie, a potém się wojewodzie wytłomaczę.

WOJTEK.

Ale mój pan dziś czeka.

ROTMISTRZ.

A jakby do jutra poczekał?

WOJTEK.

Markotno mu będzie.

ROTMISTRZ.

A jak mu będzie markotno?...

http://rcin.org.pl

WOJTEK.

To się będzie gniewał.

ROTMISTRZ.

A jak się pogniewa, to co? pal go kaduk! Kłaniajże się pięknie wojewodzie, moje dziecko.

WOJTEK (*stoi chwilę*).

Czy już reszta?

ROTMISTRZ.

Teraz bywaj zdrów, na prawo do drzwi, za klamkę... i ruszaj, słyszysz!...

WOJTEK.

Ależ...

ROTMISTRZ.

Nie ma ale, ordynans jest taki: raz, dwa, trzy... marsz...

(*Wojtek waha się—Rotmistrz robi krok do drzwi, chłopiec uchodzi*).

ROTMISTRZ (*do Petryłły*).

Nie frasuj się o wojewodę, nie od niego to był posłaniec; znam się na sztukach: a teraz chodźmy do bab.

PETRYŁŁO.

A! abym się tylko nie wygadał!

ROTMISTRZ.

Rób jak lepiéj, ale przestrzegam, że jak popsujesz sprawę, ja jéj łatać nie myślę...

(*Wychodzą, we drzwiach od ogrodu spotykają p. Jacka, który wchodzi zamyślony i mija ich, bardzo się im nizko kłaniając*).

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

JACEK (*sam*).

A! gdyby się tylko pozbyć Rotmistrza... Petryłłę sam potrafię wyprawić; wszyscy oni do niéj! wszyscy do niéj jak na lep! Gotowi mi popsuć u niéj, bo Rotmistrz i pokaźniejszy (choć to nic nie dowodzi) i gębę ma, i śmielszy. Wolę być sam... Wojtek się już sprawić musiał.

SCENA VIII.

JACEK—WOJTEK *wygląda przeze drzwi.*

JACEK.

Chodź! chodź! a co, sprawiłeś mi się?

WOJTEK.

Sprawiłem się.

JACEK.

A jak?

WOJTEK.

Powiedziałem, co przykazano.

JACEK.

A on?

http://rcin.org.pl

WOJTEK.

Słuchał.

JACEK.

I cóż?

WOJTEK.

A wysłuchawszy i pokiwawszy głową, powiedział mi: pokłoń się wojewodzie i daj mu moje racye, dla których dziś przybyć nie mogę.

JACEK (*żywo*).

Jakie racye?

WOJTEK.

Powiada wprzód, że go kulbaka natarła... i że starsza tam księżna jakaś od wojewody... i dodał jeszcze: pal go dyabli!

JACEK.

Jakto? temi słowy?

WOJTEK.

Jeśli nie gorszemi jeszcze.

JACEK.

Idźże mi precz, trutniu! Ślicznie się sprawił!

WOJTEK.

A cóż? zrobiliśmy, on swoje a ja swoje. A na piwo?

JACEK.

Będziesz ty widział na piwo!

WOJTEK.

A nu! to pójdę do Rotmistrza; jak chcecie...

JACEK (*przestraszony*).

Naści orta; idź do kąta, i nie pokazuj oczów.

(*Wojtek popatrzywszy na orta, odchodzi*).

A to przeklęty konfederat! co tu z nim począć: nie dał się i wojewodzie! Trzeba go do panny Marty jak odpędzić, lub spoić, lub sam już nie wiem; doprawdy, głowę tracę, a księżnéj mi szkoda. Wyraźnie ma się do mnie; żelazo bić trzeba, póki gorące! (*spostrzega Rotmistrza*) Otóż go już tu licho niesie; dobrze jeszcze, że Wojtek sobie poszedł.

http://rcin.org.pl

SCENA IX.

P. JACEK—ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ.

A ja szukam wacpana, panie Pisarzewiczu!

JACEK (*słodko*).

Jakto się złożyło, bo ja właśnie kochanego Rotmistrza chciałem znaléźć.

ROTMISTRZ.

A co Bóg dał?

JACEK.

Ważna sprawa (*jąka się*).

ROTMISTRZ.

Mówże prędko, bo i ja ci mam nie mniéj ważną rzecz powiedzieć.

JACEK.

Więc czekam.

ROTMISTRZ.

Ja także.

JACEK.

Ja nie poczną pierwszy.

ROTMISTRZ.

I ja też.

JACEK.

Nie mogę: wprzód wacpan.

ROTMISTRZ.

No, dobrze, nie będę cię męczył długo, ani się przybierał jak czajka za morze; ot co jest, rzecz niezawodna, że księżnie w oko wpadłeś.

JACEK.

Ja! ale gdzież zaś! imaginacya!

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Powtórnie ci to oznajmuję, byś wiedział co czynić. I ja i Petryłło i wszyscy a wszyscy to postrzegamy, nawet cześnikowa. Ino wacpan wyjdziesz, jakby ją kto mrozem okrył, siedzi i wzdycha, ogląda się, pyta, a wacpana oczyma ściga.

JACEK.

Nie może to być! gdzieżbym ja chudy pachołek... (*po chwili*) I istotnie obserwowano?

ROTMISTRZ.

Wszyscy co do nogi, to nie żarty.

JACEK.

Na Boga! jam temu nie winien, panie Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

Alboż kto wacpana winuje? Ja ci winszuję tylko z całego serca, *ex plenitudine cordis:* przecież to księżna Bam-ber-link i milionowa pani. A nuż jéj przyjdzie fantazya pójść za waszeci Pisarzowiczowiczu. Co powiész? wacpan słyszę nie chciałeś się żenić, a tu zmuszą!

JACEK (*zmieszany*).

Jakto? mogą nawet zmusić?

ROTMISTRZ (*seryo*).

Mogą: w przeszłym roku tak było, że hrabina saska, jakże się téż zwała... a! Pludermantel (bo to u nich jedne od drugich dziwniejsze nazwiska), upodobała sobie szlachcica polskiego, który miał żonę i drobnych sześcioro dziatek; powieźli go pocztą do Saksonii, zasadzili na chleb i wodę i póty trzymali, aż się wyrzekł i żony i dzieci, i przystawszy na ich wiarę, ożenił się nieboraczek.

JACEK.

Straszne rzeczy! Ale to wypadek jedyny.

ROTMISTRZ.

Nie jedyny: nabrali stąd, szczególniéj Litwinów, do Saksonii mnóstwo; teraz tam, słyszę, boćwinę sadzą.

JACEK.

Wacpan żartujesz.

ROTMISTRZ (*ciągle seryo*).

Wcale nie: przecież ja i Petryłło mamy oczy... Że się będziesz musiał żenić, przewiduję; a uczyniłeś, słyszę, ślub bezżenności?

JACEK (*skłopotany*).

Prawdę rzekłszy, jeszcze go nie uczyniłem: miałem go zrobić, ale szczęściem, nie jestem wcale związany, bo znając słabość natury ludzkiéj...

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

To szczęście: unikniesz wacpan krzywoprzysięstwa.

JACEK.

Ale jeśli mogę się ośmielić uczynić uwagę, cóż tu radzić?

ROTMISTRZ.

Niéma rady; jeśli się uprze, trzeba się poddać losowi. Zresztą, nie takie to wielkie dla wacpana złe. Mówią niektórzy wprawdzie, że te Saksonki, wedle obyczaju miejscowego, starych mężów późniéj przy wrotach na łańcuchach trzymają, ale to są wierutne bajki!

JACEK (*śmiejąc się*).

E! to są bajki!

ROTMISTRZ (*śmiejąc się także*).

I ja tak mówię.

JACEK.

Ale i to bajka, co wacpan mi prawisz, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

A ba! wcale nie! Ja jestem praktykant w tych sprawach: można mi wierzyć. Jest temu lat pięć, raz na odpuście w Gorzejowéj zobaczyłem parę ludzi, którzy się tam pierwszy raz spotkali, i założyłem się zaraz o sforę ogarów, że się będą kochali i pobiorą: cóż powiész?

JACEK (*z zajęciem*).

Wygrałeś wacpan?

ROTMISTRZ.

Tak dalece, że w rok nietylko się kochali, nietylko się pobrali, ale oboje z tego kochania pomarli, bo nic nie jedząc, ciągle sobie w oczy patrzyli... i tak niebożątka pozdychali... A sfora ogarów (czego odżałować nie mogę) także zdechła.

JACEK.

Wielka szkoda!

ROTMISTRZ.

Patrz tylko wacpan, by i z wami tego nie było, bo księżna strasznie na wacpana patrzy, jakby oczyma zjeść chciała.

JACEK.

E! to być nie może! Jak człek mizerny...

ROTMISTRZ.

Różne się rzeczy po świecie trafiają. Niezmiernie mi tylko żal siostry, że straci tak zabiegłego gospodarza.

http://rcin.org.pl

JACEK (*pokornie*).

To prawda; wedle sił starałem się służyć wiernie i gorliwie.

ROTMISTRZ.

Ale kiedy ci się los trafia, trudno znowu, żebyśmy cię przez przyjaźń takiego szczęścia pozbawić mieli. A co tam mówić mi miałeś?

JACEK.

E! to się da odłożyć...

ROTMISTRZ.

Sprawa gardłowa?

JACEK.

Nic ważnego, nic ważnego.

ROTMISTRZ.

Jak chcesz; ale co się tyczy księżnéj, nie zwlekaj.

JACEK.

Jakto, radzicie mi?

ROTMISTRZ.

Radzę śpieszyć: baba czeka tylko okazyi, aby ci się wyswatać. Wacpan jéj wyraźnie z powodu jakiegoś podobieństwa w oko wpadłeś: kuj żelazo, póki gorące. Zdybawszy się z jejmością, padnij do nóg, oświadcz afekt, czy go masz czy nie masz (to przyjdzie z czasem), a nie, to waszeci Petryłło uprzedzi. Jéj zaś, jak się okazuje, pilno potrzeba męża.

JACEK.

Nie potrafię się ośmielić...

ROTMISTRZ.

Petryłło obcesowy: potrzeba zebrać odwagę. Wstydź się znów tchórzyć przed kobietą!

JACEK.

Tchórzem nie jestem, tylko... tylko ostrożny.

ROTMISTRZ.

I przesadzisz tą ostrożnością: bo cóż? gdyby nawet (co nigdy być nie powinno) księżna nie mogła się tak prędko zdecydować, lub nie chciała, dla wstydu kobiecego: korona ci z głowy nie spadnie, bo jéj nie masz.

JACEK.

Nie chciałoby się pójść z kwitkiem.

ROTMISTRZ.

I nie pójdziesz! Są afekta tak gwałtowne, wierzaj mi: na koniach i na miłości znam się tak, że nie potrzebuję patrzeć w zęby.

http://rcin.org.pl

JACEK.

Jednakże przypuścić trudno, abym ja, mizerota, miał mieć szczęście: trudno, bardzo trudno!

ROTMISTRZ.

Ale się to trafia. Byłem raz świadkiem na Pokuciu (prawda, że w mięsopust): z poniedziałku na wtorek poznał się jeden mój przyjaciel z wdową, i przed popielcem ślub wzięli: wszystkiego dwadzieścia cztery godziny konkurował.

JACEK.

Możeż to być?

ROTMISTRZ.

Ale to był człek wielkiego animuszu, bo w półtory godziny w alkierzu jéj padł do nóg zaraz, i pożyczanym pierścieniem się zaręczył, swojego nie mając.

JACEK.

Historye mi wacpan opowiadasz, kochany Rotmistrzu!

ROTMISTRZ.

I powtarzam raz jeszcze: nie ociągaj się, nie zwlekaj, czasu do rozmysłów nie dawaj; bo że teraz dla waszmości jest skłonną, wątpliwości niéma najmniejszéj.

JACEK.

Cóżby to być mogło?!

ROTMISTRZ.

Wszyscy to widzą i cały dom o tém gada.

JACEK (*składa ręce*).

Nie do wiary!

ROTMISTRZ.

Tylko żeś wacpan nieśmiały, powolny, ociągający się; bo gdyby tak na mnie, ho! ho!

JACEK.

Trochę jestem ostrożny: to cnota.

ROTMISTRZ.

Jeśli nie wada i kalectwo: wiara w siebie to połowa szczęścia. Zważaj wacpan tylko, jak ci się księżna nawinie, a zostaniecie sam-na-sam, buch jéj do nóg, i śmiało, nie pytając, oświadcz się.

JACEK.

Jakże ja to potrafię? To sęk!

ROTMISTRZ.

Jeszczebym ci dał jednę radę: masz stary miód?

http://rcin.org.pl

JACEK.

Jest w piwnicy.

ROTMISTRZ.

Każ przynieść butelkę wytrawnego, zapleśniałą, wypijemy po szklance, zaraz ci się w oczach rozjaśni i doda otuchy sercu: pójdą oświadczyny jak... po miodzie.

(*Odchodzi*).

SCENA X.

P. JACEK (*sam*).

Albo dobra rada, albo licha zdrada: co tu myśléć? co poczynać? Dlaczego mu tak na sercu leży, żebym się ja tak prędko oświadczał? Czy nie chce się on mnie pozbyć? Skąd jemu ta pewność, żem się księżnie podobał? A jeśli tam figę otrzymam, a tu stracę, co już tak jak w garści miałem? Mogą mnie wywieść w pole, bardzo mogą. Co tu począć? choć na węzełki ciągnąć?— nie wiem.

SCENA XI.

P. JACEK — GRZEŚ.

JACEK.

Miód nigdy nie wadzi. Słuchaj-no, Grzesiu, przynieś tam starego miodu butelczynę: tę co to z kąta...

http://rcin.org.pl

GRZEŚ.

Z kąta? E! sasafras! cóżto będziemy obchodzić: wesele czy zaręczyny? To miód jeszcze kasztelański!

JACEK.

A kto to wié? cha! cha!

GRZEŚ.

Dziwne dziwy! Wczoraj siedzieliśmy jak w klasztorze na rekolekcyach, a dziś istny mięsopust.

JACEK (*po chwili, słodko*).

Tyś człowiek nie głupi.

GRZEŚ.

Mówią różnie; czasem mi brak piątéj klepki.

JACEK.

Powiedz mi, czy to może być, żeby się mężczyzna kobiecie raptownie podobał?

GRZEŚ.

To, panie, jak do kobiety i jak do mężczyzny, sasafras! Są takie, co jak słoma goreją, a są, co jak wilgotne drzewo próżnoby podpalać.

JACEK.

No, ale gdyby tak naprzykład mężczyzna niepozorny, ale skromny?

GRZEŚ.

Hm! niby jak pan? a cóż?

JACEK.

Niby jak ja.

GRZEŚ.

Gusta są różne. Z wacpana niczego człowiek, jak się umyjesz i ogolisz: chudy, ale krzepki; blady, ale zdrów; jak na męża zresztą, pokorny i cichy: to niezgorzéj.

JACEK.

I nie byłoby nic niedorzecznego, gdybym się podobał?

GRZEŚ.

Jamby się nie dziwił, sasafras!...

JACEK.

Ale to nie o mnie rzecz idzie. Pójdź-no po miód.

GRZEŚ.

Idę. (*Odchodzi*).

http://rcin.org.pl

SCENA XII.

JACEK — *później* RÓZIA.

JACEK (*chodzi zamyślony*).

Ktoby to był powiedział, gdym z Oszmiany kałamaszeczką wyjeżdżał, że aż do Saksonii zajadę karetą?

(*Rózia wchodzi*).

Ot, dobrzeby się i jéj spytać: nigdy człek na ostrożności nie straci. Hm! hm! Dzień dobry wacpannie! pogoda piękna! (Jak tu przyjść do rzeczy)? Jak się też wacpannie zdaje, gdyby taki człowiek jak ja, zupełnie do mnie podobny (ale nie ja) chciał się przypadkiem żenić, czyby mógł serce niewiasty pozyskać?

RÓZIA (*śmiejąc się*).

A czemuż nie?

JACEK.

Nie jestem zbyt stary?

RÓZIA.

Wacpan stary?! gdzie zaś, w sile wieku!

JACEK.

I nie bardzo źle wyglądam?

RÓZIA.

Wacpan jesteś bardzo poważnie przystojny.

JACEK (*na stronie*).

Wcale rozsądna dziewczyna.

RÓZIA (*na stronie*).

Ani chybi, zwaryował! Już mu księżna musiała napędzić tych wątpliwości.

http://rcin.org.pl

JACEK (*na stronie*).

Wszystkich się radzę, a siebie nie: to głupstwo.., odwagi braknie; trzeba to raz skończyć! O Rotmistrza już jestem spokojny, że mi nie przeszkodzi; Petryłłę tylko inaczéj skierować muszę, aby mi nie zawadzał. Otóż i on! Gdyby Rózia odeszła: idzie, chwała Bogu!

(*Rózia odchodzi powoli, szydersko przypatrując się p. Jackowi*)).

SCENA XIII.

P. JACEK — PETRYŁŁO.

JACEK.

Dobry wieczór kochanemu panu!

PETRYŁŁO (*smutny i zadumany*).

A! dobry wieczór! jak komu!

JACEK.

Wacpan coś wzdychasz i sumujesz?

PETRYŁŁO.

At! różne myśli przychodzą.

JACEK.

Widać złe myśli.

PETRYŁŁO (*macha ręką*).

Człek całe życie głupi, a gdy chce na rozum wziąć, jeszcze się gorzéj popisze: ot, jak dziś!

JACEK.

Pewnie ta księżna jejmość tych rozmysłów przyczyną?

PETRYŁŁO.

Potrosze.

http://rcin.org.pl

JACEK.

Bo to wacpanowie wszyscy, byle twarzyczka gładka... a po panu tom się tego nigdy nie spodziewał: wszakci to dawny afekt go do Cześnikowéj przywiązywał?

PETRYŁŁO (*gniewny*).

Tak, tak, gadaj zdrów! Wiązał, wiązał, pókiś wacpan nie porozwiązywał!

JACEK.

Kto? ja?

PETRYŁŁO.

A któż? Kto im wmówił, żeby za mąż nie szły? kto je jarzmem straszył? kto tego piwa nawarzył? Byłbym dawno miał Basię, żeby nie wacpan.

JACEK (*łamiąc ręce*)

Miły Boże! cóż ja tu mizerne stworzenie zawiniłem? co ja tu znaczę? A jeśli ośmieliłem się uczynić uwagę...

PETRYŁŁO (*trzęsie głową*).

Jakiś ty mi dziś dobry i pokorny! niby to ja oczu i uszów pozbyłem? Byłażby Marta Rotmistrzowi, a ona mnie odmówiła, gdyby nie twoje frymarki pokątne?

JACEK (*na stronie*).

Ten i bez miodu się rozgadał! (*głośno*) Panie a dobrodzieju! za cóż do mnie żale o płochy umysł kobiecy? Ja, kochany panie, uniżony wasz zawsze i pokorny służeczka, przyjaciel wierny, czyżbym mógł i śmiał szkodzić?

PETRYŁŁO.

Wszystko to wacpana sztuczki.

JACEK.

Moje?

PETRYŁŁO (*grożąc*).

Ale za te sztuczki będziesz ty miał teraz sztukę!

JACEK (*na stronie*).

O! o! ten mi się tu wygada. Słuchajmy: wypaple się dobra dusza.

PETRYŁŁO.

Tylko że ja i na tém nic nie zyskam! Rotmistrz mi cale głupio poradził: darmom się do téj malowanéj księżnéj naumizgał, a Basia swoje; jeszczem popsuł sprawę: gadać do siebie nie daje. A no! kiedy tak, bierz dyabli te komedye! to mi wszystko jedno!

http://rcin.org.pl

JACEK.

Sztuki? komedye? O czém to pan dobrodziéj mówić raczysz? nie mogę jasno pojąć.

PETRYŁŁO.

Ja teraz tu jasno wszystko pojmuję, ale widzę, że mojéj pieczeni przy tym ogniu nie upiekę. Pal ich dyabli z komedyą!

JACEK (*z porozumieniem*).

Zarazem się domyślił, że to jest jakaś komedya!

PETRYŁŁO.

Ho! ho! nosa masz dobrego, doprawdy!

JACEK (*śmieje się sucho*).

Tylkom umyślnie udawał, że nic nie widzę.

PETRYŁŁO.

Byłem tego pewny! Bo ktoby nie poznał, że to prosta szlachcianka: taka ona księżna, jak ja kapucyn!

JACEK.

Otóż jest! Wistocie poznałem natychmiast, że to fałszywa księżna.

PETRYŁŁO.

A jednak cię przyłapali, ha!

JACEK.

Mnie? to ja ich przyłapałem! cha! cha! Dałem jéj z siebie drwić umyślnie, ale zobaczymy, jak się to skończy!

PETRYŁŁO.

Zabawnie.

JACEK (*śmieje się*).

Bardzo zabawnie... dla kogoś! (*na stronie.*) Czekajcie! wszystko wiem: o mało nie zrobiłem głupstwa! Niechże Bóg da zdrowie papli! (*głośno.*) Takto zawsze, mości dobrodzieju, na sztuczkach i udawaniu nic się nie zyskuje: trzeba iść prostą drogą. Gdy Cześnikowa domyśli się lub dowié, nigdy tego nie daruje wacpanom.

PETRYŁŁO.

Mnie? Ja ręce umywam i jadę do domu!

JACEK (*kłania się*).

Nie śmiem wstrzymywać.

PETRYŁŁO.

Czuprynę tylko natrę Rotmistrzowi, i nie chcę więcéj wiedzieć o tém.

http://rcin.org.pl

JACEK.

Bardzo sprawiedliwie!

(*Petryłło odchodzi powoli*).

Oddycham! stałem nad jamą: byłbym na łeb padł! Błogosławieni to ludzie tacy, jak ten szlachcic, niewinni i prostego serca: ściśniesz ich trochę, poleje się, jak z gąbki, co w środku siedzi. Bodajto z takiemi mieć do czynienia! Chwała Bogu, że moja Cześnikowa nadchodzi.

SCENA XIV.

JACEK — BASIA *smutna*.

JACEK.

Mogę mieć chwileczkę rozmowy?

BASIA.

Nie bardzom w humorze; ale jeśli pilno...

JACEK.

Dosyć nagląca sprawa, zwłaszcza że tu o dom pani Cześnikowéj idzie.

BASIA.

O mnie? o dom mój?

JACEK (*poważnie*).

Dotąd cierpliwie znosiłem to, co się działo; nareszcie przyszła pora, że czas uniżonemu słudze uczynić uwagę. Przypomnij sobie, pani, dziś rano moje rady i przestrogi, niepokój z powodu przybycia Rotmistrza i téj księżnéj: nie było to daremném. Wiele-m przeczuwał, domyślał się, a gdy mam pewność, żem się nie mylił, czas odkryć wszystko...

BASIA.

Przerażasz mnie! cóż się stało?

http://rcin.org.pl

JACEK (*z uczuciem*).

Wszystkiego Rotmistrz nawarzył... Czarna niewdzięczność: oto życia płochego owoce!

BASIA (*z żywym niespokojem*).

Ależ cóż to jest? co to jest?

JACEK.

Zaraz się pani dowiész o wszystkiém. Przybył kochany Rotmistrz i zastał tu świętobliwy pokój: nie w smak mu poszło, postanowił go zamącić, aby rybkę w mętach ułowić. Nie podobało się, żeś pani odprawiła Petryłłę, bo nie miał z kim polować; że za jéj przykładem poszła p. Marta, którą postanowił uwieść.

BASIA (*łamiąc ręce*).

Uwieść!

JACEK (*poprawując się*).

Uwieść... to jest ożenić się. Nie podobało się i to, że ja wierny służka mam ucho i wiarę u dobrodziejki mojéj: więc zaraz wszystko do góry nogami.

BASIA.

Mój Boże! przestraszam się: co wacpan mówisz?

JACEK.

Po żołniersku tedy kochany Rotmistrz począł. Postanowiono mnie słabego przywieść na pokuszenie, i zrobić pośmiewisko z bogobojnego człowieka: udano jakąś awanturnicę za księżnę.

BASIA.

Więc to nie jest księżna?

JACEK.

Ona księżna! To jakaś pani duszka, przyjaciółka Rotmistrza jeszcze z obozu pod Lwowem, która tu za nim przyciągnęła; a pani ją przyjmujesz i honorujesz.

BASIA.

Ale to okropnie!

JACEK.

I Petryłło o wszystkiém wiedział...

BASIA.

A! on! on winien najwięcéj: ja-m mu wierzyła!

JACEK.

On jeszcze, jak on: słabizna, Cześnikowo dobrodziejko, chyba grzeszny, że nadto był Rotmistrzowi posłusznym. Rachowali, że mnie omamią, obałamucą: umyślniem im dał się rozgościć i począć,

http://rcin.org.pl

dozwoliłem wywieść się w pole; ale gdy rzeczy dojrzały, czas objawić prawdę.

BASIA.

A jeśli tak jest, nie chcę ich widzieć nawet!

JACEK.

Tak jest! Spytaj pani Rotmistrza: przyzna się.

BASIA.

Nigdy mu tego nie daruję.

(*Wychodzi żywo*).

JACEK.

Ot tom im piwa nawarzył! (*zaciera ręce.*) Niechże teraz z Pisarzowicza żartują! Na zdrowie waszeciom!

(*Uśmiecha się*).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

http://rcin.org.pl

AKT V.

Teatr przedstawia ten sam pokój co w akcie poprzedzającym. Butelka miodu na stoliku.

SCENA I.

ROTMISTRZ *siedzi—wpada* GRZEŚ.

GRZEŚ.

Nieszczęście! teraz tośmy już z kretesem wszyscy przepadli na wieki! Pan Jacek weźmie nas, sasafras, w niewolę babilońską.

ROTMISTRZ.

Co ci takiego? mucha jaka ukąsiła?

GRZEŚ.

Wszystko się wydało! byłem świadkiem téj okropności; Petryłło, którego nasza pani srodze traktowała za to, że do księżnéj jakoś zanadto przysiadał, z rozpaczy wielkiéj, poszedł i całą historyę o księżnie podrobionéj wyśpiewał panu Jackowi. Ten, jak tylko zwąchał, że to łapka na niego, do pani; a Cześnikowa, jak się dowiedziała o robocie, i na pana i na nas: w gniewie pobiegła wszystkich rozpędzić!

ROTMISTRZ (*porywa się*).

A! do kaduka! Grześ leć za Cześnikową w trop, powiedz, że ja tu jestem: zaklinaj, aby naprzód zobaczyła się ze mną. Jeżeli

http://rcin.org.pl

możesz pod jakim pozorem, choćby dla miodu, przypędź tu i Sołoduchę, a dawaj co prędzéj, nim się co złego stanie: ja jeszcze wszystkiemu zaradzę.

GRZEŚ.

Co to już reperować! Garnek łatany nic wart, zawsze ciecze; już tu i pańska głowa nie da rady! A! ten Petryłło! ten Petryłło!

ROTMISTRZ.

Petryłło człek zacny, tylko go nie stworzono do takiéj roboty. Ale ba! nie takieśmy to w życiu przechodzili konjunktury! Ruszaj!

(Grześ wybiega).

SCENA II.

ROTMISTRZ *sam.*

No! teraz gra ostateczna: albo on mnie stąd wyforuje na wieki, albo ja go odkryję trutnia, jakim jest, i każę mu kałamaszkę zaprzęgać. (*Patrzy w okno.*) No! szczęściem Grześ panią Cześnikowę zawrócił i poprowadził do jéj pokoju; ona tam na mnie zaczeka. Teraz gdyby mi tylko aniołowie stróże przynieśli tu Sołoduchę, nie puszczę go, aż mi musi solenne głupstwo zmalować! (*patrzy na miód.*) Ot jest sprzymierzeniec! ale jedna butelka mało! głowę mieć musi tęgą bestya. Tylko, że i dębniak minę ma starą; czasem i lampeczka takiego wygodzi tak, że nie wstaniesz. Dobrze wygląda butelka! E! to jeszcze miodek kasztelański dziada pana Cześnika, dosyć będzie jednéj! Byle mi go tu napędzili w sieć. A no! dobra nasza!

---

http://rcin.org.pl

SCENA III.

JACEK *wsuwa się powoli* — ROTMISTRZ *bieży przeciwko niemu z otwartemi rękoma.*

ROTMISRTZ.

A! a! kochanego Pisarzewicza! czekam na ciebie z miodkiem; sam nie śmiałem zaczynać, bo incognito pić nie lubię: we dwóch, to mi dopiéro rozkosz! Już we trzech nie tak.

JACEK (*pokornie z ukłonem*).

Dziękuję: ja nie piję.

ROTMISTRZ.

Cóż znowu? przypominasz sobie przecie, na com ci to lekarstwo ordynował. Na ten raz choć nie pijasz, wierzaj mi nie zawadzi.

JACEK.

Ani teraz, ani nigdy; rozmyśliłem się lepiéj, niepotrzebne to dla mnie rzeczy: dam pokój.

ROTMISTRZ.

Jakto? kwitujesz z księżnéj?

JACEK (*śmieje się*).

Wstydź się wacpan, mnie starego wróbla chciałeś złapać na plewy.

ROTMISTRZ (*udając zadumienie*).

Ja? wacpana? na plewy? Co to u licha! tłómaczże mi się?

JACEK.

No! no! dość powiedzieć, że Petryłło wszystko wyśpiewał przede mną!

ROTMISTRZ (*tak samo*).

Ale cóż takiego? co?

JACEK.

Co? żartuj zdrów, kochany Rotmistrzu; wiem, co to za gatunek księżnéj, i pocoście wy ją tu przywieźli, jestem zupełnie uwiadomiony: darmo udawać, rzecz skończona.

ROTMISTRZ (*rusza ramionami*).

Jestem jak tabaka w rogu, nie rozumiem.

http://rcin.org.pl

JACEK.

Ślicznie to pan udajesz wszystko, ale darmo, bo ja się złapać nie dam.

ROTMISTRZ.

Co udaję? co darmo? kogo łapać? pleciesz, jak Piekarski na mękach! tłómacz się jaśniéj; ja nie wiem, o co chodzi. Bestya Petryłło, jakiego on tu piwa nawarzył!

JACEK (*zdziwiony*).

Kochany Rotmistrz jeszcze nie rozumié?

ROTMISTRZ.

Nic a nic, ale mówno mi obszerniéj; jeżeli co jest, to się i do śmiertelnego grzechu przyznam. Co prawda to prawda! (*po chwili.*) A teraz gdybyśmy sobie usta zwilżyli?

JACEK.

Dziękuję.

ROTMISTRZ (*nalewa szklanki*).

Powąchaj tylko, jak to pachnie! ambrozya!

JACEK (*wąchając miodu*).

Stary! stary!

ROTMISTRZ.

To jeszcze kasztelański.

JACEK (*kosztuje*).

Kropelkę.

ROTMISTRR.

Kroplę, kochany panie Jacku; a! widzę, że na mnie jakąś potwarz rzucono! Ty nie wiesz, jak ja cię cenię i kocham. (*ściska go gwałtem.*) Dobry miód, przedni! Ale gadaj-no, co ci tam ten Petryłło napaplał!

JACEK (*popijając*).

Kochany Rotmistrzu, darmo gadać, ja wiem wszystko.

ROTMISTRZ.

A no dobrze, więc mi powiédz wszystko, bo ja nie wiem dotąd nic.

JACEK.

E! e! filut z waszmości, wszakcito jakaś przyjaciółka jego podjęła się udawać księżnę, ażeby mnie nieboraka śmiechem okryć i w oczach mojéj dobrodziejki zgubić. No? a cóż? nie wiem?

ROTMISTRZ (*sucho*).

To ty wiész więcéj ode mnię, jak widzę. A to ci Petryłło ta-

http://rcin.org.pl

kich rzeczy nagadał! Doskonale! cha! cha! Napijmyno się jeszcze (*nalewa*).

JACEK (*pije*).

Kropelkę.

ROTMISTRZ.

Tak! kroplę! Doskonale Petryłło zinwentował, nigdybym się tego po nim nie spodziewał.

JACEK.

Jakto zinwentował?

ROTMISTRZ.

No! no! wierz, kiedy chcesz! Ale ci sprytnie dał połknąć pigułkę!

JACEK.

Jakto? onby zmyślił? to nie może być. Bardzo dobry miód.

ROTMISTRZ.

Doskonały i wytrawny.

JACEK.

Ale powiedzże-no, Rotmistrzu? jak? jak?

ROTMISTRZ.

Już dosyć! uwierzyłeś, niech sobie Petryłło ją bierze i kwita: to mi wszystko jedno (*nalewa*). Dobry miodek.

JACEK (*nastawia szklankę*).

Kropelkę; kto ma brać? kogo? kochany Rotmistrzu, gdybyś raczył mnie objaśnić!

ROTMISTRZ.

Albożeś ślepy czy co, że jemu chodzi o księżnę i o jéj miliony... tak się bestya zapalił!... ale to tak się zapalił! (*wzdycha i pije.*) A! takato dola nasza na tym padole płaczu. Kiedyś czyim przyjacielem szczerym, płacą ci niewiarą; kiedy komu dobrze życzysz i radzisz, woli pójść manowcami, aby swoim nosem...

JACEK.

Gadaj zdrów, mnie już nie złapiecie.

ROTMISTRZ.

My nie, ale ten cię gracko złapał.

JACEK.

At! gadanie! do czego to podobne... Dobry miód!

ROTMISTRZ.

Wcale dobry miód. Teraz już nic nie pomoże (*piją*). Miałem i mam dla waści, panie Jacku, prawdziwy szacunek, chciałem mu szczerze pomódz, przyznaję się, we własnym trochę interesie. Oże-

http://rcin.org.pl

niwszy się z nią, byłbyś mnie zaprotegował u króla; Petryłło mazgaj nie potrafi, choć ma dobre serce. No! ale teraz darmo o tém gadać!

JACEK.

Dajcież już pokój, aż się kurzy za wami!

ROTMISTRZ.

Z czupryny? jeszcze nie! A! a! Pisarzewiczowiczu kochany, klnę się na nieboszczkę żonę moję.

JACEK (*siada i ociera pot z czoła*).

Historye! historye!

ROTMISTRZ (*udając smutnego*).

Wszystko przepadło! o! filut Petryłło! Czyż wacpan tego nie rozumiesz, że on chcąc księżnę pochwycić sam, a bojąc się jéj inklinacyi widocznéj dla wacpana, bajkę tę na odstręczenie uplótł? Teraz wacpan na stronie, on górą poszedł i dociera, a że dobije targu, bardzo być może! Wszelako wolałbym, żebyś to był wacpan.

JACEK (*uśmiechając się*).

E! zaś?

ROTMISTRZ.

Trzeba ślepego, żeby tego nie widział!

JACEK (*do siebie*).

Czy kpi, czy drogi pyta?

ROTMISTRZ.

Biedny panie Jacku, tobie na wieki wieków zostać na łaskawym chlebie; sprytny, sprytny, a z tego wielkiego strachu, żeby głupstwa nie zrobić, popełniasz największe. Otóż puściłeś wróbla z garści: teraz go nie złapać.

JACEK.

Gdzież to w głowie Petrylle?

ROTMISTRZ (*kiwa głową*).

Wy jego nie znacie.

JACEK (*pijąc*).

Prosty człek.

ROTMISTRZ.

Na oko prosty, serdeczny, dobry, ale frant! Wygląda, jakby trzech zliczyć nie umiał, a łońskiego roku na jarmarku (taki ma dar szczególny wmawiania), wyperswadował zdrowiusieńkiemu szlachcicowi, że kuleje; tak, że poszedł na kuracyę do cyrulika: co

http://rcin.org.pl

chce, wmówi w człowieka; trzech Węgrów z kramikami namówił na to, że wstąpili do bernardynów.

JACEK.

Miód dobry!

ROTMISTRZ.

Dobry! ale trzeba go dopić, bo zwietrzeje.

JACEK (*sentencyonalnie*).

Zwietrzały wiele traci.

ROTMISTRZ.

Ani go poznać! Szkodaż mi wacpana.

JACEK.

A ba! niegodziwie chcieliście zadrwić ze mnie.

ROTMISTRZ (*rusza ramionami*).

Wbił sobie w głowę, niéma sposobu! A! a! gdybyś był umiał chodzić koło tego, a księżnę pozyskał sobie, do czegobyś wacpan nie doszedł, a ja przez wacpana! Szkoda!

JACEK.

Jaka to księżna, kiedy to licho wié, co za jedna!

ROTMISTRZ (*pijąc i dolewając Jackowi*).

Zmiłuj się, już nie mówię nosa, ale chyba oczów nie masz.

JACEK.

O! o! są i niezgorsze!

ROTMISTRZ.

Patrzże niemi: chód, twarz, postawa, mina, wszystko książęce, a też klejnoty i bogactwa niezmierne, które ma na sobie! Nie tak to łatwo udać: toż sam brylant, który ma w spince, wart trzech wsi.

JACEK.

Wistocie brylant piękny: nie uważałem na to.

ROTMISTRZ.

Blizko jak gołębie jajo, a drugi taki u pasa; a manele, a łańcuchy? Toć przynajmniéj powinnoby wacpana opamiętać, że kiedy klejnoty ma takie, fałszywą księżną być nie może; skądby ich nabrała? Zresztą popytaj ludzi; śledź, badaj: przekonasz się.

JACEK.

I to prawda, potrzeba było spytać ludzi.

ROTMISTRZ.

O to najłatwiéj: napijmy się tylko jeszcze (*piją*).

http://rcin.org.pl

JACEK.

W głowie mi robić zaczyna.

ROTMISTRZ.

To tylko dopóty, póki nie pójdzie do żołądka; ja się znam ze starym miodem, u Lubomirskiego wypiłem całą piwnicę; miód ma to do siebie, że *proprio pondere* do nóg zawsze idzie.

JACEK.

Jest poniekąd racya.

ROTMISTRZ (*woła głośno*).

Hej! Grześ! sam tu!

SCENA IV.

CIŻ—GRZEŚ *z lewéj strony nadbiega.*

ROTMISTRZ.

Wołaj mi tu jednego ze sług księżnéj.

GRZEŚ.

Natychmiast: a jakiego? wielkiego czy małego?

ROTMISTRZ (*do pana Jacka*).

Którego wolisz?

JACEK.

Mały! mały zawsze sprytniejszy: prędzéj skłamie; jak pytać to lepiéj głupiego, od niego się więcéj dowiesz.

(*Grześ wychodzi*).

ROTMISTRZ.

Prawidło pełne głębokiéj polityki; dawaj nam tu dużego, jaki jest największy. Co z wacpana za statysta!

JACEK (*z pokorą*).

At! Boże stworzenie!

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

Któżby mógł nawet pomyśleć wywieść cię w pole: to trzeba szalonego... Ożeniwszy się z księżną, jak nic byłbyś senatorem.

JACEK.

No! toby mogło być! Ale tfu na marę! jaka tam księżna!

SCENA V.

CIŻ—HAJDUK *księżnéj staje u drzwi.*

ROTMISTRZ.

Słuchajno, przyjacielu, powiedzno nam prawdę, oto masz na piwo (*daje mu pieniądz*). Kto to jest ta wasza księżna?

JACEK.

Za pozwoleniem, ja go sam pytać będę.

ROTMISTRZ.

Dobrze: egzaminujże go ściśle.

HAJDUK (*kłaniając się*).

Słucham, jaśnie pana.

JACEK.

Kto taki twoja pani?

HAJDUK (*któremu Rotmistrz nieznacznie podpowiada*).

A cóż, Jaśnie Oświecona Księżna Bamberlink z Saksońskiéj ziemi.

JACEK.

Jedziecie dokąd?

HAJDUK.

Z Warszawy do Drezna.

JACEK.

Proszę! wdowa czy zamężna?

HAJDUK.

Jużciż od kiedy jaśnie pan umarł, wdowa.

http://rcin.org.pl

JACEK.

Bogata?

HAJDUK.

A gwałt! co i pytać! W Saksonii u nas dukaty korcem mierzyli; a co zamków, a co wsi! i tu i tam, i bydła i owiec i nierogacizny.

JACEK (*do siebie*).

Trudno, aby tak prosty człek kłamał.

ROTMISTRZ.

A cóż?

JACEK.

Coś w tém jest: nie wiem.

ROTMISTRZ.

Czemuż mi nie chcesz wierzyć?

JACEK.

A! bo trudno (*piją jeszcze*).

ROTMISTRZ.

Petryłło cię wyprowadził w pole: to jasno, jak na dłoni.

JACEK.

I toby być mogło! Jest jeszcze ten miód?

ROTMISTRZ.

Nalejemy sobie po kropli odedna i butelka sucha! Szkoda, że tylko jednę przynieśli.

JACEK.

Człowiek się czuje rzeźwiejszym.

ROTMISTRZ.

Teraz byleby mi się księżna nawinęła... dobijemy reszty.

(*Wychodząc z hajdukiem, spotyka we drzwiach Petryłłę, któremu szepcze na ucho i popycha go do pokoju*).

http://rcin.org.pl

SCENA VI.

JACEK. — PETRYŁŁO.

PETRYŁŁO.

Bywajcież mi zdrowi, już jadę.

JACEK.

A księżna? ha? (*śmieje się*).

PETRYŁŁO.

Daj mi już z temi babami pokój: człowiek z niemi głowę traci.

JACEK (*na stronie*).

Jakby go tu zajść.

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Jakby tu poprawić sprawę.

JACEK (*na stronie*).

Nie śmiem go spytać.

PETRYŁŁO (*na stronie*).

Boję się odezwać.

JACEK.

Naprzykrzyła się wacpanu komedya i odjeżdżasz.

PETRYŁŁO.

Hm! hm! coś nakształt tego? A jak się wacpanu zda?

JACEK.

Przyznam się, żem wacpanu uwierzył.

PETRYŁŁO.

Doprawdy?

JACEK.

Ale czy nie posunąłeś się zadaleko?

PETRYŁŁO.

Wistocie, być może, iż mnie gniew posunął trochę za...

JACEK.

Czy nie miałeś pan w myśli mnie się pozbyć od niéj? (*na stronie.*) Szkoda, że już miodu niéma, dobyłbym nim prawdy z niego.

PETRYŁŁO (*uśmiechając się, na stronie*).

Co to za szkoda, że kłamać nie umiem: sam się prosi, żeby go durzyć!

http://rcin.org.pl

JACEK (*coraz bardziéj rozmarzony*).

A! a! widzisz wacpan, że się domyślamy potrosze, że nie łatwo starego wygę oszukać. Wpadła i wacpanu w oko księżna, chciało się samemu przy niéj zostać i myślałeś mi wacpan wmówić, że to są blichtry, że ona nie księżna! Doskonale! ale i my nosy mamy!

PETRYŁŁO.

Dalipan, przedziwny!

JACEK.

Wacpan się śmiejesz?

PETRYŁŁO (*prycha*).

Muszę.

JACEK.

Żem zgadł?

PETRYŁŁO.

Może.

JACEK.

Wiedzże waszmość, że ja choć mizerne stworzenie boże, choć lichy służeczka, ale nie jestem tak upośledzony, by ze mną kto, co zechce, mógł robić.

PETRYŁŁO (*śmiejąc się mocno*).

A! przedziwny! nieoszacowany pan Jacek! niech cię uściskam i przeproszę (*ściskają się*).

JACEK (*grożąc na nosie*).

A co? podobała się jegomości saska laleczka?

PETRYŁŁO (*ciągle się śmiejąc*).

Bardzo, bardzo.

JACEK (*śmieje się*).

O! i chciał się mnie pozbyć sztucznie.

PETRYŁŁO.

Także bardzo, bardzo.

JACEK.

Aż tu pan Jacek wié wszystko! hę?

PETRYŁŁO.

Gołąb mu w ucho szepnął.

JACEK.

A trochę miód serdeczny wygadał; co daléj?

PETRYŁŁO (*śmieje się*).

Co Bóg da.

http://rcin.org.pl

JACEK.

Tak jest: zobaczymy! *(siada.)* Istotnie ten miód idzie, idzie wciąż w nogi, a wyjść sobie nie może; stary opieszały! cha! cha! *(do Petryłły)* wacpan nie śpiewasz?

PETRYŁŁO.

Nic oprócz gorzkich żalów i litanij.

JACEK.

E! to nie pora! a światowych tekstów?

PETRYŁŁO.

Żadnego. E! gdyby nie próżna butelka obok, *corpus delicti*, tobym wacpana nie poznał.

JACEK *(z fantazyą)*.

Co to butelka! Z butelki nie nalejesz człowiekowi, czego w nim niéma!

PETRYŁŁO.

Święta prawda!

JACEK.

A kto po trzeźwemu nicpotém, po pijanemu poczciwszy nie będzie; a ja-m się, chowaj Boże! nie upił.

PETRYŁŁO.

Któżby cię o to posądził?

JACEK *(cicho)*.

Rotmistrz, to prawda, że się ściął porządnie; ale mnie nic.

PETRYŁŁO.

Wychodził, jak nie na swoich nogach.

JACEK *(poglądając na drzwi)*.

Słaba głowa, ale dobry człowiek.

PETRYŁŁO.

Choć do rany, ale nie do rady jednak: dać mu się prowadzić, pewnie z pieca na łeb.

---

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

CIŻ — ROTMISTRZ *wpada nagle.*

ROTMISTRZ.

Czuję, że mnie obgadujecie.

PETRYŁŁO.

Głosim twoje pochwały, konfederacie.

JACEK (*skłania głowę*).

Ja oddawałem sprawiedliwość.

ROTMISTRZ.

Suum cuique... dziękuję! Kochany Petryłło, gdybyś się sobie poszedł przewietrzyć? Mam słówko poufne do pana Jacka.

(*Petryłło rusza ramionami i odchodzi—Rotmistrz cicho do Jacka).*

Księżna tu przyjdzie za chwilkę.

JACEK.

A jeśli to nie księżna?

ROTMISTRZ.

Jak sobie chcesz! Jeśli nie wierzysz, idź spać: Petryłło ją sobie weźmie... Przecież się dałeś był przekonać: te klejnoty i manele...

JACEK (*kończy*).

Konwinkujące!

ROTMISTRZ.

Korzystajże z czasu: ja Petryłłę umyślnie odprawiłem i dotrzymam go, że ci nie przeszkodzi. Ty padnij do nóg i kończ.

JACEK.

No, to padnę!

ROTMISTRZ.

I oświadcz się.

JACEK.

Oświadczę: kiedy ginąć, to ginąć.

ROTMISTRZ.

Pewnie.

JACEK.

Czuję się usposobionym do zrobienia historyi: wziąłbym sam jeden szturmem Kamieniec.

http://rcin.org.pl

ROTMISTRZ.

W sam raz tak się czuć potrzeba, oświadczając się niewieście; to dobry znak: pójdzie szczęśliwie. Ale cyt! otóż i ona: zostawiam was samych i staję na straży u drzwi. Odwagi Pisarzowiczu!

SCENA VIII.

P. JACEK *wstaje—wchodzi zamyślona i poważnie* KSIĘŻNA.

JACEK (*do siebie*).

Księżna nie księżna, kat ją wié, ale wcale niczego kobieta; nawet ten miód tak wzrok poprawia, że widzę daleko lepiéj, jak ładna.. Nierównie piękniejsza, niż była zrana: co za buzia! jakie oczko! a rączka! a nózia! I taki musi być księżna: to znać zaraz z fantazyi. A te klejnoty u pasa i karbunkuł u szyi, także coś znaczą! Niéma co myśléć: jeśli mi trochę dopomoże sama, to się jéj oświadczę na złość wszystkim. Pal go kaci! Petryłło kłamie. Księżna, prawdziwa księżna! takby długo nie udawała... hajduk zresztą poświadcza. A nu! Pisarzowiczu oszmiański, śmiało, śmiało!

KSIĘŻNA (*powoli*).

Gdzieżeś to wacpan bywał tak długo, żem go nie widziała?

JACEK (*na stronie*).

Mówi *długo*, dobry znak: znaczy *po polsku*: tęskniłam za wacpanem! (*głośno.*) Zwyczajnie, mościa księżno, kłopoty domowe, zajęcia gospodarskie...

KSIĘŻNA.

Wacpan, nie szanując zdrowia, nazbyt się pracy oddajesz.

JACEK (*na stronie*).

Rozumiem: to znaczy *po polsku*, że się troszczy o zdrowieczko moje. (*głośno.*) Obowiązki sumienia...

http://rcin.org.pl

KSIĘŻNA.

Jak mało ludzi do niego podobnych!

JACEK (*na stronie*).

Znaczy, że poznała się na mnie (*głośno.*) Nie pochlebiam sobie...

KSIĘŻNA.

Skromność jest podstawą cnót wszystkich.

JACEK (*na stronie*).

Znaczy, że fundament jest, a zatém i reszta być już musi. (*głośno.*) Łaska Waszéj Książęcéj Mości zbyt mnie zawstydza, hm! (*na stronie.*) Gdyby mnie jeszcze odrobinę ośmieliła...

KSIĘŻNA.

Jakże szczęśliwa Cześnikowa z posiadania takiego przyjaciela!

JACEK (*na stronie*).

Znaczy: chciałabym i ja podobnego, to jasno! (*głośno.*) Szczęśliwszy daleko, kto Waszéj Książęcéj Mości w podobny sposób służyć i życie jéj swe ślubować będzie mógł ku wiecznéj niewoli. (*na stronie.*) To jasno, ha!

KSIĘŻNA.

Ja, na nieszczęście, w życiu mojém spotykałam dotąd samych wstrętliwych lub obojętnych.

JACEK.

A, mościa dobrodziejko! gdyby mnie dola szczęśliwa, godzina wybrana, moment niebieski przykuł ogniwem do stóp Waszéj Książęcéj Mości: jakżebym był fortunnym, jakżebym...

KSIĘŻNA.

Ot, jedź wacpan ze mną do Saksonii!

JACEK.

Gdybym mógł, ale *quo titulo?*

KSIĘŻNA.

Jak wacpan sam chcesz. (*Wyciąga mu rękę*).

JACEK.

(*bierze bojaźliwie, i nie wiedząc co zrobić, trzyma; potém całuje ostrożnie*).

Oszaleję! Wasza Książęca Mość chcesz ostatka rozumu pozbawić sługę swego.

KSIĘŻNA.

Nie bójże się wacpan: mów wyraźniéj.

http://rcin.org.pl

JACEK.

Hm! mogę się ośmielić?

KSIĘŻNA.

Potrzebaż, bym ja ośmieliła?

JACEK.

Wasza Książęca Mość tak jesteś dobrą dla służeczki swego!...

KSIĘŻNA.

Żal mi wacpana.

JACEK.

Żal? z powodu?

KSIĘŻNA.

Wacpan tu w téj wsi zapadłéj stracisz lata: mógłbyś na większém *teatrum* inną odegrać rolę.

JACEK.

Sam to czuję.

KSIĘŻNA.

I zajść daleko wyżéj.

JACEK.

Wyżéj! powiadasz Wasza Książęca Mość: z pokorą przyjmuję wyrok Waszéj Książęcéj Mości; ośmielę się tylko...

KSIĘŻNA.

Ośmiel się wacpan, ośmiel.

JACEK.

Zbytek szczęścia usta mi klei.

KSIĘŻNA.

Otworzyćby powinien.

JACEK *(na stronie)*.

Miód ma swoje dobre: daje odwagę; ale język w pantoflach. Chciałbym coś mówić: nie wiem od czego zacząć; a czas... *(chrząka)*.

KSIĘŻNA.

Słucham wacpana powolnie, czekam. Jużciż trudno, bym wacpanu więcéj nad to, coś słyszał, oświadczyć miała...

JACEK.

Trzeba wejść w jéj położenie. (*Staje, pokaszliwa i zaczyna*) Mówią mitologowie pogańscy, że niekiedy i boginie zstępowały między śmiertelnych, znudzone Olimpu klauzurą; powiadają, że niekiedy prostych pasterzy do stóp swych dopuszczały, a nie obrażając się afektem ziemskiéj piersi, łaską ich swą darzyły: otóż przed

http://rcin.org.pl

tobą, bóstwem empirejskiém, stoi mniejszy od pastucha greckiego, człowiek skomprymowany, skonwinkowany i skonfundowany, prosząc i apelując o litość albo śmierć! (*klęka.*) Hołd przyjmij, królowo, i nie odpychaj stręczącego się na wiekuiste usługi najniższego adoratora!

(*We drzwiach z tyłu ukazują się powoli: Rotmistrz, Cześnikowa, Łowczanka, Petryłło, Grześ i Rózia*).

Rzeknij słowo, a jadę nie do Saksonii tylko, ale na lody oceanów septentryonu, na pustynie afrykańskie, pani żywota mojego!

KSIĘŻNA (*powoli*).

Co za wymowa! kogoby nie ujął?

JACEK (*klęcząc*).

Nie trzymaj mnie w niepewności okrutnéj; czekam oto jak winowajca przed trybunałem wyroku: pisz dekret, pani!

KSIĘŻNA.

Czegoż wacpan żądasz?

JACEK.

Ośmielam się... wistocie ośmielam się... prosić o afekt i rękę Waszéj Książęcéj Mości!

KSIĘŻNA (*wstając nagle ze śmiechem*).

Patrzcie! a to mi śliczny ptaszek do serca i ręki!

(*Obraca się do wchodzących*).

Biorę wacpaństwa wszystkich za świadków, jako pan Pisarzowicz uczynił mi ten afront, i oświadczył się... A toby było pięknie, gdybym podobnego niedobitka do Saksonii zawiozła! Myśleliby, że u nas Turcy wszystkich mężczyzn do nogi wybili!

(*Jacek wstaje pomieszany*).

A nie mówiłżeś wacpan, że małżeństwo srogie niebezpieczeństwo, jarzmo, niewola, stan pełen do zguby wiodących zasadzek!? Chciałżebyś mnie na to ciężkie wyprowadzić rozdroże? (*śmiejąc się*). Dość komedyi: już jéj wszyscy mamy do syta. Bądź wacpan zdrów!

(*Wszyscy kłaniają się Jackowi, który powoli odchodzi i kryje się w kąciku*).

ROTMISTRZ.

Cześnikowo dobrodziejko! siostro najukochańsza! przebacz mi i daruj, żem cię po żołniersku trochę uratował od zguby. Powiem ci dykteryjkę na wytłómaczenie: pewnego razu orderowy pan tonął w rzece, a kozak, który był do niego przywiązany, zobaczywszy nie-

http://rcin.org.pl

bezpieczeństwo, buch za nim w wodę. Za co go tu łapać, żeby wyciągnąć? co schwyci, to czupryna! Nie było sposobu: musiał go na brzeg za włosy ciągnąć. Wojewoda dał mu sto dukatów za życie i sto batów za nieuszanowanie swojéj czupryny. Moja dobrodziejko, żeby to i mnie spotkało!

BASIA (*podaje mu rękę*).

Nie, drogi bracie: saméj mi wstyd, żem się temu jegomości dała uwodzić.

ROTMISTRZ (*do siostry*).

Poznajże się z chorążyną Hurską... a teraz wiwat! Łowczanko, podaj mi rączkę; Petryłło, weź Cześnikową, Grześ Rózię, i dajcie nam choć jednę jeszcze butelkę kasztelańskiego miodu!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

CIEPŁA WDÓWKA

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH WIERSZEM.

http://rcin.org.pl

OSOBY:

Starościna, Marya Montrymowa, wdowa, lat 24.
Panna Marcybella Downar, jéj krewna, rezydentka, lat około czterdziestu, wymuszona i żywa.
Talwosz Cześnik, krewny i opiekun Starościnéj, lat pięćdziesiąt kilka, poważny, ubrany skromnie.
Chorąży Gabryel Hołub, lat około trzydziestu, postawa męska, wojskowa.
Żegota, Rotmistrz, lat trzydzieści kilka, przystojny—nieco łysy, wąs zawiesisty.
Bodzanta, obywatel, ubiór z myśliwska, lat dwadzieścia kilka, smykowaty, wąsik młody.
Strukczaszy Mężyk, lat blizko pięćdziesiąt, ale udający młodzika, otyły, ruchy palestranckie, wymowa patetyczna.

Rzecz dzieje się na wsi w majątku Starościnéj.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

AKT I.

Teatr przedstawia ze staroświecka ale bogato przystrojoną izbę bawialną we dworze Starościnéj. W głębi drzwi szklane otwarte na ogród, dwoje drugich po bokach; na ścianach portrety i zwierciadła weneckie, w kącie szpinet otwarty. Towarzystwo zebrane około stołu Starościnéj, stojącego po lewéj stronie sceny, Starościna dryzluje, obok Strukczaszy wystrojony na krześle, Cześnik się przechadza z rękoma w kieszeniach. Żegota i Bodzanta przysiadają, wstają, przechadzają się po pokoju. Godzina ranna.

SCENA I.

STAROŚCINA, CZEŚNIK, STRUKCZASZY, ŻEGOTA I BODZANTA.

STRUKCZASZY (*ciągnie opowiadanie przerwane*)

Otóż, na czém stanąłem? a! wiem!... Mój szlachciura
Niebożątko, gdy spostrzegł, że sam nic nie wskóra,
Że Jaśnie Wielmożnemu rady jakoś nie da,
Słowem widząc, mospanie, że i wstyd i bieda,
W prośby do mnie—A! ratuj! gdy nie ty, nikt w świecie...
Strukczasy! dobrodzieju! zbawić mnie możecie...
Ty jeden! Pomóż! sprawę przed sądy wnieść muszę,
Zastawię się, wyprzedam... i kontusz i duszę...
A pokażę, co szlachcic!... Skruszył mnie chudzina
I wziął za słabą stronę, słabość to jedyna,
Że trochę lubię proces.—Jeszcze gdy pan możny,
Jest z kim grać, gra zabawna, człek czyha ostrożny

http://rcin.org.pl

Jak strzelec na przesmyku .. toć mi to zabawa!
(*po pauzie*)
Pozywamy do grodu... Kasztelan nie stawa...
Wygrana.. Apelacyą tnie do trybunału...
W to mi graj! A my chyłkiem idziem i pomału...
Wpisuję sprawę w rejestr...

ŻEGOTA (*przerywając*).

Kochany Strukczaszy!
Mnie się zdaje, że pani Starościnie naszéj
Historye o procesach nie koniecznie miłe...

STRUKCZASZY (*obruszony*)

Jak to? czemu? toć rzeczy nie są tak zawiłe!
A wielce zajmujące...
(*mówi daléj*)
Rejestr był takowy...

STAROŚCINA (*podnosząc oczy od roboty*)

Cóż daléj, mój Strukczaszy!

ŻEGOTA (*do Starościnéj*).

Czyż akt procesowy
Miałby pani smakować? To rzecz niepojęta...

STAROŚCINA (*powoli*).

Dlaczegóż? Dość mnie bawi historya poczęta...
Zwłaszcza że tak wymowny szlachcica obrońca...
I że wcale się jakoś nie domyślam końca...

ŻEGOTA (*zcicha namyślając się*),

A! pani jesteś zawsze dobroci aniołem!

STAROŚCINA (*półgłosem*)

Znasz mnie pan jeszcze mało!

STRUKCZASZY (*głośno*).

W trybunale wziąłem
Mecenasa Horyłkę... gęba wyszczekana,
Głowa potężna! panie! zręczność dobrze zyana—
Nie zląkłem się, choć były korupcyi poszlaki,
Chociaż pół trybunału pańskiemi krewniaki
Obsadzono. Idziemy! Horyłko rej wiedzie...

BODZANTA (*cicho*).

Gdyby już sprawę wygrał!! to wieki trwać będzie.

STRUKCZASZY (*dosłyszawszy go, żywo*)

To Waść sobie nie słuchaj, gdy się nie podoba...

BODZANTA.

Pewniebym to uczynił, gdyby nie osoba
Starościnéj... co nas tu na uwięzi trzyma...

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA (*cicho do Bodzanty*)
Ależ, miéj pan cierpliwość!
STRUKCZASZY (*kończy*).
Idziem! rady niéma!
Horyłko sprawę wnosi, ale z jaką swadą!
Demostenes, Cycero wydają się blado...
„Prześwietny trybunale, rzecze (co do słowa
Pamiętam', Trybunale! to sprawa gardłowa...
CZEŚNIK (*zbliżając się do Strukczaszego*).
Kochany mój Strukczaszy, chociaż Starościna
Dryzlując słucha pilnie,—lecz wszak już godzina..
Jak szlachcica nam tego daleś na pożarcie.
W końcu przejeść się musi, gdy zechcesz uparcie
Prowadzić na trybunał... i uchowaj Boże,
Głosami mecenasów poczęstujesz może...
Zważ, czy to nie za długo?
STRUKCZASZY (*gorąco*).
Dlaczego za długo?
O procesie godzinę posłuchać i drugą,
Nie dziwota!—Rzecz żywa! Lecz na czémże stoję?
A! tak! Horyłko mówi, znudzić się nie boję...
Niéma teatrum, niéma na świecie dramatu
Nad proces, co za skórę zalał panu bratu...
Percepcye! bój! sceny!
(*kończąc*).
Stajemy przed kratki...
CZEŚNIK (*cicho*).
Lecz kobietom...
STRUKCZASZY.
Kobiety? toć żony, toć matki,
Przecież co się nas tyczy, to i je obchodzi...
Zwłaszcza taką osobę, zważ Acan Dobrodziéj!
Jak nasza Starościna, stateczną, dojrzałą,
Statystkę, heroinę, jakich w świecie mało...
Mylę się - jakich niéma! Nie wskażecie drugiéj!
Wdzięk w niewolę zaprzęga, rozum spycha w sługi...
STAROŚCINA (*z uśmiechem*).
Mój kochany Strukczaszy, to coś za daleko...
STRUKCZASZY (*zrywając się, rękę na sercu kładnie, gorąco*).
Pani! cóżem usłyszał? niech usta wyrzeką
Raz jeszcze słowo, które szczęśliwym mnie czyni!
O królowo! o pani, o moja bogini!

http://rcin.org.pl

Przytomność tracę z szczęścia, gwiazdo ubóstwiana...
Dziękując ci, cóż? chyba padnę na kolana...

STAROŚCINA *(zdziwiona ogląda się)*.

Cóżem ja powiedziała?

ŻEGOTA *(śmiejąc się)*.

Pan się tak unosisz!
Była to prosta grzeczność, zbyt z niéj wiele wnosisz;
Słówko takie pro forma.

STRUKCZASZY *(składając ręce)*.

O miło jest, miło
I pro forma otrzymać...

ŻEGOTA *(na stronie ruszając ramionami)*.

Taką figę zgniłą!

(rusza ramionami)

STAROŚCINA *(śmiejąc się)*.

Pan Strukczaszy tak grzeczny...

STRUKCZASZY *(zamyśla się)*.

Na czémże stanąłem?
Już wiem! Ci do szlachcica—Czołem, on téż—Czołem.
Wtém jeden jak go chlaśnie... ten do szerpentyny...

CZEŚNIK *(stając)*.

Gdzież? co? skąd? nio widzimy racyi ni przyczyny...

STRUKCZASZY.

Słusznie mówisz! Omyłka! tak! naprzód w kościele...
Spotkali się...

CZEŚNIK *(przerywa)*.

Kto i z kim, nie rozumiem wiele...

STRUKCZASZY *(z uśmiechem)*.

Przepraszam! wyżéj zacznę.. stanąłem... gdzie stałem?

ŻEGOTA *(smutnie)*.

Niestety, mój Strukczaszy! ach! przed Trybunałem.

STRUKCZASZY *(uderza się w czoło)*.

Stajem przed kratki, prawda!!...

CZEŚNIK *(cicho)*.

Ej! odłóż do licha!
Wszyscy prawie ziewają... Starościna wzdycha..

STRUKCZASZY *(gniewnie)*.

Ale bo nieustannie przerywacie tylko...
Człek się złapać nie może... mówiłem przed chwilką...

ŻEGOTA.

Nie przerywamy, końca czekamy cierpliwie,
Jam téż począł historyą, a ani się skrzywię...

http://rcin.org.pl

Choć drugi dzień ją noszę... a jest też ciekawa!
Kiedy ze Szwedem była w Wileńskiém rozprawa,
Wpośród tumultu, rajtar za bary mnie chwyta...

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Jak to? Szwed was, nie wy go...?

ŻEGOTA.

A, boć nie z tém kwita...
Tak się sprawa poczyna, lecz co było daléj...
Pamięta pani?

STAROŚCINA.

O! nic..

ŻEGOTA.

Bośmy zbyt słuchali
Długiéj historyi o tym szlachcica procesie...

BODZANTA.

Długo prawda, lecz dłużéj już człowiek nie zniesie...
Starościna tak była dla służki łaskawą,
Że raczyła mnie pytać o mojego charta...
Co idzie za dereszem a szerść ma ryżawą...
Duży, chudy. Otóż to historya coś warta...
Jak mi się dostał chart ten jedyny a dziarski...
Nie wabi się po polsku, jest czysty tatarski...

STRUKCZASZY (*łamiąc ręce*).

A ci znowu z Szwedami, z końmi i ze psami!
O miły panie Boże, zmiłuj się nad nami!

BODZANTA (*żywo*).

Juściż konie i te psy więcéj nas obchodzą,
Niż szlacheckie procesy.

ŻEGOTA (*powolnie*).

Znów się za łby wodzą!
Niéma o co! procesy, psy, konie, do licha!
Wszystko to rzeczy płoche. Nie wzdyma mnie pycha.
Ależ moja historya wojenna o Szwedzie
Może przecie bezpiecznie iść wszędzie po przedzie,
Bo jest tak osobliwą, że wpisać w kroniki...

STAROŚCINA (*z uśmiechem*)

Jakże to było?

ŻEGOTA (*zbliżając się*).

Rajtar, Szwed zjuszony, dziki...
Konno puścił się na mnie i za bary chwyta...
Jam się zwinął...

http://rcin.org.pl

BODZANTA (*na stronie*).

O charta już się mnie nie pyta!
Jam jest najnieszczęśliwszy!

STAROŚCINA (*rzucając robotę*).

Wiecie co panowie?
Tak nigdy nie skończycie, niech każdy opowie
Z kolei, ja wysłucham wszystkich trzech powieści.

(*wychodzi, dając znak Cześnikowi, który jéj towarzyszy*).

SCENA II.

CIŻ, *oprócz* STAROŚCINEJ I CZEŚNIKA.

ŻEGOTA (*głośniéj*).

Z respektem wszelkim, mily Strukczaczy, téj treści
Jak wasz proces, anegdot trudno bo kobiecie
Kazał słuchać! Przez grzeczność...

STRUKCZASZY.

Herezye prawicie!
Czemu? dlaczego? Nie znasz waść polskiéj niewiasty.
Tam, gdzie idzie o honor,—pozwy i subhasty
Rekursa i recesa, dokumenta prawne
Są dla nich zajmujące, miłe i zabawne...
Juściż szlachcic mój pewnie więcéj wart od charta

ŻEGOTA.

A szwedzka historyjka od nich więcéj warta!

STRUKCZASZY.

Każdy ma swego mola, który mu dokucza!
Panie odpuść!

http://rcin.org.pl

BODZANTA.

Tatarski chart! Jadąc od Zbrucza,
Stryj go w drodze mój kupił i zapłacił drogo,
Bo się podobnych u nas dochować nie mogą...
Tatarzy porzucili, suka zdechła, szczenię...

STRUKCZASZY (*żywo*)

A mnie tam djabli potém! Proszę uniżenie.

ŻEGOTA.

Rycerzów żony, siostry przedewszystkiém o wojnie
Słuchać lubią...

BODZANTA.

Jużci też uczęstował hojnie
Historyą swoich wypraw! Dość! Ciągniemy losy...
Kto naprzód głos ma zabrać i mówić do końca...
Tak pani przykazała, a jam praw obrońca...

ŻEGOTA.

To mówmy po starszeństwie...

STRUKCZASZY.

Patrzcie go! Młokosy!
Radzi mi oczy wykłuć, żem tak niby stary...
No! stary, ale jary... a zdam się do pary...
Do tańca i różańca, kędy mi każecie.

ŻEGOTA.

Szczególniéj do różańca,..

STRUKCZASZY (*usłyszawszy*).

Już znowu kolecie.
Ale jak tnę mazura, niech no pan zobaczy...

ŻEGOTA.

Lękam się, żeby mazur was nie podciął raczéj.

STRUKCZASZY (*ramionami ruszając*).

Zawsze złośliwy, byle ukąsić człowieka...

BODZANTA.

Na Boga! a! do rzeczy wróćmy, choć zdaleka.
Trzy historye powiemy... starszeństwa koleją...
Szlachcic—Szwed—chart na końcu! Z charta się uśmieją!

ŻEGOTA.

Zgoda!

STRUKCZASZY.

Ja tedy przodem...

http://rcin.org.pl

BODZANTA.

Byleś waszmość wreszcie
Raczył proces ten skończyć!!

STRUKCZASZY (*oglądając się niespokojnie*)).

Jam tu jak w areszcie...
A moja Starościnka... sarneczka, cichaczem
Wyniosła się! więc gonię...

BODZANTA (*kłaniając się*).

Idźcie! nie zapłaczem...

SCENA III.

CIŻ—*oprócz* STRUKCZASZEGO.

ŻEGOTA.

Zatém waszmość...

BODZANTA (*patrząc nań*).

A zatém... jakie zatém, bratku?

ŻEGOTA (*szydersko*).

Zatém wy z waszym chartem na samym ostatku.

BODZANTA.

Bylem was nie prześcignął, pilnujcie się proszę...

ŻEGOTA.

Ale ba? nuż obadwa weźmiemy odkosze?
Mówmy otwarcie, jam człek żołnierskiéj natury
I co myślę, to wolę wypowiedzieć z góry,
Waść się o Starościnę starasz bez ochyby...

BODZNATA.

Ja? dajmy na to, że tak... a cóż zatém, gdyby?
Waść tu także nie darmo.

ŻEGOTA.

Ja się nie zapieram.

http://rcin.org.pl

BODZANTA.

Ani ja, bo z miłości ginę i umieram.

ŻEGOTA.

Mówmy szczerze, poszedłszy po rozum do głowy,
Oba jéj nie weźmiemy... ktoś... wianek grochowy...

BODZANTA.

To pewna, albo może od miłéj bohdanki
Równie hojnéj dla obu dwa przypadną wianki.

ŻEGOTA.

Ha! wszystko w mocy bożéj, nie wyrokuj przodem...
Zły rybak, który łapie ryby przed niewodem...

BODZANTA.

Rozumiem, że my sobie nie pomożem wzajem.

ŻEGOTA.

Kto to wié! konkurujmy końskim obyczajem
Siły sobie dodając. Patrz waszmość na konie,
Ustały, uszy na dół, wloką się jak w bronie...
Wtém ktoś z tyłu wyściga! nuż ostatnie siły
Dobędą, by wyprzedzić—

BODZANTA.

Zgoda, panie miły,
Ścigajmy...

(*milczą, przechadzając się*).

ŻEGOTA (*wzdycha*).

Ale prawdą tak rzekłszy a Bogiem
Wszyscy my się tu szczęściem nie pochwalim srogiem...
Jakoś tępo nam idzie. Piękna Starościna...
Dobra, grzeczna, lecz jedna dla nas wszystkich mina
Jedna grzeczność dla gości...

BODZANTA.

Ja się téż nie chwalę...
Jak świeca na ołtarzu przed jéj licem palę.
A... darmo!!

ŻEGOTA.

Jakich mało, mosanie, kobiéta!
Ale co tam w niéj siedzi, niech mnie nikt nie pyta.

BODZANTA.

Waszmość mi to z ust wziąłeś...

http://rcin.org.pl

ŻEGOTA.

Stare to przysłowie,
Nikt kobiety nie odgadł; co w jéj sercu, głowie,
To do trumny zagadką...

BODZANTA.

No! my dwaj, toć jeszcze...
Ale co waszmość powiesz na miłosne dreszcze
Takiego Strukczaszego z siwiejącym włosem,
Który jéj koperczaki pali nam pod nosem,
A nic się nas nie boi...

ŻEGOTA.

Nic się nas nie lęka!
Nam wstyd a Starościnie z takim dziadem męka...
To prawda, że szalony!

BODZANTA.

Waryat pan Strukczaszy,
Lecz wiecie, w starym piecu...

ŻEGOTA.

Pluje nam do kaszy.

BODZANTA.

Pluje...

ŻEGOTA.

A Starościna téż mu się uśmiécha
Jak dla nas obu grzeczna...

BODZANTA.

No to cóż u licha!
Chyba znaczy, żeśmy jéj wszyscy obojętni,
Kiedy z nas do żadnego nie zwróci się chętniéj.

ŻEGOTA.

Tak to jest. litościwa każdemu z kolei
Da po kropli uśmiechu, po szczypcie nadziei,
A koniec końców smutna, tęskna, roztargniona.

BODZANTA.

Tak jest, słucha, nie słyszy... i pyta zdziwiona,
O czém tam była mowa? częstokroć się zdarza,
Że człek trzy razy jedno daremnie powtarza...

ŻEGOTA.

I tak jest jakoś Jéjmość w guście niewybredną,
Że czy ja, wy, Strukczaszy—to jéj wszystko jedno.

http://rcin.org.pl

BODZANTA.

A im więcéj się człowiek sadzi i wysila...

ŻEGOTA.

Tém więcéj zda się cierpiéć i tęsknić co chwila.

BODZANTA.

Prawda, coś się w tém kryje...

ŻEGOTA.

Jest, jest tajemnica...
Alem badał napróżno, nic się nie rozświéca...

BODZANTA.

No, to jam już zręczniejszy, ktoś mi szepnął w ucho...

ŻEGOTA.

Cóż takiego?

BODZANTA.

Coś niby między ludźmi głucho
Prawią o dawnéj jakiéjś miłostce w młodości.
Z kim? nie wiem... wojak pono skradł serce Jéjmości,
Matka wydała gwałtem... Może go téż kocha...
Może on ją opuścił, tęskni po nim trocha...
Dość, że serce zajęte...

ŻEGOTA.

Ale ba! mospanie
Kiedy żołnierz kwaterą w jakiém sercu stanie,
Nie łatwa go rugować—Na taką załogę
Ja tylko jako żołnierz porywać się mogę!
(*pokręcając wąsa przyśpiewuje cicho*).
Głupi, kto kona z rozpaczy,
Jutro może być inaczéj...

BODZANTA.

Śpiewaj wacpan! Szczęśliwy rycerz Hulajdusza...
Abyś tylko nie nucił w końcu Tadeusza.

ŻEGOTA (*śpiewa głośniéj*).
Kto ze strachu kona,
Nie trzeba mu dzwona...
Dzwonią mu...

http://rcin.org.pl

SCENA IV.

CIŻ—CZEŚNIK.

ŻEGOTA (*przerywając*)

No! gdzież jest Starościna?

CZEŚNIK.

Patrzaj Waść! w ogrodzie...
Strukczaszy ją tam dognał, aby w miłym chłodzie
Dokończyć swojéj chryi o owym procesie.

BODZANTA.

Ależ się stary zawziął!

CZEŚNIK.

Przed młodszemi rwie się,
Może młodszych przesadzić...

ŻEGOTA.

Hej Cześniku, młodzi
Nosy coś pospuszczali... im się nie powodzi...
Gdybyś nam rzekł, łaskawco, co to będzie z tego?

CZEŚNIK (*z powagą*).

A któż zgadnie, do mety kiedy konie biegą,
Który stanie najpierwszy? Życzę Starościnie
Jako dziecku własnemu; ale w téj godzinie,
Gdy się los jéj rozstrzyga, stoję na uboczy...
Pracujcie Waszmość... klasnę temu, co doskoczy.

ŻEGOTA (*prosząc*).

Lecz słówko przyjacielskie...

CZEŚNIK.

Na nic się nie zdało.
Starościna jest dobrą, łagodną, lecz stałą,
I co serce jéj powie, co rozum naznaczy,
Tego żadne w niéj słówko już nie przeinaczy.
Zatém szczęścia próbujcie; ja modlę się, patrzę...

http://rcin.org.pl

ŻEGOTA (*śmiejąc się*).

My też modlim się, patrzym, lecz słówka najgładsze
Nie skutkują...

CZEŚNIK (*poważnie*).

Cóż robić! woli nie ma bożéj!

ŻEGOTA.

Coby miało być lepiéj, ze dniem każdym gorzéj....
Na to szczęścia potrzeba, z nas go żaden niéma...

BODZANTA.

I pewnie ktoś wianeczek grochowy otrzyma.

ŻEGOTA (*myśląc*).

A odjeżdżać od wdowy z koszykiem nie ładnie...

CZEŚNIK.

No, toć przecie korona z głowy ci nie spadnie.

BODZANTA (*niespokojny*).

A Strukczaszy jest przy niéj, dopędzę w ogrodzie...

ŻEGOTA (*widząc wychodzącego*).

Już leci... Hej! stój Waszmość! i ja na odwodzie...

(*Obaj wybiegają*).

SCENA V.

CZEŚNIK (*sam, przechodząc się*).

Poszli! odetchnę... Z mąki téj nie będzie chleba!
Starościnie innego konkurenta trzeba...
Nie tych, co się tu kręcą... Miły pan Strukczaszy
Wszystkich podobno śmieszy, nikogo nie straszy.
Powinienby afekta zwrócić w inną stronę,
A czułą Marcybyllę wziąć sobie za żonę.

http://rcin.org.pl

Żegota... chłop jest tęgi, franta kawał, w głowie
Wiatru dość, mózgu mało... nie zda się on wdowie!
Bodzanta młokos jeszcze... i trochę urwisa...
Na niewiastę poluje, jak z chartem na lisa.
Wszystko to lud jest płochy, nie po myśli naszéj,
Żegota i Bodzanta i stary Strukczaszy.
Smutnie téż ona patrzy na tych zalotników...
Smutna i tęskna słucha ich gawęd i krzyków,
A myśl, serce podobno gdzieindziéj ucieka,
Bo dla niéj nad Hołuba nie było człowieka...
Kochała go, jak rzadko na świecie się kocha...
Matka za mąż wydała... przeklął ją, że płocha,
Nie wiedząc, co cierpiała! Odkąd się rozstali,
On na wojnie, a ona, by płakać w oddali,
Nie widzieli się odtąd i widzieć nie chcieli...
I żal i gniew oboje jeszcze teraz dzieli.
Muszę ich zbliżyć, w tém jest boże przeznaczenie,
Nie chcą sami się żenić, to ja ich pożenię.
Hołuba dzisiaj tutaj sprowadzam tajemnie
A byle się tu znalazł, już choćby bezemnie
Zrobi się... Tajemnicę zwierzę Marcybelli,
Nie wytrzyma, wygada... Starościnie powie. .
Afekt dawny oboje zbliży i ośmieli,
Podąsają się, spłaczą... skończy życie wdowie.
Bo téż już tego dosyć... ale otóż kroczy
Wprost tutaj czarodziejskie lepiąc we mnie oczy
Imćpanna Marcybella z czułością bez miary...
Ej Cześniku, ostrożnie! trzymaj mi się stary!
A nuż cię téż usidli!

SCENA VI.

CZEŚNIK—P. MARCYBELLA *wchodzi udając, że go nie widzi.*

CZEŚNIK.

Pani dobrodziéjka!

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA (*przestraszona*).
Ach! jakżem się przelękła!

CZEŚNIK.
Kogo? mnie?

MARCYBELLA (*cicho, skromnie*).
Cześnika...

CZEŚNIK.
Czym tak straszny?

MARCYBELLA (*z westchnieniem*).
Tyś mojéj nie pojął obawy...
Ach! serce mi tak bije!

CZEŚNIK (*na stronie*)
Wstęp nazbyt łaskawy...
(*głośno*).
Jużciżem nie zasłużył, aby się mnie bano.

MARCYBELLA (*czule, z wymówką*).
Głuchy, ślepy!

CZEŚNIK.
Za cóż znów tak mnie połajano?

MARCYBELLA.
Serce...

CZEŚNIK.
To rzecz nie moja...

MARCYBELLA.
Mylisz się, Cześniku...

CZEŚNIK.
Jam do rzeczy serdecznych już od lat bez liku
Za stary.

MARCYBELLA (*rusza ramionami*).
Wiecznie jedno... a skarżysz daremnie...
Wyglądając tak młodo!

CZEŚNIK.
Aż słuchać przyjemnie!

MARCYBELLA.
A serce nie starzeje...

CZEŚNIK (*kłania się*).
Dzięki za słodycze.
Alem ich już nie godzien.

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA.

Śmielszym ci być życzę...

CZEŚNIK.

Nazbyt znam siebie.

MARCYBELLA.

Cześnik zawsze jakiś smętny,
Poważny i surowy... zimny... obojętny.

CZEŚNIK.

Obojętny? nie wcale! smutny? prawda szczera.
Ale boleści różnych tyle nam doskwiera...

MARCYBELLA.

Już przynajmniéj nie panu... nie z mojéj przyczyny.

CZEŚNIK.

Czasem.

MARCYBELLA (*żywo*).

A! gdybyś w serca chciał zajrzéć głębiny.
(*ciszéj*).
Ono ci jest oddane... i bije ci wiernie.

CZEŚNIK (*na stronie*).

Znów bieda! Jakby z tego wyrwać się misternie?
(*głośno*)
Zamilczmy o tém—serce moje już stwardniało...
Jedno tylko uczucie duszę moję całą...

MARCYBELLA.

Jedno, mówisz?

CZEŚNIK.

Tak, jedno miłości uczucie...

MACYBELLA (*wesoło*).

Miłości!! jakiéj?

CZEŚNIK (*na stronie*).

Męczę się jak na pokucie!
(*głośno*)
Dla Starościnéj—kocham ją jak własne dziecię—

MARCYBELLA (*sucho*).

A! ależ Starościnka szczęśliwa jest przecie!

CZEŚNIK.

Szczęśliwa? czyliż pani nie widzisz jak smutna?
Wszak jéj nic nie rozrywa? a ta bałamutna
Młodzież co ją otacza... tylko niecierpliwi.

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA.

To prawda...

CZEŚNIK.

Więc niepokój mój niech was nie dziwi...
Lękam się, by znów cierpień nie zwiększyć bez woli
Nieostrożnością moją... otóż co mnie boli...
Lękam się, bo dziś właśnie... Lecz to... tajemnice!

MARCYBELLA.

Tajemnice!!! sekreta? cóż? co?

CZEŚNIK (*zawahawszy się, poufnie*).

Wnet wyświécę,
Ale zlituj się! proszę, nie wydaj mnie pani!

MARCYBELLA.

Ja! was!!!

CZEŚNIK.

Wiesz, jak ten Holub nienawistny dla niéj,
Że wspomnieć go nie można, że imienia jego
Przyjaciele się nawet wyrzec przed nią strzegą.—
Tymczasem, los tak zrządził.. widzieć go musiałem
I dziś do mnie przyjeżdża! Ze strachem niemałym
Byłem zmuszony wezwać!

MARCYBELLA.

O Boże! co słyszę!
On tu będzie!

CZEŚNIK.

Lecz skrycie.

MARCYBELLA.

Kiedy?

CZEŚNIK.

Dziś... mi pisze.
Lada chwila nadjedzie! Na Boga! tajemnie
Zachowaj to!

MARCYBELLA.

Ona się nie dowie przezemnie...
Bądź spokojny. Lecz po cóż ściągać go tu było?

CZEŚNIK.

Musiałem... toć bratanek... mam sprawę zawiłą...
O wspólną z nim sukcesyą. Lecz... proszę... na Boga
Nie wydaj mnie!

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA.

Nie wydam.

CZEŚNIK.

Marcybello droga!

MARCYBELLA *(podchwytując)*.

Droga? czyż droga?

CZEŚNIK *(grzecznie)*.

Pani! najdroższąś jest dla mię.

MARCYBELLA *(zmieszana)*.

A! pan biedną uwodzisz!

CZEŚNIK.

Ja nigdy nie kłamię...
Dlatego żeś mi droga, żem za przyjaźń wielką
Wdzięczen ci jest... dam radę...

MARCYBELLA.

Przyjmę radę wszelką...

CZEŚNIK *(wzdychając)*.

Nie rachuj na starego! Pani się uwodzisz...
Myśląc o mnie...

MARCYBELLA.

Cześniku, chciéj, wnet się odmłodzisz!

CZEŚNIK *(z uśmiechem)*.

Radbym, ale—znam siebie; młodszym jest Strukczaszy.
Weź pani na cel tylko...

MARCYBELLA *(cofa się urażona)*.

A więc z łaski waszéj
Za pierwszego lepszego mam już być wydana...

CZEŚNIK.

Ależ pani!

MARCYBELLA.

Obelgę zyskałam od pana.
Za co? za mego serca ofiarę daremną...
A! pan jesteś... okrutnik!

CZEŚNIK.

Zlituj się nade mną,
Jakążem ja popełnił tak straszliwą zbrodnię?

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA (*gniewnie*).

Ale to jest szyderstwo, zdrada! to niegodnie...
Myślisz, żem lada kogo schwycić już gotowa,
Byle prędzéj pójść za mąż?...

CZEŚNIK.

Rada była zdrowa...
Nie gniewajże się pani! Ja-m złamany, stary,
Z moją trumną dębową stać chyba do pary...
On w sile wieku, miły i, jak widzę, z dala
Miłém oczkiem spogląda ..

MARCYBELLA (*na stronie*).

Widzi w nim rywala!

(*głośno*).

On! na mnie! to nieprawda.

CZEŚNIK.

Widziały me oczy.

MARCYBELLA (*na stronie*).

Zazdrośny, czy mnie zdradza?

(*głośno*).

Wzrok się waści mroczy...

CZEŚNIK (*wzdychając*).

Ha! bom stary!

MARCYBELLA (*ruszając ramionami*).

A zawsze ta starość, co słowo!
Raisz mi Strukczaszego! No! więcem gotową...
Przypatrzę mu się lepiéj, któż wie?

CZEŚNIK (*na stronie*).

Dałbyś Boże!!

MARCYBELLA (*półgłosem*).

Będziesz kiedyś żałował! po czasie!

CZEŚNIK (*z rezygnacyą*).

Być może!

(*kłania się i odchodzi*).

---

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

MARCYBELLA (*sama, chodzi niespokojna*).

Niech się dobrze namyślę! Czy on mnie tak zbywa?
Czy w tych słowach się kryje miłość jego żywa?
A! okrutna niepewność!... Serce me nic nie wie,
Lecz winę jego po mym rozpoznaję gniewie...
I zemszczę się! och! zemszczę! Zwodził mnie tak długo.
Bo zwodził! Uniżonym był mym dawniéj sługą!
Nie raz... przy stole... zupę rozdając... spoziera...
Radby zgadnąć myśl moję! z półmiska dobiera
To skrzydło, to wątróbkę... aż się pani śmieje...
Ja się płonię... A wino raz w raz w kielich leje.
Pomnę owe wieczory... przybiegał w sekrecie,
Skrada się cicho, siądzie u mnie na sepecie
I gawędzi... a chociaż nie spoziera na mię...
I nie wzdycha! ja czuję, że filut tak kłamie!
Bo ile razy rękę chwycił, czułam drżenie!
A w lecie, pełne gruszek dla mnie miał kieszenie...
Raz nawet zachorował tylko ze zgryzoty,
Gdy nieboszczyk pan rejent przybywał w zaloty...
Teraz zdradza potwora! nie ujdzie mu płazem...
Krzywdę całéj płci mojéj pomszczę z własną razem!

SCENA VIII.

MARCYBELLA. — STAROŚCINA *wchodzi.*

STAROŚCINA.

Ach! ledwiem od nich wolna! Niéma tu Cześnika?

MARCYBELLA (*kwaśno*).

Niéma! nie wiem! Gdzieś poszedł.. Jakoś mnie unika,
Ale i ja go także... nie chcę wiedzieć o nim...

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Pozornie uciekamy, wistocie się gonim!

MARCYBELLA (*oburzona*).

O! nie ja! O Cześniku wiedzieć nie chcę... wcale...

STAROŚCINA.

Po gorącéj miłości...

MARCYBELLA.

Najgorętsze żale...
Najzaciętsza nienawiść! Ty to wiész najlepiéj.

STAROŚCINA (*zdziwiona*).

Ja?

MARCYBELLA.

Ty! A przecież Hołub! Myśmy téż nie ślepi.

STAROŚCINA (*cicho*).

Hołub?—Wielkiéj miłości dla niego nie było...
Przynajmniéj z jego strony... ani mu się śniło.

MARCYBELLA.

A wam!?

STAROŚCINA (*smutnie*).

Śniło się tylko... lecz jeślim kochała,
Miłość ta zmarła dawno, pogrzebiona cała.

MARCYBELLA.

Słusznie! Ja to pochwalam; nie można inaczéj
Z tym rodem niegodziwym, zgrają podpalaczy,
Co byle serce chwycił który, wnet ucieka...
Mścić się, gardzić, zapomnieć niecnego człowieka!
Nie wiem dlaczego... Cześnik tego nie rozumie...

STAROŚCINA.

Cześnik? Dlaczegoż Cześnik?

MARCYBELLA.

Pojąć was nie umie.

STAROŚCINA.

Mnie? jak to?

MARCYBELLA (*jąkając się*).

Tak, potrosze mniemać mam powody...
Ale to tajemnica. Nie chcę iść w zawody
Z tym zdrajcą i przez zemstę wydawać sekreta...

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA (*śmiejąc się*).

Cześnik! miałby sekreta! Bredzisz, moja droga!
On! najlepszy przyjaciel! Zlituj się! na Boga,
Czy cię miłość zaślepia, czy zazdrość cię drażni?...

MARCYBELLA.

No! ja co wiem, to już wiem...

STAROŚCINA.

Jam dotąd przyjaźni
Nie doświadczyła jeszcze stalszéj od nikogo.

MARCYBELLA.

O! o! i przyjaciele tacy zdradzać mogą!!
Ale, sza!

STAROŚCINA.

Niepokoić chciałabyś daremno...

MARCYBELLA.

Więc milczę...

STAROŚCINA.

Czyż myśl jego może być tajemną
Dla mnie?

MARCYBELLA (*rusza ramionami*).

Ależ już milczę, już milczę, jak skała!
I kąsam sobie wargi, bym go nie wydała...
Chociaż na zemstę moję zasłużył stokrotnie...
Zdradził mnie, ciebie zdradzi chytrze i przewrotnie,
Zobaczysz!

STAROŚCINA.

Ale dla mnie on tajemnic niéma.

MARCYBELLA (*żywo*).

Otóż ma!!

STAROŚCINA.

W tém się mylisz.

MARCYBELLA.

Ma! i dobrze trzyma!

STAROŚCINA.

Ale to być nie może...

MARCYBELLA.

Ja wiem... lecz zataję...

STAROŚCINA.

Przedemną?

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA.

Muszę; niech mnie Starościna łaje;
Nie chcę za jego zdradę odpłacać się zdradą!

STAROŚCINA.

Cóż to jest? nie rozumiem! Tyś wzruszoną! bladą!
Gniewasz się?

MARCYBELLA.

Nie—lecz tego nienawidzę człeka!

STAROŚCINA.

Uspokój się...

MARCYBELLA.

Spokojnam... Milcząco zdaleka
Będę śledzić ten wątek.

STAROŚCINA.

Wątek? ależ czego?

MARCYBELLA.

Ja milczę..

STAROŚCINA.

Ależ proszę! wyjaśń, cóż takiego?
Ja wiedzieć—muszę.

MARCYBELLA.

A! nie! gniew-by cię zdjął srogi...
Czyniła-byś wymówki... Żal mi cię niebogi...

STAROŚCINA (*nalegając*)

Wymówki? za co?

MARCYBELLA.

Ale, jam mu słowo dała,
Że nie powiem.

STAROŚCINA.

Mnie nawet...?

MARCYBELLA.

Tobie! w tém rzecz cała...

STAROŚCINA.

Cóż to jest? mówże? Spisek? Dręczysz mnie nieznośnie.

MARCYBELLA.

Zmuszasz? powiem... Lecz jeśli co z tego wyrośnie...

STAROŚCINA.

Nie bój się...

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA (*do ucha półgłosem*).

Wiedz, że Cześnik wezwał tu bratanka...
Hołub przybyć tajemnie miał tego poranka...
Może już jest...

STAROŚCINA (*zmieszana*).

Tu? Hołub?... Cóż mnie obchodzi?

MARCYBELLA.

Jak to? nic?

STAROŚCINA (*sucho*).

A nic w świecie! niech jeździ! niech chodzi!
Między mną a nim niéma żadnego stosunku...
Nawet gniewu...

MARCYBELLA (*na stronie*).

Miałażbym mylić się w rachunku?
Tak zimno to przyjęła?

STAROŚCINA.

Cześnik go sprowadza...
Ja i widzieć nie będę... Co mi on przeszkadza?

MARCYBELLA.

To cię nie gniewa? tyś jest dobroci aniołem!

STAROŚCINA.

Że Cześnik chce bratanka widzieć; że się społem
Pocieszą po rozstaniu—czyżby gniewać miało?

MARCYBELLA.

Tyś tak dobra!

(*na stronie*)

To mi się jakoś nie udało!

(*wychodzi powoli*).

http://rcin.org.pl

SCENA IX.

STAROŚCINA (*sama*)

(staje zamyślona).

On tutaj! o dwa kroki odemnie... w tym domu...
Ach! serca chyba nie ma!! Uderzenie gromu
Takby mnie nie strwożyło!... A! jeszcze drżę cała.
Jemu! jemu, któregom tak niegdyś kochała,
Który może mnie kochał... dziś już nic nie znaczy
Przybyć tu... I serce mu nie pęknie z rozpaczy!
Mógł się widzieć gdzieindziéj... jemu wszystko jedno...
Nie pomyślał już o mnie; jam już dlań powszednią
Niewiastą jakąś... Nie wie, że serce rozdarte
Jeszcze krwią płynie... rany dotąd nie zawarte...
A myśl, co chce zapomnieć, wciąż z grobu wywleka
Zabitą miłość dawną... i trupa człowieka!
Tacy oni są wszyscy... im miłość—zabawką,
Dla nas—życiem lub śmiercią... ostateczną stawką...
O! niechże smutku mego zdrajca nie zobaczy...
Ja muszę być wesołą, nie mogę inaczéj
Przyjąć go! Dlań tryumfem byłyby łez ślady...
Więc posłać po muzykę... pospraszać sąsiady...
Będę się bawić... szaleć, choćbym to wesele
Miała przypłacić życiem.,! Wartoż ono wiele?
Uśmiechnę się Żegocie... Bodzancie... starcowi...
Może podpatrzy przecie, albo mu kto powie.

http://rcin.org.pl

SCENA VI.

STAROŚCINA—CZEŚNIK (*wchodzi żywo*).

CZEŚNIK.

Mówi mi panna, że mnie Starościna woła?
Staję więc do jéj usług.

STAROŚCINA.

Nie wzywałam zgoła....

CZEŚNIK.

Ze zbytniéj gorliwości znać się przysłyszało...
Nie przeszkadzam?

STAROŚCINA.

Nie wcale.

CZEŚNIK (*na stronie*).

O! już się wydało!
Lecz przedemną się tai...

STAROŚCINA.

Przyznam się, żem rada
Nawet twemu przybyciu; bo mi się wypada
Poradzić was, Cześniku.

CZEŚNIK.

Służę, sercem całem.

STAROŚCINA.

Rzecz wielkiéj bardzo wagi.

CZEŚNIK (*kłania się*).

Serce ci oddałem,
Starościno, i wierzyć możesz, żem gotowy
Dla twego szczęścia, staréj choć nałożyć głowy.

STAROŚCINA (*zbliżając się do niego*).

No! więc szczerze mi powiedz.... co o téj młodzieży...
Trzymasz?

CZEŚNIK (*powoli*).

Tu zdania swego pytać się należy.
Nie mojéj rady... Serce twe własne odpowie.

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA.

Przyznasz, że biedne wielce położenie wdowie,
Że tych gachów najazdy, ten niepokój w domu
Niemiłe są, a mnie też jeszcze mniéj niż komu.
Ludzkie języki lekkie...

CZEŚNIK (*żywo*).

Was dotknąć nie śmieją!

STAROŚCINA.

Lecz to męczy...

CZEŚNIK.

To zwykłą jest życia koleją...
Starościno kochana...

STAROŚCINA.

Jakaż na to rada?...
Co czynić?

(*po chwili*).

Jak uważasz Żegotę sąsiada...

CZEŚNIK (*zwolna*).

Dobry chłop... żołnierz tęgi, nieco frant, człek taki,
Jakich tysiąc Bóg stworzył... są cnoty i braki...
Lecz każdy je mieć musi; by zapomnieć wady,
Trzeba człeka ukochać, to piérwsza część rady.
Wątpię, ażebyś miłość już czuła ku niemu.

STAROŚCINA.

Nie... dotąd... Cóż Bodzanta?

CZEŚNIK.

Nic przeciw temu...
Jest to ciasto, z którego co kto chce ulepi...
A jabym gotowego jakoś wolał lepiéj.
Chciałażbyś się urzędu dlań podjąć mistrzyni?
I tego są przykłady! Miłość, co chce, czyni...
Ale kochać znów trzeba...

STAROŚCINA.

Chłopię dobre, miłe...

CZEŚNIK (*ciągnąc daléj*).

Czemuż nie? Masz Asindzka na nas dwoje siłę
I rozumu w dwójnasób... A trzeba za dwoje,
Bo ów coś ma nie wiele...

STAROŚCINA (*grożąc mu*).

Cześniku!

http://rcin.org.pl

CZEŚNIK *(śmiejąc się)*.

Ha! broję!

STAROŚCINA.

Nielitościwy jesteś!

CZEŚNIK.

Nadtom litościwy.
Sądzę jeszcze łagodnie; nie byłyby dziwy,
Gdybym ostrzejszy wyrok dał, gdzie o was chodzi...
Wszystko to jeszcze gachy... pół ludzie, bo młodzi...
Co z nich kiedyś wyrośnie, Bóg wie i kobiéta.
Ale jeśli o radę Starościna pyta,
Muszę sumienne jeszcze raz powtórzyć zdanie...
Jedna miłość konieczna jest w małżeńskim stanie:
Ona wady przerabia, ona za nie płaci,
Ona ludzi przetwarza, dopełnia, bogaci...
Z szacunkiem i przyjaźnią pokój święty w domu,
Lecz spokojna tęsknota... a łzy pokryjomu...
Czemuż to Starościna wielbicieli liczy...
A trzeciego gdzieś w ciszy trzyma tajemniczéj...

STAROŚCINA *(żywo)*.

Strukczaszego? człek godny!

CZEŚNIK.

Godny! lecz cóż potem,
Kiedy mu wąs siwieje... Dobrym by obrotem
Było i mnie zarazem i was oswobodzić,
A z panną Marcybellą starać się ich zgodzić...
Para wcale dobrana...

STAROŚCINA *(na stronie)*.

Coś milczy o swoim...

CZEŚNIK *(na stronie)*.

Udaje obojętną...

STAROŚCINA *(głośno)*.

My ich w łatki stroim,
A to są wszyscy ludzie mili i poczciwi,
O takich dziś nie łatwo; mnie to bardzo dziwi,
Żeś Cześnik taki trudny...

CZEŚNIK *(żywo)*.

Nie chcę dać na kartę...
To co wielkiego szczęścia za cnoty jest warte...
O was idzie...

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA.

Dziękuję, pomyślim..

CZEŚNIK.

A! pani...
Tu myśléć niéma nad czém!

STAROŚCINA.

Daruj, łatwo gani,
Kto, jak ty, po ojcowsku dziecię swoje kocha...
Ale ja jestem stara, ochłodła, niepłocha...
I ważę; w każdym jest coś dobrego...

CZEŚNIK.

Ni słowa.
W Strukczaszym się szczególniéj podoba wymowa;
Żegota w słowach rycerz, a Bodzanta! dziwy!
I koniarz doskonały i tęgi myśliwy!
Na przyjaciół wyborni.

STAROŚCINA.

Znów nie masz litości.

CZEŚNIK.

Mam ją i mam tak wiele, że zbytek jéj, pani,
Już na was wylać miałem... Czas nie do zazdrości,
Kiedy taka kobieta... tych gachów nie gani!
I ta, coby wybierać mogła w ludzi tłumie,
Nad Żegotę, Bodzantę, nic znaleść nie umie—

(*na stronie*).

Zmieszała się...

STAROŚCINA.

Cześniku, prawda, czas nie lada...
A zatém co dał Pan Bóg, w tém wybrać wypada...

(*na stronie*)

Wymienię z nich jednego, by skryć tajemnicę...

(*głośno*)

Cóż mówisz o Żegocie?

CZEŚNIK (*patrząc na nią*).

Rumienią się lice!
Drżysz? byłżeby szczęśliwym? On! a! mówcie szczerze...

STAROŚCINA (*zlękniona*).

Ach! nie... nie... mój Cześniku, tylko chęć mnie bierze
Lepiéj go poznać, wstrętu nie mam....

http://rcin.org.pl

CZEŚNIK (*kłaniając się*).

A więc—cicho!
Skoro serce wyrzekło, rozum radzi licho...

STAROŚCINA (*żywo*).

Ale nic nie wyrzekło!

CZEŚNIK.

Wolisz go nad innych?

STAROŚCINA (*waha się*).

Wolę...

CZEŚNIK.

Miłość od takich uczuć się niewinnych
Zaczynać zwykła... A więc z bożą wolą!
(*Starościna odchodzi powoli*).
Biedny Hołub! Ha! ze złą czyli z dobrą dolą
Pogodzić się potrzeba... Próżne me staranie...
Niechże się wola Pańska a nie moja stanie...

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

http://rcin.org.pl

AKT II.

Scena przedstawia ganek domku ogrodowego, mieszkanie Cześnika, otoczony klombami i drzewami dokoła. Z ganku drzwi otwate do wnętrza domku. Na prawo i na lewo ścieżki do ogrodu. W głębi stare drzewa i gąszcze.

SCENA I.

CZEŚNIK—HOŁUB (*w ganku*).

CZEŚNIK.

Niechże ci się przypatrzę... wyściskam, popieszczę...
Mój ty miły Hołubie! nacieszyć się jeszcze
Nie mogę tobą... Długom nie widział się z wami!
Bóg łaskaw, całoś wyszedł z Tatary, z Szwedami
Z kozaki się tam rąbiąc... Zmizerniałeś nieco...
Oczy ci trochę wpadły... ale życiem świecą...
Twarz trochę zasępiona, tęskna i ponura
A nad czołem ci smutku wisi jakaś chmura.
Jak nieboszczyk Radziwiłł, co wielkie podróże
Odbywał, mówił niegdyś o téj Włochów górze,
Którą nazwał Vesuvium... wieczny ogień w łonie
A nad nią wieczna chmura... Cóż tam w waści płonie?
Czy téż ogień?...

HOŁUB.

Był niegdyś; wygasa powoli...
Kłamałbym, mówiąc, że już nic wewnątrz nie boli,

http://rcin.org.pl

Że popioły z pożaru zimne pozostały...
Jest popiół, lecz są jeszcze i węgli kawały
I żużle niedogasłe—twe serce odgadnie,
Że przybycie w to miejsce, ogień, co tli na dnie,
Rozpłomieni, nie zgasi... doleje oliwy...

CZEŚNIK (*niecierpliwie*).

Ał! jam to stary głupiec! i tak nieszczęśliwy,
Żem chcąc dobrze...
(*wstrzymuje się*).
Bo po co było tu sprowadzać?
I ogień ten rozżarzać, by sobie dogadzać...
No! ot powiem ci szczerze, nie całkiem dla siebie,
Nie serca to własnego folgując potrzebie
Ściągnąłem cię tu... chociaż napróżno, mój drogi!
Kobiety są poganki, czczą rozliczne bogi...
I nie jednego tylko... ał! słabe istoty!
Starzy jak ja... gdzieś, kurzéj dostają ślepoty...

HOŁUB.

Spokojny bądź, Cześniku, jechałem ostygły...
Bez złudzeń i nadziei, ani mnie dościgły
Marzenia twe, nie czułem nic... oprócz boleści...
Znane mi serce kobiet, obyczaj niewieści...
Ta co mogła poświęcić najpierwsze kochanie
Dla kaprysu swéj matki... kochać nie jest w stanie.
Nie wielce mnie kochała! a na miłość ową,
Lata sypnęły ziemią zapomnień grobową...
Smutki, bóle, ostatnie zgasiły iskierki...

CZEŚNIK.

Tak! tak! Nie w naszym wieku szukać bohaterki;
Zgasły już owe iskry... i łudzić się próżno.

HOŁUB.

No! jam téż się nie łudził.

CZEŚNIK (*zamyślony*).

Nie można, nie można...
Chwalić Boga, bo to ci oszczędza zgryzoty...
Trzeba o niéj zapomnieć, w inne pójść zaloty...
Znaleść dziewkę poczciwą gdzie w szlacheckim dworze,
Zaswatać się i żenić, bo to prawo boże.
Szlachcic, dopóki młody, żołnierz... gdy się starzy,
Gospodarz. Niech i rotmistrz siądzie, gospodarzy...
Tak życzę.

http://rcin.org.pl

HOŁUB.

Daruj, drogi Cześniku, nie mogę.

CZEŚNIK.

Czemu?

HOŁUB.

Umrę trzymając na strzemieniu nogę
A zbroicę na piersi—to kochanka moja...
Ta żelazna, pogięta i wytarta zbroja...
Narzeczona, ta szabla krwią Turków obmyta,
A gospodarstwem mojém obóz; aż zaświta
Ów ranek pożądany, gdy kurhan gdzieś w stepie
Razem z braćmi przysypie... i spoczną te ślepie,
Co dosyć w świat patrzały, a kości przeleżą,
Aż sądny dzień je nową okryje odzieżą...

CZEŚNIK.

Tylkoż tak znów nie mówcie!

HOŁUB.

Nie umiem inaczéj.
Byłyć lata nadziei; dziś...

CZEŚNIK (*przerywa*).

Lata rozpaczy?
Pfuj do kata!

HOŁUB.

Nie rozpacz przyszła, ale zima
I kwiatkom już nie kwitnąć i zieleni niéma...
Godziłożby się, abym biedne dziewczę młode
Wiązał sobą jak kamień do szyi i w wodę...
Dał mu serce podarte i kości pobite
I za cudzy grzech karał niewinną kobiétę?

CZEŚNIK.

Cóżeś to ty, taki stary?

HOŁUB.

Okrutnie; niekiedy
Lat swych nie doliczam, tylem przebył biedy.

CZEŚNIK.

Ależ porzuć te myśli; przyznam ci się szczerze,
Kiedym cię tu przyzywał, jeszczem był w téj wierze,
Iż się tu coś da zrobić... Myślałem inaczéj...

HOŁUB.

Dosyć! Serce zapomni, ale nie przebaczy...

http://rcin.org.pl

CZEŚNIK (*żywo*).

Już też i waść mnie burzysz temi gniewy swemi!
Co ty jéj masz przebaczać? Wszak czystszéj na ziemi
Niéma nad tę istotę... Wiész, co matki władza?
Rodzice dziecku każą, kto słucha, nie zdradza,
I obowiązek spełnia piérwszy jako dziecię...
Jam był świadkiem jéj męki, łzy widziałem przecie
I mdłości i rozpacze i gwałt jéj zadany.

HOŁUB.

Wszakże miałem jéj słowo?

CZEŚNIK.

Ucisk niesłychany!
Kłamstwami ją uwiedli, pozmyślano listy,
Pierścionek jéj fałszywy, jak ślad oczywisty
Twojego przeniewierstwa, przynieśli, wszak mało
Życie jéj z tą boleścią że nie uleciało...
Tak matce było pilno sprzedać swoje dziecię.

HOŁUB (*niecierpliwie*).

No! dość! to stare dzieje! tak to zawsze w świecie...
Rzecz skończona... i kwita.

CZEŚNIK.

Tak, lecz miałem w głowie,
Że tę uschłą latorośl moim tchem odnowię.
A w tém się omyliłem...

HOŁUB.

Jam nie miał nadziei...

CZEŚNIK.

Dziś, po czasie...

HOŁUB.

Złamane nigdy się nie klei...

CZEŚNIK.

Jakiś tam pan Żegota przypada do smaku...

HOŁUB.

Szczęść Boże.

CZEŚNIK.

Ani żalu ani bolu znaku?...

HOŁUB.

Co? po płochéj niewieście? Dziś ten—jutro inny...

CZEŚNIK (*niecierpliwie*).

A no cicho, nie płocha jest a tyś—dziecinny,

http://rcin.org.pl

Chciałżebyś ty ostygłszy, by jéj miłość trwała?
A czyja w tém jest wina? Waszeci jest cała!
Tak! opuściłeś biedną, stęsknioną, samotną,
Wzgardąś na jéj odezwę obesłał dwukrotną..
Cóż miała począć?

HOŁUB.

Milczę...

CZEŚNIK (*smutno*).

Poszły z dymem plany.

HOŁUB.

Mnie dziwi, żeś je tworzył, Cześniku kochany.
Ja, gdybym miał nadzieję, straciłbym ją w progu...
A toć tu wrzawa! uczta! lusztyk chwała Bogu!
I dom wcale nie wdowi, ani tak żałobny,
Raczéj coś do zajezdnéj gospody podobny...
Jeźli tak zawsze u was...

CZEŚNIK (*niecierpliwie*).

A gdzież u licha!
To rzeczy niepojęte! Toć domina cicha,
Kątek jakby klasztorny, dopiéro Żegota
Musiał humor odmienić, i przeszła tęsknota...
Zaszumiało tu u nas... Rzecz mi niepojęta...
Pójdęż i ja tam tego zakosztować święta.
Wypada mi się przecie pokazać na chwilę...
A waść tu siedź zamknięty...
(*wskazując na drzwi*).
Z powrotem przypilę.

HOŁUB.

Idź, kochany Cześniku, nie frasuj się o mnie.

CZEŚNIK.

Trzy kroki, wnet z powrotem... tylko się przypomnię.

http://rcin.org.pl

SCENA II.

HOŁUB (*sam chodząc po ganku*).

Chyba Bóg tę niewiastę utworzył inaczéj!
Tyle lat... tyle smutków; wśród łez i rozpaczy,
W gniewie, ciągle mi ona przed oczyma stawa,
Jak widmo jakieś białe, zbolała i łzawa...
I zapomnieć nie mogę. Myślałem na wojnie,
Że ze krwią pamięć stracę, a lałem ją hojnie...
Że serce mi wśród twardych skamienieje ludzi,
Że trud te głupie szały młodości wystudzi...
Kłamałem przed Cześnikiem—serce pierś rozbija,
Od czasu jak tu jestem, znowu wspomnień żmija
Kąsa mi ją i szarpie. Tylko raz, zdaleka...
Ujrzéć ją,—raz zobaczyć spragniona powieka...
(*przerywa nagle*)
Nie! po co? by oszaléć tym widokiem gorzéj
By napić się trucizny, która mnie umorzy!
Nie chcę, nie chcę! pojadę! ucieknę, dość tego...
Ciszéj, serce...
(*przerywa*)
Rozważmy, ale cóż w tém złego?
Prosta tylko ciekawość. Cóż to mi zaszkodzi?
Czy tak zawsze wygląda, jak kiedyśmy młodzi
Durzyli się wzajemnie miłośnym napojem,
Jaką ją jeszcze zawsze widzę w sercu mojem!
Spojrzę, tém się wytrzeźwię, ostudzę, uleczę,
Ujrzę zimną, wesołą i ten szał uciecze...
Tak, to dobre lekarstwo... Lecz jak niewidziany...
Potrafiłbym się podkraść pode dworu ściany??

http://rcin.org.pl

SCENA III.

(*Hołub zamyślony chodzi. Żegota naprzód za sceną woła, potém nagle wpada na ganek, nim Hołub miał czas ujść*).

ŻEGOTA (*za sceną*).

Hej! Cześniku kochany! hola! hę! Cześniku!
To się zadział, gdy mego już nie słyszy krzyku...
Starościna posyła; gonię, szperam, łapię...
A ten gdzieś lub się modli albo może chrapie...
Hola! mości Cześniku... tu cicho, jak w grobie...
(*postrzegając Hołuba*).
Ach! kogoż to ja widzę? stój!
(*Hołub chce uciekać*).
Hołub! Co tobie?
Czegoż uciekasz? cóż to?

HOŁUB.

Cyt! a! cyt, na Boga!

ŻEGOTA.

Uściśnijmy się, bracie... skądże ci ta trwoga?
Przecieżeśmy bratersko szli razem na Szweda,
A tu i znać mnie nie chcesz!

HOŁUB.

Otóż znowu bieda!
Cicho! na Boga! cicho! mam powody moje...
Dla których tu widzianym nawet być się boję...
(*Starościna ukazuje się z boku domu, skrada i przysłuchuje rozmowie ostrożnie, niewidziana*).
Zlituj się, nie mów o mnie!

ŻEGOTA.

Nie powiem i słowa...
Domyślam się ja trochę! A! od czegoż głowa!

HOŁUB.

I nic się nie domyślaj, byś nie zgadł fałszywo...

ŻEGOTA.

Starościna...

HOŁUB.

Nie znam jéj...

http://rcin.org.pl

ŻEGOTA.

O! o! co za dziwo!

HOŁUB.

Nie znam...

ŻEGOTA.

Nie może być...

HOŁUB.

Choć znałem, ale nie znam, mówię.

ŻEGOTA.

Więc to nie wy serduszko złapaliście wdowie?

HOŁUB.

Daj mi pokój!

ŻEGOTA.

Więc bajkę spletli mi...

HOŁUB.

Och! brednie...
Nigdym się w niéj nie kochał...
(śmieje się).
Ja! a to jest przednie!
Byłeś spojrzał, zabawił, przysiadł się do kogo...
Żeby plotki nie zrobić, wytrzymać nie mogą.—

ŻEGOTA.

Czegoż się tu ukrywasz?

HOŁUB.

Mam ważne powody...
Jest proces familijny... z niego korowody,
Trochę kwasów... Chciałem się przejednać z Cześnikiem.
Jakeś łaskaw, nie wspomnijże o mnie przed nikim.

ŻEGOTA.

No? Na prawdę?

HOŁUB.

A ręczę! prawdę mówię całą...

ŻEGOTA.

Chwała Bogu! Zląkłem się! w piersi tchu nie stało!
Bałem się, żebyś mi ty nie zdmuchnął téj wdowy,
Bo to kąsek królewski! i ja-m już gotowy
Dla niéj się ustatkować.—Cóż to za bogini!
Jaka rączka! buziaczek! Wszystkie inne przy niéj
Kucharki wyglądają. Miła, dobra, słodka!..
A łagodna! a w oczkach jaka to pieszczotka...

http://rcin.org.pl

Jaki urok, co człeka roztapia powoli,
Przytém śliczny posażek... przybytek nie boli.
Słowem, że się ożenię, byle tylko chciała...
A myślę, że nie będzie od tego... Bez mała
Już te oczki coś mówią... coś czuléj spoziera..
A gdy ujmę za rączkę, nie zaraz odbiera...
A uśmiecha się wdzięcznie, wyróżnia mnie w tłumie,
O! kobieta nie głupia i poznać się umie.

HOŁUB (*zimno*).

Winszuję!

ŻEGOTA.

Cóż tak zimno?

HOŁUB (*podobnie*).

Nie zwykłem goręcéj.
Wszak to jeszcze marzenia, nadzieje, nic więcéj.
A w małżeństwie nie wprzódy winszować należy,
Aż para lat szczęśliwych w pokoju ubieży.

ŻEGOTA.

Ale—w małżeństwie wszystko zawisło od męża;
On to szczęście zapewnia, on biedy zwycięża;
A ja sobie dam rady! I u mnie kobiéta
Musi tańczyć, jak zagram. Znaj pana i kwita!
A że mi Starościnka zdaje się łagodną,
To z nią zrobię, co zechcę... i nie panią modną,
Ale dobrą gosposię..!

(*mówiąc wchodzą przez drzwi do wnętrza domku. Starościna pokazuje się z boku na ścieżce i pogląda za niemi*).

SCENA IV.

STAROŚCINA (*sama mówi żywo*).

Widziałam go! Blady!
Ilu trosk i niewczasów w jego twarzy ślady!

http://rcin.org.pl

Czyżby cierpiał!?... O! pewnie nie z przyczyny mojéj!
Ja-m tylko tak szalona! Rana się nie goi...
Leciałam tu bez wstydu, niepomna, że może
Ktoś mnie śledzić, podpatrzéć!—A! zlituj się Boże!

(*myśli*).

Jakie oczy przygasłe i chmura u czoła!
Serce—o nędzne serce... zapomnieć nie zdoła...
On się wyparł, zapomniał... ja płaczę i płaczę...
I gonię, jak szalona... czy go nie zobaczę...

(*po chwili*).

Co za urok w téj twarzy smętnéj, w głosie, w mowie,
Gdy ten głos usłyszałam, wszystko się w méj głowie
Zmąciło—chciałam lecieć, rzucić się szalona...
Do nóg jemu, na piersi, paść w jego ramiona...
O! bezwstydna! bezwstydna! Wstrzymał mnie Żegota.
Coś mówił, nie słyszałam... pragnienie, tęsknota
Ciągnęły mnie ku niemu... czuję nieszczęśliwa...
Że jeśli nie on, to nikt...

(*smutnie*).

Nikt!... bo on się gniéwa.

SCENA V.

ŻEGOTA.—HOŁUB.

(*Starościna ukryta z boku domu w krzewach*).

(*Rozmawiający wychodzą na ganek powoli*).

ŻEGOTA.

Tak, kochany Rotmistrzu, żyjem tu wesoło...
Starościna w początkach chmurne miała czoło,
Trochę się jakoś na nas patrzała z obawą...
Teraz już jest weselszą i na mnie łaskawą.

http://rcin.org.pl

Mam ci ja tu szermierzy, co wraz ze mną gonią...
Ale się ich nie boję... już spokojnym o nią...
Oczki coś mi mówiły! Ho! znam ja kobiety,
Bom też je praktykował, przeróżne, niestety!
Strukczaszy mąż jest zacny, lecz człek odleżały,
Choć stroi koperczaki z wielkiemi zapały,
Lecz to ogień słomiany, a ten młodzik drugi
Pójdzie też sobie z kwitkiem po chwili niedługiéj.
I ja targu dobiję!

HOŁUB.

Dziwnie mówisz chłodno.

ŻEGOTA.

Najgorzéj brać gorąco... Ja chwilę dogodną
Znajdę, wypatrzę, schwycę... po żołniersku, panie...

HOŁUB.

Nie kochacie jéj, gdyście tak rachować w stanie.

ŻEGOTA.

Ja kocham po swojemu, nie tak ślamazarnie,
Jak wy, co to gdy miłość serce wam ogarnie,
To przytomność tracicie. O! ja nie szaleję.

HOŁUB.

Więc nie kochasz...

ŻEGOTA.

Przez różne-m przechodził koleje...
I to wiem, mospaneńku, że kto kocha srogo,
Ten głupi... a ludzie z nim co chcą zrobić mogą...

(*podśpiewuje*).

Niech szaleją kobiecięta
A Jegomość niech pamięta,
Że wszelaka miłość sroga...
Istna kara Pana Boga...

HOŁUB (*wzdychając*).

Szkoda mi was obojga, bo z takiego stadła
Szczęścia pono nie będzie.

ŻEGOTA.

A no kość już padła...
Stało się! Serce, prawda, trochę mi przywiędło,

http://rcin.org.pl

Ale się jeszcze z niego afekt będzie przędło...
Ile na chleb powszedni potrzeba...

BODZANTA (*za sceną*).

Żegota!

(*Na głos ten Hołub się kryje, Żegota ucieka, Starościna w drugą stronę...*).

SCENA VI.

BODZANTA (*wchodzi wołając*).

Hej! Cześniku! Żegoto! dyabeł niemi miota!
Wszystko się rozleciało, tak że z gości wiela
Zostało się nas dwoje, ja i Marcybella...
I już się niebożątko zaczęło brać ku mnie,
Gdym się jakoś ucieczką salwował rozumnie,
Ale gdzież ci Ichmoście? Gdzie jest gospodyni?
Gdzie ten urwis Żegota... Coś się tu źle czyni...
Miałżeby mnie ten żołdak, ciur jakiś, ghur taki
Odsadzić od téj wdowy?
Mam coś złe poszlaki...
Nigdzie, nikogo, pusto... ni żywego ducha...
Gdzież się popodziewali? Czy znów Jejmość słucha
Strukczaszego powieści o sławnym procesie!
Czy Żegota ze Szwedem, co go za kark niesie...
A! ciężki chleb o wdowę swobodną staranie;
Jużbym wolał o pannę... Tę zawsze zastanie
Na swém miejscu, wiesz kędy i gdzie się podziewa;
Konkury idą wolno, czas trochę upływa,
Ale za to, jakgdybyś czytał wszystko z księgi,
Dziś to, a jutro tamto, do saméj przysięgi,
A tu, jak wiater w polu wdówka się wywija...

(*postrzegłszy nadchodzącą Marcybellę, uchodzi w przeciwną stronę żywo*).

---

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

MARCYBELLA (*wchodzi, oglądając się*).

Cóż to jest? gdzież mój Cześnik? godzina już mija,
Jak go nie ma... a w domu jakieś szepty, dąsy...
Rozchodzą się, coś mruczą, Cześnik szarpie wąsy,
Żegota podśpiewuje—Bodzanta się rzuca,
Strukczaszy, krzycząc ciągle, zerwie sobie płuca...
Ja-m sama... ciągle sama, stęskniona... niepewna...
Starościna, jak jaka zaklęta królewna
Niezrozumiała, ani wydobyć z niéj słowa,
Ucieka, milczy, płacze, gniewa się i chowa.
Cześnik! niewdzięczny... ale srodze go ukarzę...
Na Strukczaszego pierwsze już wysłałam straże...
Mogłabym go przywabić... cóż, gdy go nie lubię!
Ale gdzie nasz tajemny gość? Coś o Hołubie
Ni słowa, a Żegota sunie coraz daléj.
Bardzo źle idą rzeczy... choć z niemi oszaléj!

SCENA IV.

MARCYBELLA.—CZEŚNIK *nadchodzi od ogrodu.*

CZEŚNIK.

A pani tu co robi?

MARCYBELLA (*przestraszona*).

Ach! Cześnik!

CZEŚNIK.

Tu!... u mnie...

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA (*kwaśno*).

Co robię? Przecież kiedy wszyscy idą tłumnie
Do ogrodu, mnie także wolno pójść za niemi.

CZEŚNIK.

Nie przeczę...

MARCYBELLA.

Alem zawsze ja, na całéj ziemi
Najbiedniejszą istotą.

CZEŚNIK.

Skądże takie żale?
Cóż się stało?

MARCYBELLA.

Nie stało się przecież nic wcale...
Szłam tędy...

CZEŚNIK.

Ja nie pytam... lecz za co gniew na mię?

MARCYBELLA.

Nie gniew, ale pogarda... ja uczuć nie kłamię...
I co czuję, to mówię.

CZEŚNIK.

Ja także.

MARCYBELLA.

Nie zawsze —

CZEŚNIK.

Kiedyż skłamałem?

MARCYBELLA.

Dzisiaj.

CZEŚNIK.

O słówko łaskawsze
Błagam.

MARCYBELLA.

Na cóż się Waści przydało me słowo?

CZEŚNIK.

Nie chcę mieć nieprzyjaciół...

MARCYBELLA (*żywo*).

Mnie to jednakowo,
Czy ich mam, czy nie mam.

http://rcin.org.pl

CZEŚNIK (*na stronie*).

Zła coś dziś za katy!

(*głośno*).

Więc milczę.

MARCYBELLA.

Dzień dzisiejszy w wypadki bogaty!
Różne kleją się rzeczy. Nasza Starościna
Coś Żegotę przyjmuje, a i mnie poczyna
Strukczaszy nadskakiwać... jest dobra nadzieja.
Dwa wesela!

(*dyga*).

Ja żegnam pana dobrodzieja...

SCENA IX.

CZEŚNIK *sam, później nadchodzi* STRUKCZASZY.

CZEŚNIK.

Ślicznie się składa! prawda! ona i Żegota!
A mój biedak! wyżera serce mu tęsknota!
Nie uleczył się jeszcze... choć zimnym być mieni...
Tkwi tam pono w popiołach coś starych płomieni...
Idę.

STRUKCZASZY (*wstrzymuje go rozwartemi rękami*).

Czekaj, Cześniku, no, dokąd tak skoro?
Ja cię szukam, bo tu dziś wszystko dyabli biorą!
Sam już nie wiem co robić, chcę zasięgnąć rady.

CZEŚNIK.

Mojéj?

STRUKCZASZY.

Tak jest, kochanie. Z całéj méj parady,
Z koni, kontusza, spinki, widzisz pewno jasno,
Żem tu przybył nie darmo! Niech pioruny trzasną!

http://rcin.org.pl

Wdowa mi przez dni parę dosyć była względną...
Ale moje wawrzyny niedojrzawszy więdną...
Jak ci się zda?

CZEŚNIK.

Pierwszy raz o projekcie słyszę...

STRUKCZASZY.

Niceś się nie domyślał?

CZEŚNIK.

Nie.

STRUKCZASZY.

Tu te hołysze,
Jakoś mi w drogę włażą; a szparkie to, młode
I inaczéj prowadzą rzeczy, niż ja wiodę...
Gotowi mnie odsadzić, otóż przyznam ci się,
Że mi wstyd pójść z odkoszem, a coś widzi mi się,
Że to być—może...

CZEŚNIK.

Może.

STRUKCZASZY (*potrząsa głową*).

I ty mówisz—może!
Niechże to dyabli wezmą!

CZEŚNIK.

Przyjm swój los w pokorze.—

STRUKCZASZY.

Ale ba! Cóż młodemu, Cześniku, kochanku,
Choćby codzień odbierał po grochowym wianku,
Ale go na łysinę włożyć—rzecz nie ładna...

CZEŚNIK.

Nie starać się o niego!

STRUKCZASZY.

Miałażby już żadna
Nie poznać się też na mnie!

CZEŚNIK.

Ba! szukajże lepiéj!

STRUKCZASZY.

Gdzie?

CZEŚNIK.

Dokoła; a młodość niech cię nie oślepi...
Samci już poddeptany, weź Jejmość stateczną...

http://rcin.org.pl

STRUKCZASZY.

Juściż... młodą wolałbym...

CZEŚNIK.

Ej! to niebezpieczno!
Lepiéj coś podżyłego!

STRUKCZASZY (*cicho*).

Bo waść nie znasz świata!
Jeśli w kim dyabeł pali, to na starsze lata!
A ta co wyczekała czterdziestkę mospanie...
Nie jednemu chociażby za dwie młode stanie.

CZEŚNIK (*śmiejąc się*).

Jaki z waści koneser!

STRUKCZASZY.

Ale rada w radę...
Jak mam dostać arbuza... to lepiéj pojadę.

CZEŚNIK (*z cicha po namyśle*).

A panna Marcybella?...

STRUKCZASZY.

Co? co?
(*myśli*).
Nie od rzeczy!
Mogę zwrócić, od wstydu to mnie zabezpieczy...
A nie daż mi odkosza?

CZEŚNIK.

Ta odkosza nie da!
Wcale jeszcze przystojna.

STRUKCZASZY.

Zbyt czuła... to bieda...
Ale pomyślę wszakże, nieco się przybliżę—
Niestety! źle, Cześniku, nosić cztery krzyże...

CZEŚNIK (*z uśmiechem*)!

Ej! czy nie pięć?

STRUKCZASZY.

Nie jeszcze, ale coś już blizko...
Tylko sza!
(*wzdycha*).
Starościny szkoda!

CZEŚNIK.

Ej panisko

http://rcin.org.pl

Darmo o tém myślałeś... nie dla starych kąski,
Takie panie, jak ona...

STRUKCZASZY (*wzdycha*).

Gąska szuka gąski.
At, nie wiedzą mospanie, gdzie jest afekt stały!
Na czémby wyszły lepiéj! Głupi ten świat cały!
(*wychodzi*).

SCENA X.

CZEŚNIK, *późniéj* HOŁUB.

CZEŚNIK (*woła*).

Tst! tst! gdzieżeś?

HOŁUB (*we drzwiach*).

Schowałem się tu przed tą zgrają,
Nieustannie pod domem, do domu wlatają.

CZEŚNIK.

Otóż i ja-m z powrotem, i powiem ci szczerze...
Na to co się tu dzieje, patrzę i nie wierzę...
Wesołość, śmiechy, gwary, zbiera się na tany...
Nigdym tak Starościnéj nie znał rozhulanéj...
Co to jest?

HOŁUB.

Mniejsza o to. Ja tu byłem w biédzie.

CZEŚNIK.

Cóż się stało?

HOŁUB.

Anim się spostrzegł... aż ten idzie,
Ten, Żegota... chcę skryć się, złapał mnie, jak w matni.

CZEŚNIK.

Żegota ci znajomy!?

http://rcin.org.pl

HOŁUB.

O! i jak! w ostatniéj
Razemeśmy potrzebie byli przy Hetmanie,
W jednym stali namiocie, w jednym pili dzbanie.
Drub to mój, chłop jest dobry... ale takich siła...
Żołnierz, a więc potrosze sobie szaławiła...
Zawadyaka poczciwy, gbur nieco, więc Pani
Musiała się coś zmienić, gdy miłym jest dla niéj.

CZEŚNIK (*z westchnieniem*).

Gdzie chodzi o sentyment, nie pytaj przyczyny...
Czemu się ten podoba, nie podoba inny...
To są już tajemnice niezbadane człeku...
Niéma na to prawideł, cnoty, wdzięku, wieku...
Jeden ma wszystko w sobie, coś odeń odpycha;
Drugi, umysł pokorny i figurka licha,
Przyszedł, cicho siadł w kącie a chwycił za duszę...

HOŁUB.

Tak-bo lekko mi paplał o niéj... przyznać muszę,
Że aż mi było przykro...

CZEŚNIK (*smutnie*).

Lekko! szkoda!
Ale to u nich zwykła miłości nagroda...

HOŁUB.

Dziwię się Starościnie.

CZEŚNIK.

Ba! i ja się dziwię...
Ale się jéj uczuciu nigdy nie sprzeciwię.
Albo sama się pozna na lichym wyborze,
Albo nie... a naówczas... ratujże ją Boże!
Ludzkie perswazye często popchną, nie odciągną,
Wiele kwasów narobią, celu nie osiągną...

(*po chwili*).

Dziś Starościna dziwną jest do niepoznania—
Śmieje się, niespokojna... Wejrzenia, pytania
Lecą jak gorączkowe i z ust jéj i z oczu;
To siadała z Żegotą kędyś na uboczu,
To zrywała się jakimś niecierpliwym szałem...

HOŁUB.

Zmieniają się kobiety!

CZEŚNIK.

A no prawda szczera...

http://rcin.org.pl

Ale człek głupi wierzy, że miłość nie zmiera...
Zwłaszcza młoda. Myślałem, gdyś tutaj przybywał,
Że przypadkiem, że jakoś...

HOŁUB.

Ja-m się nie spodziewał...
Powtarzam wam... i... czas mi, pozwól niech odjadę...
Nie dobrze mi tu! W oczach widma jakieś blade
Przeszłości mojéj chodzą... serce znowu boli...

CZEŚNIK.

Ty ją kochasz?...

HOŁUB.

O! nie! nie!

CZEŚNIK.

No to nie—do woli—
Nie to nie; ale skądże ten niepokój taki?

HOŁUB.

Brzydzę się nią... pogardzam...

CZEŚNIK.

Miłość wieloraki
Pozór często przybiera, a najbliżéj bywa
Od największéj czułości, niechęć zapalczywa.

HOŁUB.

Śpieszno mi stąd odjechać, zaraz...

CZEŚNIK.

Czekaj chwilę...
Jutro razem pojedziem, mnie to boli tyle,
Żem cię dawno nie widział, nie pogwarzył dłużéj...
Kto wie, czy się spotkamy już w życia podróży...
Bo ona dla mnie krótka.

HOŁUB.

No, to dziś zostanę...
Ale jutro! przededniem... Konie posiodłane
Muszą być i wyruszam.

CZEŚNIK.

Uczynisz jak wola!
Głupim ja! ależ głupia twa i moja dola!
Dwoje ludzi—dla siebie stworzonych rozdziela!

http://rcin.org.pl

HOŁUB.

Dosyć o tém...

CZEŚNIK.

Zamilczę... rozkaz przyjaciela!

SCENA XI.

CZEŚNIK *i* HOŁUB *zajęci rozmową.* STAROŚCINA *podchodzi nagle i żywo, tak, że* HOŁUB, *który chciał uciec zobaczywszy ją, nie ma na to czasu*).

CZEŚNIK (*na stronie*).

Kocha! rzecz niewątpliwa, a z mojéj przyczyny
Cierpi...

STAROŚCINA (*za sceną*).

Panie Cześniku...

CZEŚNIK.

A! głos Starościny!

STAROŚCINA.

Cześniku!

(*Hołub wstrzymuje się i poważnie kłania się zdaleka*).

STAROŚCINA (*ujrzawszy go*).

A! Wy tutaj!

HOŁUB.

Daruj pani.

CZEŚNIK (*z pokorą*).

Mnie to,
Prosić o przebaczenie wasze...

(*całuje ją w rękę*).

Proszę przeto...
Przebaczcie, zatęskniłem za miłym mym krewnym,
Lecz, że go nie ujrzycie, prawie byłem pewnym...

http://rcin.org.pl

Chciałem się z nim zobaczyć, miał odjechać skoro...
Zaraz... Twój gniew przyjmuję, bom winny, z pokorą...

STAROŚCINA (*hamując się*).

Ależ niéma w tém winy... żadnéj? cóż za wina?
Jakaż-by gniewu mego mogła być przyczyna?
Chyba, że nie ufając mi, robisz tajemnie,
Coś mógł czynić otwarcie. Bardzo mi przyjemnie,
Pana Rotmistrza...

HOŁUB (*zmieszany na stronie*).

Boże! taż sama! a! ona!
Ten głos i to wejrzenie—w niczém nie zmieniona,
Tylko cierpieć musiała...

(*głośno*).

Przebaczenia proszę...

STAROŚCINA.

Jużciż-bym się i mogła pogniewać potrosze...
Że mnie oba mieliście za tak niegościnną...
Mogłam wiedzieć i wiedzieć byłabym powinną...
Myśmy starzy... znajomi...

(*Oboje drżą pomieszani*).

HOŁUB (*nieśmiało*).

Tak... znajomi... starzy...

CZEŚNIK (*na stronie*).

Czyż Pan Bóg jakiéj pilnéj sprawy nie nadarzy,
Coby mnie odwołała? Litościwy panie!
Jak na złość!... nic! krew z nosa! liche to udanie,
Stara sztuka, lecz kiedy nic innego niéma...
Porwę chustkę i wyjdę... to ich razem wstrzyma.

(*głośno*).

Ach! krew... z nosa! przepraszam... powracam w téj chwili...

(*odchodząc*).

Stanę na straży, by ich ludzie nie spłoszyli...

(*znika*).

---

http://rcin.org.pl

SCENA XII.

HOŁUB.—STAROŚCINA (*Oboje ciągle pomieszani, zdala od siebie*).

STAROŚCINA (*na stronie*).

I słówka dla mnie nie ma.

HOŁUB (*na stronie*).

Jak spokojna! chłodna!

STAROŚCINA (*na stronie*).

Powinnabym już odejść... a stoję... niegodna!
Jak przykuta do niego i ruszyć się boję...

HOŁUB (*głośno*).

Pani!

STAROŚCINA (*podobnież*).

Panie rotmistrzu...

HOŁUB (*szydersko*).

Toż dziś imię moje?
Dawniéj'm zwał się inaczéj, lecz zmian zaszło tyle...
Choć imię-by powinno zostać; na mogile...
Imię się zawsze pisze. Toć człeka spuścizna...

STAROŚCINA.

A! minęły te czasy... a wspomnień trucizna
Zbyt gorzka, żebyśmy się częstować nią mieli.

HOŁUB (*żywiéj*).

Tak jest... lepiéj zapomnieć. Obojeśmy chcieli
Zapomnieć się nawzajem, i z pomocą bożą...
Lata dziecinnym koniec wspomnieniom położą...
Chcę... potrafię zapomnieć...

STAROŚCINA.

Tak, chcąc nic trudnego...
Lata i wiele mogą i tak szybko biegą...
Ja także mam nadzieję.

HOŁUB.

Czyż tylko nadzieję?

http://rcin.org.pl

Sądziłem, patrząc na to, co się tutaj dzieje,
Z wesołéj komitywy, gości i biesiady,
Że po dawnych... strapieniach nie zostały ślady.
Znać nawet, że znudzona pani Starościna...
Nowe życie... i nowe... szczęście rozpoczyna...

STAROŚCINA.

A! wszystko to być może...

HOŁUB.

Trafem tu spotkałem
Starego towarzysza; w obejściu się całem,
Z jego mowy, humoru—domyślam się wiele.

STAROŚCINA (*urażona*).

Często źle się domyśla, kto sądzi zbyt śmiele.
Ale gdyby tak było? To rzecz bardzo prosta...

HOŁUB.

Ja się wcale nie dziwię! Ha! drugi Starosta!

STAROŚCINA (*mówiąc daléj*).

Dawniéj świat, dawniéj życie pojęłam inaczéj...
Ale wiek leczy ze snów... marzenia tłómaczy...
Rachowałam do zbytku na aniołów—ludzi...
Których niéma na świecie. Rzeczywistość budzi.
Inném się okiem patrzy na te życia nędze...
A na kimś trzeba oprzéć w téj ziemskiéj włóczędze...
Smutno, ale koniecznie... A wy co téż, panie...
Myślicie czynić z sobą?

HOŁUB.

Nie jestem rzec w stanie...
Nie wiem, wojna przerwana... odpocznę gdzie w kątku...
Potém wici nadejdą: więc znów, do porządku!
Na kresy! do chorągwi i szablę przypaszę...
I znów pocznę rycerską biedną dolę naszę...
Aż kiedyś... jakaś kula albo szabla wroga
Zaprowadzi mnie... z skargą przed oblicze Boga.

STAROŚCINA.

A! czyż ciągle ta wojna?... czas spocząć nareście...

HOŁUB.

Ha cóż! niéma co robić! Żyć nie lubię w mieście.
Wrzawa wojenna dobra, bo jak wino poi...
A pijany nie czuje... choćby nędzy swojéj —

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA.

Cześnik miał jakieś przecie... podobno zamiary...
Kłopotał się, mówiono... szukał dla was pary...

HOŁUB.

Wdzięczen jestem stryjowi, lecz on i nikt w świecie
Już mnie dziś nie ożeni. Cóżbym dał kobiecie?
Resztki człeka i serca, mam przecie sumienie,
Nie chcę zwodzić nikogo... to też się nie żenię...

STAROŚCINA.

Dziwnie jednako na świat patrzymy oboje...
Ja także serca nie dam... zmarło serce moje.
Lecz nie tylko z miłości wszak się ludzie biorą,
Są małżeństwa z szacunku, w których mąż podporą...
Ludzie się wiążą zimną przyjacielską dłonią...

HOŁUB.

Świętokradzkie małżeństwa; na takie nie skłonią
Mnie ni rady niczyje, ani przykład mnogi...

STAROŚCINA.

To prosty rozum tylko...

(*milczenie*).

HOŁUB (*po chwili*).

Któżby zgadł, na bogi!
Że my, cośmy o szczęściu tak niegdyś marzyli
W tych przechadzkach samotnych!.. pomnisz? w téj się chwili
Zejdziemy po lat tylu przeżytych tęsknicach...
Z takim chłodem na ustach... z uśmiechem na licach...
I spotkawszy się... dziwną wieść będziem rozprawę,
Jakie małżeństwo święte... prawe lub nieprawe —
Że my, cośmy przysięgli żyć tylko dla siebie,
Prędko miłość pogrzebiem, jak się trupa grzebie,
O którego się lęka, by nie kaził domu...

STAROŚCINA (*wzruszona ale hamując się*).

Gabryelu! Rotmistrzu... czyjaż wina? komu...
Przypisać ją?... wszak nie mnie?

HOŁUB (*gorąco*).

Jakto? więc nie tobie,
Więc mnie może? Więc ja-m ją położył w tym grobie
Tę świętą miłość naszę, co trwać miała wieki?...
Żołnierz szedłem na wojnę, u twojéj opieki

http://rcin.org.pl

Szczęście, pokój i przyszłość zostawiałem śmiało...
Jak Bóg Kaina spytam... A cóż się z nią stało?
Złamałaś wiarę, mało, tyś wiarę zabiła...
I w kobiety i w ludzi... a byłaś mi, była...
Nad życie droższą... Kiedy wieść tę przyniesiono,
Żeś ślubiła innemu, tego starca żoną...
Chciałem zabić potwarcę, nie dawałem wiary,
By anioł nosił tylko anielskie maszkary!
Ale list, ale pierścień... wreszcie śmierć przyniosły...
Świat się skończył, ja-m umarł, a z grobu wyrosły
Piołuny tylko...

STAROŚCINA.

Słuchaj! nie bluźnij! skończone
Wszystko pomiędzy nami... chwile policzone...
Pożegnamy się dzisiaj do sądnéj godziny...
Tam kiedyś Bóg przeważy moje i twe winy...
Ale chcę, abyś wiedział, ile łez, boleści,
Ile zniosłam męczarni... ile się ich mieści
W tém sercu. Matka chciała,—przebaczam jéj cieniom—
Chciała szczęścia dziecięcia, chociaż przywidzeniom
Ludzkim czyniąc zadosyć. Lecz wiesz, że te listy
Nie ma ręka pisała... że w dzień uroczysty
W dzień kiedy życie moje zakończyć się miało,
Bezprzytomną wleczono przed ołtarz, omdlałą...
Zimną dłoń ksiądz przywiązał, a usta się spiekły
I słowa téż przysięgi świętéj nie wyrzekły...
Znasz-że ty życie moje? pojmujesz ofiarę?
Ale dość! po co rzeczy odnawiamy stare?
To śmieszne!

HOŁUB (*ponuro*).

Tak, bądź-co-bądź, śmierć wolałbym może,
Niźli twoję niewiarę.

STAROŚCINA.

Ja także! mój Boże,
Ależ śmierć nie przychodzi, gdy ją nędzarz woła...

HOŁUB (*przerywając*).

A, teraz w samę porę przybywam, bo zgoła
Widzę, się na powtórne wesele zanosi...

STAROŚCINA (*z uczuciem*).

Rotmistrzu! Już u ciebie nawet nie uprosi
I łza moja litości.—Sądź zresztą, jak wola;

http://rcin.org.pl

Potęp mnie, ale pomnij: twa i moja dola
Przyjdzie na ów sąd kiedyś sprawiedliwy boży,
Który męczeńskie serce na szali położy,
I twoję duszę hardą, wykutą ze głazu...
Bądź zdrów i bądź szczęśliwy...

HOŁUB (*kłaniając się*).

O! tego rozkazu
Nie usłucham! niestety! Bądź szczęśliwą, pani,
To łatwiéj...

STAROŚCINA (*odchodzi i powraca*).

A! ostatniém słowem jeszcze rani!
Jeszcze gniew bucha... słuchaj!
(*czule*).
Nic nie pragnę więcéj,
Tylko słowa pociechy! i dawnéj... dziecięcéj
Przyjaźni... przebaczenia... Rozejdźmy się chłodni,
Ale podawszy dłonie... weseléj... pogodniéj...

HOŁUB (*szydersko*).

Tak! rozejdziem się chłodni! chłód przyszedł i lody...
Zima! Ja tak ostygłem, że dziś na twe gody
Patrzałbym obojętny... Czegoż pragnąć jeszcze?

STAROŚCINA (*załamując ręce*).

A! tyś kamieniem...

HOŁUB (*zimno*).

Tak jest, i już sobie wieszczę,
Że nim wiecznie zostanę. Dziś mój głos na chwilę
Ożył, bom znowu cierpiał... i znów legł w mogile...

STAROŚCINA (*czule*).

Takżem ci była przykrą?

HOŁUB.

Nie... chory wykrzyka,
Choć czuła dłoń lekarza jego ran dotyka.

STAROŚCINA (*coraz goręcéj*).

Gabryelu! mój bracie!
(*Hołub stoi martwy*).
Nie! tyś już bez czucia!

HOŁUB (*zawsze zimno*).

Czuję... lecz, aby cierpiéć—razy i ukłucia,
Nic więcéj. Czyjaż wina?
(*Kłania się, żegnając ją*).

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA (*wzruszona*).

Żegnam cię... na wieki...

HOŁUB.

Żegnam...

STAROŚCINA.

W imię miłości zagasłéj, dalekiéj,
W imię staréj przyjaźni błagam cię — o słowo,
Jedno słówko od serca...

HOŁUB.

Ni sercem, ni głową
Do dawnych czasów, pani, powrócić nie można...
A wywoływać duchy... jest to rzecz bezbożna...
Zimno dziś witam wszystkich i żegnam podobnie,
Bo i w sercu mi chłodno... i w duszy żałobnie.

STAROŚCINA.

Spodziewam się, że kiedyś i tę dziś przebytą
Chwilę cierpień niewinnych policzą...

HOŁUB (*unosząc się*).

Kobiéto!
Niewinnych! ty niewinna?!

STAROŚCINA (*oburzona*).

Teraz ja-m ochłodła...
Słyszysz... głos mój zmieniony... byłam prawie podła...
Zniżyłam się do prośby, lecz głowę podnoszę,
Ani o serce, pamięć... o słowo nie proszę!
W duszy ja-m czysta... tyś mnie nie kochał, mój panie,
Większa tam była duma niżeli kochanie...
Dobrze, żem cię poznała, że węzły te pękły...
Serce cicho odboli, lecz umysł przelękły
Uspokoi je myślą, iż uszło zawodu...
Myśmy kochali... siebie nie znając za młodu...
Tyś okrutny, nieludzki! Dziś cię znam dopiero...
Lituję się nad tobą... widzisz, jestem szczerą.

HOŁUB (*z uśmiechem dzikim*).

Tak dobrze, Starościno... o! tak to wybornie!
Ja-m tyran, ja-m oprawca! wyznaję pokornie,
Miłość ta była szałem i igraszką krwawą...
Łzawym jakimś obłędem... trzpiotowstwem, zabawą...
Ja-m jest dumny okrutnik, po téj głazu bryle
Można się było spodziać chyba tylko tyle...

http://rcin.org.pl

Bezduszny jestem żołdak. Otóż szczęście pani,
Że ją Pan Bóg ratował z téj strasznéj otchłani...

STAROŚCINA (*czuléj znowu*).

Gabryelu! ty szydzisz... a szyderstwo boli...

HOŁUB.

Nie, mówię tylko prawdę – bez rozumu, woli,
Bez serca, jestem żółcią, piołunem, zarzewiem;
Gryzę, piekę, zatruwam... i co czynię... nie wiem...

STAROŚCINA (*płacząc*).

A! po cóżem tu przyszła! a! po boleść nową...

HOŁUB (*na stronie*).

To kobieta... kamienna...

STAROŚCINA (*cichym znużonym głosem*).

Żegnam cię...

HOŁUB (*dziko*).

Bądź zdrową.

STAROŚCINA (*podnosząc głos*).

Czołem, panie Rotmistrzu!

HOŁUB.

Starościno! czołem!

STAROŚCINA (*zimniéj*).

Na zawszeż? Lecz przynajmniéj w dniu ślubu wesołym
Mam nadzieję go widzieć... Proszę na wesele...

HOŁUB.

Przybędę! przyjdę pląsać z drużyną na czele
I śpiewkę już do tańca zawczasu ułożę...

STAROŚCINA.

Bezduszny!

HOŁUB (*na stronie*).

Bezlitośna!

STAROŚCINA.

Bywaj zdrów.

HOŁUB.

Szczęść Boże!
Choćby z trumny, pośpieszę na wasze wesele...

(*Starościna odchodzi żywo, nieprzytomna*).

http://rcin.org.pl

SCENA XIII.

HOŁUB, *później* CZEŚNIK.

HOŁUB (*sam*).

Więc odeszła! wzgardziła... kobieto! aniele!
Niéma jéj! Ja winienem, ja jestem bez serca...
Ona niewinna...

(*Bije się w piersi*).

Tyś jest kat i przeniewierca...
Straciłem ją na wieki... obłąkany szałem,
Nie wiem, co jéj mówiłem... litości nie miałem...
Teraz—wszystko stracone, iść w bój szukać zgonu...

(*wybiega w ogród*).

CZEŚNIK (*we drzwiach*).

Otóżem się doczekał z mojéj pracy plonu!
Słuchałem jak na węglach. Rotmistrz był kamienny,
Ona dobra jak anioł... Stracił moment cenny,
W którym losy obojga rozstrzygł wyrok z nieba...

(*składa głowę*).

Bądź wola Twoja, Panie... ty wiesz, co nam trzeba!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

http://rcin.org.pl

AKT III.

Teatr przedstawia mały pokój, obok bawialnego we dworze Starościnéj. W głębi drzwi szklane otwarte wychodzą na ogród; w prawo otwarte na pół drzwi do bawialni oświeconéj już, w których kiedy niekiedy widać ukazujących się i przesuwających gości, słychać muzykę. W lewo drzwi do innych pokojów wgłębione w mur. Z téjże strony stoi kanapka. Pokój lekko oświecony niewidocznem dla teatru światłem lampy. Na dworze mrok późnego wieczora.

SCENA I.

STAROŚCINA (*sama, przechadza się żywo, niekiedy przysiadając chwilowo na kanapie*).

Tak więc, skończone wszystko—przyszło mi z kolei
Dotknąć ostatniéj, by się rozpadła, nadziei—
Człek żelazny żelazem rozdarł serce moje.
Jakże ja cios ten przetrwam!

(*wskazuje na drzwi bawialni*).

Jak wnijść w te podwoje
Między wesołych ludzi, co wesoło gwarzą,
Z tą duszą skaleczoną, z tą upiora twarzą!...
Wszak z oczów rozpoznają, co mi duszę nęka.
Ja umieram—ja konam—

(*rzuca się na kanapę*).

Wyda się ta męka.

http://rcin.org.pl

Piersi łzami wezbrały... O! męstwa, kobieto!
Żyj, chociażeś umarła, śmiéj się, choć zabito...
Ostygnij, zdrętwiéj, zamilcz, bądź jemu podobną
I szyderstwem przykrywaj swoję myśl żałobną,
A! wina moja... moja! nadto byłam dumną...
Chciałam udawać chłodną, wyziębłą, rozumną.
Czemuż na pierś ze łkaniem nie rzucić się było?
A nużby mnie odepchnął?... A! toby dobiło...
Nie dosyć byłam czułą... jakiś strach ucisnął,
Słowa w ustach konały, ten wyraz zawisnął,
Który rzec było trzeba... Ja cię kocham stale...
Ja-m twoja!... Próżne teraz rozmysły i żale!

(*po chwili*).

Jak na nim widać boleść... poorane czoło...
Jakie oczy miał łzawe choć mowę wesołą!
Rwały się z niego, jakby męczeńskie wykrzyki...
I wzrok chwilą był słodki... chociaż głos miał dziki.
A! zapomnieć potrzeba... odpocząć samotną...
Lecz jak pozbyć się gości? tę ciżbę zalotną
Odprawić? tak mi cięży hałas ten i wrzawa!
Tak mnie ranią ich śmiechy... obraża zabawa...
A Żegota?... tak nagli o tę dłoń umarłą,
Z któréj jeszcze się jego dotknięcie nie starło...

SCENA II.

STAROŚCINA, MARCYBELLA *wbiega z bawialni.*

MARCYBELLA.

A! ty tu! A! to dobrze, że znajduję przecie!
Gdzieżeś była? szukałam... nic jeszcze nie wiecie?

STAROŚCINA (*roztargniona*).

Nic—jak to? o czém?

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA.

O mnie!

STAROŚCINA.

O tobie? nic zgoła...

MARCYBELLA (*z pośpiechem*).

Ogromne zaszły zmiany... historya wesoła!
Ale może się skończyć straszliwie i .. krwawo...
Wystaw sobie... Strukczaszy... krążył w lewo, w prawo...
Wszystko to sztuki były... wiesz ty dokąd zmierzał?

STAROŚCINA (*obojętnie*).

Nie rozumiem.

MARCYBELLA.

Wszak czołem przed tobą uderzał.
Zdawało się, że stara... sama byłam w błędzie,
Myślałam, że dla ciebie konkurentem będzie;
Tymczasem—jak dziś widzę—on tylko grunt badał,
Na mnie z boku spozierał, gdy przy tobie siadał...
Ku mnie miłośne skrycie obracał źrenice...
Dzień dzisiejszy dopiéro zdradził tajemnicę...
Nieświadoma, intrygi obwiniam Cześnika...
Ten odpycha mnie, czemu? bo wszystko przenika...
Bo zazdrośny rozpacza... Ścierają się wściekle...
Ja stoję przerażona... co począć w tém piekle...
Żal mi obu...

STAROŚCINA (*przerywając*).

Kochana!... czy w twéj wyobraźni
Nie nazbyt zwiększasz rzeczy!

MARCYBELLA.

Tak jest! najwyraźniéj!
Radabym, by to było urojeniem mojem,
Ale niestety! prawda! Żegnam się z pokojem...
Ci zajadli rywale...

STAROŚCINA.

Tak są starzy oba...

MARCYBELLA (*z urazą*).

Nie tak starzy, jak ci się nazywać podoba—
Cześnik jest w sile wieku, Strukczaszy tak miły,
Tak żywy, tak wygląda...

STAROŚCINA.

Jakże się odkryły
Te straszliwe sekreta?

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA.

Jak? najprościéj w świecie...
Wiesz, że Cześnik mnie począł prześladować przecie...
Pierwszy zwrócił uwagę mą na Strukczaszego.
Patrzę, śledzę... oho! ho! gdzie mu oczy biegą!
Dziś już przysiadł się do mnie, i ujął dłoń w dłonie
I drżał jak liść jesienny... a ciągle mu skronie
Pot obfity oblewał i słowa dwuznaczne
Rzucał mi... nie dał mówić, ledwie słowo zacznę,
On swoje; a z afektu tak uciskał rękę,
Że z sygnetu mi herby wybił caluteńkie...
Ot patrz... Ja pełna strachu... choć nie miałam wstrętu,
Starałam się miarkować, i mimo wykrętu,
Mimo wszelkich sposobów, by mu przerwać mowę,
Krzyknął w ucho... o pani! daj mi życie nowe!...
Rozumiesz, co to znaczy...

STAROŚCINA (*ruszając ramionami*).

Rozumiem i sądzę...
Że przyjmiesz afekt jego...

MARCYBELLA.

Lecz Cześnika żądze...
Jego zazdrość straszliwa! On wyzwać gotowy...
Nuż krew... śmierć... na sumieniu biednéj białogłowy!
Każdy z nich, gdy nas kocha, staje się nam drogi...
Co począć? jak poradzić! O losie zbyt srogi!

STAROŚCINA (*z uśmiechem*).

Uspokój się... Cześnika ja żale ukoję...

MARCYBELLA.

Radzisz mi Strukczaszego?

STAROŚCINA.

Spytaj serce twoje...

MARCYBELLA (*łamiąc ręce*).

Straszna niepewność... i ten i tamten dziś miły...
Ni przyjąć, ni odepchnąć, obu nie mam siły,
A Cześnik mnie przeraża... pełen namiętności...
Gotów sobie, mnie, jemu...

---

http://rcin.org.pl

SCENA III.

STAROŚCINA.—MARCYBELLA. *Na ostatnie słowa nadchodzi* CZEŚNIK.

CZEŚNIK.

Zbytek trwożliwości
Ręczę wam, że nikomu...

MARCYBELLA (*chowa się za Starościnę*).

Broń mnie! broń mnie pani!
Zabije!

STAROŚCINA.

Bądź spokojną.

CZEŚNIK.

I słowem nie zrani!
Nie znasz mnie pani jeszcze... Twe tylko na względzie
Szczęście stary przyjaciel mieć może i będzie.
Sam ci go dać nie może... niestety! zapóźno!

MARCYBELLA (*cicho do Starościnéj*).

Patrz, jaką ma postawę poruszoną... groźną,
Ratuj mnie. Tę spokojność udaje przed nami!

STAROŚCINA.

Uspokój ją, Cześniku...

MARCYBELLA (*żywo*).

O! mnie nie omami!

(*Do Cześnika*).

Cześniku! ja-m niewinna... tyś sam był przyczyną...

CZEŚNIK.

Ale dobrze!... to wszystko tylko moją winą.
Ja winszuję; a przecież sam na to kazanie
Dzwoniłem, starałem się, tak mi pomóż, Panie.

MARCYBELLA (*cicho*).

Udaje...

CZEŚNIK.

Strukczaszego dawno znam i cenię,
Człek zacny... powinszować przyszłéj jego żonie.
Miéć będzie uczciwego małżonka; i może
I winna być szczęśliwą z nim... Co daj wam, Boże!

http://rcin.org.pl

MARCYBELLA (*cicho do Starościnéj*).

Jak on to mówi! pasyę ukrywając w sobie,
Ucieknę, tak się lękam. Jeden legnie w grobie...
Kryją się tylko, ręczę, wyzwanie gotowe.
Lecę do Strukczaszego...

(*wybiega*).

SCENA IV.

STAROŚCINA.—CZEŚNIK.

CZEŚNIK.

A to dni galowe
Dla nas, bo i ty, pani, myślisz także pono...
Podać rękę Żegocie.

STAROŚCINA (*zdziwiona*).

Ja?

CZEŚNIK.

Coś tak wróżono.

STAROŚCINA.

Źle wróżono! Nic nie wiem o tém, któż to plecie...
Niewolno się przyjaźnie uśmiechnąć kobiecie?
Niewolno rozweselić, by ją ciżba płocha
Nie posądzała zaraz, że już kogoś kocha...
Mamże wiecznie być smutną?

CZEŚNIK.

A! niech pan Bóg broni.
Ale przecie coś wróżą...

STAROŚCINA.

Któż wróży?

CZEŚNIK (*cicho wskazując bawialnię*).

Tam—oni...

STAROŚCINA.

Ja nic nie wiem.

http://rcin.org.pl

CZEŚNIK.

Żegota w różowym humorze...

STAROŚCINA.

To nie z mojéj przyczyny, a jeźlim go może
Do zbytku ośmieliła... o! żałuję bardzo.
Nie bez racyi kobiety mężczyznami gardzą...
Płosi są... i nas przeto za zbyt płoche mają...

CZEŚNIK.

Nie gniewajże się pani, że ci męża rają.

STAROŚCINA.

Zawcześnie!

(*po chwili*).

Cóż pan rotmistrz... odjeżdża... odjedzie?

CZEŚNIK.

Wkrótce... już się wybiera... Ależ się nie będzie
Gniewać mi pani moja, za jego przybycie...
Chciałem, żeby przyjechał i odjechał skrycie...
Traf go odkrył... daruj mi... ja sam cierpię na tem.

STAROŚCINA.

Przecież grzechu w tém nie ma. Myślałam jak z bratem
Zobaczyć się... on ze mną był jak z obcą sobie.

CZEŚNIK.

Dużo cierpiał, stetryczał...

STAROŚCINA.

Mój Cześniku drogi...
Znam twe serce... myśl zgadłam. Próżne dziś te trwogi,
Jak próżne były chęci, daremna nadzieja,
Co się raz rozłamało, nigdy się nie skleja...
Zapomnijmy! przebaczmy!

CZEŚNIK.

Ucierpiałaś pani.

STAROŚCINA.

Cierpiałam, prawda... ale to serca nie rani,
Bom nie miała nadziei; boleśniéj, że w chwili,
Kiedy rozstać się mamy, nie rozstajem miléj,
Przyjaźniéj i bez żalu...

(*po chwili*).

Rotmistrz jedzie tedy...

CZEŚNIK.

Jedzie zaraz, natychmiast... wiele z tego biedy...

http://rcin.org.pl

On jest jakby zabity... tyś smętna, znękana,
Mnie się serce ścisnęło...

STAROŚCINA.

A! o tego pana
Nie obawiaj się wcale—nic mu się nie stanie.

CZEŚNIK.

Nie mów tak, ja rotmistrza znam; ma panowanie
Nad sobą wielkie, ale cierpi tém okrutniéj.

STAROŚCINA.

Nie sądzę... Po wspomnieniach zawsze ludziom smutniéj,
Ale gdy rzeczywistość dobije na jawie,
Sny ujdą... i nic więcéj nie zostanie prawie...
Prócz goryczy zawodu.

CZEŚNIK.

A często... rozpaczy...

STAROŚCINA.

Tylko nie w nim...

CZEŚNIK.

A któż wie?

STAROŚCINA.

Ból mówi inaczéj,
A gniew chłodny jest inny.

CZEŚNIK.

Przestać o tém lepiéj...

STAROŚCINA.

Niech jedzie...

CZEŚNIK.

Już odjeżdża!
(*na stronie*).
Ludzie zawsze ślepi!

---

http://rcin.org.pl

SCENA V.

STAROŚCINA (*sama*).

Jedzie! niech prędzéj jedzie—niech go tu nie będzie!!
Czuję go, widzę jeczcze... spotykam wzrok wszędzie,
Dusi mnie tu powietrze... śmiechy ich mnie rażą...
Szyderstwo, urąganie z każdą widzę twarzą...
Gdzie się skryć! jak ich pozbyć! a! nieznośne życie!
Lica barwić uśmiechem—a tu—boléć skrycie.
Obok śmiechy i śpiewy, muzyka—zabawy
(*spostrzegając nadchodzącego Żegotę*).
Otóż i natręt... idzie chyba dla odprawy!

SCENA VI.

STAROŚCINA—ŻEGOTA (*podchmielony i wesół*)

ŻEGOTA.

Przecież cię wyszukałem, światłości królowo!
I świat mi się rozjaśnił... jak barwą tęczową...
Jasność z twych oczów płynie, gdziekolwiek doleci,
Wszystko dokoła błyszczy, promienieje—świeci!...
Znikniesz, natychmiast ciemność cały świat ogarnia...
Tęsknota... boleść... męczarnia!!
Pani! spojrzyj na sługę i powróć mu życie!
Wskrześ z martwych!!

STAROŚCINA (*niecierpliwie*).

Mój chorąży! co też wy mówicie!

http://rcin.org.pl

ŻEGOTA.

Jak to? co? szczery jestem... nie czekając długo,
Pani, lub trupem będę—lub twym wiecznym sługą...

STAROŚCINA (*udając, że nie słyszy*).

Jestem trochę cierpiąca... któraż to godzina?

ŻEGOTA.

Wieczór, nie wiem; przy tobie czas się zapomina.
Na cierpienie, w wesołe grono wejść najlepiéj;
To orzeźwi, rozerwie i zaraz pokrzepi.

STAROŚCINA.

Ja spocząć potrzebuję.

ŻEGOTA.

Pani mnie wygania...?
A! gdybyż odejść można! ale serce wzbrania
Opuścić skarb ten, który nad świat cały ceni.

STAROŚCINA (*powtarza*).

Ja spocząć potrzebuję...

ŻEGOTA.

Humor się ten zmieni,
Wnijdź tylko pani...

(*wskazuje bawialnią*)

STAROŚCINA.

Proszę, daj mi spocząć chwilę...

ŻEGOTA.

A! chciałbym być posłusznym... lecz zbywa na sile,
By spełnić twe rozkazy, nogi wrosły w ziemię.
Pozwól niech z serca zrzucę ciążące mi brzemię...

STAROŚCINA (*niecierpliwie*).

Spocząć pragnę!!

ŻEGOTA (*na stronie*),

No, teraz przyszła na mnie pora!

(*patetycznie*).

Pani... królowo moja!

STAROŚCINA (*głośniéj*).

Jam chora! jam chora!

ŻEGOTA.

Tylko słowo... ot, z chwili korzystając błogiéj.—

(*klęka*).

Żywot, imię i siebie ścielę pod twé nogi.

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA (*cofając się*).

Cóż to jest? co takiego?

ŻEGOTA (*wstając*).

Czy się źle wysłowił?

STAROŚCINA.

Nie rozumiem doprawdy...

ŻEGOTA.

Chcesz, bym jaśniéj mówił?
Pani, królowo moja, jam wojak i swady
Nie mam bardzo wytwornéj, ale nie znam zdrady.
Jakim jestem, takim się bez obłudy stawię...
Co przyrzeknę, dotrzymam uczciwie i prawie.
Kocham cię szczerze, mocno—i proszę o rękę...

STAROŚCINA (*zimno i poważnie*).

Pozwól, niech równie szczerze złożę ci podziękę,
Lecz zarazem wypowiem, jak mnie mocno dziwi
Tak raptowne kochanie... O ludzie szczęśliwi,
Co tak nagle pokochać, przysięgać możecie,
Że zapewnicie przyszłość sobie i kobiecie...
Dwa dni ją ledwie widząc, a nie znając wcale.—
Wnet miłość ślubujecie w gorącym zapale—
Lecz długoż będzie trwałym ten ogień słomiany?
Znaszże pan serce, którém pragniesz być kochany?
Znaszże mnie, me uczucia, mój humor i wady?...
Młodość takiéj ślepoty daje nam przykłady;
Ale w niéj też jest siła, co losy zwycięża...
Która ludzi przetwarza, a żonę i męża
W swoim ogniu gorącym jak dwa kruszce spaja...
My—oboje młodości przeszliśmy rozstaja,
Nam inaczéj potrzeba kochać się i żenić...
I taką przyszłość stworzyć, co się nie da zmienić.

ŻEGOTA (*zmieszany*).

Pani, by ciebie poznać, trzebaż czasu długo?..,
Kto cię zobaczył, wiecznie zostanie twym sługą.

STAROŚCINA (*z goryczą*).

Jakże wiész, że te lica i usta nie kłamią?
Żem tém jest, czém się zdaję?... wszak pozory mamią...

ŻEGOTA.

Pani! ja w ciebie—wierzę.

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA.

Dziękuję, i wzajem
Wierzę w szczerość żołnierską... lecz życie nie rajem!
Życie próbą jest ciężką, a tych kajdan waga...
Tylko wielkie uczucie udźwignąć pomaga...
Ja go nie mam,—otwarcie mówię, bo was cenię
Jak zacnego człowieka...

ŻEGOTA (*smutnie*).

Proszęż uniżenie!
Starościno kochana... na słowach nie zbywa...
Ale mi się zdawało, żeś była... życzliwa...
Żeś mi była łaskawą?...

STAROŚCINA.

Wnioskujecie skoro...
Mężczyźni często przyjaźń za coś więcéj biorą...

ŻEGOTA.

A więc tak? ostatecznie?

STAROŚCINA.

Szczerość wzajem płacę...
Ja za mąż iść nie myślę; jeśli wolność stracę,
Nie oddam jéj, aż chyba w ręce tego,
Komu serce się odda...

ŻEGOTA.

Coś w tém niejasnego!
Z rana słońce świeciło, wieczór przyszły mroki!
Nie rozumiem, lecz twoje szanuję wyroki...
Z smutkiem na sercu idę, ale bez rozpaczy...
Było lepiéj, ha! jeszcze może być inaczéj...
Pośpieszyłem się nieco... więc poczekam dłużéj...

STAROŚCINA (*łagodnie*).

Mój chorąży, jam chora...

ŻEGOTA (*odchodząc*).

Horyzont się chmurzy,
Uciekam; ale protest kładnę przed urzędem,
Że sprawy za przegraną nie mam żadnym względem.

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

STAROŚCINA (*sama*).

A! przecież! jakże ciężko pozbyć się go było!
A tak chciałam być sama, z taką jeszcze siłą
Wciąż mnie ciągnie ku sobie widmo jego blade...
Pójdę... polecę za nim... przebłagam za zdradę...
Powiem mu wszystko! wszystko, klęknę i zapłaczę,..
Niech urąga, odpycha... ja i to przebaczę...
Ale my się rozstaniem bez gniewu, niechęci...
(*myśli*).
A! nie... to człek żelazny... on dumie poświęci
Szczęście, siebie i wszystko...
(*patrzy w ogród*)
Ktoś się tutaj skrada?
Serce mi bije... to on!! ta smutna twarz blada...
Idzie tutaj!! Skryję się... podsłucham... zobaczę...
Niech łez moich nie widzi... w ciszy je wypłaczę...
(*kryje się w framagę z lewéj strony*).

SCENA VIII.

HOŁUB (*nadchodzi zwolna, wahając się i staje we drzwiach od ogrodu*).

Głupi! podły! nikczemny! bezsilny! namiętny!
Po co wleczesz się tutaj i kłamiesz wykrętny...
Sam sobie. Na koń było siąść i rzucić wodze,
Niechby cię niósł w otchłanie... rozbił gdzie na drodze,

http://rcin.org.pl

Lub w rzekę padł lub w ogień, tobyś z życiem może
Skończył i te męczarnie, zrzucił te obroże...
(*milczy*)
Podły o! stokroć podły—na nic siły niéma,
Ni przebaczyć ni wzgardzić! Z łzawemi oczyma,
Klnie szalony... a kiedy od niego uciecze,
Namiętność go za szyję do jéj stóp przywlecze...
(*po pauzie*).
Zobaczyć ją raz jeszcze! tak! to mnie uzdrowi...
Zobaczę ją...
(*zagląda*).
Z uśmiechem króluje tłumowi.
Zobaczę, jak się wdzięczy do swego kochanka...
To mą miłość zabije. Stanę i z krużganka...
Rzucę jedno wejrzenie przekleństwa ostatnie...
I na koń, i w szeregi, aż mnie Tatar płatnie,
A piersi mu nastawię z ochotą skwapliwą...
(*zagląda*).
Jéj tu niéma! Gdzieś pewnie na rozmowę tkliwą
Zeszła z nim na ubocze. Miłość lubi ciszę...
(*milczy*).
Chciałbym ją raz zobaczyć... Lecz ludzi naśmieszę...
(*spostrzegając Starościnę cofa się, ona wychodzi z ukrycia*).
A! ona tu.

SCENA IX.

HOŁUB—STAROŚCINA (*ukazuje się*).

STAROŚCINA.

Wy! tutaj!

HOŁUB (*smutnie*).

Jak zmora się włóczę...
Idę... szukam... Cześnika... chcę mu oddać... klucze,

http://rcin.org.pl

Przepraszam... ale śpieszno mi żegnać go było...
Aż tu wleciałem za nim... i tę twarz niemiłą...
Znowu pani narzucam... myślałem, że z boku,
Wolno będzie... twe szczęście dojrzéć memu oku
I tak pobłogosławić, jak ci błogosławią...
Których tancerze padłych na posadzce dławią...

STAROŚCINA.

Słów mi brak...

HOŁUB.

Ha! postępek godzien wielkiéj kary,
Lecz w nim tyle goryczy i żółci bez miary,
Że on się już sam karze swojém czuciem własném.

STAROŚCINA (*nieśmiało*).

Słucham cię, nie rozumiem... ale z czołem jasném,
Spokojna i szczęśliwa spotykam cię prawie,
To ostatnie spotkanie...

HOŁUB.

Ostatnie... na jawie.

STAROŚCINA (*podając rękę*).

Żegnajmyż się bez gniewu, proszę, błagam ciebie!
Jeżli wszelkie uczucie w sercach się pogrzebie,
Niechaj chłód pozostanie, co z mogiły wieje,
Ale nie gniew namiętny! Daj mi tę nadzieję!

HOŁUB (*smutnie*).

Obojętność, chłód... pani! próżne to wyrazy,
Mówim, żeśmi głazami—nie czujem jak głazy...
O gniew mnie nie obwiniaj... gdy się zburzy wino,
Kwasy z niego powstają... tak miłość przyczyną
Gniewu jest i w tym gniewie trwają jéj zarody...
Starszy byłbym ostygły... nadtom jeszcze młody...
Sam nie wiem, co mi sercem zburzoném kołysze...

STAROŚCINA (*czule*).

Gabryelu!

HOŁUB.

A! słodki głos przerywa ciszę.
Na co ze snu mnie budzisz?... Już przez usta moje
Imienia twéj młodości ja się wyrzec boję...
Nie śmiem, nie umiem... w duszy mojéj się zatarło,
Wszystko stare—prócz bólu... tak! wszystko umarło.

http://rcin.org.pl

STAROŚCINA.

A my żyjemy—starzy.—

HOŁUB.

Jak z dwóch flasz wonności,
Zostały szkła bez woni, pył w nich tylko gości...
O Maryo... pani moja! gdybyś ty wiedziała...
Jakem ja ciebie kochał, jak miłość ta cała
Życiem była, modlitwą... Byłaś mi aniołem...
Boga w tobie widziałem.

STAROŚCINA.

Kochaliśmy społem...
Szła nasza miłość równo... czciłam bohatera!

HOŁUB.

A jednak...

STAROŚCINA.

Tém zgrzeszyłam, że człek nie umiera,
Kiedy chce i powinien... i przeżyłam siebie...
Chodzę smutnym upiorem... tak chciał Bóg na niebie,
Karząc za bałwochwalstwo...

HOŁUB.

A! srodze ukarał,
Mnie! mnie! Com ja wycierpiał, jak umrzéć się starał!
Strute życie ciężyło... wlokłem się bezumny,
Za trupem mego szczęścia, obok własnéj trumny,
Rzucałem się w gąszcz szabel, na kule armatnie,
Dzień każdym witał pragnąc by chwilę ostatnię...
Ale śmierć odpychała pastwę nieponętną,
Szable, kule mijały, z jakąś wzgardą wstrętną,
I żyłem potępiony...

STAROŚCINA.

Gabryelu...

(*poprawia się*).

Panie!
Niech z tym żalem na zawsze gniew ku mnie ustanie,
Daj mi rękę przyjazną... podaj mi dłoń bratnią,
I niech ta chwila... która... będzie nam ostatnią,
Pojedna wobec Boga dwie zwaśnione dusze.
Przebacz! przebacz!!

HOŁUB (*wzruszony*).

Ja! tobie! nie! ty mnie katusze,

http://rcin.org.pl

Któreś dla mnie poniosła! gdy szalona, wściekła
Miłość moja oboje do piekieł nas wlekła...
Gdy ślepy, dumny, dziki—nie zważając na nic,
Jak w miłości tak w gniewie nie widziałem granic...
Dziś dopiéro w spłakane patrząc twoje oczy,
Świat boleści ujrzałem, co i mą pierś tłoczy.

(*klęka*).

Proszę cię przebaczenia! daruj moję winę...
Pójdę stąd spokojniejszy... gdzieś na wojnie zginę...
Jam zbrodzień, tyś niewinna...

STAROŚCINA.

Gabryelu drogi,
Ty przebacz... ty zapomnij...

HOŁUB.

Pod twe składam nogi,
Późny żal, lecz ty święta, darujesz me szały...

STAROŚCINA (*kładnąc rękę na jego ramieniu*).

Gabryelu! a! przeszłość, ból już uleciały;
Znów ciebie widzę, słyszę i jestem szczęśliwa.

HOŁUB (*cicho*).

Maryo, czy mnie odpędzisz?

STAROŚCINA.

Któż szczęścia pozbywa,
Kiedy mógł je odzyskać!!

HOŁUB.

Zapomnij przeszłości—

STAROŚCINA.

Ach! wszystko zapomniane...

(*podaje mu ręce. Hołub klęcząc je całuje*).

http://rcin.org.pl

SCENA X.

CIŻ—MARCYBELLA I STRUKCZASZY (*wchodzą przez drzwi do bawialni*).

STRUKCZASZY.

Idziem do Jéjmości
Dobrodziejki...

MARCYBELLA (*postrzegając rotmistrza*).

A! rotmistrz... przed nią... na kolana.,.
Cóż to jest? Cześnik wygrał!

STRUKCZASZY (*zdziwiony*).

Któż? co? Tego pana
Nie znam... jakiś wielbiciel nowy... niespodzianka...
Ale zwinął się szparko z swą rolą kochanka...
I idąc przez bokówkę, nim wszedł na bawialnie...
Jéjmość w kątku zaswatał... A to mi to walnie!

STAROŚCINA (*przedstawiając Hołuba*).

To mój dawny przyjaciel... krewny...

STRUKCZASZY (*kłaniając się*).

A! a! widzę

(*na stronie*).

Blizki krewny!

MARCYBELLA (*na stronie*).

W niegodnéj był Cześnik intrydze!

STAROŚCINA (*głośno*).

Więc razem z winszowaniem... Asindzka pozwoli,
Abym się téż poskarżył na to, co mnie boli.

(*staje poważnie, biorąc za rękę pannę Marcybellę, odchrząka i mówi*).

STRUKCZASZY (*oratorsko*).

Są w księdze przeznaczenia niezłomne wyroki...
Człek idzie... ale nie wie, dokąd stawi kroki,
Tak i ja, gdym zawitał w tego domu progi,
Mógłżem zgadnąć, że dekret zapadł na mnie srogi,

http://rcin.org.pl

Że Amor, który sercom nie przepuszcza ludzi...
Że snu długiego także i moję pierś zbudzi,
Że oczów tych jasnością przejęty do głębi
Padnę jego ofiarą... a tyran mnie zgnębił!

MARCYBELLA (*gniewnie*).

A pfe!

STRUKCZASZY (*poważnie*).

Jakto pfe? Pani, w najgorętszym żarze
Gdy kocham... cóż dziwnego, że na miłość skarżę?
Ona mnie niewolnikiem czyni, kładzie pęta...
Staje więc winowajca...

MARCYBELLA (*cicho*).

Ha! zemsta dopięta!

STRUKCZASZY.

Pobłogosław nam pani...

STAROŚCINA.

O! z serca całego...
Lecz nawzajem...

SCENA XI.

CIŻ I BODZANTA (*do bawialni wpada*).

BODZANTA.

Więc teraz o charta żółtego
Historyą się upomnę...

(*staje zdumiony, patrząc na Hołuba*).

Cóż to za gość nowy?
Któż to jest?

http://rcin.org.pl

STRUKCZASZY (*półgłosem*).

To jest... kuzyn... i podobno wdowy
Bodaj nie narzeczony... co charta wyprzedzi...

BODZANTA.

Ale gdzież! skąd? i jakże?

STRUKCZASZY.

Miłość w kątku siedzi.
I takie figle płata...

BODZANTA.

Skąd się wziął u licha!
Kiedyż przybył?

STRUKCZASZY.

Spadł z deszczem i zakradł się z cicha.

BODZANTA.

Ale...

STRUKCZASZY.

Cicho, bez ale. Wiesz, że ja się żenię?

BODZANTA.

Z kim?

STRUKCZASZY.

Domyślaj się mądry!!

---

http://rcin.org.pl

SCENA XII.

CIŻ I CZEŚNIK (*wchodząc postrzega Hołuba przy Starościnie, której rękę trzyma*).

CZEŚNIK (*stając*).

Co to jest? złudzenie!
Rotmistrz i Starościna razem, i dłoń w dłoni!
Cud boży... milczą usta... a oko łzę roni...
Jakże się stało? kiedy?

STAROŚCINA (*do Cześnika*).

Stało się przez ciebie!
Tyś zgadł uczucia moje, tyś w serca potrzebie
Był opatrznością naszą... a Bóg w twym zamiarze
Pomógł...

CZEŚNIK (*podnosząc ręce do góry*).

Niech błogosławi mojéj drogiéj parze!!

MARCYBELLA (*żywo*).

Ale tu jest i druga...

CZEŚNIK.

Gdzie? jaka tam druga...

STRUKCZASZY.

Ja z panną Marcybellą...

MARCYBELLA (*na stronie do niego*).

Patrz! jak drży! jak mruga!

http://rcin.org.pl

CZEŚNIK.

Z serca państwu winszuję!

STAROŚCINA.

I to twoje dzieło...

CZEŚNIK.

Cyt! nie biorę na siebie... nie wiem, skąd się wzięło.

MARCYBELLA (*na stronie*).

Zawsze żal jeszcze do mnie... a! jaki zawzięty!...

SCENA XIII.

CIŻ—ŻEGOTA (*wchodzi z bawialni*).

ŻEGOTA (*staje i patrzy*).

Sam jeden pozostałem... a tu tłum ściśnięty...
Cóż to jest? do bokówki cisną się, kto żywy,
Czy jakie widowisko??

STRUKCZASZY.

Dziwy panie, dziwy!
A chcesz, bym wytłómaczył, co ciekawość budzi?
Widok rzadki... Szczęśliwych oto czworo... ludzi...

ŻEGOTA.

Któż? co? wacpan?

STRUKCZASZY.

No, tak jest, lecz idzie ktoś przodem;
My z panną Marcybellą za tém państwem młodem.

(*wskazuje Hołuba i Starościnę*).

http://rcin.org.pl

ŻEGOTA.

Rotmistrz! tutaj! cóż to jest? ten sobie poradził...
Teraz wszystko rozumiem... on to mnie odsadził...

(*do Cześnika*).

Posłuchaj, mój Cześniku... nie gub mnie ze świata...
Niechże dłoń twa szczęśliwa i mnie gdzie zaswata.

Drezno 1866. Kwiecień.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

KOSA I KAMIEŃ,

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

OSOBY.

Baronowa (lat 50).
Iza, jéj siostrzenica (lat 21).
Pan Radca (lat 54).
Roderyk, jego syn (lat 28).
Kalasanty, stary sługa domu.

Rzecz dzieje się na wsi, w domu Baronowéj.

http://rcin.org.pl

Salon we dworze wiejskim. Główne wejście w środku w głębi. Drzwi po bokach, z których jedne prowadzą do pokoju baronowéj, drugie naprzeciwko do pokoju Izy. Po lewéj okno. Po prawéj kominek, na którym zegar. Kanapa, stół, krzesła, wazony z kwiatami.

SCENA I.

BARONOWA—IZA.

Baronowa siedzi na kanapie, Iza przechadza się po pokoju.

BARONOWA (*złożywszy ręce, jak gdyby prosząc, aby jéj dała przyjść do słowa*).

Proszę cię, Izo moja, raz w życiu—posłuchaj mnie cierpliwie. Masz lat dwadzieścia i jeden...

IZA (*przerywając*).

Dwudziesty piérwszy...

BARONOWA.

Który za parę miesięcy się kończy... (*niecierpliwie*) ale dajże mi mówić.

IZA.

Proszę, proszę—ja milczę (*chodzi ciągle*).

http://rcin.org.pl

BARONOWA.

Masz lat dwadziescia i jeden... (*Iza rusza ramionami, odwraca się i chodzi znowu*). Przebrałaś już wszystkich panów z dalszego i bliższego sąsiedztwa—i nikt ci się nie miał szczęścia podobać. Poodprawiałaś ich nietylko z grochowemi, wielu nawet z cierniowemi wiankami, dobrze już wymęczywszy. Jakiż koniec temu będzie?—Tyś sierota, jam nie długowieczna, zostaniesz sama, zestarzejesz, znudzisz się i pójdziesz potém za piérwszego lepszego, który ci się nastręczy... chociażby żadnego z odprawionych wart nie był.

IZA.

A! nie... że nie, to nie — zostanę starą panną—rzecz bardzo prosta. Ciocia niezmiernie to bierze tragicznie... ja z trochą młodéj fantazyi, powinno mi to być wybaczoném. Wymawia mi kochana ciocia, żem żadnego z tych panów nie przyjęła hołdów... ale czyż było podobna? W żadnym z nich życia, w żadnym odrobiny oryginalności... lalki wedle starych kilku foremek, jakby z papieru wycięte... a wszystko to tak uzbrojone i opieczętowane, że się pod kamizelką ani serca, ani człowieka domyślać niepodobna. Jedném słowem nieznośni! Wolę już zostać starą panną.

BARONOWA (*trochę zniecierpliwiona*).

Nie pleć, proszę. Ty nie znasz życia, jam je przebyła. Wierz mi, że kobiéta z takiéj nawet lalki człowieka może pracą i sercem wykształcić.

IZA.

Smutnoby mi było zostać taką guwernantką.

BARONOWA (*z uczuciem*).

Dziecko moje, wiész, jak ja cię kocham; troska o twój los pokoju mi nie daje. Choć dziś bądź cierpliwą i wyrozumiałą... dziś przyjeżdża mój poczciwy, stary przyjaciel, pan Radca z synem. Wszyscy się zgadzają na to, że pan Roderyk miły jest, przyzwoity i pięknie wykształcony. Ale ty go przecie znasz?

IZA (*siada*).

A! tak! tak... niestety, przypominam go sobie. Gdym go ostatnią razą widziała, miałam lat dwanaście, a on dziewiętnaście... bo mi sam się z tego podeszłego wieku wyspowiadał, inaczéjbym go nie podejrzywała o tę dojrzałość—był bowiem taki niezgrabny, tak studencką miał minę, sztywną, śmieszną, aż mi Kubusia, syna ekonoma, przypominał.

BARONOWA (*śmiejąc się*).

Ale i ty wówczas wyglądałaś na strasznego urwisa z rozczochranemi włosami.

http://rcin.org.pl

IZA (*wstaje*).

I zostałam wierną swojemu charakterowi (*całuje ją w ramię*), dlatego też przeczuwam, że i mój student wyrósł na nieznośnego pedanta.

(*Baronowa rusza ramionami, Iza mówi łagodniéj*)

No—nie! jeżeli ciocia chce koniecznie, wierzę, iż pan Roderyk, który nosi imię tak poetyczne, tak dystyngowane, musi być piękny, rozumny, wykształcony, że ma wszelkie przymioty... a mimo to, że pojedzie z grochowym wiankiem, to pojedzie... ręczę.

BARONOWA (*zniecierpliwiona*).

Zlitujże się! pókiż tego będzie?

IZA.

Dopóki... nie doczekam się kogoś przynajmniéj znośnego. Zresztą, proszę cioci—już to samo oburza, że mi go przywożą, narzucają. Zakochaj się, uwielbiaj i idź za niego. Panicz jedzie z myślą, że, jak Cezar, spojrzy, uśmiechnąć się raczy i zwycięży. Ale bardzo przepraszam—co nie, to nie!

BARONOWA (*łamiąc ręce*).

A! mój Boże! jakże też naiwnie jestem niezgrabną, żem ci to powiedziała!

IZA.

Czyż ciocia ma mnie za tak dobroduszną i sądzi, że samabym się tego nie domyśliła? Byłoby toż samo—i grochowy wianek by nie minął.

BARONOWA.

Nieznośna! dlaczegóż się uprzedzesz!

IZA.

Jakże nie mam się uprzedzać? Przypominam go sobie ciągle w tym krótkim surduciku, z długiemi włosami burszowskiemi! Cha! cha! a butami stukał, jakby dopiéro od niedawna je włożył!

(*Stuka nogami i śmieje się*).

BARONOWA (*łamiąc ręce, wstaje z kanapy*).

Nieszczęście! Cóż tu począć z taką upartą dziewczyną—nigdy chyba za mąż nie pójdzie.—Moja Iziu, moja droga, miejże rozum, pan Roderyk...

IZA (*żywo*).

Ale wierzę, wierzę we wszystkie jego doskonałości — tylko niech mi da pokój. Nie mogę nawet myśléć bez oburzenia o takiém swataniu. C'est plus fort que moi! Wiozą mi go jak bażanta na półmisku... A—pfe!

BARONOWA (*spogląda na zegar, wzdychając*).

Moja Iziu—bądź co bądź—pójdźże się też ubrać choć trochę.

http://rcin.org.pl

IZA.

Poco? jestem ubrana;—stroić się do niego nie myślę.

BARONOWA.

Ale za cóż on nas i dom nasz weźmie?... suknia codzienna...

IZA.

Bo ja nic nie chcę wiedzieć o tych gościach. Niech sobie myśli, co mu się podoba... mnie to wszystko jedno.

SCENA II.

CIŻ—KALASANTY (*wchodząc zwolna z serwetą na ręku z głębi*).

KALASANTY.

Proszę pani Baronowéj—na grobli widać już powóz... Właściwie zaś przypuszczam, że powóz być musi... a co, rzecz dowiedziona, iż—albo bydło, albo goście... Tuman kurzawy okrutny, w tumanie albo jedno, albo drugie... Dowiedziona rzecz. Gdzie pani Baronowa każe nakrywać? czy w sali, czy w gabinecie? i czy szkło pójdzie świąteczne, czeskie, czy powszednie? Także co się tyczy serwet, pragnąłbym wiedzieć opinią J. W. Pani...

BARONOWA.

Zaraz idę... mój Kalasanty... wszystko jaknajparadniejsze... jakżebym inaczéj mogła przyjmować starego przyjaciela? Bieliznę weź drezdeńską...

IZA (*przerywa*).

Ale proszęż cioci, do czego ta parada, ten występ?...

BARONOWA.

A! nie nudźże mnie... (*Do Kalasantego*). Proszę cię, mój stary przyjacielu (*Kalasanty kłania się*)—proszę cię, żebyśmy wstydu nie mieli.

KALASANTY (*uroczyście, kładąc rękę na piersiach*).

Niech pani raczy być spokojną — dowiedziona rzecz... ja nie pozwolę na to... (*półgłosem do Izy*). A niechżeno panienka pójdzie się ubrać.

http://rcin.org.pl

IZA (*z uśmiechem, grożąc mu*).

E! ty stary, milczałbyś — jeszcze i ty chcesz mną komenderować!

KALASANTY.

A jakże! kiedy panienkę kocham! dowiedziona rzecz!

BARONOWA.

Ja przynajmniéj idę się przebrać...

IZA.

A ja—uciekam!

(*Kalasanty stoi, patrząc za odchodzącemi w głąb, i długo głową kiwa, ręce trzymając podniesione do góry*).

SCENA III.

KALASANTY—*sam, patrząc za Izą odchodzącą.*

KALASANTY.

Dobre to z kościami — ale co w głowie, to w głowie!! Fajerwerki nieustanne... Leci raca, leci i znikła... patrzcie, już druga za nią, to różowa, to niebieska... hałasu bez miary... i nic więcéj! Nie tak to u nas dawniéj z pannami bywało... skromniuśkie były, ledwie usta umiały otworzyć! Jak baranki! dowiedziona rzecz— wszystko się psuje teraz... takie powietrze przyszło—chodzą w niém ludzie jak pijani. Szczęście, że się nam jeszcze starym w głowach od niego nie zawraca. Popiło się co żyje! Boże, zmiłuj się! dowiedziona rzecz!... Ot—i ta nasza Iza; kto ją zna, to naj-

http://rcin.org.pl

lepsze dziecko w świecie — a zdaleka patrząc, aż strach bierze... tylko na koń wsadzić i byłby huzar doskonały! dowiedziona rzecz... (*spogląda oknem*).

A co? nie mówiłem? Nie bydło, tylko goście.!. Otóż są! otóż są!...

(*Wychodzi naprzeciw, poprawiając na sobie suknie*).

SCENA IV.

KALASANTY—RADCA, *za nim* RODERYK *wchodzą.*

RADCA (*spostrzegłszy Kalasantego*).

A! jakże mi się miéwasz, stary przyjacielu?... Kopa lat! nie prawdaż?...

KALASANTY (*nizko się kłaniając*).

Tak, panie Radco—na święty Jan, jeśli nie kopa, będzie pół tuzina—dowiedziona rzecz! Kawał czasu!

RADCA.

A niceś mi się nie postarzał...

KALASANTY.

Nie było czasu, panie Radco — zawsze u nas dużo roboty... a przytém człowiek jest jak gruszka; gdy dojrzeje, konserwuje się już jednakowo... póki nie zgnije, dowiedziona rzecz...

(*Radca uśmiecha się, Roderyk chodzi zamyślony po pokoju*).

RADCA (*uderzając po ramieniu Kalasantego*).

Po staréj znajomości, mój panie Kalasanty — obmyśl tam koniom przytułek...

KALASANTY (*żywo*).

A jakże! samo z siebie... o tém mówić nie trzeba... Niech jaśnie pan będzie spokojny—pokój dam wygodny i suchy... tłomoki zaraz poznosić każę... wszystko będzie punktualnie jak u nas zawsze,—dowiedziona rzecz...

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Ale, proszę ojca—wszakże my... wszakże my pojedziemy dziś—ojciec dał mi słowo...

(*Radca daje znak Kalasantemu, który kiwa głową, okazując, że zrozumiał, i odchodzi głębią*).

SCENA V.

RADCA. — RODERYK.

RODERYK.

To darmo, mój ojcze—to darmo! powtarzałem sto razy, że nie mam najmniejszéj ochoty do ożenienia się—najmniejszéj.

RADCA.

Ja cię też wcale zmuszać nie myślę, lecz zobaczyć przecie możesz, poznać, zbliżyć się, a gdy ci się nie podoba, — wówczas mi powiesz, że nie masz ochoty.

RODERYK.

Ale ja zgóry wiem, że mi się nie podoba. Jak dziś pannę Izę pamiętam. Wszak to dawna moja znajomość. Miała rączki burakowego koloru... sukienkę do kolan, białe z falbankami majteczki i włosy jak kupę siana. Samo to wspomnienie już mnie całkowicie rozczarowuje.

RADCA.

No—cichoż, cicho! Jeszcze kto usłyszy, na miłość Boga!

(*ogląda się trwożliwie*).

RODERYK.

Mniejsza o to! Radbym, żeby się ta próżna ceremonia skończyła. Ja wcale żenić się nie myślę... Według mojéj teoryi...

RADCA (*przerywając*).

Masz lat dwadzieścia ośm.

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Tak jest, nie przeczę! Więc mam prawo jako młody, swobodny, rozpatrywać się po świecie—i świata sobie zawczasu zawiązywać nie chcę. Według mojéj teoryi, zawczesne ożenienie wyradza wiele złego. Społeczność... społeczność...

RADCA.

Dajże mi pokój ze swemi teoryami społecznemi! Znasz stare przysłowie: Kto rano wstał, wcześnie posiał, młodo się ożenił — nigdy nie żałował.

RODERYK.

A! co mi tam! stare przysłowia są dla starych ludzi, my, młodzież, mamy nowe idee postępowe, teorye wyrozumowane, oparte...

RADCA.

Wiem, że oparte i uparte, ale ty mi także daj pokój z niemi. Stare przysłowia są dla starych, młode teorye są dla młodych— i—kwita.

RODERYK.

Zgoda—bylebyś ojciec mnie do ożenienia nie zmuszał.—Ja kobiet nie lubię.

RADCA (*ruszając ramionami i uśmiechając się*).

Proszę cię! komu ty to mówisz! Ja właśnie dlategobym cię rad ożenić, że nadto w nich smakujesz...

RODERYK (*nieco zmieszany*).

Widzi kochany ojciec—to co innego!—ja,—proszę ojca—bo to należy kategorycznie rozróżnić. Jako utwór artystyczny kobieta pod względem plastycznym... ze stanowiska estetyki... jako najwdzięczniejsze dzieło natury... kochany ojciec mnie nie rozumié...

RADCA.

Wistocie nie rozumiem, nie rozumiem... Słyszałem już o téj plastyczności.

(*Do siebie*).

Cóż to jest, że tych pań tak długo niéma? a... cicho... pani Baronowa...

(*Posuwa się na powitanie*).

---

http://rcin.org.pl

SCENA VI.

CIŻ—BARONOWA (*wchodzi żywo i wita*).

BARONOWA.

Kochanego starego przyjaciela witam! witam serdecznie! Jakże miło mi was widzieć! A! pan Roderyk—domyślam się, poznaję, chociaż, gdybym się go z ojcem nie spodziewała, trochę możeby mi trudno było w mężczyźnie poznać owego młodziutkiego kawalera.

RADCA.

Pani dobrodziejko, my się zmieniamy okrutnie, panie tylko macie przywiléj nieśmiertelności.

BARONOWA.

A jednak widzę, żeś pan starego nałogu prawienia komplementów nie zmienił. My to właśnie, panie Radco, choćby serce zostało młodém, twarzą więdniejemy najprędzéj.

RODERYK.

Ale ojciec mój wszak wcale dobrze wygląda, nieprawdaż? Ja się przy nim wstydzę, bo stosunkowo starszy jestem od niego.

BARONOWA.

Bo panowie młodzi żyjecie teraz, pędząc i śpiesząc się na wzór telegrafów i kolei.

RODERYK.

Na cóżby się inaczéj życie zdało?

RADCA.

Tak, tak, pani dobrodziejko! wszystko się teraz zmieniło, w młodzieży nie poznajemy siebie i młodości...

BARONOWA (*z westchnieniem*).

A! tak jest, panie Radco—wielka prawda. — Ale siadajcież panowie, proszę, i spocznijcie po podróży. (*Na stronie*). Cóż się stało z Izą, że nie przychodzi? Miałażby się zamknąć i nie pokazać! (*Dzwoni. — Wchodzi Kalasanty, gładząc włosy*). Proście panny Izy. (*Kalasanty nizko się skłoniwszy, wychodzi*)-

(*Do Roderyka*).

Wszak państwo z moją Izą jesteście dawni znajomi?

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Tak, pani. Jest to znajomość tak dawna, że panna Iza miała czas pewnie o niéj zapomnieć.

RARONOWA (*z uśmiechem*).

Nie sądzę. (*Do Radcy*)) Jakąż panowie mieli drogę?

RADCA.

Doskonałą—nam do pani nigdy się ona złą wydać nie mogła.

BARONOWA.

Zawsze grzeczny pan Radca!

(*Roderyk bawi się kapeluszem*).

Ale otóż i Iza.

SCENA VII.

CIŻ—IZA (*wchodzi śmiało, z minką dumną i chłodną. Radca i Roderyk wstają na powitanie. Roderyk bacznie się w nią wpatruje, z widocznem na twarzy zdumieniem*).

RADCA.

Jakże mi przyjemnie... Pozwoli pani sobie przypomnieć mojego syna.

(*Roderyk kłania się poważnie i chłodno. — Iza oddaje ukłon lekkiém skinieniem głowy*).

IZA (*ciągle bardzo zimno*).

Bardzo mi miło.

(*Siada na krześle przy kominku i bawi się przyniesioną wiązką kwiatów, którą w następnych scenach to rzuca na stół, to bierze do rąk z kolei.— Chwila milczenia*).

BARONOWA.

Jakież z miasta nowiny?

http://rcin.org.pl

RADCA.

Nasze miasto, jak szczęśliwe narody, nie ma historyi i nie rodzi nowin. Obchodzimy się bez nich. Co najwięcéj, jeżeli nas gazeta zawiadomi, że wagony kolei pogruchotały komuś nogi, że w fabryce pękł kocioł, lub w sklepie nocą ktoś okno wyłamał. Wstyd wyznać, żyjemy jakoś tak spokojnie.

BARONOWA.

Tak, w tym świecie, w którym pan się obraca, ale syn pański, pan Roderyk?...

RODERYK *(który bawił się ciągle kapeluszem i jedną rękawiczką, niekiedy ukradkiem spoglądając na Izę, wychodzi z zamyślenia, jakby nagle przebudzony).*

Ja, pani? Ja także czas spędzam w domu, nad książkami lub na wycieczkach, a jaknajmniéj w tym świecie, który nowinami żyje.

BARONOWA.

Lecz zawsze, jako młody...

RADCA *(przerywając).*

Mój syn ciągle dla jakichś nowych studyów wyrywa mi się i ucieka za granicę.

BARONOWA.

Czyżby kraj nie miał dla pana wdzięku?

RODERYK *(z trochą przechwałki).*

Nie zgorszy się pani, gdy powiem szczerze: rozumiem, iż możnaby w pewnych danych okolicznościach za kraj ten umrzéć — ale w nim żyć—to prawie niepodobieństwo.

BARONOWA.

A! i pan to mówi szczerze?

(Iza ciekawie spogląda na Roderyka).

RADCA.

Ale co bo téż ty pleciesz! Przepraszam panią, chciał panie cudzym konceptem rozweselić, ten dowcip przynależy hrabiemu P...

RODERYK.

Niestety, kochany ojcze, koncept jest cudzy, ale zarazem to wyraz mojego najszczerszego przekonania.

IZA *(do Roderyka).*

Więc pan nie lubi kraju?

RODERYK.

Kocham go, ale nie lubię.

http://rcin.org.pl

IZA.

Jakże to pogodzić?

(*Radca z Baronową rozmawiają po cichu*).

RODERYK.

W teoryi zdaje się to może paradoksem, ale w praktyce doskonale jest możliwém. Codziennie w familiach spotykamy ten dziwny stosunek, ludzie się kochają, a nie znoszą.

IZA (*ruszając ramionami*).

Na słowo panu wierzę, iż to jest rzecz możliwa, lecz dla mnie niezrozumiała.

RADCA (*półgłosem do Baronowéj*).

Jakże go pani znajduje?

BARONOWA (*tak samo*).

Powierzchowność bardzo miła...

(*Milczy i spogląda na Radcę*).

RADCA.

Pani dobrodziejka żądałaś ode mnie porady w interesie z Bodziakowskiemi... Przywiozłem powierzone sobie papiery i mój referat. Gdybyśmy przeszli na ganek, mógłbym zdać sprawę i wskazać, co czynić należy. Wziąłem z sobą dokumenta.

(*wstaje*).

BARONOWA (*wstając żywo*).

A! bardzo panu Radcy dziękuję, chodźmy, nie tracąc czasu, bo interes zawikłany i będę nim pana nudziła jako niedoświadczona niewiasta.

(*Zwraca się do Izy*).

Ty będziesz tak grzeczna i za mnie zabawisz gościa...

(*Iza, spuszczając oczy w milczeniu, robi minkę zakłopotaną — Baronowa i Radca wychodzą w głąb', rozmawiając z sobą*).

http://rcin.org.pl

SCENA VIII.

IZA. — RODERYK. (*Siedzą chwilę milczący.—Ona bawi się kwiatkami, on kapeluszem — każde z nich patrzy gdzieindziéj. — Na twarzach obojga zniecierpliwienie.*

IZA (*na stronie*).

Otóż masz! zostawiają nas samych, chcąc zmusić do zbliżenia. To despotyzm oburzający!

RODERYK (*tak samo*).

Ojciec zapewne myśli, że w ten sposób bliższą znajomość ułatwi, a raczéj zmusi mnie do niéj przez grzeczność. Zabawne, bardzo zabawne!

(*Milczenie.—Roderyk ukradkiem spogląda na pannę, która zlekka umyślnie poziewa*).

IZA (*po chwili*).

Zastępuję gospodynię. Byłabym najniegrzeczniejszą w świecie, gdybym nie spróbowała przynajmniéj zabawić pana rozmową. Więc, o czémże mówić będziemy? Co pan każe?

RODERYK (*na stronie*).

Oryginalnie! (*głośno.*) Powinienbym, jako grzeczny i przyzwoity gość, odpowiedzieć, że każda z panią rozmowa będzie dla mnie zajmującą, że każde słowo z jéj pięknych ust... Lecz wolę wstrzymać się od komplimentów, pani niemi musi być znudzoną.

IZA.

Odgadłeś pan, w mém niedługiém życiu nasłuchałam się ich do zbytku. Kobiety karmią niemi jak kanarki cukrem, ale, to niepożywne.

RODERYK (*z uśmiechem*).

Panie-bo macie reputacyę, że nie znosicie innego pokarmu.

IZA.

(*Poziewa znowu, zakrywając się trochę bukietem — po chwili obojętnie*).

A? mamy reputacyę? doprawdy? Może być... Niedobra reputacya!

RODERYK.

Nader miłe położenie!

http://rcin.org.pl

IZA *(zimno—roztargniona)*.

Jakto? czyje? pańskie?

RODERYK.

O! nie, pani, o swojém nie mówię, ale o wsi i o dworze...

IZA.

A a! wistocie, gdyby konopi nie moczono w stawie... gdyby gościniec polewano, jak lasek Buloński... gdyby czasem dymy ze wsi nie przychodziły z wizytą aż do pokoju... i gdyby wierzby staruszki nie były poobcinane, jak kaleki... ale jak się to panu podobać może?

RODERYK.

Jakto? pani nie lubi wsi?

IZA.

Ja? prawdziwie nie umiem stanowczo powiedzieć, co lubię. Czasem miasto, niekiedy wieś, a zawsze tylko swobodę... nadewszystko swo-bo-dę.

RODERYK.

O! co w tém, to się gusta nasze zgadzają.

IZA *(ruszając ramionami—na stronie)*.

Patrzcie! Już gusta się zgadzają! Byłam tego pewna...

(Spogląda na niego z szyderskim uśmiechem).

RODERYK *(poprawiając się prędko)*.

Chociaż niezupełnie, bo ja... *(zmieszany nieco)* bo ja miasto wolę w zimie, a wieś—latem...

IZA.

A! to przynajmniéj wcale nie oryginalne. Wszak to powszechny zwyczaj na całym świecie...

RODERYK.

Ja téż nie szukam wcale i nie upędzam się za oryginalnością, chcę być, jak wszyscy. Ekscentryczność jest śmieszną.

IZA *(na stronie)*.

Nie wié sam, co plecie! Próbuje nieznośny! *(głośno.)* Co ja, to właśnie oryginalność lubię, choćby wieś zimą, a miasto latem... a drugiego roku lato na wsi i miasto w zimie, a potém podróże, wycieczki! byle coraz coś innego... byle nie okowy, niewola i nie nudy.

RODERYK.

To wistocie oryginalne... chociaż z podobnemi fantazyami spotyka się teraz często po świecie. Co się tyczy nudów i niewoli,

http://rcin.org.pl

o! tych i ja nie znoszę, i w tém zgadzamy się, choć w innych rzeczach niezupełnie.

IZA.

A, doprawdy? Cóż robić! c'est comme cela!

(*Milczenie*).

IZA (*na stronie*).

Do tego studenta, którego sobie przypominam, wcale dziś niepodobny, tę sprawiedliwość muszę mu oddać.

RODERYK (*na stronie*).

Trzeba przyznać, że się nadzwyczaj na awantaż zmieniła... piękna postać! (*głośno.*) Od czasu, jak-em miał przyjemność raz ostatni widzieć panią...

IZA.

Ja jeszcze naówczas nie byłam panią, ale dzieckiem.

RODERYK.

Nigdybym téż jéj nie poznał. Zmiana tak wielka.

(*Iza spogląda dumnie—Roderyk zmieszany przerywa i milczy*).

IZA (*żywo*).

Ja téż nie poznałam pana, wyglądałeś pan na studenta.

RODERYK (*z uśmiechem*).

Pardon! a pani na pensyonarkę...

IZA.

Być może. Uprzedzam pana, że wspomnień młodości nie lubię.

RODERYK.

Ani ja. Są to preludya życia, świetne pasaże, piękne akorda, a żadnego tematu i niewiele sensu. Życie się rozpoczyna dopiéro, gdy burzliwa młodość się kończy.

IZA (*na stronie, wstając i przechodząc ku oknu*).

Nieznośny ze swemi aforyzmami. Stworzony na guwernera.

RODERYK (*wstaje*).

Gdy uczucia wygasną, a chłodny rozum obejmie panowanie...

IZA.

A! coś podobnego gdzieś niedawno czytałam... (*śmiejąc się*). Nie jestem do zbytku sentymentalną, ale trochę serca zawsze trzeba mieć.

RODERYK.

Ma się go zawsze zawiele, bo się przez nie cierpi...

IZA.

Doprawdy, że i to gdzieś czytałam!

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Przepraszam panią, ja dotąd nic nie pisałem, i nie sądzę nawet, żebym kiedy zachorował na rozlew atramentu, z książek zaś nie mam zwyczaju się zapożyczać.

IZA.

Więc, przypadek! Pan wié, les beaux esprits se rencontrent.

RODERYK (*na stronie*).

Dowcipna, ale złośliwa... Elle à du piquant! Rodzaj kokieteryi dla mnie od pobytu w Paryżu, nie nowy... Mais c'est agaçant...

IZA (*na stronie*).

Trochę go przecie zbiłam z tropu. (*głośno.*) Ciocia baronowa z panem Radcą nadzwyczaj coś długo radzą nad tym nieszczęśliwym interesem... a pan się tu nudzisz ze mną...

RODERYK.

A, pani! właśnie chciałem powiedzieć toż samo, tylko odwrotnie.

IZA.

Pokazuje się, że nietylko les beaux esprits, ale i proste śmiertelniczki, jak ja z ludźmi niepospolitemi czasem się spotykają.

(*Roderyk kłania się z wymuszoną powagą. — Iza mu w tenże sposób ukłon oddaje — i — parska śmiechem*).

IZA.

Wié pan co? czybyśmy, korzystając z téj długiéj konferencyi, nie mogli téż odbyć między sobą... bardzo ważnéj?

RODERYK.

My? konferencyę! ale o czémże? bardzo chętnie!

IZA.

Jakto! panbyś był tak niedomyślny? Mówmy otwarcie, panie Roderyku, moglibyśmy, korzystając z danéj nam swobody, porozumieć się co do nietajnych przecie panu planów cioci i pana Radcy... tyczących się, jakżeby to powiedzieć? nas dwojga!

RODERYK.

A! jeśli pani sobie życzy, owszem!

IZA.

Ojciec zapewne panu mówić musiał, dlaczego z nim tu przybył. Ciotka téż nie taiła przede mną, że miałam być zaszczyconą odwiedzinami ich, w celu... w celu... (*waha się*) no, poprostu, nie pytając nas, chcą—je lache le mot—chcą nas pożenić!

http://rcin.org.pl

RODERYK.

A! jakże pani jesteś łaskawą, że pozwalasz mi mówić o tém z sobą z całą otwartością. Uszczęśliwia mnie pani tą dobrocią... ja także pragnąłem wynurzyć się pani, a nie śmiałem.

IZA.

Zaczekaj pan, przepraszam, ja mam głos, więc dokończę. Starzy chcieliby nas pożenić, a ja, nie mam najmniejszéj chęci wychodzić za mąż.

RODERYK.

Zupełnie tak, jak ja, bo ja też nie mam wcale ochoty się żenić... Daję pani na to słowo honoru ..

IZA.

Ze mną?

RODERYK.

W ogólności, z nikim, nawet z panią.

(*kłania się*).

IZA.

A! to doskonale! wybornie!

RODERYK.

Przedziwnie.

IZA.

Nie będziesz się więc pan starał o mnie?

RODERYK.

Uchowaj Boże, ani myślę! Racz mi pani dać odprawę, powiedz, że się jéj nie podobałem, co pani chce... przyjmuję na siebie winę...

IZA.

Ale ja także, ja także pozwalam panu powiedzieć o mnie, co zechcesz! A! to mi zupełnie wszystko jedno. Ciocię uprzedziłam. Zatém c'est convenu?

RODERYK (*z ukłonem*).

Parfaitement.

IZA.

Rada jestem, że się to raz przecie skończyło, teraz oddycham.

RODERYK.

A! i mnie lżéj. Więc pozwoli mi pani (*bierze ją za rękę i całuje*) podziękować sobie! (*na stronie.*) Skądże wzięła taką rękę z kości słoniowéj! Co za śliczna rączka!

http://rcin.org.pl

IZA (*na stronie*).

Nieuparty i wcale przyzwoity. Odrazu jesteśmy ze sobą jak starzy znajomi. Très comme il faut.

(*Siadają przy oknie*).

(*głośno*).

Teraz, zrzuciwszy z siebie ten ciężar, jak dobrzy starzy przyjaciele, możemy sobie pomówić z całą otwartością... o czém się podoba.

RODERYK.

(*Położył kapelusz i zdejmując drugą rękawiczkę*).

A! to wybornie, nous causerons, c'est parfait!

(*Fauza*).

IZA (*z uśmiechem*).

Chciałabym się doprawdy panu wywdzięczyć, żeś mnie wybawił z wielce kłopotliwego położenia. Czémże mu potrafię wdzięczność moję okazać? Niech mi się pan przyzna, pan masz jakąś miłość w sercu, ojciec się sprzeciwia? Ja to odgaduję... mogłabym przez ciocię dopomódz... Ofiaruję swoje usługi.

RODERYK (*cofając się z uśmiechem*).

Ja? miłość? projekta? A, uchowaj Boże! uchowaj Boże!

IZA.

Cóżby to było dziwnego? w pańskim wieku?

RODERYK.

Czyż pani nie widzi, że dla mnie ów wiek miłości, zapałów minął bezpowrotnie? Ja jestem stary, bardzo stary, nie rozumiem już nawet, jak się kochać można...

IZA.

Doprawdy? Doszedłeś pan już do tego błogiego spokoju! Tak wcześnie... je vous en fais mon compliment.

RODERYK.

Te czułości, zapały z mundurkiem studenckim idą w parze, ale późniéj stopą dotknąwszy ziemi, w życiu realném, człowiek praktyczny, widzący świat jak jest...

IZA (*po chwili milczenia*).

Wié pan, że i ja dotąd jakoś nie mogłam zrozumiéć, jak to się można zakochać, kochać, a szczególnie w mężczyźnie. Panowie jesteście chodzącą prozą, żywą tabliczką Pytagorasa.

RODERYK.

Tak pani sądzisz? Ale czyż wszyscy? Mógłbym na to odpo-

http://rcin.org.pl

wiedzieć, że i kobiety teraźniejsze z tą swoją emancypacyą są dla nas pozbawione całego uroku, jaki niegdyś miały. Zeszły z piedestału, obcięły sobie anielskie skrzydła nożycami krawieckiemi, są to mili, bardzo mili towarzysze, których rączkę ściska się wesoło... lecz, nic więcéj, nic więcéj. I tak jest lepiéj — c'est raisonnable!

IZA.

Z jakiego powodu tak jest, nie wiem, ale, niestety, tak podobno jest, zmienić trudno.

RODERYK.

Trzeba się zgodzić z rzeczywistością.

SCENA IX.

CIŻ. — KALASANTY *(wchodzi powoli i staje u drzwi zakłopotany, gładząc włosy)*.

KALASANTY.

Hm! hm, prosiłbym panienki... Miałbym coś do powiedzenia na stronie *(ciszéj)* względem stołowych okoliczności *(mruga)*.

IZA *(do Roderyka)*.

Przepraszam bardzo, natychmiast służę.

Wybiega głębią.—Za nią Kalasanty).

---

http://rcin.org.pl

SCENA X.

RODERYK (*sam*).

Nigdym się jéj taką zastać nie spodziewał. Nadzwyczaj zmieniona na awantaż, piękna, śmiała, dowcipna nawet, wcale, wcale dobrze w główce.. To dla mnie prawdziwa niespodzianka (*chodzi*). A co za oczy! skąd one biorą te oczy?... jaki magnetyczny wzrok! Przyznam się, że gdyby mi nie groziło to utrapione ożenienie (bo to zaraz żenić się każą) mógłbym oszaléć za nią. Ręka nawet! ta ręka czerwona, burakowa, dziś przecudownéj białości i formy tak estetycznéj... tak sympatycznéj, tak plastycznéj. A co za postawa! co za chód! jaki ruch szlachetny... Cała posągowo wygląda, coś ma téj Wenery z Milo...

SCENA XI.

RODERYK.—RADCA (*wchodzi żywo*).

RADCA.

Gdzie mój kapelusz? papiery zostawiłem w kapeluszu. (*Ogląda się*). A cóż to, sam jesteś? pannę spłoszyłeś?

RODERYK.

Ja nie, wybiegła, bo ją zawołano.

RADCA (*zbliżając się niespokojny*).

No cóż? jakże? co mówisz o niéj? podobała ci się?

RODERYK.

Bardzo! Jużeśmy nawet rozmówili się otwarcie. Ona sobie nie życzy iść za mąż, ja nie myślę téż żenić się wcale... więc rzecz skończona... i jesteśmy z sobą jaknajlepiéj.

RADCA (*biorąc się za głowę*)

A! niechże cię!... Otóż masz! Nic pilniejszego nie miał nad

http://rcin.org.pl

zrobienie głupstwa! A! ta młodzież dzisiejsza, nieokiełznana! Co tu teraz począć? Każ zaprzęgać i, jedźmy. Nie mamy tu co dłużéj robić... A! Roderyku, Roderyku!

RODERYK.

Kochany ojcze. Nie idzie za tém, ażebyśmy mieli teraz od tak miłego towarzystwa uciekać. Przeciwnie, kilka godzin spędzimy właśnie swobodnie, przyjemnie i bez ceremonii. My z panną jesteśmy dans des très bons termes — panna piękna, miła i rozumna.

RADCA (*patrząc z ukosa*).

I dlatego ty jéj nie chcesz?

RODERYK.

Wcale mi się podoba, ale żebym dlatego miał się aż żenić, pour tout de bon! to znowu trudno!

RADCA.

Nie chcę słuchać bredni

RODERYK.

Ale i panna téż zresztą wcale za mąż iść nie myśli.

RADCA.

A! cóż tedy? wstępuje do sercanek, czy do karmelitanek?

RODERYK.

Nie wiem; jednak, żeby do klasztoru pójść miała, bardzo wątpię, nadto jakoś rezolutna i lubi swobodę...

RADCA.

Cyt... milcz...

SCENA XII.

CIŻ.—IZA.

IZA (*wchodząc*).

A! przepraszam bardzo, ale na wsi obowiązki gospodyni... (*Do Radcy.*) Cóż pan z ciocią zrobił? zgubiłeś ją, jak widzę?

http://rcin.org.pl

RADCA.

Została na ganku z robotą, dokąd i ja powracam; wpadłem tylko na chwilę po papiery. (*Szuka w kapeluszu*). Otóż właśnie są. Zabieram je i idę... (*na stronie.*) Drogi Opatrzności są niezbadane. Któż wie?...

(*Wychodzi*).

SCENA XIII.

IZA. — RODERYK.

IZA (*do Roderyka*).

Siadaj pan. Jesteś skazany na moje towarzystwo, bo ta konferencya cioci z radcą widać nie tak prędko skończy się, jak nasza. Wiem, że moja paplanina panu smakować nie może, ale od czegóż rezygnacya i grzeczność? Jakoś pan ten dzień przeżyjesz...

RODERYK.

Bez komplimentu, bardzo miło go z panią przepędzę...

IZA.

Ale ja także nie gniewam się teraz wcale, że się trochę rozerwę... Wyznam jednak panu, żem się go bardzo obawiała. My, panny na wydaniu, jesteśmy skazane na tak gwałtowne i raptowne miłości, na takie nudne, po sto razy powtarzane, oklepane frazesy, na ciągłe te zgóry odgadywane prologi nieszczęśliwych małżeństw, że gdy się zbliża chwila męczarni, trochę drżeć i ziewać musimy... Znaleźć w panu człowieka szczerego, naturalnego, umiejącego wysłuchać dosyć niegrzecznego wyznania i odpowiedzieć na nie wcale... rozsądnie, było dla mnie miłą niespodzianką, wzbudzającą wdzięczność.

RODERYK.

Pani dobrodziejko, byliśmy oboje w położeniu podobném. Alboż pani sądzi, że staranie się po ukazu łatwą jest i miłą rzeczą?

http://rcin.org.pl

Ojciec wiezie, dysponuje ci, ażebyś się koniecznie zakochał, rozpłomienił, oświadczył. Obawiałem się téj ostateczności, tymczasem zamiast... nieszykownéj narzeczonéj, udającéj, że wcale nie wié, o co idzie, znajduję osobę tak... prawdziwie... tak... wyższą...

IZA.

Zmiłuj się pan, bez cukru!

RODERYK.

Na ten raz to nie żaden oklepany kompliment, ale najszczersza prawda... Pani jesteś zachwycającą!

IZA *(wybucha śmiechem)*.

A! cóż ja mam, płacąc za to, odpowiedzieć panu? Pan jesteś niezrównanie, ekscentrycznie miły. Pozostaje teraz tylko...

RODERYK.

Skończyć ten epizod, w który wpadliśmy mimowoli z nałogów salonowych, i mówić, o czém inném.

IZA.

A! tak, najlepiéj o czém inném.

(Pauza).

RODERYK.

Lubi pani czytać?

IZA.

Dosyć. Czytam jednak niewiele... rozważnie, powoli... i to tylko, co mnie uczy lub porusza. Dla ciekawości nie chwytam książek, wolę... myśléć, tak okrutnie dziś wiele piszą.

RODERYK.

Bo téż wielu dziś czyta. Muszą być literatury na wszystkie głowy. Dawniéj czytywała jedna klasa tylko, wybrana i wtajemniczona, a dziś wszyscy, aż do lokaja i garderobiany.

(Pauza).

Lubi pani podróże?

IZA.

Jakie? pisane, czy—prawdziwe?

RODERYK.

A! mówię o rzeczywistych.

IZA.

Dosyć, wkońcu jednak zawsze tęsknię do domu, bo mi w nim najlepiéj, a pan?

RODERYK.

Ja jestem włóczęgą. Wszędzie mi źle, nawet w domu, nigdzie

http://rcin.org.pl

mnie nic nie wiąże, to też długo na żadném miejscu usiedzieć nie mogę.

IZA.

Przepraszam, będę niegrzeczną, bo pewnie pan nic nie robisz?

RODERYK.

Trochę pani odgadła. Chciałem użyć lat młodych, a potém wziąć się do pracy.

IZA.

Gdy pan od niéj odwykniesz?

RODERYK.

Pani jesteś bardzo surową.

IZA.

Cóż pan lubisz oprócz podróży? towarzystwo?

RODERYK.

To, co nazywają towarzystwem, dosyć mnie nudzi. C'est toujours la même chose. Ta konwencyonalność, ten krochmal, ta sztywność, ta konieczność ruszania się, mówienia, wedle pewnéj zgóry przepisanéj formy...

IZA.

Ale panowie macie teraz aż nadto swobody.

RODERYK.

Sądzę, że i panie na brak jéj uskarżać się nie możecie.

IZA (*smutnie*).

Nie jesteśmy przez to szczęśliwsze.

(*Milczenie*).

RODERYK.

Przebacz mi pani niedyskretne pytanie. Jesteśmy teraz dobremi przyjaciołmi, sans arrière-pensée możemy z sobą mówić poufale i otwarcie. Nie mogę się wydziwić zmianie, jaką w pani znalazłem. Jak panie umiecie przekształcić się, wypięknieć, przeobrazić...

IZA.

Dokończ pan wedle prawidłowéj formułki, z poczwarki w motyla.

RODERYK (*śmiejąc się*).

A! tak! Nigdybym się był nie domyślił, że panią znajdę tak uroczą.

IZA.

A! dajże mi pan pokój! pfe! uroczą! Co za szkaradny wyraz, zszarzany przez wszystkich niedorosłych poetów.

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Tak, ale tym razem był na miejscu.

IZA.

Mogłabym się odwzajemnić panu, boś wcale niepodobny do tego studenta.

RODERYK.

A do kogóż, proszę pani?

IZA (*namyślając się*).

Nie weźmiesz mi pan za złe, gdy powiem co myślę?

RODERYK.

Jest to przecież obowiązek—p r z y j a ź n i.

IZA.

Teraz przypominasz mi pan bohatera powieści szkoły romantycznéj, młodego, a już wystygłego i rozczarowanego.

RODERYK.

Pani przynajmniéj nie masz prawa czynić mi tego wyrzutu, bo sama także przedstawiasz śliczną bohaterkę nowéj szkoły, ideał przyzwoicie emancypowanéj kobiety, co panią czyni jeszcze cudniejszą.

IZA.

Dziękuję! Jakto? Pan mnie istotnie znajdujesz emancypowaną? Ja wistocie nią nie jestem, tylko niezmiernie znudzoną, a bardzo otwartą i szczerą.

(*Wstaje i przechodzi ku oknu*).

RODERYK.

A! a!...

S C E N A XIV.

CIŻ.—RADCA.—BARONOWA.

BARONOWA (*do Roderyka, wchodząc*).

Pan radca powiada, że lubisz bardzo ogrody i upiera się pokazać moich kilka klombów. Czy wistocie jesteś pan amatorem?

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Wielkim! zapalonym!

RADCA.

Chodź, proszę cię, na minutę tylko... Zobacz, jak to kunsztownie podobierano... co za masy różnych zieloności... Powiadam ci, przepyszne! Dwa kroki tylko...

(Roderyk, zawahawszy się nieco, idzie za ojcem).

SCENA XV.

BARONOWA. — IZA.

BARONOWA (*zbliża się do niéj z pośpiechem*).

A cóż? a co? zmiłuj się! mów!

IZA (*spokojnie*).

A, moja droga ciociu, siurpryza niewypowiedziana, najmilszy w świecie chłopak... szczery, otwarty... i jesteśmy z nim w jaknajlepszéj przyjaźni...

BARONOWA (*składając ręce*).

A! dziękiż Bogu!... Cóż się stało? Cud?

IZA.

Nie, tylkośmy sobie zaraz powiedzieli zgóry — ja — że nie chcę iść za mąż, on, że nie myśli się żenić wcale.

BARONOWA (*ręce opuszcza*).

Iziu droga, dziecko moje! Cóżeś zrobiła! Mówisz to z takim chłodem, szyderstwem, śmiałością. Więc, więc ci się nie podobał? mój Boże!

IZA.

Owszem, nad wszelkie spodziewanie, ale czyż dlatego, że mi się podobał, mam się wiązać na całe życie? Pierwszemu wrażeniu nigdy ufać nie potrzeba...

BARONOWA (*wzdychając*).

Wierz mi, że ono przecie najczęściéj jest najtrafniejszém...

IZA.

Że mnie zdziwił niepospolicie, muszę przyznać! Chłopiec, a ra-

http://rcin.org.pl

czéj mężczyzna, śmiały, otwarty, myślący, oryginał... Nigdym się nie domyślała, żeby coś podobnego mogło z tego studencika wyrosnąć... Ale taki zajadły nieprzyjaciel kobiet i małżeństwa!

BARONOWA.

To właśnie piękna zręczność nawrócenia niewiernego...

IZA.

Prawda! zwycięstwo byłoby bardzo zaszczytném — lecz chybabym się o nie pokusiła, aby mieć przyjemność powiedzenia mu w końcu: nie wierzyłeś w naszę potęgę... i musiałeś upaść przed nią na kolana... teraz—idź—i nie grzesz już więcéj przeciw nam!

BARONOWA.

Tak czasem pleciesz nie do rzeczy!

IZA.

O! podobna rola bardzoby mi się uśmiechała... ale... mogłabym więcéj wymagać czasu, niż nam dano.

BARONOWA.

Cicho! słyszę ich wracających.

SCENA XVI.

CIŻ.—RADCA.—RODERYK.

RODERYK (*wchodząc do Baronowéj*).

Wistocie ogród z wielkim smakiem i kunsztem zasadzony, w kraju jeszcze mi się nic podobnego widzieć nie zdarzyło. Co za cieniowanie klombów, jaka perspektywa tonów!... Prześliczny! (*Baronowa daje znak Radcy*).

BARONOWA.

Już nie fatygując pana Roderyka—panu muszę jeszcze moje jedwabnictwo pokazać.

IZA (*do Roderyka*).

A my nie pójdziemy za niemi?

---

http://rcin.org.pl

SCENA XVII.

IZA—RODERYK.

RODERYK.

Przyznam się pani, że mnie jedwabniki wcale nie obchodzą, choćby najpiękniejsze... jeśli pani pozwoli—zostaniemy; moglibyśmy przeszkodzić rozmowie o interesach prawnych.

IZA.

Ale doprawdy pan się zanudzisz ze mną.

RODERYK.

Nigdy w świecie! ja tylko znudzić panią mogę, bo sam czuję, żem nieznośny.

IZA.

A! dziś jeszcze mnie pan nie znudzisz (*śmieje się*). Lubię poznawać młodych ludzi, uczyć się ich, badać—szukać w nich tajemnicy serca.

RODERYK.

Więc ja nawet do tych studyów się pani nie przydam — bo serce moje otwarte na rozcież i niéma w niém żadnego tajemniczego zakątka. Wcale nie ciekawie wygląda — jak pusta stodoła na przednówku, natomiast serce pani...

IZA.

Moje? Serce moje jest jak te izby, w których mnóstwo starych połamanych mebli i zniszczonych sprzętów składają. Mam w niém pełno moich sierocych skarbów—począwszy od dziecinnych zabawek, do umarłych marzeń z połamanemi skrzydłami — ale w téj izbie ruin zimno, ciemno a smutno.

RODERYK.

Dopóki jéj promień słoneczny nie rozświeci.

IZA.

Promień? jaki?

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Tym promieniem będzie... (*pauza*) miłość!

IZA.

Sądzisz pan? Bardzobym tego uczucia była ciekawą, ale ono podobno—jak bajeczne zwierzęta, które wymarły—już się na świecie naszym ukazywać przestało.

RODERYK.

Nie—ja sądzę, że choć rzadko, jeszcze się z niém spotkać można. Wybrane istoty, gdy je szczęśliwy traf losu zbliży do siebie...

IZA.

Może — ale to chyba bardzo — bardzo rzadko trafić się może, i—tylko owym wybranym istotom.

RODERYK.

Ponieważ ludzie za tém uczuciem tęsknią, jak za szczęściem, że go pragną—więc często się kochają głowami—sercami nie mogąc. Taka miłość, słomiany ogień, na chwilę błyśnie i znika.

IZA.

Jabym nawet miłością jéj nie nazwała—to się zowie—fantazyą.

RODERYK.

Pani słyszała pewnie, że ludzie w czasie wielkich głodów karmią się mąką z kory i mchami?

IZA.

Tak—i z tego potém umierają.

RODERYK.

Być może—lecz, choćby umrzéć przyszło—cóż to znaczy? byle śmierć poprzedziła rozczarowanie!

IZA.

Dziwna rzecz! niedawno mówiłeś pan przeciwko uczuciom i ich skutkom, a przecież zdajesz się do nich przywiązywać cenę.

RODERYK.

Zarzekałem się uczucia dlatego właśnie, że ono nietylko najwyższém szczęściem jest, ale największą boleścią być może.

IZA.

Zdaje mi się, że panbyś boleści uczuć już nie był zdolnym—zdobyłeś taki chłód.

RODERYK.

Któż pani powiedział, żem go zdobył?

http://rcin.org.pl

IZA.

Wniosłam o tém z początku naszéj rozmowy.

RODERYK.

A—pani! początek tak był różny od końca i od tego, do czegośmy—sam nie wiem, jak—przyszli! Nie pojmuję, jakim cudem niewieściéj potęgi dobyłaś pani z głębi mego zastygłego serca...

IZA.

Doprawdy?! a! a! jakże to patetycznie! (*Śmieje się*). Pozwól mi pan pośmiać się trochę... A! bo to przedziwne!

RODERYK (*zmieszany*).

Niech się pani śmieje, nie bronię, ale śmiech ten boli mnie, nie dla mnie. Nie sądziłem, byś pani była zdolną urągać się tak uczuciu i być tak...

IZA (*przerywając żywo*).

Zasurowo pan mnie sądzisz, ja nie urągam uczuciu, tylko... tylko niebardzo w nie wierzę. Jestem sceptyczną, bo się złudzeń boję.

RODERYK (*po chwili*).

Przepraszam, najmocniéj przepraszam, masz pani słuszność nawet urągać się z nich. Byłem wzruszony, niedorzecznie się uniosłem. Zdało mi się na chwilę, że się nasze myśli, nie powiem serca, zrozumiały i że sympatyzowały z sobą... stałem się dziecinnym, wstydzę się tego.

IZA.

Więc mnie pan masz za...

RODERYK.

Samaś pani rzekła: za chłodną sceptyczkę.

IZA.

Toś pan mnie nie zrozumiał, a przynajmniéj fałszywy wniosek wyciągnąłeś ze słów moich. Ja, lękając się niezrozumienia, zdrady, fałszu, słowem, zawodu, zamykam serce i bronię się, śmiechem... ale często... pożyczanym.

RODERYK (*wzdychając*).

Jakże szczęśliwym będzie ten, dla kogo się to serce otworzy!

IZA.

A! to już cukierek...

RODERYK.

Z panią rozmowa tak trudna...

(*Przechodzi po-za nią na lewo i przechadza się poruszony—milczenie — Iza spogląda na niego zdaleka*).

http://rcin.org.pl

IZA (*na stronie*).

Doprawdy, nie pamiętam, żebym kiedy była tak wzruszoną, pfe! to nieznośne...

RODERYK (*na stronie*).

Chciałbym stąd uciec, niebezpieczna kobieta... ma urok taki...

(*głośno*).

Mój ojciec nadzwyczaj coś długo nudzi tą konferencyą panią baronowę... (*patrzy na zegarek*) mieliśmy dziś powracać.

IZA.

Jakto? panowie dziś powracać myślicie?

RODERYK.

Tak, potrzebuję jaknajprędzéj jechać... jaknajprędzéj, bardzo mi pilno.

IZA.

Skądże pośpiech tak nagły?

RODERYK (*stając*).

Przyznam się pani, że ja téż nie lubię marzeń, złudzeń, wszystkiego, od czego głowę tracę.

IZA.

Ale cóż panu tu grozi? nie rozumiem... Czy pan głowę traci, powracając późno wieczorem?

RODERYK.

Nie, pani, ale tu za białego dnia gotów-em ją stracić, razem z sercem.

IZA (*uśmiechając się*).

O! tego to już nadto! Co za bojaźliwość i przezorność! Wierz mi pan, że tu jesteś bezpiecznym, zasadzki ani rozboju wcale się nie masz co lękać.

(*Siada na kanapie*).

RODERYK.

W tych sprawach, wyznaję, tchórz jestem.

IZA.

A pfe! tchórzostwo w mężczyźnie! to bardzo brzydka rzecz. Siadaj-no pan. Ojciec powróci, ciocia sobie obiad przypomni... a po obiedzie...

RODERYK (*który ciągle chodził—staje przed nią nagle*).

Czy postanowienie pani jest już niewzruszone?...

IZA (*spokojnie*).

Jakie?

http://rcin.org.pl

RODERYK.

Pani postanowiłaś nie wychodzić za mąż?

IZA.

Ja? któż to panu mówił? ja tylko za żadnego narzuconego sobie konkurenta iść nie myślę.

RODERYK.

Ale ja już nim nie jestem?

IZA.

Pan przecież żenić się nie chciałeś i nie myślisz...

RODERYK.

Nie chciałem, dopókim pani nie poznał.

IZA.

A! znowu te nieznośne cukierki!... Skądże tak nagła zmiana?

RODERYK.

Prawda, że nagła, ale uczucia tego rodzaju nigdy inaczéj, jak nagle przychodzić nie zwykły. Miłość prawdziwa jest iskrą elektryczną, która pada na serce, otwiera oczy, napełnia duszę... zmienia człowieka.

IZA (*śmiejąc się, ale łagodniéj*).

Prześlicznie!

RODERYK (*siada i bierze ją zwolna za rękę*).

Czyż pani w téj chwili nie czujesz, że ja jestem szczerym, że serce mi bije, żem zachwycony, zakochany i że wszystkich postanowień gotów-em wyrzec się dla niéj?

IZA (*spoglądając na niego*).

Mogłabym być bardzo dumną z mojego tryumfu, odniesionego nad człowiekiem, który przed godziną tak kochał swobodę i tak śpieszył mi oświadczyć, że miłością brzydzi się, jak niewolą.

RODERYK (*po namyśle*).

Masz pani prawo mi nie wierzyć, a nawet śmiać się ze mnie, ale jechałem tu, spodziewając się znaléźć wcale co innego... Niestety! Panie macie potęgę, od któréj, wedle oklepanéj maksymy, lepiéj uciekać, niż z nią walczyć... Myśmy zawsze zwyciężonemi.

(*Iza milczy—Roderyk próżno czeka na odpowiedź*).

RODERYK.

A! pani mi litościwie przebaczyć raczy! Stary, zakochałem się jak student, rumienię się za słabość moję, przepraszam panią.

(*Śmiejąc się, bierze za kapelusz*).

IZA.

Trzeba jechać — i ze wstydem! (*Wzdycha.*) Ale połóż pan ten

http://rcin.org.pl

kapelusz... Nie masz się pan przecie czego wstydzić, żeś mi przez grzeczność komplimenta prawił, bo—wyznaj pan sam, że w szczerość i w trwałość sentymentu, który się wylągł tak nagle, niepodobna mi uwierzyć.

RODERYK.

To prawda, a pani też tak cenisz swobodę, tak nienawidzisz wszelkiéj niewoli.

IZA.

Nie przeczę, ale zrozumiejmy się, panie Roderyku. Tak jest, cenię swobodę, to prawda, nie wzdrygam się przecie obowiązków, a nadewszystko tych, które narzuca serce; pan mnie, widzę, ciągle jeszcze ma za jakąś emancypowaną dzieweczkę.

RODERYK.

Samaś pani mi się tak odmalowała.

IZA.

Był to potrosze żart, zresztą pan mnie nie zrozumiałeś.

RODERYK (*biorąc znowu kapelusz, niecierpliwie*).

Ojciec się tak zagadał, a ja tu panią nudzę...

IZA.

Połóż pan ten kapelusz. Panowie nie pojedziecie przed obiadem, ja proszę.

RODERYK.

Ależ przez litość nad mém upokorzeniem powinna mnie pani puścić! Męczę się napróżno... a to nie prowadzi do niczego.

IZA.

Któż wié? Zawsze to wpłynie na pana i gdy drugi raz radca zawiezie go do jakiéj pięknéj panny, nie będziesz się pan zawczasu zarzekał.

RODERYK.

Mogę pani dać słowo honoru, że nie pojadę już do żadnéj, nawet przez posłuszeństwo synowskie.

IZA.

W obawie, aby się nie zakochać?

RODERYK.

Teraz mi to tak łatwo nie przyjdzie.

IZA.

A! przecież się pan mnie o mało nie oświadczył?

RODERYK.

To prawda! oświadczyłem się nawet całkowicie, nie poznaję siebie. (*Bierze kapelusz.*) Muszę pójść po ojca.

http://rcin.org.pl

IZA.

A! połóż-że pan ten nieznośny kapelusz, albo lepiéj, daj mi go pan!

(*Bierze kapelusz z rąk Roderyka i rzuca go na krzesło*).

Mówiłam, że nie puścimy panów przed obiadem.

RODERYK.

A! dajże mi pani choć cień nadziei!

IZA.

Obiadu?! daję panu najzupełniejszą pewność!

RODERYK.

O! nie! czyż pani mnie nie rozumié?

IZA.

Owszem, doskonale, ale ja jestem... sceptyczka... niedowierzająca... i potrzebuję się przekonać i, sama siebie zbadać... i—no, nie wiem. Pan jesteś dziwnie niedomyślny, a wymagający zbyt wiele.

(*Wstaje z krzesła. Roderyk chce ją pochwycić za rękę. Iza mu ją wyrywa. W téj chwili za sceną dają się słyszéć głosy baronowéj i radcy*).

SCENA XVIII.

CIŻ.—BARONOWA *i* RADCA. (*wchodzą i spoglądają ciekawie.—Iza i Roderyk, zmieszani nieco, oddalają się od siebie*).

RADCA.

Cudowny ogród, oranżerye przepyszne... wszystko tu piękne i miłe, począwszy od gospodyń, do kwiatów.

(*Wzdycha, spoglądając na syna*).

BARONOWA (*cicho do Izy, smutnie*).

Każże dawać do stołu, niech sobie jadą, mnie to męczy.

IZA (*cicho*).

Ale niéma się znowu czego tak śpieszyć!

http://rcin.org.pl

RADCA (*do syna*).

Każ konie zaprzęgać.

RODERYK.

Jeśli ojciec chce zostać, ja nie naglę.

RADCA (*ruszając ramionami*).

Idź, niech zaprzęgają.

(*Roderyk waha się i wychodzi powoli. Baronowa bierze się za głowę i wysuwa ku drugim drzwiom*).

BARONOWA.

A! jakiż maruda z tego Kalasantego, do téj pory obiadu nie dają.

SCENA XIX.

RADCA.—IZA.

RADCA (*smutny, zwolna zbliża się do Izy*).

Słyszałem już od pani baronowéj o wyroku, jaki na nas zapadł... niewymowną napełnia mnie to boleścią.

IZA.

O wyroku! cóż to takiego?... ja nie wiem o żadnym.

RADCA.

Jakto? wszakże losy nasze były w jéj rękach.

IZA.

W moich? panie radco? doprawdy nie rozumiem.

RADCA.

Bo pani nie chcesz mnie zrozumieć i, nie chcąc nawet bliżéj nas poznać... skazujesz...

IZA (*nieco zmieszana*).

To chyba jakieś nieporozumienie, panie radco. Zdaje mi się, że nie znając kogoś, potępić byłoby niesprawiedliwością wielką

http://rcin.org.pl

ale też, przyznasz pan, że bez bliższego poznania i cokolwiekbądź wyrzec trudno...

RADCA.

Ale my właśnie o to prosimy, byśmy się bliżéj mogli dać poznać.

IZA.

A ciocia się temu opiéra?

RADCA.

Pani...

IZA.

Ja? bynajmniéj, owszem, panie radco... prosiłam nawet, byście z nami zostali dłużéj, ale pan Roderyk...

RADCA (*żywo*).

Jakto? więc wyrok?...

IZA.

Ależ wyroku nie wydał nikt żadnego, a potém. panie radco, wiesz to najlepiéj, że—niéma wyroku bez apelacyi.

RADCA (*klaszcząc w ręce*).

Jakto? moglibyśmy się spodziewać?

IZA.

Ja nie wiem... Obiad zaraz dają.

RADCA.

Pani pozwalasz miéć choćby nadzieję?

IZA.

Czyż można komu zabronić nadziei?

RADCA (*chwytając ją za rękę i całując*).

A! pani! pani jesteś aniołem pociechy!

(*W téj chwili wchodzi Roderyk jednemi drzwiami, a prawie równocześnie baronowa, za którą idzie Kalasanty z serwetą na ręku*).

http://rcin.org.pl

SCENA XX.

CIŻ.—BARONOWA.—RODERYK.—KALASANTY.

KALASANTY (*uroczyście*).

Proszę pani baronowéj... dano do stołu!

(*Radca żywo i wesoło podaje rękę gospodyni, Roderyk bierze Izę, cicho rozmawiając z nią.—Kalasanty zostaje chwilę na scenie i spogląda za niemi*).

Aha!! przecież! trafiła kosa na kamień! Umyślnie spóźniłem obiad, bom się tego trochę spodziewał... Podsłuchiwałem trochę pode drzwiami... Miły Boże! co oni napletli, nim przyszli do ładu! koszałki, opałki! — a dowiedziona rzecz, niewiasta odniosła zwycięstwo. Byłem tego pewny... Teraz jestem spokojny... wesele za pasem... i jakoś to będzie!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

PANIE KOCHANKU,

ANEGDOTA DRAMATYCZNA

WE TRZECH AKTACH.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Szanownemu Panu

JANOWI KONSTANTEMU ŻUPAŃSKIEMU

W DOWÓD PRZYJAŹNI I SZACUNKU

dla jego zasług obywatelskich tę drobnostkę,

na pamiątkę pobytu w Poznaniu w maju 1867 r.

przesyła z pozdrowieniem

AUTOR.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W chwili gdy komedyi zachciało się być dramatem, tragiedyą, poematem, rozprawą, liryką i epopeją, słowem wszystkiém, oprócz tego, czém była pierwotnie; protestowaliśmy już raz przeciwko temu w kilku słowach przemowy do *Miodu kasztelańskiego*. Następująca komedyjka jest dalszym téj protestacyi ciągiem.

Przyjęcie, jakiego doznała na krakowskiéj i lwowskiéj scenie, jest dla nas dowodem, iż niezupełnie omyliliśmy się może, żądając komiki od komedyi i sądząc, że komedya historyczna jest możliwą.

Wprawdzie do powodzenia, jakiego doznała, przeważnie się przyczynił znakomity talent stworzyciela głównéj roli p. Wincentego Rapackiego, i jemu to głównie zawdzięczamy oklaski, których się na rzecz jego najzupełniéj zrzekamy, ale komedya stara, która *castigat ridendo*, bądź co-bądź umierać nie powinna. Składając dzięki p. Rapackiemu za mistrzowską grę jego, która go stawi na czele naszych dramatycznych artystów; miło nam podzielić się z nim pociechą, jakiéj doznaliśmy przy przedstawieniu, *Panie kochanku*.

Równie szczęśliwie występuje w téj roli we Lwowie p. Królikowski i do naszéj wdzięczności ma prawa.

Panie kochanku, tak, jak się tu ukazuje, miało być pierwotnie jedną tylko częścią trylogii dramatycznéj, na którą składały się (dotąd niedokończone) trzy komedye, z trzech epok życia księcia Karola, pod ogólnym tytułem: *Panie kochanku*.

Pierwsza z nich: *Na wygnaniu*, z czasów po konfederacyi barskiéj, druga: *Wesele w Albie*, wizerunek z wesołego żywota bandy Albeńskiéj, trzecia (ta, którą dajemy) *Syruć i Radziwiłł*: ostatki lat spędzonych w Nieświeżu przedstawiać miały.

Dwie pierwsze nie zdały się nam jeszcze gotowemi do wyjścia na świat i do czasu w tece pozostać muszą; trzecią a ostatnią dajemy dzisiaj, prosząc czytelników o pobłażanie.

Drezno 3 czerwca 1867.

J. K.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

OSOBY:

Książę Karol Radziwiłł, Wojewoda Wileński, przedtém Miecznik Litewski, strój polski, mężczyzna podżyły, głowa nieco łysa, wąsy sumiaste i tusza wielka. Mówi zawsze seryo, i płaczliwie.

Pani Generałowa Morawska, siostra księcia, wysokiego wzrostu, wiek średni, ruchy męskie, zażywa tabakę.

Szambelan Łopuski, nieodstępny towarzysz księcia, wysoki, chudy, niepozorny, potulny.

Pan Sobieski, dworzanin księcia.

Pan Rejtan, *Pan Zienowicz*, } sąsiedzi i przyjaciele.

Pułkownik de Larzac, komendant twierdzy Nieświeża.

Pan Wirszył, dworzanin rezydent.

Pan Teofil Syruć, młody dorodny szlachcic z pod Lidy.

Leosia Puciatówna, panna na respekcie pani Generałowéj.

Dworzanie.

Rzecz dzieje się w okolicy i na zamku Nieświeskim, w końcu XVIII wieku.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

AKT I.

Scena przedstawia puszczę litewską ze starych dębów i sosen złożoną, w głębi gęstwiny. Przodem wije się ścieżka wązka przechodząca od lewéj strony kulis na prawo.

SCENA I.

WIRSZYŁ, *sam na przesmyku pod drzewem ze strzelbą, w lisiurce, długich butach i torbie borsuczéj, stoi oglądając się w prawo i lewo. Późniéj Teofil Syruć w ubiorze podróżnym, w kurcie zielonéj z baranami, czapka na głowie, batożek w ręku. Nadchodzi z lewéj strony rozglądając się.*

WIRSZYŁ (*ziewając*).

A! że wolałbym ciepłe piwko przy kominie i warcaby z pułkownikiem Larzakiem, niżeli tę utrapioną wartę w lesie... oj! to rzecz pewna... Ale — pan każe, sługa musi a z naszym księciem to niéma żartów... gdy jedzie na polowanie, patrzy bacznie, kto mu towarzyszy a kto na zamku został i czarne kreski pisze... Człowiek przynajmniéj dopóki na dożywocie nie zasłuży, choćby na dziesięciu chatach... musi dworować Księciu Jegomości i służyć na dwóch łapkach... jak szpic! aj! aj! służba ciężka, choć żołądek nie próżny i grzbiet nie odarty...

Gdy Książę pije, pić z nim musimy wszyscy, ale to jeszcze nic, do kufla ja dotrzymam; Książę bajki plecie, słuchaj, choć się oczy kleją i śmiéj się..; pójdzie w tany, za nim wszyscy, i gdyby

http://rcin.org.pl

mu się zachciało habit wdziać... trzebaby było głowę ogolić... No! ale człowiek się też na stare lata dosłuży chleba, gdy zębów nie będzie.

Ale baczność! coś szeleści, nuż bym prześlepił... dopieroby mi dali stęplami... baczność!

(*bierze strzelbę i przymierza w lewą stronę, z której ukazuje się przedzierając przez gąszcze Syruć*).

SCENA II.

WIRSZYŁ — SYRUĆ.

SYRUĆ.

A! stójże utrapiony myśliwcze! na miłego Boga! przecież widzisz, żem człowiek a nie niedźwiedź!

WIRSZYŁ.

Masz szczęście... o włos żem na chrzęst gałęzi nie palnął; byłbym waszeci nie źle loftkami naszpikował... Ale co Wasindziéj tu robisz? czego się włóczysz jak Marek po piekle?

SYRUĆ.

A no! idę i szukam gościńca... Cóż to u was tu i chodzić ludziom nie wolno?

WIRSZYŁ.

To waść wiész, że Książę poluje...

SYRUĆ.

Nie wiem ani o księciu, ani o polowaniu... Jaki Książę?

WIRSZYŁ.

A toć u nas jeden jest Książę, Panie kochanku.

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

No to niech sobie poluje, na zdrowie mu, ludzie przecie dla tego za interesami jeździć mogą... Zbiłem się w téj puszczy z drogi i tum konia uwiązał, a sam puściłem się jéj szukać... Nie moglibyście mi powiedzieć?

(*Słychać z dala strzał*).

WIRSZYŁ.

Daj Boże, żeby się tam Waścinemu koniowi nie dostało.

SYRUĆ.

Koniowi? jak to? albo to na konie polujecie?

WIRSZYŁ.

Na wszelką zwierzynę, choćby i na dwóch nogach, mospanie. Co na placu to nieprzyjaciel. Jeżeli tam asindzieja koń w gałęziach zaszeleścił, może mu który krótkowidz a gorączka w łeb wypalił... bo to coś w téj stronie...

SYRUĆ.

Ale ba! gdzie znowu.

(*wpatrując się w niego na stronie*).

A! dalifur! to Wirszył.

WIRSZYŁ (*na stronie*).

Jak Pana Boga kocham... szalenie mi Teofila Syrucia przypomina...

(*głośno*).

Za pozwoleniem wacpana, nie możnaby wiedzieć, dokąd Pan Bóg prowadzi?

SYRUĆ.

A no, do Nieświeża...

WIRSZYŁ (*do siebie*).

No! to chyba nie Syruć, ten by tam nie jechał... gdyby się w Nieświeżu pokazał, Książęby go w piérwszym impecie gotów kazać powiesić...

(*głośno*).

A skądże to panie bracie? z daleka?

(*na stronie*)

Im mu się lepiéj przypatruję... przysiągłbym taki Syruć.

SYRUĆ.

Ja... jadę do Wilna i Lidy... mości dobrodzieju.

(*na stronie*)

To niezawodnie Wirszył... otóż go tu licho nadało.

http://rcin.org.pl

WIRSZYŁ (*na stronie*).

Albo Syruć, albo dyabeł...

(*głośno zbliżając się zwolna*).

Miłościwy panie a bracie, wolno spytać o nazwisko.

(*nagle przyskakując*).

Tyś Syruć... Teofil Syruć! jak Boga kocham...

SYRUĆ (*zmieszany*).

Ale nie... ja jestem, ja jestem, Paweł Horain.

WIRSZYŁ (*z niedowierzaniem*).

Jaki Horain! którędy? Znam Horainów co do jednego jak łyse konie? Tyś Syruć!

SYRUĆ.

Ale gdzież znowu!...

(*na stronie*).

Wirszył, żeby go licho porwało, już się nie wykręcę... ale trzeba go związać... by się nie wygadał.

WIRSZYŁ.

No, przyznaj się Waszmość, na co tu ludzi durzyć, czy oczów nie mam? Wszakżeśmy razem chodzili do szkół, a dwa lata temu widziałem Waści w Lidzie na sejmiku... tak jako o to go widzę...

SYRUĆ.

Ale nie... jako żywo!

WIRSZYŁ.

Ał pleć zdrów... Ja to rozumiem dobrze, że stojąc na ziemi Radziwiłłowskiéj, nie chcesz się przyznać do swego nazwiska... Ale darmo, mnie nie wywiedziesz w pole...

SYRUĆ.

Mospanie Wirszył...

WIRSZYŁ.

A no! widzisz, żeś mnie poznał...

SYRUĆ.

No tak! znam, znam i przyznaję ci się, kto ja jestem... ale sza! Wiész waszmość, że tu o głowę idzie... Ja honorowi jego polecam się i oddaję...

WIRSZYŁ.

Ale po cóżeś tu wlazł?

SYRUĆ.

Po co?... ot tak... przypadkiem...

http://rcin.org.pl

WIRSZYŁ.

Ale ba! także mi chcesz wmówić! piękny przypadek. Sam przecie wyznałeś, że jedziesz do Nieświeża... a w Nieświeżu Syruciom... nie zdrowo! nie zdrowo!

SYRUĆ.

Przejeżdżam...

WIRSZYŁ.

To cię mogą i w przejeździe poznać, pochwycić — i powiesić! Książę się, jak mówią, zaklął, iż nie daruje ci dekretu, który uzyskałeś na niego za najazd na dwór w Pilwiszkach. Skazano go z twéj przyczyny na wieżę, musiał zapłacić grzywny, a co to Radziwiłłowi być skazanym i sądzonym! Siedział prawda wieżę nie in fundo, ale w wesołém towarzystwie z panem Rejtanem i Wołodkowiczami... ale zawsze to się nazywała wieża i wychodząc poprzysiągł na progu, że złapawszy Syrucia obwiesi... Całéj waszéj rodzinie i nazwisku ślubował wiekuistą nienawiść, teraz imienia już tego nawet wspomnieć się nie godzi... Ty wiesz, że z panem kochanku, nie żarty...

SYRUĆ (*po chwili*).

Ależ mnie tu nikt nie zna... prócz was, a waszemu szlacheckiemu honorowi życie moje chętnie zwierzę—przecież nie pójdziecie mnie wydać... dla pozyskania łaski książęcéj.

WIRSZYŁ.

Daj ty mi pokój z honorem i ze szlachectwem, tu idzie o skórę, jam chudy pachołek... Ślicznego byś mi piwa nawarzył, gdyby się dowiedzieli! dziękuję... książę mi każe na całe życie pójść z oczów i kwita z zasługi... Ja za waścine szaleństwa pokutować nie myślę... Jedź zdrów, skądeś przybył... dopókiś cały... to jedyna rada.

SYRUĆ.

A no, nie mogę...

WIRSZYŁ.

Cóż to jest? jaka przyczyna?

SYRUĆ.

Przyczyna?—tajemnica...

WIRSZYŁ.

Tajemnica! trzymajże się sobie z nią i wynoś, bo ja w to, czego jasno nie widzę, wdawać się nie myślę... Ostrzegam Was, że wydam, więc zawczasu w nogi... życzę...

SYRUĆ.

I nie ucieknę i nie wydacie mnie.

http://rcin.org.pl

WIRSZYŁ.

Czemu?

SYRUĆ.

Boś przecie szlachcic, nie infamis...

WIRSZYŁ.

Szlachcic! szlachcic, a co mi tam po tém szlachectwie bez omasty!... Ja służę Księciu nie dla pięknych oczów, ale dla krescytywy... i łaski jego tracić nie myślę, dlatego żeś mi Waszéć w drogę wlazł...

SYRUĆ.

Ależ przecie nikt nie wie i wiedzieć nie będzie, że mnie Waszmość znasz... korona ci z głowy nie spadnie!

WIRSZYŁ.

O! o! do tego-bym się ja nie przyznał... to pewna...

SYRUĆ.

Czegoż się lękasz?

WIRSZYŁ.

Wszystkiego... Zresztąż gadaj przynajmniéj otwarcie, po coś tu wlazł jak Piłat w Credo, skarany Syruciu!... na oczewiste nieszczęście...

SYRUĆ.

Po co? ja tu nie zabawię, a przejechać—droga wolna każdemu.

WIRSZYŁ.

Jak to? Waćpan się upierasz przejeżdżać przez sam Nieśwież, to może i na dwór sobie wstąpisz.

SYRUĆ.

A i na dworze będę pewnie.

WIRSZYŁ.

I jutro będziesz dyndał przesuszając się w powietrzu...

SYRUĆ.

Ech! ech! nie tak straszny dyabeł, jak go malują... tak źle nie będzie.

WIRSZYŁ.

Albo z Waszmości wielki zuch, albo masz życie na zbyciu... ale gadajże utrapieńcze, po co jedziesz! po co? boć darmo nikt szyi, a choćby grzbietu nie nastawia... w tém coś jest.—

SYRUĆ.

No, daj mi słowo, że mnie nie wydasz...

WIRSZYŁ.

Na ślepo? nie mogę... Gadaj wprzód, zobaczymy.

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

Nie powiem, daj słowo...

WIRSZYŁ.

Nie mogę, gadaj wprzódy...

SYRUĆ.

Nim co będzie, posłuchajno jednéj rzeczy. Ty się obawiasz księcia, książe mocny to prawda ale jeden. Syruć słabszy, to pewna, ale takich Syruciów mospanie, w Lidzkiém, głowa w głowę jak ja, zuchwałych, których nic nie kosztuje palnąć w łeb choćby Wirszyle... liczy się sześćdziesięciu i siedmiu...

WIRSZYŁ.

Rozrodzona familia... daj go katu!

SYRUĆ.

Otóż gdyby mi włos z głowy spadł z przyczyny wacpana, to cię od jednego z moich sześćdziesięciu sześciu kula nie minie... przysięgam na Trójcę świętą...

(*zakłada palec na palec*).

WIRSZYŁ (*zasępiony*).

No mówże, po co cię tu licho przyniosło?

SYRUĆ.

Przysiąż.

WIRSZYŁ.

Nie mam zwyczaju szafować przysięgą... dosyć-by było słowa...

SYRUĆ.

Dosyć—i biorę waści za słowo.

WIRSZYŁ (*cicho*).

Wziął, nim dałem—

SYRUĆ.

Otóż wyznam ci prawdę całą: Na dworze generałowéj Morawskiéj, siostry księcia, która bawi w Nieświeżu, znajduje się Leosia Puciatówna...

WIRSZYŁ.

O ho! a wam co do niéj?

SYRUĆ.

I bardzo mi do niéj, bo naprzód jest to moja krewna, a w dodatku od dzieciństwa narzeczona, od pierwszéj młodości ukocha-

http://rcin.org.pl

na... Dowiedziałem się, że Jego książęcéj mości w oko wpadła, smali do niéj cholewki, otóż albo ja zginę, albo ją wyratuję... to inaczéj nie może być...

WIRSZYŁ (*chwytając się za głowę*).

Przeczuwałem, że kaszy nawarzysz gorącéj... szatanie! waryacie... nie chcę wiedzieć... idź, idź sobie do trzech milionów diasków i ze swoją Leosią... Dopiérobym się ubrał, gdybym nawet małym palcem téj roboty dotknął...

SYRUĆ.

Ale ja was o żadną pomoc nie proszę...

WIRSZYŁ (*gwałtownie*).

A tak! tak! wiem ja: *qui tacet consentire videtur*, jeżeliś zapomniał łaciny, to ci wytłómaczę—kto milczy, panenku, ten zezwala... Ja wiem, czém to pachnie! konopiami! Idź, pókiś cały... Syruciu przeklęty!

SYRUĆ.

Słowo waścine mam, a sześćdziesięciu mścicieli stoi za mną...

WIRSZYŁ.

Słowa nie dawałem, a gdyby ich było i stu.

(*Głosy za sceną*).

Uciekaj! słyszę głos księcia! uciekaj...

SYRUĆ.

Księcia! tém lepiéj... pamiętaj, trzymam za szlacheckie słowo, a krucicę mam zawsze w kieszeni i jeśli piśniesz...

SCENA III.

CIŻ—KSIĄŻĘ WOJEWODA (*ze strzelbą na ramieniu, ubiór myśliwski, za nim Szambelan Łopuski i dwóch rezydentów ze strzelbami*).

KSIĄŻĘ (*wchodząc z lewéj strony*).

Mówcie sobie aszmość, panie kochanku, co chcecie... jest w tém nieczysta sprawa szatańska. Pamiętasz, Szambelanie, gdyśmy byli

http://rcin.org.pl

w Maroku... kiedym to do lwa strzelił, a murzyna zabiłem, że mnie o włos nie ścięto, gdybym nie miał téj maści cudownéj, którą go odżywiłem, że mnie potém nosili na rękach... Tak i dziś się stało... Czary! panie kochanku, nic innego. Wszyscy widzieli, że niedźwiedź marucha szedł na mnie wprost bestya, na dwóch łapach, ryczący, panie kochanku... Czarny, kudłaty, straszny... Wziąłem go na cel dobrze pod łopatkę... jak buchnę, trochę mi, panie kochanku strzelba, targnęła... dym się rozszedł... patrzę, niéma nic... jak w wodę wpadł, panie kochanku. A za krzakami coś się wywraca. My z kordelasami w gąszcze... patrzym... koń z siodłem, któremum cały nabój w łeb wsadził... dogorywa...

SYRUĆ (*z krzykiem*).

Jezu Marya! a! to pewnie mój siwosz najdroższy! to moje poczciwe konisko...

KSIĄŻĘ (*postrzegając go, prędko do Szambelana*).

A! panie kochanku! jakiś szlachcic podróżny! Otóż masz! A Radziwiłł mu konia zabił... Szambelanie, ratuj Radziwiłła, jeźli Boga kochasz, nie wydawaj mnie, że jestem książęciem... wstyd mi szlachcica... Weź na siebie rolę księcia, a ja zostanę *incognito* szambelanem Łopuskim... (*dając znak Wirszyle, który stoi pomieszany*). milczéć! panie kochanku!

SYRUĆ (*lamentując*).

A żebyś marnie przepadł, ślepy strzelcze, coś mi tak drogie stworzenie, najukochańszego przyjaciela, skarb ten nieoszacowany... odebrał! To kryminał! to morderstwo! ja pozwę do sądu... napaść na gładkiéj drodze...

KSIĄŻĘ (*kryjąc się za Szambelana*).

Łajże Waszmość mnie, panie kochanku, ale delikatnie, żebym się nie rozgniewał.

SZAMBELAN (*zmieszany*).

Cóżeś bo Pan zrobił... tego... panie szambelanie, kochanku... jak to było można...

KSIĄŻĘ.

Mości książę, panie kochanku.,. (*poprawia się*) bez panie kochanku... przepraszam, bom się od Waszéj książęcéj mości nauczył tego szkaradnego przysłowia... Dali pan, panie kochanku (*spluwa i rusza ramionami*) wina to nie moja... i nie kurza ślepota, ale fortel dyabelski, strzeliłem do niedźwiedzia, na to mam świadków... siła szatańska! nieczysta, dzień *jeralis*.

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

Tak, tak! A cóż ja teraz nieszczęśliwy poczne! Ten koń to był mój przyjaciel, to był méj brat... jam go kochał... on mnie... o mój Boże...

SZAMBELAN.

No, ale cóż na to poradzić, co się stało, odstać się nie może...

KSIĄŻĘ (*podpowiadając cicho*).

Dodaj panie kochanku!

SZAMBELAN.

Cóż ten koń mógł być przecie wart?

KSIĄŻĘ (*tak samo*).

Dodaje panie kochanku!

SYRUĆ (*z zapałem*).

Ten koń? możnaż ocenić takiego konia?... Ja za tego nieoszacowanego siwosza wioski wziąć nie chciałem...

KSIĄŻĘ I SZAMBELAN (*poglądają na siebie*).

KSIĄŻĘ.

Szlachcic chce drzeć łyka... panie kochanku...

SZAMBELAN.

Wolne żarty.

KSIĄŻĘ (*podpowiada*).

Zawsze na końcu panie kochanku, bo inaczéj to ci nie uwierzy, żeś książę...

SYRUĆ.

Postawię świadków, jeśli trzeba, że wioski wziąć nie chciałem...

SZAMBELAN.

To już dzikie pretensye, ale skądże WPan jesteś? jakeś się tu znalazł wśród puszczy... coś za jeden?

KSIĄŻĘ (*cicho*).

Panie kochanku...

SYRUĆ.

A co to ma do rzeczy... Z tego, co słyszę, dorozumiewam się, że jeden z Radziwiłłowskiego dworu konia mi zabił... żądam sprawiedliwości i sowitego wynagrodzenia... a nie! no, to obdukcya sądowa i proces z regestru taktowego...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*na stronie do Szambelana*).

Zapłacić mu, co zechce, panie kochanku, niech go szatani uduszą... byle nie wiedział, że to ja... abym nie został pośmiewiskiem nieprzyjaciół moich, panie kochanku...

SZAMBELAN (*do Syrucia*).

Widzisz WMość, żem ja tu gospodarz...

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku...

SZAMBELAN.

Kończmyż interesa z sobą zgodnie... A naprzód z kim mam przyjemność mówić?

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku...

SYRUĆ (*zdejmując czapkę i schylając się do kolan*).

Miło mi, iż mam to szczęście z nieszczęścia mego korzystając przedstawić się W. Ks. Mości...

SZAMBELAN.

Ad rem...

KSIĄŻĘ (*cicho*).

Panie kochanku! Łopuski źle grasz moję rolę... dalipan...

SYRUĆ (*zagadując*).

A któż jest ten niezgraba, co mi mego brata uśmiercił?

SZAMBELAN (*zmieszany*).

To jest... ten...

KSIĄŻĘ.

Łopuski Szambelan, panie kochanku...

SZAMBELAN.

Nie będziesz się WPan dziwił, iż ma toż samo co ja przysłowie, ciągle będąc ze mną... wdział je jak mundur przyjacielski.

SYRUĆ.

Co mnie to tam obchodzi M. Książę, ale ma on czém mi wynagrodzić za przyjaciela, za brata, za to zwierzę, którego na wagę złota-bym nie oddał... w tém rzecz—

SZAMBELAN.

Na to poradzimy, któż Waszmość jesteś?

KSIĄŻĘ (*dodając*).

Panie kochanku...

SYRUĆ.

Ja jestem szlachcic *natus et possessionatus*, Paweł Horain z Lidzkiego, z Pęcherzyszek...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*żywo*).

Z Lidzkiego, panie kochanku! z Lidzkiego, może z tych okolic co Syrucie! może Syruciów krewny! Panie kochanku..

SYRUĆ (*dosłyszawszy*).

Co? Syruciów krewny! nie! uchowaj Boże... ja z niemi nie mam nic wspólnego, ale ich tam w Lidzkiém jak maku, sześćdziesięciu kilku...

KSIĄŻĘ (*zapominając się*).

Radziwiłł mospanie, panie kochanku, jeden da im wszystkim rady... Słyszysz waść?

SYRUĆ.

Słyszę, panie Szambelanie, i pochwalam... trzeba ich rozumu nauczyć... Ja także tych zawalidrogów nie lubię...

KSIĄŻĘ.

Nie lubisz ich, panie kochanku, to cię mam za porządnego człowieka...

SZAMBELAN (*przerywając*).

Wracając do rzeczy, cóż za tego konia i żeby nie rozgadywać... Ja za pana Szambelana płacę...

KSIĄŻĘ (*z ukłonem*).

Kłaniam, panie kochanku...

SYRUĆ.

Mamy skończyć zgodnie? Ojcu-bym go rodzonemu za tysiąc bitych talarów nie sprzedał...

JEDEN *z dworzan.*

Ależ ja mu w zęby zajrzałem, szkapa miała lat ze dwadzieścia...

SYRUĆ.

A co to ma do tego? To był koń, jakiego świat i korona polska nie widziała, to był koń, że mu tylko mowy brakło, to był taki koń...

KSIĄŻĘ.

No, ale to był stary koń, panie kochanku...

SYRUĆ.

Stary, ale miał doświadczenie, był zahartowany, nie pomieniałbym go na młodego... to był koń...

SZAMBELAN.

Ale tylko koń...

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku... daj mu już, co zechcesz, aby skończyć raz tę głupią historyą... Szatan mi sztukę wypłatał, bo ja z nim wiecznie jestem na udry... ale ja mu to odpłacę... panie kochanku. (Szatanowi i Syruciowi panie kochanku).

http://rcin.org.pl

SZAMBELAN.

No, przecież co byś sobie życzył, panie Horain?

SYRUĆ.

Ponieważ Wks. Mość sam mi tę krzywdę chcesz wynagrodzić i wchodzisz w moje położenie... będę skrupulatny... parę tysięcy talarów i konia dobrego wierzchowego ze stajni Wks. Mości, więcéj nie żądam... Taniéj grzyba!

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

A niech go dunder świśnie, panie kochanku...

SYRUĆ.

Boć proces, obdukcya... sądy, to i więcéj może kosztować...

SZAMBELAN (*któremu Książę szepce na ucho*).

Bierz już tysiąc talarów i cicho...

SYRUĆ.

A niech Bóg uchowa... nie mogę...

KSIĄŻĘ.

Dodaj mu szkapę panie kochanku... aby skończyć.

SZAMBELAN.

No, tysiąc i koń pod siodło, więcéj nie dam... jak wola.

SYRUĆ.

Jestem skrzywdzony, ale cóż robić.., szlachcicowi biednemu tak zawsze... Bylem sobie wierzchowca sam wybrał! Zgoda... dla Wks. Mości i przez respekt dla wielkiego imienia Radziwiłłowskiego to czynię..

(*kłania się*).

KSIĄŻĘ.

O furfanta kawał, panie kochanku!

SZAMBELAN.

I nikomu nie pisnąć... słowo szlacheckie...

SYRUĆ.

Tak, Mości książę.. słowo się rzekło, koń leży za krzakiem... Siodło chyba na plecy wziąć będę musiał.

KSIĄŻĘ (*do Szambelana na stronie*),

Zaproś-że go do Nieświeża panie kochanku... bestya z nas zażartowała, trzeba mu za to zapłacić... Ty Łopusiu będziesz grał rolę księcia, a ja pokieruję komedyą, nauczym go rozumu... Nie daruję mu zdzierstwa...

http://rcin.org.pl

SZAMBELAN.

Siodło waszecine, wezmą strzelcy na wóz z sieciami: ja wacpana do zamku na obiad proszę... tam i konia sobie wybierzecie...

KSIĄŻĘ.

Trzeba mu dać rewanż...

(*głośno*).

Dziękuję panu Horainowi za ugodę... a proszę, panie kochanku o sekret... koń zdechł, strzelcy go tu pochowają...

(*do Szambelana*).

Trzeba mu będzie z niego pieczeń wykroić, aby tego przyjaciela skosztował... i pogrzebał go w żołądku...

SZAMBELAN (*śmiejąc się*).

Jak Wks. Mość każesz!

(*głośno*).

A zatém, panie Horain służymy waszmości... na zamek.

SYRUĆ.

W téj chwili, ale muszę zebrać moje węzełki...

(*wychodzą wszyscy oprócz Wirszyła, który stoi pod drzewem*).

SCENA IV.

WIRSZYŁ (*sam zamyślony*).

No tak! dosyć że *audaces fortuna juvat*, śmiałkom tylko na świecie dobrze, a nam potulnym... na pochyłe drzewo kozy skaczą... Tysiąc talarków i konia wierzchowego dostał, a do zamku się wkręcił... Oj! gdyby książę wiedział, kto on taki! Panie Wirszył... żebyś ty umiał z tego korzystać... upiekłaby ci się niezła gratka. Hm! Tylko te Syrucie... jest tego wistocie dużo i chłop w chłopa tacy determinowani... Trzeba się dobrze namyśleć...

(*stoi i bije w palce*).

Wydać, nie wydać... wydać... Słowa nie dawałem... A nuż się wyda, kto on jest i okaże się, żem ja go znał a milczał? I tak

http://rcin.org.pl

źle i tak nie dobrze!... A co za plątanina: Syruć pod imieniem Horaina na zamku... Szambelan gra rolę księcia, książę szambelana! W dodatku Leosia Puciatówna. Gdybyś ty, mój poczciwy Wirszyle, umiał korzystać... okrutny mam apetyt... miałbym jak w kieszeni folwarczek dożywociem... Albo kulę od którego Syrucia... Sześćdziesięciu sześciu... Nie... tylu ich niéma: Ba! no, gdyby i połowa?... A krucicę nosi w kieszeni... z drugiéj strony dożywocie, łaska pańska... ot tom wpadł...

SCENA V.

WIRSZYŁ—SYRUĆ (*niosąc siodło na plecach*).

SYRUĆ.

Hej! hej! wszystko się to porozchodziło, nim-em popręgi porozpinał, bo nieboraka zdęło... Którędyż droga?

WIRSZYŁ.

W prawo tędy, do obozu...

SYRUĆ (*obracając się*).

Słowo, mospanie.

WIRSZYŁ.

Wszakże milczę...

SYRUĆ.

Ale coś waści źle z oczów patrzy, markotno ci, że mi się udało... Oj! oj! szkapa tego warta była... *Pretium affectionis*, koń był stary, ale serce w nim rzadkie, do owsa i do mnie jednako rżał...

WIRSZYŁ (*chmurno*).

Droga w prawo...

SYRUĆ.

Nie zdradź-że mnie...

http://rcin.org.pl

WIRSZYŁ (*ruszając ramionami*).

Droga w prawo!

SYRUĆ.

Do nóg upadam, tylko jeszcze krucicę, co ją mam w kieszeni zawsze... przypominam...

WIRSZYŁ (*coraz głośniéj*).

Droga w prawo!

SYRUĆ.

A jest nas sześćdziesięciu siedmiu... ze mną...

WIRSZYŁ (*za odchodzącym*).

Droga w prawo! do trzysta... Po com się ja w to mieszał!

(*po namyśle*).

Ha! kto wié... może to i szczęście przyniesie... chytrze a mądrze... zobaczymy... pomyślim...

SCENA VI.

WIRSZYŁ (*pod drzewem. Z lewéj strony sceny wchodzi po myśliwsku ubrana w futerku* GIENERAŁOWA MORAWSKA, *za nią chłopak niesie dwie małe strzelbki na ramionach*).

GIENERAŁOWA.

Kto tu strzelił?

WIRSZYŁ.

Strzelił?... ja... prawdziwie... nie wiem, proszę pani Gienerałowéj, bo ja tu tylko co nadszedłem. Zdaję mi się, że ktoś ze dworu do niedźwiedzia...

(*Wirszył wysuwa się zwolna*).

GIENERAŁOWA (*do chłopaka*).

Zatrąb no na mego brata umówiony sygnał...

(*chłopak trąbi*).

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

GIENERAŁOWA. *potém* KSIĄŻĘ.

GIENERAŁOWA.

Muszą być przecie nieopodal... Hop! hop!

KSIĄŻĘ (*za sceną*).

Hop! hop! panie kochanku! (*wchodząc*) Stawię się na zawołanie jako kawaler galant... jak się jéjmość masz, panie kochanku... polowanie skończone...

GIENERAŁOWA (*do chłopaka*).

Idź ze strzelbami do obozu...

(*chłopak wychodzi w prawo*).

GIENERAŁOWA (*do brata*).

Cóż tam zabito, ja nicem nawet nie widziała...

KSIĄŻĘ.

A co zabito, panie kochanku! masę zwierzyny... sto zajęcy, dziesięć łosiów, czternaście dzików i cztery niedźwiedzie...

GIENERAŁOWA.

Jakto? cztery niedźwiedzie? kto? gdzie?

KSIĄŻĘ.

Tu, panie kochanku... cztery... szły jak z procesyą, widać u nich była jakaś uroczystość... piérwszemu ja w łeb palnąłem, drugiemu Cypryan Wołodkiewicz, trzeciemu Rejtan, a czwartemu niedorosłemu smarkaczowi Łopuski... panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

To się wam poszczęściło... ale gdzież są?

KSIĄŻĘ.

Ba! gdzie! już ich nie ma... odesłałem je sztafetą z łapami nawet ojcom jezuitom do Połocka na wysłanie ławek w kościele, aby w nogi nie marzli... bo mnie o to dawno ksiądz Katembrink prosił... panie kochanku...

http://rcin.org.pl

GIENERAŁOWA.

Książę! wymyślasz po swojemu...

KSIĄŻĘ.

Ja! panie kochanku! nigdy. Niech mi kto dowiedzie, żebym skłamał! szczerą prawdę mówię, ale ostrą, i dlatego mnie ludzie nie rozumieją, panie kochanku, świadkiem szambelan Łopuski... ale gdzież się podział?... A! a to mi przypomina, ażebym siostrę ostrzegł, iż my tu dziś ułożyliśmy sobie, panie kochanku, pewnemu szlachcicowi wypłatać sztuczkę.—

GIENERAŁOWA.

Komuż i gdzie?

KSIĄŻĘ.

To długa historya, szlachcic nazywa się Horain... będziemy z nim grać komedyą...

GIENERAŁOWA.

Żartujesz?

KSIĄŻĘ.

Nie! nie, panie kochanku, na seryo .. Ale to dosyć trudno wytłómaczyć. Trzeba wiedzieć, że Łopuski trochę ślepy jak i ja... oprócz tego smarkacza zabił jeszcze konia i wypadkiem temu właśnie przejeżdżającemu szlachcicowi. Szlachcic mądry, kazał sobie za starą szkapę tysiąc talarów zapłacić... w dodatku wziął omyłką panie kochanku, Łopuskiego za mnie, a mnie za Łopuskiego... korzystając z tego, postanowiliśmy z niego zażartować. Pieczeń końską będzie jadł, spoimy go, panie kochanku, wyciągniemy na awanturę i za tysiąc talarów, dostanie choć sto nahajów na kobiercu, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Dalibyście pokój tym hajdamackim zabawkom...

KSIĄŻĘ.

Obejdziemy się z nim delikatnie na kobiercu przy doktorze, nic mu się nie stanie, panie kochanku, ale zasłużył na naukę... Co asindzce do tego, możesz się nie mieszać i nie asystować.

GIENERAŁOWA.

A pewnie! ależ mu krzywdy nie czyńcie...

KSIĄŻĘ.

On ją sobie sam uczyni, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Bracie! bracie! dość-by już szaleć było!

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Albo ż ja szaleję! panie kochanku... ja człek potulny i cichy... Na mnie to wszystko się krupi... ja to jestem najnieszczęśliwszy... wszyscy się nade mną znęcają... każdy mnie obdziera... Przyjdzie do tego, że znów za kuchtę pójdę służyć, jak za młodu... Panie kochanku! Boże miłosierny! ty widzisz krzywdy moje!

GIENERAŁOWA (*ruszając ramionami*).

Dosyć, że ty zawsze swoje...

KSIĄŻĘ.

Bo zawsze jestem najnieszczęśliwszy...

GIENERAŁOWA.

Ty?

KSIĄŻĘ.

Ja? ja! któż biedniejszy ode mnie?... dzień w dzień pożyczam... i gdyby nie Rejtan z Wołodkiewiczem, to mąki to mięsa nie podesłali, z głodu-bym umarł, panie kochanku...

GIENERAŁOWA (*śmiejąc się*).

Żartownisiu, na twoję biedę nie jedenby się pomieniał.

KSIĄŻĘ.

I tak-by był wyszedł jak ja z tym Anglikiem, który mi za tysiąc funtów na dwa tygodnie żołądka był pożyczył. Tom mu potém panie kochanku dodał dwa, żeby go sobie nazad wziął... bo w nim ciągle burczało po angielsku, i ani się z nim rozmówić czego chce...

GIENERAŁOWA.

Coś mi się zdaje, bracie, że zagadujesz umyślnie, czując, że ja mam coś do mówienia z tobą... Dobrze żeśmy się tu zeszli sam na sam; w zamku i ściany mają uszy... tu nikt nas nie zejdzie. Przecie, muszę ci nareszcie powiedzieć słowo prawdy...

KSIĄŻĘ (*żywo*).

A! proszę nie wchodzić w atrybucye księdza Katembrinka, on mi codzień mówi różne prawdy, a jeszcze mnie ani jednéj nie nauczył... Ale on na to kapelan... panie kochanku.

GIENERAŁOWA.

A ja na tom siostra...

KSIĄŻĘ.

Nie wiedziałem, że do siostry należy mówić, myślałem, że słuchać, panie kochanku...

http://rcin.org.pl

GIENERAŁOWA.

Nie znudzę cię... dwa tylko słowa...

KSIĄŻĘ.

A! a! było jedno, już teraz obiecujesz dwa, panie kochanku, a policzywszy znajdzie się trzydzieści, a tu bigos stygnie... aż tu pachnie...

GIENERAŁOWA.

Lepiéj się przysmaży. Słuchaj, Karolu, ty myślisz, żem ślepa, albo żem zbyt powolna... Znowu ci przyszła fantazya słodkie oczy robić do mojéj Leosi... No, godziż się to? godzi?

KSIĄŻĘ (*odskakując*).

Ja? panie kochanku, słodkie oczy... do Leosi? ale ja man oczy pełne łez gorzkich i bolące, tak, że wkrótce może oślepnę... Co mnie do twojéj Leosi?

GIENERAŁOWA.

Bałamucisz dziewczynę, bo jużciż ożenić się nie ożenisz raz trzeci, z ubogą rezydentką, a zgubić ją... czy sumiennie?

KSIĄŻĘ (*markotno*).

Klnę ci się na... cienie zabitego niedźwiedzia, panie kochanku... niewinny jestem jak baranek...

GIENERAŁOWA.

Wszystko w żart obracasz... Ale ludzie już widzą, już mówią... szukasz jéj, zatrzymujesz godzinami na rozmowie, przynosisz prezenta... To dziewczę skromne i uczciwe, nie gubże jéj na sławie... nieszczęśliwą ją zrobisz...

KSIĄŻĘ.

Daj mi asani pokój, co to za inkwizycya! panie kochanku... To tak jak w Madrycie... gdzie.

GIENERAŁOWA.

Mówię do twego serca...

KSIĄŻĘ.

Ależ wacpani wiész, że właśnie gdyśmy byli w Hiszpanii, Maurowie mi serce wyjęli, upiekli i zjedli. Szczęściem że tam był Łopuski, któremu dali także kawałek, nie mógł zgryść, tak było twarde, schował i potém w Paryżu mi je przyszyli, ale kiepsko i mały zrzynek...

http://rcin.org.pl

GIENERAŁOWA.

Mówmy poważnie...

KSIĄŻĘ.

Ja zawsze poważnie mówię... panie kochanku, tylko mnie płocho rozumieją... co się tyczy serca...

GIENERAŁOWA (*niecierpliwie*).

Przecież się z nią ożenić nie myślisz?

KSIĄŻĘ.

Dajże aspani pokój—kiedy asindzka poszłaś za koniuszego, dla czegobym ja nie mógł się ożenić z rezydentką? panie kochanku?

GIENERAŁOWA.

Dlatego, że nie umiész kochać!

KSIĄŻĘ.

A o cóż mnie obwiniasz?

GIENERAŁOWA.

O—bałamuctwo...

KSIĄŻĘ.

To prawda, panie kochanku, że byłem bałamut, ale od czasu, jakem pod Neapolem zbałamucił Syrenę, z którą mi arcybiskup Syrakuzy na czółnie ślub dawał, a która mi potém z suchot umarła, choć ją wszędzie woziłem w srebrnéj wannie, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

A! dajże mi pokój z twemi bajkami...

KSIĄŻĘ.

A wacpani mi daj pokój ze swemi prawdami... Ja się do asindzki interesów nie mieszam...

GIENERAŁOWA.

Więc Leosię odeślę do rodziców...

KSIĄŻĘ.

To zobaczymy, panie kochanku... tylko mi asińdzka oznajmij kiedy, żebym... się pożegnał... Ja nie jestem panie kochanku taki zły, jak się zdaję... a jeślim kiedy przemówił do niéj... to nawracając na moję wiarę...

GIENERAŁOWA.

Ciekaważ to wiara wasza...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Kiedym był w Indyach... jeden Bramin... panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Z tobą się nie dogadać nigdy, chodźmyż, wolę już bigos od Bramina...

KSIĄŻĘ.

A kiedy tak! służę panie kochanku... i ja bigos wolę... niż babskie gderanie... przepraszam, panie kochanku!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

http://rcin.org.pl

AKT II.

Wielka sala na zamku w Nieświeżu, na ścianach portrety w całych postaciach, u drzwi rycerze w całych zbrojach... Drzwi troje, wielkie w głębi, mniejsze na lewo i prawo. Krzesła z wysokiemi poręczami z obu stron.

SCENA I.

KSIĄŻĘ *siedzący w krześle*, SZAMBELAN *podchodzi do niego z głębi.*

SZAMBELAN.

Mości Książę, przychodzę z prośbą uniżoną...

KSIĄŻĘ.

Wszyscy z prośbami, panie kochanku, a jak ja kogo o co poproszę... figa... Daj mi pokój!

SZAMBELAN.

Tym razem WKs. Mość się nie zrujnujesz... bo proszę tylko, żebyś też mnie Książę od téj śmiesznéj roli uwolnić raczył, która na szyderstwo całego dworu naraża... Weź już sobie to swoje księstwo nazad.

KSIĄŻĘ.

A widzisz, panie kochanku! a widzisz! a nie mówiłem! Taki to z Waści przyjaciel? To ja mogę przez całe życie dźwigać ten ciężar a tobie i jeden dzień wytrwać trudno, dla miłości mojéj! Otóż to tak zawsze, panie kochanku... Widzisz, co ja znoszę! Męczeństwo... Łopusiu, przecież cygan się dał dla kompanii powiesić, a ty dla kompanii księciem być nie chcesz? To tak, jak na wyspie Otaiti, gdzie mnie byli królem obrali, pamiętasz? wszak-

http://rcin.org.pl

żeś tam przecie był ze mną i kreowałem cię wielkim kanclerzem...

SZAMBELAN.

Pamiętam... tak, M. Książę.

KSIĄŻĘ.

Tam jeszcze było gorzéj niż księciem w Nieświeżu być, bo jest odwieczny zwyczaj, panie kochankn, że gdy króla utuczą na słoninę, potém go obracają uroczyście na pieczyste... choć mieliśmy ja trzysta pięćdziesiąt pięć żon, a ty pięćdziesiąt i dwie, jednak oba nie wytrzymaliśmy i gdyby meksykańska eskadra nas nie uratowała, wioząc wprost na morze Czarne... Wszak prawda?

SZAMBELAN.

Tak jest M. Książę.

KSIĄŻĘ.

Albo znowu na wyspie Majorce, gdzie mnie kreowano głównodowodzącym wojskami brazylijskiemi na wojnę przeciwko Persom... panie kochanku... a ty byłeś arcykapłanem...

SZAMBELAN.

Bez żartu M. Książę... błagam, żebyś mi już sobą być pozwolił...

KSIĄŻĘ.

Nie mogę! słowo ci daję, że nie mogę, bo mi z tém wygodniéj. Naucz się ty, co to być Radziwiłłem, a ja sobie, panie kochanku odetchnę... abdykowałem i kwita...

SZAMBELAN.

Śmieją się ze mnie wszyscy...

KSIĄŻĘ.

Łopusiu, ty się śmiéj ze wszystkich, a zastępuj mnie, jak kochasz Radziwiłła, panie kochanku...

SZAMBELAN.

A nuż ja wziąwszy rolę na seryo, rozporządzę się w czém nieostrożnie?...

KSIĄŻĘ.

No, nic, jeśli komu każesz dać batogi, przyjmuję odpowiedzialność, panie kochanku, tylko majątków nie rozdawaj... a idź sobie stąd, bo mnie już nudzisz...

SZAMBELAN.

Książę zostanie?

KSIĄŻĘ.

Ja?... mnie ksiądz Katembrink naznaczył tu rekolekcye, panie

http://rcin.org.pl

kochanku, z medytacyami... idź sobie, idź... zbieram ducha, a ty mi przeszkadzasz... ruszaj zdrów, ruszaj...

(*wynosi się.*)

SCENA II.

KSIĄŻĘ (*sam*).

Ma Szambelan słuszność, panie kochanku, że to księstwo ciężkie brzemię do dźwigania... jeszcze, żeby tak Połubińskich albo Kurcewiczów, to pół biedy, ale Radziwiłłowszczyzna! Jużbym i Ogińskim wolał być... a tu noś te trzy trąby na plecach... w które wszyscy trąbią ci nad uszami... oj trąbią!

(*po chwili.*)

Czekam, czekam... ani słuchu mojéj panny. Czyżby już gienerałowa miała mi sztukę spłatać?... A tak miło dziewczęciu w jasne oczki popatrzyć, to to się młodsze lata, lepsze lata przypominają... i... świergocze-bo, jak ptaszyna... i świeża jak poziomeczka... Ale to te poziomki, panie kochanku, dzikie ptaki dziobią, nie my... I ona też nie dla mnie... A dlaczegożby, panie kochanku, gdybym się uparł? No tak... a trzy trąby... a w każdéj trąbie po trzydziestu pradziadków siedzi i patrzy, panie kochanku... A na samym wierzchu ten Lizdejko w kapuzie... Ale dziewczę, jak aniołek... a Lizdejko... co mi tam!

---

http://rcin.org.pl

SCENA III.

KSIĄŻĘ *wstaje z krzesła żywo, w chwili gdy Leosia wybiega ze drzwi na lewo i usiłuje co najprędzéj przejść do prawych. Książę zatrzymuje ją i w ciągu rozmowy, wyrywającą się ciągle, nie puszcza.*

KSIĄŻĘ.

Stój, mościa panno! straż nie puszcza, panie kochanku... hasło!

LEOSIA.

A! Mości Książę! ale ja muszę iść, bardzo przepraszam...

KSIĄŻĘ.

To ja ciebie moja ty poziomeczko przepraszam, że ci w drogę włażę... ale dalipan, panie kochanku... nad siłę moję wstrzymać się od napaści. Kiedy twarzy Leosi nie widzę przez godzin kilka, to mi tak tęskno, jakbym miesiąc słońca nie oglądał...

LEOSIA.

O? cóż to WKs. Mość za żarty robisz ze mnie.

KSIĄŻĘ.

Ale ba, mościa panno, panie kochanku, to nie są żarty... seryo mi bardzo tęskno... A wy! wy Leosiu, nie chcecie być łaskawszą dla mnie... nielitościwa istoto...

LEOSIA.

Ja... ja, muszę iść.

KSIĄŻĘ.

Nie, waćpanna musisz poczekać i rozmówić się ze mną. Czy ja WPannie jestem tak przykry, tak straszny?...

LEOSIA.

O! nie przykry... ale straszny to prawda...

KSIĄŻĘ.

A, o dlaczego? panie kochanku?

LEOSIA.

Książę to łatwo zrozumiesz...

KSIĄŻĘ.

Nie rozumiem, jakbyś mówiła po niemiecku... cożem to stary już taki? zły? brzydki?

http://rcin.org.pl

LEOSIA.

Ale nie, starym Książę nie jesteś wcale, złym nie byłeś nigdy, brzydkim też mi się nie wydajesz... bo masz dobroć wielką w twarzy...

KSIĄŻĘ.

Dziękuję ci... Podcięłaś mnie dobrze... Znasz kasztelanową, anioł dobroci, prawda, no ale od jéj twarzy oczy bolą, tak to i ja. Dobroć!... i kwita!

LEOSIA.

A! nie! nie... książę masz wszystkie przymioty... ale jesteś księciem, a ja-m uboga, szlachcianka.

KSIĄŻĘ.

Jakby to dlatego kochać nie można?...

LEOSIA.

Kochać... ale cóż z tego kochania... wstyd dla mnie i dla was Mości Książę. Już co się ukrywać musi, dobrém być nie może...

KSIĄŻĘ.

Ej bo, panie kochanku, zaraz wszystko bierzesz po księżemu.

LEOSIA.

Bo mnie księża katechizmu uczyli.

KSIĄŻĘ.

Uczyłem się ja go też niegdyś, ale oni z Pana Boga stracha robią, a jak-em był w niebie z szambelanem Łopuskim, który prawda w przedpokoju został u św. Piotra, przekonałem się, że to dobry, dobry starowina! Poziomeczko moja! tyś mi tak miła, tak miła, że gdybym miał po same łopatki w piekle gorzéć...

LEOSIA.

A! niechże Książę o piekle nie wspomina... Gdybym wistocie była Księciu miłą, niechciałbyś Książę mojego wstydu! nieszczęścia.

KSIĄŻĘ.

Ja go też nie chcę, panie kochanku... czyż ja tak wiele żądam od ciebie, poziomeczko moja... Radbym z tobą pomówić czasem, popatrzyć na ciebie, z oczek twoich napić się życia, panie kochanku, z ustek twych natchnąć młodością. Czyżem kiedy panie kochanku, bez pozwolenia choćby rączkę wziął i pocałował...

(*chce wziąć za rękę. Leosia się usuwa. Książę się kłania.*)

LEOSIA.

Mości Książę! W zamku pełno i złych oczów i niedobrych języków... już i tak.. (*spuszcza głowę*), już i tak palcami mnie wytykają.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*żywo*).

Kto? gdzie? panie kochanku! mów! każę ich wszystkich powywieszać, albo uszy poobrzynać... i odeślę osolone sułtanowi tureckiemu, bo oni to zamiast rydzów jeść lubią.

LEOSIA.

Mości Książę, cóżby to pomogło?

KSIĄŻĘ.

Zawsze jakby im uszy poobcinano, nie tyle by słyszeli...

(*Leosia chce odejść*).

Nie śpiesz-że się, jagódko ty moja... słowo, dwa... Coś ci mam ważnego powiedzieć...

(*po namyśle.*)

Jagódko złota... hm... gdybyś ty się namyśliła.. Gienerałowa ci nic nie zrobi, ja ją na obwacht posadzić każę...

(*po chwili*).

Wiesz co... jedź na wieś, dam ci sto chat dziedzictwem, dwór pański... posag... co zechcesz, ale mnie choć na parę lat za ekonoma przyjąć musisz... no; a potém jak mnie wypędzisz... sprawię ci książęce wesele...

LEOSIA (*przestraszona, potém zaczyna płakać*).

A! mości Książę! mości Książę... czyżem ja zasłużyła na to poniżenie! godziłoż się wam mnie to powiedzieć? A! dość! nie mów już Książę więcéj, ja-m biedna, uboga, ale tak dobra szlachcianka, jak Radziwiłł Książę... Za wioski i posagi kupuj sobie Wks. Mość serca i ludzi przedajnych.. znajdziesz ich wielu... Mości Książę... proszę mnie puszczać...

KSIĄŻĘ (*z żalem*).

Poziomeczko, panie kochanku... ale nie gniewaj-że się. Masz tobie! waćpanna to wzięłaś na seryo, i płaczesz, a to były żarty... to była próba... to był figiel... no! nieroztropny... panie kochanku, winienem, ale mi przebaczysz... bo cię inaczéj nie puszczę... awanturę zrobię.

LEOSIA.

Mości Książę, ja tu chwili dłużéj pozostać nie mogę...

KSIĄŻĘ.

Nie zatrzymam cię, ale wprzód muszę uzyskać przebaczenie... i uśmiechniesz mi się... To był żarcik tylko... niewczesny... Ja cię kocham szczerze, poczciwie i nic prócz twojego szczęścia nie pragnę...

http://rcin.org.pl

LEOSIA.

O! teraz nie wierzę!

KSIĄŻĘ.

Wierz mi waćpanna, panie kochanku... nie jestem złym człowiekiem, ałem słaby, biedny, nieszczęśliwy... Gdybym w to wierzył, że ciebie mogę uczynić szczęśliwą, przysięgam ci, jak-em szlachcic, panie kochanku, żebym się z tobą ożenił, choćby sobie książęta nieboszczyki w trumnach mieli włosy powyrywać z głowy... Przebacz mi! panie kochanku.

LEOSIA *wzruszona.*

Mości Książę, ja się nie gniewam, ja gniewać się nie mam prawa... Wam panom wszystko wolno, nam biednym i oburzyć się nie godzi...

KSIĄŻĘ.

Ostre słowa... ale mi musisz przebaczyć... Nie gniewasz się?

LEOSIA.

O! nie, tylko płaczę...

KSIĄŻĘ.

Panno Leontyno... Zgubisz Radziwiłła... nie wyjdę stąd, aż mi powiesz, żeś moje głupstwo zapomniała!

LEOSIA.

Zapomniałam... ale Książę mi daj już odejść... ja muszę... ja proszę...

KSIĄŻĘ.

Na zgodę rączkę do pocałowania.

LEOSIA.

O! bez tego to się obejdzie — ręka zapracowana... nie godna ust pańskich...

KSIĄŻĘ.

Nie dobra jesteś Leosiu... ale wiem, że długo na mnie gniewać się nie będziesz, zejdę ci z oczów...

LEOSIA *podchodzi parę kroków. Książę powoli oglądając się, wysuwa drzwiami w głąb'.*

http://rcin.org.pl

SCENA IV.

LEOSIA (*sama stoi z załamanemi rękoma*).

Tak się to kończą te wielkie łaski książęce... obelga... mój Boże! co ja poczne! Jednéj godziny uciecbym stąd chciała... a jednak, to nie jest zły człowiek, w jego sercu odzywa się uczucie, z jego oczów płynie smutek, choć usta w żarty stroi... Biedny on... ale i ja-m z nim biedna... Utrapione życie... A mój narzeczony daleko... a moi tam myślą, że ja tu szczęśliwe snuję godziny! Jak się tu stąd wydobyć! Gienerałowa chmurzy się na mnie, dworscy podglądają, każdy uważa ciekawie, złośliwi szepcą... O! jeźli to dłużéj potrwa... ucieknę. Żeby téż Bóg łaskaw zesłał mi ratunek... bo sama sobie rady nie dam...

SCENA V.

Na ostatnie słowa wchodzi SYRUĆ, *żywo podbiega i staje naprzeciw* LEOSI.

SYRUĆ.

Stawię się na zawołanie!

LEOSIA (*postrzegłszy go przestraszona*).

A! co widzę! Waćpan tu! Ty tu! w Nieświeżu!... Boże mój! Jakżeś się tu dostał? Co tu robisz? Nuż cię tu poznają?... A! jakiéj radości i jakiegoś mi z sobą przyniósł strachu...

SYRUĆ.

Niéma się czego lękać, przybyłem cię ratować.

LEOSIA.

Ty, mnie ratować! ale sam jesteś w największém niebezpieczeństwie.

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

O! o mnie się nie obawiajcie, ja tu sobie dam rady... idzie o was... Myślicie, że nic nie wiemy? miłość daleko słyszy i widzi zdala, a przeczuwa wszystko... wiedziałem, że tu wam jestem potrzebnym...

LEOSIA.

Wiecie więc? (*rumieniąc się*) wiecie, że Książę... Ale nie myśl, żebym ja temu była co winna... Książę żartuje sobie z biednéj szlachcianki...

SYRUĆ.

O! nie dziwiłbym się, gdyby na dobre się rozmiłował... patrzéć na was, a nie rozkochać się, a nie oszaléć, niepodobna...

LEOSIA.

Książę jest dobry... grzeczny... ale i tego już zanadto...

SYRUĆ.

Masz słuszność... to téż tu dłużéj zostać wam się nie godzi, i po to przybyłem, ażeby was stąd wywieść. Ciocia Borowska czeka na nas... w miasteczku, a indult z okienkiem mam w kieszeni, jeśli wola i łaska... dziś jeszcze jedziemy...

(*całuje ją w rękę*).

Weźmiemy ślub w pierwszym kościołku na drodze...

LEOSIA.

A! ja sama nie wiem... Ciocia jest z wami, niech ona dysponuje... ale myślicież, że to tak łatwo wydobyć się z tego zamczyska?...

SYRUĆ.

To już mnie zostawcie, bądźcie tylko gotowi... ja wszystko tak urządzę, że się wydobędziemy niepostrzeżeni...

LEOSIA.

Ale jakże się tu dostałeś? co robisz? ja nic nie rozumiem! nuż kto pozna, nuż zdradzi?

SYRUĆ.

Jechałem do Nieświeża, gdym Księcia spotkał na polowaniu... Moja szczęśliwa gwiazda chciała, że mi konia zabił przypadkiem, stąd znajomość. Zażartowałem z Księcia, Książę zaprosił do zamku, chcąc mi figla odpłacić, ale się im nie dam, ile ich jest... Jakiemuś szambelanowi kazał Książę udawać siebie, sam udaje szambelana... spisek na mnie... nie wiedzą, żem Syruć, bom się im za Horaina zaprezentował... to szczęście.

LEOSIA.

Ledwie zrozumiéć mogę... w głowie mi się miesza... a tak się o was boję...

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

Na to głowa, aby się wykręcić... i nie dbałbym wcale, gdyby nie jeden człowiek, co mnie tu poznał, a którego nie bardzo pewien jestem.

LEOSIA.

Któż? kto taki?

SYRUĆ.

E! Wirszył, z którym do szkół chodziłem... Dałci mi niby słowo, że mnie nie wyda, ale mu źle z oczów patrzy.

LEOSIA.

Wirszył! a! to największy pochlebca... jego tu nie lubią, choć się wszystkim przysługuje i przymila...

SYRUĆ.

Byłem tego pewny... ale rada trudna... Pochlebca musi też być tchórz, zatrwożyłem go zemstą wszystkich Syruciów ilu ich jest, to go może powstrzyma...

LEOSIA.

O! wątpię...

SYRUĆ.

Szukać też będę w głowie jeszcze jakiego sposobu, bo jużcić dla jednego Wirszyła przepaść mnie i wam... Pan Bóg nie dopuści.

LEOSIA.

Ale cóż poradzisz?

SYRUĆ.

Co? Cóż poradzę... doprawdy nie wiem jeszcze...
(*stoi zamyślony, potém parska śmiechem.*)
Potrzeba go chyba waryatem zrobić...

LEOSIA.

Jakże?

SYRUĆ.

O! najłatwiéj, puścić tylko podejrzenie, pogłoskę, zobaczycie we dwie godziny... wszyscy w nim obłąkanie upatrzą... Wy mi także ze swojéj strony dopomódz możecie... Jeśli potém nawet rzuci słowo, pójdzie to na rachunek waryacyi...

LEOSIA (*uśmiechając się*).

Doprawdy, wy na wszystko macie lekarstwo... ale...

SYRUĆ.

Książę się bardzo obawia obłąkanych... to wiem pewnie.

LEOSIA.

To prawda...

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

Szepnąć tylko... popłoch pójdzie, a gdy się rzeczy wyjaśnią, już my będziemy daleko...

LEOSIA.

Wyście tak pewni, tak spokojni, że i mnie dodaliście otuchy, a jednak serce mi bije... A! ktoś idzie... Uciekaj waćpan...

(*Leosia wybiega drzwiami na prawo. Syruć założywszy ręce w tył przypatruje się obrazom*).

SCENA VI.

SYRUĆ. — KSIĄŻĘ (*wchodzi zwolna drzwiami z głębi, szukając oczyma Leosi; postrzegłszy Syrucia*).

KSIĄŻĘ.

Hm, po co się tu ten truteń włóczy, panie kochanku! Widać mi Leosię przepłoszył, a chciałem ją tu zastać, aby ją przeprosić... wziąłem pierścień ze skarbcu, aby go jéj dać na przebłaganie i pamiątkę mojéj niezgrabności... A! a! będzie się miała czém z kim innym z aręczyć! Taka to dola moja!... przysłowie mówi, nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło... a ten co je wymyślił, nie przypuszczał, że je Radziwiłł do siebie zastosuje! Ślicznie wyszedłem... Ale po co się tu ten zawalidroga kręci... jak na przesmyku?

(*do Syrucia*).

Mospaneńku... co to aść tu robisz, panie kochanku, tu dla was nie miejsce.

SYRUĆ.

Dlaczego? oglądam obrazy, panie Szambelanie...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

To dobrze, że mnie nie zna...

(*głośno.*)

Czemuż to waść nie idziesz akomodować się Księciu Jegomości... he! należałoby, panie kochanku... jesteś na jego dworze...

http://rcin.org.pl

SYRUĆ (*machając ręką*).

Mam prawdę powiedzieć? Książę mi się jakoś nie podobał...

KSIĄŻĘ.

O! o! panie kochanku, a toż czemu?

SYRUĆ.

Ani z pierza, ani z mięsa, ani z miny, ani z czupryny, na Księcia nie wygląda... prędzéj na bogatego szewca...

KSIĄŻĘ (*śmiejąc się*).

Panie kochanku! Koneser!

SYRUĆ.

Inaczéj ja sobie Księcia panie kochanku z reputacyi wyobrażałem... Toć to ma być pan rozumny i dowcipny, mnóstwo ciekawych opowiadający historyj!.. a ten, co usta otworzy, nie do rzeczy bredzi...

KSIĄŻĘ.

Dalipan, panie kochanku, roztropny byłby człowiek...

SYRUĆ (*kończąc*).

Zresztą, co mi tam, ja dworować nie lubię, dziś jestem tu, jutro daléj i bywaj zdrów holenderski śledziu... a doprawdy ten Książę do śledzia podobny...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Bardzo bystry, panie kochanku!

(*głośno*).

Ale to przecież pierwszy magnat w kraju...

SYRUĆ.

A co mi z tego, kiedy na niego nie wygląda! Niepochlebiając wam, panie Szambelanie, jabym was wziął za Księcia... toć przecie powaga, postawa... A tam to! figura, panie odpuść i dwór...

KSIĄŻĘ.

A cóż dwór? panie kochanku...

SYRUĆ.

Zbierana drużyna... jak na uczcie ewangielicznéj... Ten od Sasa, ów od lasa... kiedy już nawet i taki Wirszył tu wlazł...

KSIĄŻĘ.

Wirszył, panie kochanku? no... alboż co?

SYRUĆ.

Nic, nic... o tém i mówić nie warto.

KSIĄŻĘ.

Ale mi powiesz?

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

Nie radbym, chyba, *sub rosa*.

KSIĄŻĘ.

Mów, mów, panie kochanku, ja cię nie zdradzę... jak-em Radziwiłł... jak-em Szambelan... Cóż ten Wirszył... niepoczciwy? co?

SYRUĆ.

Nic... (*wzdycha*) ale to nieszczęśliwe stworzenie... z okropnym niewykurowanym defektem jeszcze od szkół...

KSIĄŻĘ (*żywo*).

Może zaraźliwym?

SYRUĆ.

Nie... ale niebezpiecznym bardzo... od małego dziecka biedaczysko cierpi takie napady... będzie długi czas najprzytomniejszy w świecie, potém paf... i waryuje, plecie niestworzone rzeczy, rzuca się.

KSIĄŻĘ.

I rzuca się, do ludzi?...

SYRUĆ.

Nie tyle, jak bredzi... a bredzi strasznie... Nigdy uleczonym być nie mógł... co rodzice na to łożyli! Bywało, już go mają za zdrowego, patrzcie! ni z tego, ni z owego raptus osobliwszy i sfiksował.

KSIĄŻĘ (*powtarza za nim, łamiąc ręce*).

I sfiksował! panie kochanku!

SYRUĆ.

A jak mu się coś zamarzy, we wszystkich upatruje swoich i cudzych nieprzyjaciół... podejrzane figury... Bóg wié o co... trwoży się, lęka... I zawsze mu to przypada niespodzianie...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Dobrze to wiedzieć...

(*głośno.*)

Proszę... nigdym tego po nim nie postrzegł... wszelako trzeba z nim być ostrożnym, bo to rzecz niebezpieczna...

SYRUĆ.

Zmiłuj się tylko, panie Szambelanie, z sekretu mnie nie wydaj, i żeby Książę się nie dowiedział.

KSIĄŻĘ.

Ale nie obawiaj się panie kochanku...

http://rcin.org.pl

(*na stronie*).

Jednak chwała Bogu, że to się wcześnie wydało!

(*patrzy na zegarek*).

Idź-że no asińdziéj do Księcia, bo tam rychło i do stołu siądą....

(*na stronie*).

Trzeba, żeby koniny zjadł, bo choć nie zły człowiek, ale mu się do talarów w dodatku coś należy...

(*głośno.*)

Idź, jegomość, idź... i ja tam nadciągnę.. Ot tędy, przeze drzwi wielkie, potém w prawo, bo to w tym zamku, jak w lesie.

(*wyprawia go i zamyka drzwi*).

SCENA VII.

KSIĄŻĘ (*sam siada w krześle*).

Dosyć, że na tego nieszczęśliwego Radziwiłła sypią się biedy, jak z rękawa... O! Panie! Panie! kiedyż się nad nim ulitujesz!... Tak ja mówię do Pana Boga, a Pan Bóg na to: — kiep Radziwiłł i za to go chłoszczę... No! Pan Bóg może ma i racyę... *mea culpa*... tak mówi i ksiądz Katembrink, choć trochę grzeczniéj, ale on jezuita...

(*po chwili*).

Radziwille, panie kochanku, wojewodo wileński, patrz-no tylko, co się to z ciebie zrobiło... nędzarz... łazarz... w kieszeni pustki, w sercu otrębie, w głowie śmiecie... Golizna gieneralna, panie kochanku i pieniędzy i rozumu pożyczać potrzeba, a niéma u kogo... Czasem i dwa złote biorę i to na skrypt hipoteczny... A pisać od rana do wieczora każą i podpisywać, bodaj z piekła nie wylazł, kto mnie gryzmolić nauczył. Bernatowicz z tego korzysta i na pańszczyznianego skryptora mnie obrócił... pisz i pisz... Daléj dwór mnie drze... wszyscy drą... gdybym ich nie karmił, z głodu by pozdychali, gdybym ich nie bawił, to z nudy... Daléj jeszcze

http://rcin.org.pl

było potrzeba przylgnąć do dziewczyny, która z jegomości żarty stroi... Ej! wojewodo! wojewodo w piętkę gonisz, panie kochanku... a ludziom z ciebie śmiech... *Caro infirma*, mówi ksiądz Katembrink... co ja temu winienem, po co ona piękna, a ja głupi choć stary, panie kochanku? Radziwille, panie kochanku, wojewodo wileński... źle koło waszeci... źle... Dzień-bo dziś feralny... gdyśmy szli na polowanie, baba z wiadrami próżnemi drogę przeszła... konia zabiłem i Wirszył waryat... i tysiąc talarów trzeba zapłacić, ale tam szlachcica przynajmniéj na zabój spoją i... dadzą mu *memento*... To mnie pociesza! Tak! dadzą *memento*, a ty panie kochanku i za konia i za skórę zapłacisz... ty za wszystkich... trzymaj się tylko za worek... Bodaj to były te czasy niewinności, kiedym za kuchtę służył u pani Łazowskiéj... nie! u pani Głębockiéj... Otóż masz, panie kochanku... dwie wersye, a niewiedzieć która oficyalna... poplątałem się; tfu!... Nieszczęśliwy Radziwiłł, panie kochanku!

SCENA VIII.

KSIĄŻĘ.—WIRSZYŁ (*zagląda przeze drzwi. Zobaczywszy go Książę wstaje i zwolna się w głąb' usuwa, zatrzymując ciągle z daleka od niego*).

KSIĄŻĘ.

Hę? czego waćpan podsłuchujesz? i czego tu chcesz? Po co tu przyszedłeś, panie kochanku?

WIRSZYŁ.

Ale ja nie podsłuchuję, proszę Wks. Mości... ja tak... każdy z nas gdy długo oblicza jego nie ogląda... zatęskni...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Czy to już waryacya, czy jeszcze tylko pochlebstwo? Coś mu już z oczów źle patrzy... spogląda z podełba... wzrok obłąkany...

WIRSZYŁ (*podchodząc*).

Mości Książę.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Tylko zdaleka... zdaleka... proszę cię, panie kochanku...

WIRSZYŁ.

Zdaleka... dlaczegoż?...

KSIĄŻĘ.

Śmierdzisz dziegciem.

WIRSZYŁ.

Ja! Mości Książę! ja jak żyję go nie używałem...

KSIĄŻĘ.

No to cię ktoś powalał mospanie, panie kochanku, jużcić i ja mam nos...

WIRSZYŁ.

Ale ja nie przeczę...

(ogląda się).

Gdybyś Wks. Mość chciał mi dać ucha?

KSIĄŻĘ.

Co to! ucha! Co to jest? na co ci moje ucho! Stój zdaleka! na co ci moje ucho!

WIRSZYŁ.

Miałbym coś do powiedzenia...

KSIĄŻĘ.

Tylko zdaleka... ja dziegciu cierpieć nie mogę.

(na stronie).

Oczy mu się robią wielkie, straszne... coś w tém jest... Waćpan tu się bałamucisz... poszedłbyś lepiéj, gdzie tego szlachcica noszą... tambyś się zdał...

WIRSZYŁ.

Właśnie, że z powodu tego szlachcica chciałem Wks. Mość ostrzedz... mnie się widzi...

(cicho).

To jest człowiek podejrzany...

KSIĄŻĘ.

Otóż jest! już go ta mania porywa!...

(głośno).

Kochanku... tylko zdaleka... Dlaczegoż szlachcic ci się zdaje podejrzany?

WIRSZYŁ.

Mości Książę, gdzie idzie o osobę Księcia... o jego bezpieczeństwo, tam nigdy zbytnią ostrożnością przesadzić nie można...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Widocznie panie kochanku, coś już bredzi...

WIRSZYŁ.

Twarzy jego i mowy nie lubię, kto wié co to za jeden.

KSIĄŻĘ.

A no Horain z Lidzkiego, panie kochanku, bardzo zacna familia...

WIRSZYŁ.

Któż wié czy Horain... kto go tu zna? mnie jednemu coś się ta twarz przypomina, żem ją gdzieś widział... ale pod jakiémś inném nazwiskiem... podejrzany!

KSIĄŻĘ (*cofając się, na stronie*).

Oho! tedy już go mamy! sfiksował! Trzebaby się, panie kochanku, od niego co najrychléj uwolnić, nuż go napadnie paroksyzm... taki człowiek naówczas pamięć traci, na wszystko gotów... A tu ja sam jeden z pięścią... Muszę łagodnie...

WIRSZYŁ (*na stronie*).

Czegoś mruczy jak niedźwiedź! w złym humorze...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Sam do siebie gada, panie kochanku... bardzo zły znak...

(*głośno*).

Słuchaj-no Wirszył, jeżeli ci się ten szlachcic wydaje podejrzanym, idźże go sam pilnuj, to najlepiéj... mnie nie masz co przestrzegać, panie kochanku, ja-m już przestrzeżony...

WIRSZYŁ (*żywo*).

Jakto Książę już wiesz!

KSIĄŻĘ (*z obawą i prędko*).

Tak! tak, panie kochanku, wiem, wiem, wszyściuteńko... wynoś-że się sobie... prędzéj, prędzéj.

WIRSZYŁ.

Mości Książę, ja słowo szlacheckie daję, WKs. Mość, że prosto z tém szedłem do niego, żeby powiedzieć Księciu, iż pierwszy go poznałem...

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

No! widocznie zwaryował! To już jest gorączka! bredzi... Co tu począć... słuchać nie chce.

(*głośno*).

Dobrze, wierzę, ale ruszajże sobie nazad, tam, do nich... gdzie chcesz... i ani słowa więcéj.

http://rcin.org.pl

WIRSZYŁ (*bijąc się w piersi*).

Jedno to tylko słowo, że ja wierny sługa Księcia Jegomości, gotówem za niego dać życie! a Książę otoczony jesteś pochlebcami, zdrajcami, nieprzyjaciołmi... Ja pierwszy go poznałem, ja jeden... ja.

KSIĄŻĘ (*gorąco*).

Dobrze! wiem, pamiętam. Już tylko sobie idź... pilnuj...

WIRSZYŁ (*na stronie*).

Widzę, że go to ogromnie obeszło... przepadł Syruć z bebechami.

(*Wysuwa się zwolna kłaniając*).

KSIĄŻĘ.

Ha! oddycham! przecieżem się go pozbył... Teraz tylko marszałka dworu zwołać potrzeba, aby go mieli na oku... Proszę! proszę! Taki się zdawał cichy, potulny człowieczyna... ale jak Bóg dopuści...

SCENA IX.

KSIĄŻĘ.—LEOSIA *wbiega żywo ze drzwi prawych ku lewym.*

KSIĄŻĘ (*rękoma zapierając jéj drogę*).

Oho! stój! ten raz nie puszczę, dopóki... nie będzie między nami koniec... i zgoda... wyszłaś mi panie kochanku zagniewana, powracasz nadąsana... tak nie może być...

LEOSIA.

Mości Książę... mnie śpieszno.

KSIĄŻĘ.

A ja ledwie dyszę! O przeklęty Wirszył nabawił mnie strachu.

LEOSIA.

Cóż Wirszył?

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Biedaczysko... *mente captus!* zwaryował, miałem tu z nim scenę, że się jeszcze ze strachu trzęsę...

LEOSIA.

A! mój Boże! dziwna rzecz, ja... (*wahając się*) ja także dawno postrzegałam, że miewał jakieś chwile... zamyślał się... mówił sam do siebie... przywidywało mu się.

KSIĄŻĘ.

I zwaryował... szczęściem, że już byłem uprzedzony... teraz go tylko trzeba chwycić zręcznie, głowę mu ogolić i odesłać do księży bonifratrów do Wilna, a ja mu tam sustentacyę obmyślę...

LEOSIA (*zmieszana*).

Prawda, nieszczęśliwy człowiek, ale z bonifratrami możnaby się nie śpieszyć, jemu to może przejść...

KSIĄŻĘ.

A dziękuję asińdzce, panie kochanku... jabym tu ani dnia, ani nocy spokojnéj nie miał z nim. Asanna nie wiesz co to waryat... to tak jak zakochany, nigdy nie można być pewnym, kiedy głupstwo zrobi...

LEOSIA (*uśmiechając się*).

Prawda... wierzyć obojgu trudno.

KSIĄŻĘ.

Ale mnie... Leosiu?

LEOSIA.

Książę wszakże zakochanym nie byłeś?

KSIĄŻĘ.

Nie byłem, ale jestem, świadkiem to głupstwo, które zmalowałem przed godziną, a za które przychodzę cię przeprosić...

LEOSIA.

Książę! mnie! a to bolesne żarty!

KSIĄŻĘ.

Nie, nie chcę panie kochanku, aby ci z méj przyczyny gorzko zostało na sercu... Ja-m i tak dosyć nieszczęśliwy... niech się pocieszę tém, że ty mnie nienawidzić nie będziesz... Hej! panie kochanku... kochał mnie kto prócz mojéj wyżlicy Nepty? Przyjaciół mam bez liku, a przyjaciela ani jednego... Miałem dwie żony, a jeśli się nie mylę, ani jednego serca... Gdyby mnie kto trochę pokochał... nie przymawiając się panie kochanku, poszedłbym z nim trzodę paść...

LEOSIA.

O! Mości Książę! wolne żarty!

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Albo i nie żarty... Waćpanna widziałaś na obiciu w gabinecie pastuszków i pasterki w kapelusikach z różowemi wstążkami, albo to im źle?... Ja sam nim byłem kuchcikiem, pasałem gęsi u pani Łazowskiéj, ale to stworzenie nie szlachetne, kąsa za gołe pięty... Otóż wracając do rzeczy, panie kochanku, spróbuj asindzka, i weź hulet a pójdę za kraj świata za tobą.

LEOSIA.

Wszystko się to mówi...

KSIĄŻĘ.

Ja co mówię, dotrzymuję, panie kochanku... uśmiechnij mi się od serca... Nieśwież ci pod nogi rzucę.

LEOSIA.

Co z mego uśmiechu Księciu, a z Nieświeża mnie?

KSIĄŻĘ.

Harda dusza, w pięknem ciele, panie kochanku... Nie chcesz ode mnie nic, bo dla mnie nic też nawet uśmieszku nie masz... A ja-m lepszy... ja niewdzięcznéj, zagniewanéj przynoszę podarek... Daj mi ukochaną rączkę bez żadnéj pretensyi...

LEOSIA (*zawahawszy się, podaje rękę. Książę pierścień jéj wkłada i końce palców całuje*).

KSIĄŻĘ.

Przyjm ode mnie na pamiątkę, może ci na zaręczyny z innym posłuży, a jeśli kiedy w życiu potrzebować będziesz pomocy mojéj, zażądaj co zechcesz a pokaż mi pierścień, otrzymasz.

LEOSIA (*zmieszana*).

Mości Książę... całém sercem jestem mu wdzięczną...

KSIĄŻĘ (*klękając przed nią*).

Cicho! cicho... różyczko moja... rączkę tylko daj pocałować raz jeszcze... na zgodę...

http://rcin.org.pl

SCENA X.

CIŻ. *Ze drzwi na prawo wychodzi* GIENERAŁOWA MORAWSKA.

GIENERAŁOWA (*klaskając w ręce*).

A tom ślicznie braciszka zeszła... na kolanach przed tą... pięknie...

KSIĄŻĘ (*porywając się*).

Jejmość tylko pod drzwiami podsłuchujesz... ja tego nie lubię! Spinka mi upadła, tom jéj szukał, a panna mi pomagała.

GIENERAŁOWA.

Rozumiem i znam ja te spinki...

(*do Leosi*).

Mościa panno! proszę mi iść zaraz do swego pokoju i bez mego pozwolenia ani na krok... a już też dosyć tego... i węzełki przygotować... bo do domu mi waćpanna odjedziesz zaraz.

(*Leosia wychodzi*).

KSIĄŻĘ (*mrucząc*).

Albo odjedzie, albo nie odjedzie, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Albo ona odjedzie, albo ja...

KSIĄŻĘ.

Ha? panie kochanku, czy to ja waćpanią trzymam?

GIENERAŁOWA (*zmieszana*).

To tak, Karolu?

KSIĄŻĘ.

A tak, panie kochanku... bo asińdzka mi tu chcesz w moim domu kołki ciosać na głowie, a ja na to nie pozwolę... Hm. Cóżem to ja przewinił? Choćby mi się dziewczę i podobało, jak piękne małowidło... no, to chwalę Pana Boga w dziełach jego, a tego mi i ksiądz Katembrink nie zabroni... kiedym był w Rzymie, Anglik pewien lord Piper zakochał się w posągu św. Teresy i nic mu nie było tylko go dyscypliną egzorcyzmowali i skąpali na czczo w święconéj wodzie.

GIENERAŁOWA.

A! dyscyplina-by się zdała.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Aleć to nie św. Teresa i ja nie Piper i Nieśwież nie Rzym... Aż w Filadelfii mościa dobrodziejko, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Chcesz zagadać...

KSIĄŻĘ.

Cóż mam zagadywać, czyste mając sumienie? w Filadelfii zaś... nie, nie, to było na wyspie Kubie, tak nazwanéj od Kuby naszego furmana, gdzieśmy na wielorybie z Łopuskim przypłynęli. Łopuski w aryergardzie na ogonie a ja na pysku, panie kochanku...

GIENERAŁOWA.

Płyńcież sobie, a ja idę Leosię wyprawiać... i nie do Kuby.

KSIĄŻĘ.

Za pozwoleniem panie kochanku... z nieświeskiéj fortecy bez mojego pozwolenia nikt nie wyjeżdża...

(*grożąc na nosie*).

GIENERAŁOWA.

Ani ja?

KSIĄŻĘ.

Gienerałowa masz pozwolenie...

GIENERAŁOWA.

Ale ja z niego nie skorzystam... a Leosię...

KSIĄŻĘ.

Jeśli jéj się krzywda stanie, ja gienerałowę na obwacht sadzę...

(*na stronie*).

Gotowa się nie gniewać... bo tam jest Rozwadowski...

http://rcin.org.pl

SCENA XI.

CIŻ.—ŁOPUSKI *we drzwiach. Książę się ku niemu zwraca. Generałowa wychodzi.*)

KSIĄŻĘ.

A co Łopusiu, panie kochanku? co się święci?...

SZAMBELAN.

Gdzie tam święci! to przekleństwo jakieś z tym człowiekiem... my mu rady nie damy...

KSIĄŻĘ.

Co WPan mówisz, panie kochanku... tyle was tam jest a on jeden...

SZAMBELAN.

Jeden ale dobry...

KSIĄŻĘ.

Pieczeń jadł?

SZAMBELAN.

Gdzie zaś, ani powąchał, drudzy podchmieliwszy sobie zmietli ją, choć dawałem im znaki, on nie chciał... wolał zrazy...

KSIĄŻĘ.

Czy czarownik, czy co, panie kochanku...

SZAMBELAN.

Nie wiem...

KSIĄŻĘ.

Aleście go spoili?

SZAMBELAN.

Poić go poiliśmy, aleśmy nie spoili. Wszyscy się już na nogach kołyszą, co z nim pili, a on, jakby wodę chlepał...

KSIĄŻĘ.

A niechże dyabli porwą, panie kochanku, taki dwór i takie sługi!... Jak pić, jak jeść, jak Radziwiłła drzeć, wszyscy dobrzy, a jak jemu służyć... nikogo niéma, i trąbom wstyd... Lada szlachcic chudzina, cały Radziwiłłowski dwór w róg zapędził.

SZAMBELAN.

Samemu mi wstyd... ale niéma sposobu Mości Książę...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Spirytusu mu dolewać było panie kochanku...

SZAMBELAN (*wzdychając*).

Dolewano wszystkiego, chlał jak gąbka... a trzeźwy, jakby był na czczo.

KSIĄŻĘ.

Cóż, inkluza ma czy co u licha? No, a na pałasze?... na konie?...

SZAMBELAN.

Próbowano wszystkiego, strzela jaskółki w lot, porąbał trzech naszych na kapustę... a konia dereszowatego, co już trzem masztalerzom kości nałamał, dosiadł i poprowadził jak dziecko... Jeszcze na wstyd powiedział, że wałowity...

KSIĄŻĘ.

A niech go dunder świśnie! panie kochanku, to szatan nie człowiek... Pojedzie potém w świat i głosić będzie sromotę naszę, że Radziwiłła zwyciężył... Wstyd! hańba!.. wam się powywieszać panie kochanku, a mnie chyba cykuty napić... albo do kapucynów wstąpić...

SZAMBELAN.

Jeszcześmy jednak nie zdesperowali.. gdybyś tam Wks. Mość sam był...

KSIĄŻĘ.

Otóż to tak! to tak! panie kochanku... wszystko na mnie, każecie mi wkrótce rądle pomywać i pietruszkę skrobać... a wy tu od czego? Skaranie Boże! nigdym boleśniéj nie był dotknięty... jeden szlachetka mizerny, jakiś Horain... No a z Wirszyłem co się tam dzieje?

SZAMBELAN.

Siedzi w kącie zasępiony, co mu ma być!

KSIĄŻĘ.

WPan wiesz, co się stało?

SZAMBELAN.

Nie wiem nic...

KSIĄŻĘ.

Wirszył zwaryował.

SZAMBELAN.

Kiedy? z czego?

KSIĄŻĘ.

Albo ja wiem! dziś, panie kochanku... o mało mnie nie zjadł, ledwiem się obronił... Każcież go do ciupy wsadzić... a delikatnie, żeby kogo nie pokasał.

http://rcin.org.pl

SZAMBELAN.

Ale skądże się to wzięło?

KSIĄŻĘ.

Od dawna słyszę cierpiał, panie kochanku, na melancholię... *Mente captus*... szkoda chłopca... ale mi jeszcze więcéj żal siebie i wstydu, jaki dziś piję, z waszéj przyczyny, żeby téż jednego Horaina... szlachetkę z pod Lidy...

SCENA XII.

CIŻ. — SYRUĆ *z kielichem w ręku, za nim tłum dworzan napiłych, wchodzą na salę drzwiami z głębi, śpiewając.*

CHÓR.

A kiedyż odjeżdżasz, bądźże zdrów,
O naszéj przyjaźni dobrze mów...

KSIĄŻĘ (*mrucząc gniewny*).

Pisujże do mnie... na Berdyczów... Otóż masz panie kochanku, te osły jeszcze go fetują! admirują! bałwany!

SYRUĆ (*obracając się do Księcia*).

Nie mogłem na sobie przenieść, abym z tego tryumfalnego kielicha nie wypił za zdrowie pańskie... Asumpt ku temu daje mi po pierwsze, że jestem pijany, zatém do picia skłonny, powtóre, iż od pierwszego wejrzenia na oblicze wasze natchnęło mnie ono poszanowaniem i miłością, po trzecie, przyczyną tęsknota, iż tak długo nie miałem szczęścia go oglądać.

KSIĄŻĘ.

Hę! czy kpi, czy drogi pyta, panie kochanku...

SYRUĆ.

Pijany jestem to prawda, ale dowiedzioną jest rzeczą, że po pijanemu chłop głupieje, a szlachcic *bene natus* uzyskuje szósty

http://rcin.org.pl

zmysł... widzi zakryte... słyszy niewyrzeczone, czyta w głębinach serc i odkrywa fałsze... nawet w żupanach.

KSIĄŻĘ.

Jaki wymowny, panie kochanku... jaki wymowny! no! no!

SYRUĆ.

Będąc tedy w tym stanie błogosławionym, odkryłem, że pan nie jesteś Szambelanem, ale... Księciem.

KSIĄŻĘ.

A tak! panie kochanku, już się tam któryś wypaplał, świerzbiał mu język...

SYRUĆ.

Nie... przyszło to jako objawienie z góry M. Książę. Zatém tedy idzie, iż oświecony przychodzę jaśnie oświeconemu złożyć uszanowanie... A ponieważ koń mój z ręki W. Ks. Mości zginąć miał szczęście, podwójnie mi to go drogim czyni... Że zaś jeszcze i na pieczyste stołu książęcego został ukwalifikowany, czuję się w obowiązku podnieść cenę do wysokości historycznych jego losów.

KSIĄŻĘ.

Jakto! jeszcze podnieść! panie kochanku! Czołabyś nie miał... (*do dworzan*).

Jak to może być, aby się też z waszeciów jeden nie znalazł, coby mnie nie pomścił i żartów stroić z Radziwiłła nie dopuścił!

(*wszyscy milczą spuszczając oczy*).

SZAMBELAN.

Wszystkiego próbowano...

KSIĄŻĘ (*do Syrucia*).

No to jedźże mi sobie, Horainie przeklęty... jedź, pókiś cały! Co za konia?

SYRUĆ.

Za konia! O tém potém, M. Książę, mamy czasu dosyć...

KSIĄŻĘ.

Jakto? pojedziesz zaraz...

SYRUĆ.

Przecież mnie Książę Radziwiłł przed nocą z Nieświeża nie wypędzi... Dwór słynie z gościnności; nie jużbym na wstyd W. Ks. Mości, pod noc stąd do karczmy miał jechać i głosić, że na zamku łóżka dla szlachcica, a miarki owsa dla jego konia zabrakło.

KSIĄŻĘ (*mrucząc*).

Jeszcze tak gada, panie kochanku, że go nie przegadać...

http://rcin.org.pl

SYRUĆ.

Jestem pijany z łaski W. Ks. Mości, a po pijanemu targując się, łacno bym się mógł dać pokrzywdzić, czego Radziwiłł nie zechce... I jest prawo postanowione na Sejmie Grodzieńskim, że gdzie się kto upił, tam się powinien przespać, *sub poena* grzywien na gwałcicieli. Otóżbyś jeszcze W. Ks. Mość i grzywny za mnie zapłacił.

KSIĄŻĘ.

Nawet prawa komponuje, panie kochanku... oj! to niebezpieczny ptaszek... Chcesz nocować! Zgoda! Zobaczymy, jak to będzie jutro! Dać mu, panie kochanku, stancyę przy stajni... aby sobie nieboszczyka mógł przypominać i rozpamiętywać! A kto jutra dożyje, panie kochanku... zobaczy, co Radziwiłł umié!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

http://rcin.org.pl

AKT III.

Sypialny pokój Księcia, kotara karmazynowa w głębi, na stole lampka nocna u łóżka, na przodzie na większym dwie świece woskowe.

SCENA I.

KSIĄŻĘ (*siedzi w białym kitlu, Łopuski stoi naprzeciw niego*).

KSIĄŻE.

Tak był dla mnie, panie kochanku, ciężki ten dzień dzisiejszy... nie pamiętam gorszego nawet w naszych podróżach z tobą szambelanie... kiedy to raz burza z nawałnością przez trąbę powietrzną na księżyc nas zaniosła... tameśmy się lecąc strachu nabrali... jeszcze szczęście, żeś się asindziéj uczepił mojéj pięty... to cię salwowało...

SZAMBELAN.

Tak Mości Książe... istotnie winienem jéj ocalenie... *Casus* był *fatalis*...

KSIĄŻĘ.

Ale dzisiejszy, panie kochanku, gorszy, daleko gorszy... Wystawże sobie, Łopusiu, ta Gienerałowa Morawska, dlatego, że jéj się troszkę wąsy puszczają... chce sobie tu komenderować i Leosię, którą ja proteguję, prześladuje, więzi, myśli wysłać na wygnanie gdzieś, czy do klasztoru... Wydałeś WPan rozkazy, aby straż była, żeby pilnowano i nie dopuszczono tego gwałtu?

http://rcin.org.pl

SZAMBELAN.

Straż dysponowałem i poszła pod okna.

KSIĄŻĘ.

To mnie uspakaja, panie kochanku... bo nie wypada, aby ktoś z fortecy wykradał się bez mojego zezwolenia. Nie idzie o dziewczynę, ale o punkt honoru... panie kochanku. Nie o Leosię, ale o zdrowe zasady... To jedno,—powtóre, cóż ty mówisz na tego mizerotę Horaina, który sobie z nas wszystkich zakpił?

SZAMBELAN.

Nocuje .. dworscy się gotują, aby jutro rewanż mieli...

KSIĄŻĘ.

Niechże się gotują, niech się pieką, niech się smażą panie kochanku... a honor... ocalą. No, a po trzecie ten nieszczęśliwy Wirszył, który tak nie wiedzieć z czego zwaryował? Łopusiu, może to się powietrze popsuło w Nieświeżu czy co... macałeś ty swój mózg... nic mu tam?

SZAMBELAN.

Zdaje się zdrów, M. Książę.

KSIĄŻĘ.

Ja byłem świadkiem w Londynie téj ciekawéj operacyi, gdy jednemu angielskiemu szlachcicowi kula kawał czaszki z mózgiem wyrwała... wstawili mu tedy kość srebrną pozłacaną, a mózg, że innego pod ręką nie było, wpuścili cielęcy. Zawsze potém, gdy krowy zobaczył, ssać miał ochotę. Ale i Szambelan byłeś przy tém podobno...

SZAMBELAN.

Tak M. Książę, gdy ssał.

KSIĄŻĘ.

U nas-by tego nie potrafili, mizernéj nogi nie dosztukują, nasi felczerowie, partacze. Człowiek musi być ostrożny, i szanować się, panie kochanku! Mój Łopusiu! któraż to godzina? Spać mi się coś nie chce, boję się jakiéj sztuki Gienerałowéj, bo uparta jak koza... a jakby mi... téj dziewczynie się co stało... to jest o honor mi chodzi, tandem o zdrowe zasady, jakem ci to już wytłómaczył...

SZAMBELAN.

Straże stoją,.. i pilnują...

KSIĄŻĘ.

Trzeba było porozstawiać je wszędzie i ordynans dać im surowy... panie kochanku...

http://rcin.org.pl

SZAMBELAN.

Komendant de Larzac ma przykaz najsurowszy, nie wypuścić żadnéj kobiety.

KSIĄŻĘ.

To dobrze! to dobrze! uspakajasz mnie... O! kobiety są uparte, trzeba się mieć na baczności... pamiętasz Szambelanie tę Afrykankę, któréj się zachciało guzików od mojego żupana i w pław za niemi przepłynęła morze Kaspijskie, żem się ledwie jéj pozbył, gdy ją rekiny zjadły na samym brzegu...

SZAMBELAN.

Pamiętam nawet, że ta murzynka była biała, a guziki czerwone... Ale czy Książę ma co do rozkazania?

KSIĄŻĘ.

Nie—panie kochanku, ale tybyś chciał odejść, a ja się dziś nie wygadałem, to mnie dusi, musisz słuchać, mam jeszcze trochę do ekspektoracyi... Cóż ten nieszczęśliwy Wirszył?

SZAMBELAN.

Właśniem nie dokończył o nim... Wsadzono go do pokoju na górze, ale się straszliwie burzy, płacze, lamentuje, krzyczy, że go tam ledwie w kilku utrzymać mogą.

KSIĄŻĘ.

Oczywiście *mente captus*, a co gorzéj, że furyat... bardzo mi go żal... Słyszałem, że w takim razie krew puszczają... jeśli niéma cyrulika, to jest konował.

SZAMBELAN.

Zdaje się dosyć przytomny, tylko zdesperowany.

KSIĄŻĘ.

Chwilami widać mu odchodzi... panie kochanku.

SZAMBELAN.

I jedno a jedno wciąż prawi, prosząc, błagając, zaklinając, ażeby się mógł choć na chwileczkę widzieć z W. Ks. Mością. Przyznam się, że aż mi go żal... Powtarza nieustannie, w tém jest jakaś niegodziwa intryga, że go obmówiono umyślnie, aby zbrodniczych jakichś zamiarów nie wydał...

KSIĄŻĘ.

Takie ma zawsze przywidzenia, gdy oszaleje, bo to podobno nie pierwszy raz...

http://rcin.org.pl

SZAMBELAN.

Ale gdybyś W. Ks. Mość dozwolił mu na chwilę przyjść, możeby go to uspokoiło... bo głową o mur tłucze...

KSIĄŻĘ.

A! niech Bóg uchowa, panie kochanku...

SZAMBELAN.

Tak bo coś dziwnego jest w jego mowie... taki związek... Zaklina się, że o pięć minut tylko posłuchania-by prosił i pozwolić gotów, aby go w pięciu trzymali, choćby i spętanego; byle z W. Ks. Mością mógł mówić.

KSIĄŻĘ.

O to mu się przyśniło? Cóż to ja król francuski, co od gruczołów leczy! Ja go z fiksacyi wejrzeniem nie wykuruję...

SZAMBELAN.

Ale coby to Księciu zaszkodziło?...

KSIĄŻĘ.

To smutny widok, panie kochanku, zwłaszcza do poduszki.

SZAMBELAN.

Żal mi słyszac go płaczącego.

KSIĄŻĘ (*nagle*).

No! to niech go tam przyprowadzą, na pięć minut... związanego i pięciu ludzi z nim... Ciekawy jestem... i lituję się nad nim... Słyszysz, panie kochanku... sześciu a choćby siedmiu.

SZAMBELAN.

Niech Książę będzie spokojny, każę dodać dziesięciu...

KSIĄŻĘ.

Bo to z waryatem sprawa, gorzéj niż z Turkiem...

http://rcin.org.pl

SCENA II.

KSIĄŻĘ (*sam chodzi po pokoju*).

Dosyć, że ze mną zawsze co chcą zrobią, serce miękkie... jak zaczną panie kochanku, jak zaczną męczyć, na swojém postawią... (*bierze i przypasuje szablę*).

Wszelako broń miéć pod ręką nie zawadzi, zwłaszcza że to karabela, którą ksiądz Marek poświęcił i od złego ducha bardzo skuteczna... na klindze dukat z N. Panną... a z drugiéj strony karawaka... A stanę zresztą z daleka!.. niéma potrzeby narażać się... Mówią, że szalony, gdy plunie na człowieka, to mu zmysły pomiesza... Otóż słychać już, prowadzą go... Baczność Książę Wojewodo! to nie żarty...

SCENA III.

KSIĄŻĘ (*w głębi*) WIRSZYŁ (*związany, przy nim kilku ludzi*) SZAMBELAN

KSIĄŻĘ.

Proszę tylko z daleka, panie kochanku, od progu... Czego ty chcesz nieszczęśliwy Wirszył? może rumianku... to rzecz bardzo zdrowa... ja na wszelkie choroby innego lekarstwa nie używam...

WIRSZYŁ (*spłakany, podnosząc ręce do góry klęka*).

Mości Książę! sprawiedliwości! miłosierdzia! opieki! ratuj nieszczęśliwego, którego najczarniejszą zdradą chcą zgubić... za to, żem był ja... ja jeden najwierniejszym Księcia sługą, za to, że chciałem ostrzedz go...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Dobrze! dobrze, panie kochanku, bądź tylko grzeczny i spokojny, nic ci się nie stanie... Wyzdrowiejesz... głowę ci tylko ogolą i wodą polewać będą... Ja widziałem już takich, co po trzydzieści lat byli waryatami, a potém ich profesorami filozofii robiono... Uspokój się, to, panie kochanku, paroksyzm, jak febra przechodzi...

WIRSZYŁ.

Ale Książę! ojcze! ja nie byłem, ja nie jestem obłąkany...

KSIĄŻĘ.

No tak... nie jesteś obłąkany, ale... chwilowo masz bzika... choróbsko... możeś się zastudził na polowaniu... to ci minie...

WIRSZYŁ.

Niechże mnie W. Ks. Mość wysłuchać raczy, ja wszystko jak było, opowiem.

KSIĄŻĘ.

Jeśli ci to ma ulżyć, to słucham, ale kochanku nie długo, godzina późna, w retorykę się nie puszczaj... jabym ci też dla uspokojenia mógł opowiedzieć śliczną historyjkę, ale kiedy wolisz mówić, pofolguj sobie...

WIRSZYŁ.

M. Książę—chwili niéma do stracenia..

KSIĄŻĘ.

Tak, panie kochanku, noc późna... masz słuszność, tobie sen potrzebny...

WIRSZYŁ.

Gdyśmy dziś byli na polowaniu... stałem na przesmyku... zaszeleściło coś w krzakach... patrzę, wyłazi człowiek...

KSIĄŻĘ.

Człowiek! chwała Bogu panie kochanku, myślałem, że dyabeł...

WIRSZYŁ.

Co robił w kniei, nie wiem... Gdy się zbliżył, przypatrzywszy się, poznałem tego infamisa.—

KSIĄŻĘ.

Już swoje, panie kochanku...

WIRSZYŁ.

Syrucia!

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Oho! Syrucia! fiksat! niezawodnie fiksat...

WIRSZYŁ.

Nie chciał mi się z razu przyznać do nazwiska... ale ja z nim w szkole siedzieliśmy na jednéj ławie; jakem go nacisnął, odkrył mi się... I nuż zaklinać, abym go nie wydawał, abym milczał... Sam mi powiedział, że jedzie do Nieświeża po swoję narzeczoną Leosię Puciatównę, bronić ją od napaści...

KSIĄŻĘ (*żywo*).

Leosię, panie kochanku, od napaści? od jakich napaści! gdzie? co! waryat! waryat!...

WIRSZYŁ.

Chociaż mnie straszył, że jeśli go zdradzę i wydam, tedy nie tylko on, ale sześćdziesiąt sześciu Syruciów mścić się będzie...

KSIĄŻĘ (*zagadując niespokojny*).

To tak coś jak w Korsyce, gdzie za zabitego osła, jak się zaczęli mścić i odemściwać Bari i Gari, padło ich stu kilkudziesięciu, z pozwoleniem osłów.

WIRSZYŁ.

Książę mi nie dajesz wiary, ale się klnę na wszystko najświętsze, że to był Syruć! Właśnie obawiając się, bym go nie wydał, puścił na mnie potwarz, żem waryat...

KSIĄŻĘ (*powoli*).

Szambelanie, zobacz mu pulsu...

SZAMBELAN.

Mości Książę... a nuż ukąsi...

KSIĄŻĘ.

Masz racyą... ale zaczyna mnie tą swoją historyą niepokoić... Syruć...

WIRSZYŁ.

Mości Książę, przysięgam, to Syruć...

KSIĄŻĘ.

Syruć!... ale miałżeby on tyle odwagi, by wpaść sam w szpony księcia miecznika litewskiego? Bo choć miecznik został wojewodą wileńskim, mógłby sobie dawne czasy przypomnieć... Jeśliś Waszéć, panie kochanku, przy zdrowych zmysłach... tamten waryat...

WIRSZYŁ (*coraz głośniéj*).

Mości Książę, klnę się, to Syruć!

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Hm, panie kochanku... coś to zakrawa na awanturę... chciałżeby wisieć koniecznie?

WIRSZYŁ.

Jeśli jeszcze czas, jeśli nie umknął, chwili nie tracąc, każ go W. Ks. Mość uwięzić... chciéj się przekonać... ja przysięgam...

KSIĄŻĘ (*do Szambelana*).

Co się stało z tym szlachcicem?

ŚZAMBELAN.

Książę sam posłał go spać do stajni, i śpi... w izdebce około masztarni...

KSIĄŻĘ.

No, to go zbudzić i prosić do mnie... niech mu to Wirszył w oczy zada... on mi się nie widzi tak bardzo waryatem... podejrzana sprawa... Z tym Syruciem tylko ostrożnie... a nuż! ale-by był odważny!

SZAMBELAN.

W. Ks. Mość każesz iść?

KSIĄŻĘ.

Idź waepan, zaproś go do mnie na szklankę ponczyku, nic nie dając do zrozumienia...

SZAMBELAN.

A Wirszył?

KSIĄŻĘ.

Wirszył w drugiéj izbie poczeka, panie kochanku... Ot to! dzień feralny!

http://rcin.org.pl

SCENA IV.

CIŻ—GIENERAŁOWA MORAWSKA (*wpada w ubiorze negliżowym rozgniewana, lecąc prosto do księcia*).

GIENERAŁOWA.

Co to jest? co się tu dzieje... człowiek związany...

KSIĄŻĘ.

E! to nic, panie kochanku... to tak żart... próbowali postronków... to nic.

GIENERAŁOWA.

Oszaléć trzeba w tym Nieświeżu... Gdzież Książę podziałeś Leosię? co się z nią stało? ja za nią odpowiadam przed rodzicami...

KSIĄŻĘ (*uderza w ręce*).

Z Leosią! z Leosią! Jakto! alboż znikła?... WPani ją sama na pokucie osadziłaś w pokoju... a ja kazałem straż postawić pod oknami...

GIENERAŁOWA.

Próżne udawanie, to nowa sztuczka twoja, panie bracie... ale ja tego nie zniosę... ja...

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku! ja z siebie żartować nie dam.. Ja pokażę wam tu miecznika litewskiego! Do krocstotysięcy panie kochanków... poznacie, co Radziwiłł. Co wacpani z nią zrobiłaś?

GIENERAŁOWA.

Ale ja ciebie o to pytam? to tyś ją wykradł! Któżby inny tego dokazał...

KSIĄŻĘ.

To wacpani sztuczka... żeś ją z zamku wyprawiła... ale ja... ja się pomszczę...

GIENERAŁOWA.

Proszę nie udawać! znamy się dawno... ja komedyi grać nie umiem... Taić tego nie będę, rozgłoszę... rozpowiem... Książę natychmiast musisz mi ją kazać zwrócić.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Czyś aspani oszalała, panie kochanku... czy my wszyscy... zaraziliśmy się od Wirszyła? Cóż się z nią stało? kiedy? ja nic nie wiem.

GIENERAŁOWA.

W téj chwili poszłam jéj szukać; rzeczy potrzebniejsze związała w węzełek i znikła... Po całym zamku latam za nią, nigdzie śladu... Juściż w ziemię nie wpadła, a jeśli kto, to jeden Książę mógłeś...

KSIĄŻĘ.

Alem ja straże postawił, abyś mi jéj wacpani nie wykradła... to wasza sprawa! Panie kochanku, nie ujdzie bezkarnie! Hej! (*dzwoni*).

Natychmiast przywołać mi tu komendanta twierdzy Larzaca... Kto żyw do mnie! na ratunek! Zdrada! Radziwiłł zdradzony! Bić w dzwony na gwałt! działa na wały zatoczyć... wojsko pod broń... warty na groblę... w bębny na alarm! Gwałt!

GIENERAŁOWA.

Co bracie robisz?

KSIĄŻĘ (*w gniewie*).

Co robię! hm! zobaczycie, co zrobię! Ja się z siebie naśmiewać nie dam, żeby mi kto śmiał z twierdzy z pod mego oka uprowadzić... wykraść!... To wstyd, to hańba!... W bębny na trwogę! Do broni! do broni! panie kochanku!

GIENERAŁOWA.

Jakto? więc ty istotnie nie wiész, co się z nią stało?

KSIĄŻĘ.

To jest Asani sprawka... Warty stały dokoła, ktoby ją tu był śmiał i mógł wywieść?... Ja tego nie daruję... Kto żyw do Radziwiłła!

http://rcin.org.pl

SCENA V.

CIŻ.—SZAMBELAN (*wbiega, za nim dworzanie*).

SZAMBELAN.

M. Książę! nieszczęście!

KSIĄŻĘ.

Co? jeszcze jakie nieszczęście? mało wam tego, panie kochanku? gdzie szlachcic?...

SZAMBELAN.

Otóż właśnie... znikł jak kamfora! Postawiono go, jakeś W. Ks. Mość przykazał, w stajni, koło masztarni... Był napiły, położył się niby spać na siodle i kilimku... Teraz przychodzę, biję we drzwi, nie odpowiada... myślałem, że go apopleksya uderzyła, wywaliliśmy drzwi; a tu szlachcica ani znaku... ani siodła, ani kilimka... i siano nawet nie zgniecione. Myśleliśmy, że ulękłszy się, drapnął gdzie i schował się; przeszukaliśmy wszystkie kąty, przetrzęśli siano... Bóg wié, co się z nim stało...

KSIĄŻĘ.

Cóż to, był czarownik, panie kochanku?

WIRSZYŁ (*ode drzwi*).

Nie M. Książę, to był Syruć, przyszedł po narzeczoną i razem z nią uszli.

KSIĄŻĘ.

To był Syruć! Uszli! tak, panie kochanku! Do broni! Gdzie Larzac! Załoga na koń, kto żyw w pogoń na wszystkie drogi... z dział walić na trwogę.. w dzwony uderzyć... Kozacy do mnie... ja sam jadę...

SZAMBELAN.

Mości Książę... ale cóż to pomoże?

KSIĄŻĘ.

Co pomoże? Co Aści do tego?... Ja jestem Generalissimus na nieświeskim zamku... a artykuły wojskowe... łeb utnę... Do dalszéj informacyi Gienerałowa Morawska pod wartę...

http://rcin.org.pl

GIENERAŁOWA.

Oszalał!

KSIĄŻĘ.

Milczéć, panie kochanku! Sąd wojenny, we dwadzieścia cztery godziny zobaczy się ze świętą Trójcą, kto mi piśnie... Wszyscy w pogoń... w pogoń... czapka... ostrogi... konia!

SZAMBELAN.

Natychmiast, natychmiast... ale o cóż W. Ks. Mości chodzi?

KSIĄŻĘ.

O co mi chodzi? o honor Radziwiłłowskiego domu, panie kochanku... nie o tę tam dziewczynę spodziewam się! Raz téj swawoli trzeba koniec położyć... Ja tu już nie jestem pan, każdy robi, co chce... W kaplicy się rządzi ks. Katembrink, na zamku dysponuje Larzac, w kancelaryi panuje Bernatowicz, w psiarni pan Suski, w stajni pan Cholewiński... a ja.. nigdzie, nawet we własnéj kieszeni! Ale ja wam pokażę, że miecznik litewski nie umarł. Na koń! w pogoń!... Wszyscy na koń... precz! precz!

SCENA VI.

KSIĄŻĘ (*sam chodzi chwytając czapkę, pistolety, płaszcz i z kolei rzucając niemi*).

Patrzcie ją, szatan dziewczyna! A tak to się patrzało temi ślipkami niewinnie, skromnie... jakby trzech zliczyć nie umiało... a dyabeł siedział za skórą. Czegóż się ona obawiała ode mnie... mnie, cobym był godzien jéj nieba przychylić, byle mi pozwoliła patrzéć w te niebieskie oczęta i słuchać tego szczebiotania miłego... O niegodziwe dziewczę! Uciec tak, jakby jéj tu co groziło... a jeśli to jeszcze prawda, że z Syruciem... kryminał! Ale nie... to sprawka pani Gienerałowéj... ona niewinna, siłą ją musiano porwać... gwałtu użyto... odbiję, uwolnię, sąd złożę i ukarzę przykładnie...

http://rcin.org.pl

(*Książę uzbraja się, bierze czapkę i ma wychodzić. — Wielki hałas za drzwiami*).

Cóż to znowu? czy napad nieprzyjacielski na zamek? krzyki jakieś! Héj! jest tam który?... Nikogo przy Radziwille... rozstąp się ziemio... żebym umierał, nie byłoby komu podać szklanki wody i powiedzieć, bywaj zdrów! Jest tam kto? Panie kochanku.

SCENA XIII.

KSIĄŻĘ.—SZAMBELAN ŁOPUSKI.

SZAMBELAN.

Mości Książę! Mości Książę! dobra nasza! Radziwiłł górą! wiwat! wiwat!

KSIĄŻĘ.

A co panie kochanku?

SZAMBELAN.

Nadbiegł kozak z wiadomością, że dworzanie W. Ks. Mości puściwszy się w pogoń na wszystkie strony... we wsi Stróże, niedaleko za miasteczkiem, w kościołku, dognali i pochwycili zbiegów...

KSIĄŻĘ.

Kogo? panie kochanku? kogo?

SZAMBELAN.

Jéjmościankę ze szlachcicem... co to Horaina udawał...

KSIĄŻĘ.

Jakto? więc ją wistocie wykradł, panie kochanku? A infamis... niéma dla niego dosyć wysokiéj szubienicy, sprowadzę sosny z Białowieży... Miałżeby to być Syruć?... A więc Wirszył mówił prawdę! O! ja nieszczęśliwy... naigrawają się już ze mnie! Syruć!

SZAMBELAN.

Kto on taki jest, niewiadomo, ale indult miał widać w kieszeni i tak się dobrze uwinął, że gdy ich pochwycili w kościołku, właśnie po ślubie odchodzili od ołtarza...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Co? i ślub... ślub z nią już wziął?... Ślub nieważny... ja tu jestem proboszczem w Nieświeżu, panie kochanku... Znam na palcach prawo kanoniczne, przecieżeśmy razem chodzili z wacpanem na akademią w Padwie... ślub nieważny... *ratum sed non consummatum.* Ja mu tu stryczkiem dam lepszy rozwód, niżeli ksiądz dał ślub stułą... a jeśli dla szlachcica potrzeba jedwabnego stryczka, to się znajdzie. Niech mi go tu zaraz przyprowadzą... okutego... Ukonstytujem trybunał... Szubienicę kazać stawić na dziedzińcu...

SZAMBELAN.

Wszystko to bardzo dobrze M. Książę. Ale cóż zrobić z wojskiem, z załogą, z alarmem? Stoją do nogi pod bronią... Ludzie się będą wyśmiewać, że dla jednéj dziewczyny i chudopachołka szlachcica, turbowano całe regimenta, działa i dzwony...

KSIĄŻĘ (*myśli*).

Już się WMość o to nie troszcz... na to się poradzi... Alarm niech trwa... ja to inaczéj obrócę...

SCENA VIII.

CIŻ.—LARZAC (*komendant fortecy*).

Stawię się po rozkazy W. Ks. Mości...

KSIĄŻĘ.

Cała załoga pod broń! działa na wały! baczność! panie kochanku... WPan nic nie wiész?

LARZAC.

Dotąd M. Książę, nic... prócz, że kazano uderzyć na trwogę...

KSIĄŻĘ.

I nie bez przyczyny, panie kochanku... Dano mi znać przez umyślnego od Kairu, że Celibuk olbrzym o jedném oku, z którym miałem osobiste zajście na wyspie Terefere, na oceanie Atlantyckim... Celibuk ten upatrzywszy chwilę, idzie na Nieśwież w pół-

http://rcin.org.pl

torakroć sto tysięcy niewidzialnego wojska... panie kochanku.. Cała sztuka strategiczna zależy na tém, aby go nie widząc odepchnąć... walić z dział co wlezie... baczność i straże na forpoczty... z karabinów ognia, kto z czego może! Moździerze niech wyciągną... Zrobi to wacpanu sławę, jeśli Celibuka odpędzisz... Niech zna Radziwiłła.

LARZAC.

Spełnię rozkazy W. Ks. Mości, ale z któréj strony idzie nieprzyjaciel?

KSIĄŻĘ (*po chwili*).

Naturalnie od wyspy Terefere, od oceanu Atlantyckiego... zobacz wacpan na mapie...

LARZAC.

A tak! M. Książę... idę natychmiast...

KSIĄŻĘ.

Tylko prochu nie żałować... z dział walić do brzasku... aby niewidzialne zastępy odeprzéć.

LARZAC (*wychodzi kłaniając się. Książę pada na krzesło... Wkrótce dają się słyszéć wystrzały działowe do końca sztuki trwające*).

SCENA IX.

KSIĄŻĘ (*sam zamyślony, później*) LEOSIA.

LEOSIA (*za drzwiami*).

Proszę mnie wpuścić! Ja się z Księciem naprzód widzieć muszę... Książę mi nie odmówi.

KSIĄŻĘ (*wstając z krzesła*).

Dalipan! to jéj głosik... Ha! przyszła koza do woza... Wpuścić ją tam... straż zostanie u drzwi.

LEOSIA (*wchodzi i pada na kolana*).

Mości Książę! litości! sprawiedliwości! miłosierdzia...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Tak! tak! panie kochanku, teraz jéjmościanka z tego tonu śpiewasz... Kto z WPanną uciekł? kto jéj ułatwił ucieczkę... z kimeś to nieważny ślub wzięła?

LEOSIA.

Mości Książę, wysłuchaj mnie cierpliwie.

KSIĄŻĘ.

Nie wartaś tego, panie kochanku, żmijko jakaś...

LEOSIA.

M. Książę... nie jestem tak wiele winną... Ten, z którym mnie dziś ślub połączył, był moim narzeczonym z woli rodziców od dawna; towarzyszem mojéj młodości, kochałam go od dzieciństwa, wychowaliśmy się razem.

KSIĄŻĘ.

Któż to jest? panie kochanku...

LEOSIA.

Krewny mój, M. Książę...

KSIĄŻĘ.

Ale jak się zowie?

LEOSIA (*wahając się*).

Horain...

KSIĄŻĘ.

Z mowy czuć, że wacpanna kłamiesz...

LEOSIA (*śmieléj*).

Kłamię M. Książę.

KSIĄŻĘ.

Dlaczego wacpanna kłamiesz?

LEOSIA.

Bo Książę mnie gniewem swym do kłamstwa zmuszasz.

KSIĄŻĘ (*wstając*).

Więc to Syruć, panie kochanku! O! to go mam! to go mam! bezkarnie mu to nie ujdzie... Śmiał on Radziwiłła wsadzić na wieżę, posadzi go Radziwiłł wyżéj jeszcze.

LEOSIA.

Gdzie się Księciu podoba... ale nas razem oboje, jestem jego żoną i nie odstąpię go w żadnéj doli.

KSIĄŻĘ.

Wacpanna nie jesteś jego żoną. Ślub był nieważny, bez mojego pozwolenia... on wacpannę ode mnie wykradł.

http://rcin.org.pl

LEOSIA.

Nie M. Książę, ja nie jestem rzeczą, więc nie mogłam być skradzioną, poszłam za nim dobrowolnie... Jeśli jest wina, to wspólna, jeśli ma być kara, to jedna dla obojga.

KSIĄŻĘ.

Gdzieżeś to się wacpanna uczyła retoryki... panie kochanku... jaki z ciebie adwokat!

LEOSIA (*z płaczem*).

Uczyło mnie jéj serce... którego W. Ks. Mość nie masz...

KSIĄŻĘ.

Patrz! żmijka! jeszcze mnie kąsa...

LEOSIA.

M. Książę nie pastw się nad dwojgiem ludzi, którzy ci nic nie zawinili.

KSIĄŻĘ.

Syruć mnie wsadził na wieżę, ja mu tego nie daruję.

LEOSIA.

Jeśliś W. Ks. Mość uczciwy człowiek, darujesz mu.

KSIĄŻĘ.

Tego to już nadto, panie kochanku...

LEOSIA (*pokazując pierścień*),

Patrz Książę i przypomnij sobie słowo dane przed kilku godzinami, miałżebyś je złamać? słowo szlacheckie, książęce, Radziwiłłowskie! Przyrzekłeś mi Książę, że wszelką prośbę moję wysłuchasz, ja o jedno tylko proszę, o wolność mojego męża...

KSIĄŻĘ (*stając nagle*).

Toś mnie podeszła! alem ja dla asińdzki przyrzekł zrobić, nie dla kogo innego...

LEOSIA.

Ja też dla siebie o mego męża proszę, bo bez niego żyć nie będę....

KSIĄŻĘ.

Jaki mąż! Bóg wié co za księżyna ślub dawał... na prędce!...

LEOSIA.

Ale na wieki...

KSIĄŻĘ (*stoi zmieszany*).

Wszyscy dziś rozumniejsi od Radziwiłła... nawet Syrucie!!!

http://rcin.org.pl

SCENA X.

CIŻ.—SYRUĆ (*wdziera się związany, za nim Łopuski*)

SYRUĆ.

Puśćcie mnie oprawcy, powiesicie czy zetniecie, ale się z waszym Księciem rozmówić muszę...

KSIĄŻĘ (*cofa się*).

Czego mi włazisz w oczy! chcesz wisieć!

SYRUĆ.

Nie M. Książę, i nie będę... boś już nie miecznikiem litewskim, ale Wojewodą Wileńskim, bo czujesz sam, że mszcząc się, popełniłbyś niesprawiedliwość.—Najechałeś W. Ks. Mość na dwór szlachecki... a szlachcic na zagrodzie pokazał, że w żyłach jego krew nie woda płynie... że i w naszych czasach jest sprawiedliwość nawet przeciw magnatom... Wysiedziałeś W. Ks. Mość wieżę oddając hołd sprawiedliwości, więc kwita między nami M. Książę, nie winniśmy nic sobie, prócz—za konia zabitego...

KSIĄŻĘ.

Dosyć, że dzień feralny! Zabierajże swoję magnifikę... weź sobie folwark o trzydzieści mil z Bialskiego klucza i ruszaj a żywo, aby cię moje oko nie oglądało więcéj! Zażyli mnie z mańki! panie kochanku!... Nie paplajcie przynajmniéj przed ludźmi, żeby się nie śmieli. Rad nie rad, panie kochanku, muszę jeszcze sprawić weselisko, boby mówili, że się pogniewałem.

(*klepiąc po ramieniu Syrucia*).

Gracko mi się sprawił, co prawda to prawda, gdybym takich miał stu dworzan, drżałaby Litwa przede mną, ale to się wszystko na słoninę powykarmiało i ciężkie... Hej! kapela! panie kochanku! Wytoczcie srebrną beczkę... i podać puhary... a panią Gienerałową wypuścić z kurdygardy... Ja z panią Syruciową poloneza w pierwszéj parze... ale tego barskiego! hej! hej! cośmy go na Spiżu tańczyli...

http://rcin.org.pl

SCENA XI.

CIŻ.—GIENERAŁOWA—WIRSZYŁ—LARZAC—DWORZANIE.

GIENERAŁOWA.

Cóż to tu znowu za historye?

KSIĄŻĘ.

Nic! znalazła się zguba i sprawiam wesele, a asińdzce wracam *activitatem*. I. M. Pan Syruć służy jéj do poloneza...

WIRSZYŁ.

M. Książę! M. Książę! a ja! ja, który cierpiałem dla miłości W. Ks. Mości, i... zostałem pokrzywdzony tak haniebnie... czyż zostanę zapomnianym?...

KSIĄŻĘ.

Czegoż ty chcesz jeszcze panie kochanku?

WIRSZYŁ (*cicho*).

Dożywocia...

KSIĄŻĘ.

Aleś ty zdrów... będziesz długo żył... No! niech ci tam zresztą Bernatowicz wyznaczy chat dziesięć...

WIRSZYŁ.

I kawałeczek lasu...

KSIĄŻĘ.

I lasu! panie kochanku.

WIRSZYŁ.

I troszkę wody...

KSIĄŻĘ.

Patrz! pić mu się chce...

WIRSZYŁ.

I karczemkę, bo to gotowy grosz daje... Ja cierpiałem dla W. Ks. Mości...

KSIĄŻĘ.

I basta... bo będzie tego dość, panie kochanku...

http://rcin.org.pl

LARZAC (*z ukłonem*).

M. Książę... Celibuk został odparty z wielką stratą, niewidzialne trupy zalegają pola... zastępy olbrzymów pierzchają popłoszone w wielkim nieładzie... zwycięstwo zupełne,..

KSIĄŻĘ.

Chwała Bogu! panie kochanku! zginął kto z naszéj strony?

LARZAC.

Nikt, oprócz staréj klaczy, którą na błoniu pasącą się postrzelono.

KSIĄŻĘ

Dziś bo taki dzień nieszczęśliwy na konie... Komendancie! napiszę do Warszawy do króla, aby ci order przysłano... Ogłoś armii mojéj rozkazem dziennym, że się dobrze Radziwiłłowi zasłużyła... miodu wytoczyć dla nich... Celibuk odparty... Nieśwież oswobodzony!... Vivat!!

(*Wszyscy powtarzają za księciem Vivat! Zasłona spada).*

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE,

ANEGDOTA DRAMATYCZNA

WE TRZECH AKTACH.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Do pana Wincentego Rapackiego.

Non bis in idem—stara to prawda, którą powinienem był mieć za przestrogę, zamyślając o drugiéj anegdocie dramatycznéj z życia księcia Karola, panie kochanku. Nigdy dalszy ciąg lub część wtóra czegokolwiekbądź nie będzie uznaną równą pierwszej. Zgóry téż jestem przygotowany na to, że powtórne ukazanie się na scenie—Panie kochanku, choćbyś znowu je swym potężnym ożywił talentem, nie uczyni wrażenia, jakie winna część pierwsza Tobie, szanowny panie Wincenty, coś typ Księcia Wojewody tak wybornie odtworzyć umiał. Ani mam nawet zamiaru zapraszać Cię do przedstawienia téj drugiéj anegdoty, którą przesyłam tylko jako dowód mojéj wdzięczności za pierwszą.

Życie Księcia Karola tak obfitém jest w bogate szczegóły, iż trudno się oprzéć pokusie zużytkowania ich w książce i na scenie, zwłaszcza gdy się od młodości nasłuchałem opowiadań, w których żywe jeszcze drgały wspomnienia przeszłości. Wiele anegdot podobnych powtarzać lubił mój ojciec, słyszanych od pana de Larzac, niegdy komendanta w Nieświeżu, wiele ich błądziło po rozwalonym Bielskim zamku, gdym go studentem z dziecinną ciekawością przebiegał. Inne wybornie, z humorem sobie właściwym, opowiadane słyszałem przez Henryka Rzewuskiego, wiele już nie wiem gdzie pochwytałem. Mają one urok przywiązany do fantastycznéj a niepowrotnéj onéj Polski szlacheckiéj a magnackiéj, która jest niewyczerpaną skarbnicą dla powieściopisarzy i dramatyków. Jaki będzie los téj w formę dramatyczną ubranéj powiastki, sądzić nie mogę, ale pragnąłbym, żeby wam przypomniała wielce życzliwego

sługę waszego:

J. I. Kraszewskiego.

Drezno, 15 grudnia 1870.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

OSOBY.

Książę Karol Radziwiłł, Wojewoda wileński.
Kniaź Henryk Korjatowicz Kurcewicz, Chorąży lidzki.
Basia Kurcewiczówna, jego córka.
Heliodor Dyplowicz, sąsiad Kurcewicza.
Szmul Słonimiec, arendarz w Obibokach, karczmie księcia Radziwiłła.
Józef Szczuka, dworzanin i koniuszy księcia.
Wołodkowicz, *Kirkor*, *Kiszka*, *Puchała*, *Larzac*, Komendant zamku. Jenerał.
Żura dworzanin.

Dwór księcia Radziwiłła.

Rzecz dzieje się po powrocie Księcia z Węgier.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

AKT I.

Teatr przedstawia wielką izbę w gospodzie żydowskiéj na gościńcu wiodącym do Nieświeża, na granicy dóbr książęcych, w Obibokach. — Zwykły sprzęt karczemny, ale izba umieciona, wysypana tatarakiem i jedlinką, przystrojona w zielone gałęzie na przyjęcie gościa.—Ławy dokoła.—Od sufitu mosiężny pająk odczyszczony, w głębi szynkwas obwiedziony galeryjką, w nim pełno butelek, szklanek i t. p. W lewo wielki długi stół na nogach krzyżowych, w części białym obrusem zaścielony... Drzwi w głębi jedne od podwórza, drugie na lewo do alkierza, trzecie do sieni i stajni.

SCENA I.

SZMUL SŁONIMIEC (*sam przybrany świątecznie. Żupan atłasowy czarny, czapka z sobolem. W ręku trzyma rożek do kadzenia, z którym obchodzi izbę, zaglądając często do okien*).

Nu! chwalić Pana Boga! Doczekaliśmy się z powrotem naszego pana, Księcia Jegomości... i skończy się panowanie oficyalistów. Nu! niéma nic gorszego jak gdy sługa panuje. Książę, taki zawsze on Książę! Choćby był zły wieczorem, to jutro wstanie dobrym... Szmul jemu pierwszy przywita na Radziwiłłowskim gruncie... Jego to powinno chwycić za serców... Gdyby on jedną ratę darował?... Czemu nie ma darować?... Won Szmula zna od dziecków i Szmul jemu zna od maleńkości... a potém, kiedy był jeszcze Miecznikiem, a waj! to były historye! No — ale już nie będzie. Szmul jemu kocha i on kocha Szmulowi... Czemu nie ma kochać? Won to

http://rcin.org.pl

wié, że wiele było Radziwiłłów Wojewodów Wileńskich, tyle było Szmulów arendarzów w Obibokach. Nasze familie były zawsze w wielkich przyjaźniach... (*Staje, kładzie rożek i myśli*). Jemuby się należało, coś powiedzieć elegancko... extra fein! bo wié, że ja mam rozum, a może sobie pomyśléć, że ja jemu jego żałuję...

(*Podnosi czapkę i kłania się do drzwi, jak gdyby księcia przyjmował*).

O tak! Co by jemu takiego przyprawnego fein powiedzieć?... Jaśnie oświecony Księci Jegomości!... (*myśli i mówi do siebie*) Na półmisku nakrytego pięknym chustkiem, postawim flaszkę kowieńskiego lipca, flaszkę wódki gdańskiéj i fein piernik toruński... i jemu jego podam... (*chrząka*). Nu, co ja jemu powiem?... (*myśli*) Co ja jemu powiem, żeby było fein!

(*uderza się w czoło*).

Jaśnie oświecony Książę Jegomości... Prosimy przyjąć tego maleńkiego daru z wielkich serców od Szmula Słonimca... życzliwości—szczęśliwości... powrotu na panowanie. A niech Bóg Abrahama i Jakóba błogosławi księciu Jegomości i wszystkim jego familiom...

(*myśli*).

To nie jest kiepsko—ale on przywykł, żeby jemu było pieprzno, on tego sto razy słyszał—to nie jest pieprzno... nie—musi być inaczéj.

(*staje i myśli*).

Jaśnie oświecony Książę Jegomości! Jak bez słońca schnie drzewo i umiera trawa i zboże zdycha i ogrodowina... tak wierne sługi Waszéj Ks. Mości, w księstwie nieświeskiém schlim i umieralim bez jego pańskich obliczów. Wschodzi jasnych słońców naszych, jaśnieje gwiazda nasza i radują się wszelkie wnętrzności: Vi-vat!

(*Rzuca czapkę do góry, chwyta i zamyśla się*).

To dosyć dobrze—ale nie najlepiéj... Hm! No, coby ja był za żyd, żeby ja jemu co z Thory nie powiedział. Recht! no tak! (*myśli*). Jaśnie Oświecony Książę Jegomości! Miał Izrael króle swoje Salomona i Dawida... a jak stracił ziemie swoje, a poszedł na rozsypanie, przyjęła jemu ziemia polska i litewska... I co? (*wzdycha*) Och żeby ja był wczoraj wiedział... jabym był sobie fein pomyślał... (*wzdycha*). Jak to temu trudno gadać, co przywykł robić... tak samo być musi trudno robić temu, co tylko przywykł gadać (*ociera pot z czoła*). Jakbym drwa rąbał, tak się zmęczyłem, a jeszcze nie wiem co gadać, żeby było fein.

(*Słychać hałas przed karczmą — Szmul przerażony bieży ku drzwiom od alkierza*).

http://rcin.org.pl

A waj! a gwałt! Sure! Księci jedzie, a tu nie gotowo... Rifke... Jankiel... Abraham... gewałt... Tace z chustkiem i z miodem.

(*Przez drzwi do alkierza wysuwają się dwie ręce i podają tackę; Abraham wziąwszy ją krokiem poważnym podchodzi ku drzwiom od sieni, w chwili gdy się one właśnie otwierają, kłania się i nie widzi z początku, kogo wita*).

SCENA II.

SZMUL.—CHORĄŻY KURCEWICZ.—BASIA.

(*Za niemi w kilka chwil wsuwa się po cichu ukradkiem Dyplowicz i siada w najgłębszy kątek pod szynkwasem*).

KURCEWICZ (*chudy, wysoki ale kościsty, głowa podgolona z czubem najeżonym, wąs siwy nastrzępiony do góry, buty czarne kozłowe do kolan, kaftan łosiowy, na nim kontusz, torba borsucza przez plecy, szabla u boku*).

BASIA (*skromny strój podróżny, na głowie kwefik czarny, ubiór ubogi, ale czysty*).

DYPLOWICZ (*mały, skrzywiony w łopatkach, głowa wielka, twarz okrągła uśmiechnięty, pokorny, kłaniający się, ubranie liche, szabelka podpięta wysoko i maluśka, jakby dla proporcyi*).

SZMUL (*ze schyloną głową z początku nie widzi Kurcewicza, który stoi, patrzy na półmisek i kręci wąsa. Dopiero podniósłszy oczy arendarz spostrzega Chorążego, cofa się zdziwiony i kwaśny, Kurcewicz chwyta go za ramię*).

CHORĄŻY.

Co to ma znaczyć?

SZMUL.

Jakto, co ma znaczyć?

CHORĄŻY.

Kogóż to chciałeś tak paradnie przyjmować? hę? dla kogo to było?

http://rcin.org.pl

SZMUL (*ręką machając*).

A! a! nu! nu! Juści nie dla Jegomości! Tu, tu lada moment nadjedzie sam Książę Wojewoda...

CHORĄŻY (*pogardliwie*).

Książę Wojewoda, wielka mi sprawa! straszna figura! patrzajcie go! a ty wiész, kto ja jestem?

SZMUL.

Co ja nie mam wiedzieć? Jegomość jest z pozwoleniem... Chorąży Kurcewicz z Siennéj Wulki.

CHORĄŻY.

A ty myślisz, że Kurcewicz gorszy od Radziwiłła do krocsto tysięcy basałyków?

(*W czasie rozmowy Basia zrzuca kwefik,—przygląda się gospodzie, spostrzega Dyplowicza, który się jéj bardzo nizko kłania, rusza ramionami i odwraca od niego. Potém w czasie rozmowy ojca hamuje jego porywy*).

CHORĄŻY.

Myślisz, że Kurcewicz od Radziwiłła pośledniejszy?

SZMUL.

Czemu ma być gorszy albo pośledniejszy? Radziwiłł swój gatunek, a panów Kurcewiczów swój gatunek i każdy ma swego gatunku.

CHORĄŻY.

Cóż to ty myślisz, ty, że Radziwiłł do innych niż ja ludzi należy—sto fur dyabłów!

SZMUL (*chcąc odejść*).

A waj! na co tego gadać! Won jest Radziwiłł, Jegomość jest Kurcewicz—to i dosyć.

CHORĄŻY.

Tak, a ty jesteś Szmul Słonimiec i do tego głupi!

SZMUL (*obrażony*).

Szmul—ale niegłupi.

CHORĄŻY.

Jakto, nie? Żyjesz w tym kraju kopę lat, a nie wiész, że Kurcewicze Koryatowicze ród swój kniaziowski prowadzą od Koryata, a Koryat od Palemona, a Palemon od Cezarów rzymskich... A wiesz-że ty, skąd poszły Radziwiłły? do stu basałyków—Radziwiłły idą od Lizdejki, a Lizdejko był pop i do tego jeszcze pogański... Radziwiłłowie popowicze—chapoknysze...

http://rcin.org.pl

SZMUL (*patrzy z podziwieniem kiwając głową*).

Tego ja nie wiem, co prawda... ale tego ja wiem, że won ma Nieśwież i tysiąc wsiów i dwieście miasteczków, a Kurcewicz jedną Sienną Wulkę, którąby Radziwiłł zjadł na śniadanie i jeszczeby mu się jeść chciało.

CHORĄŻY.

Żydzie, po żydowsku cenisz ludzi!

SZMUL.

A waj! bom żyd!—(*po namyśle*). Ale posłuchaj Jegomość... Ja tu na niego czekam... Niech mnie Jegomość zrobi tę łaskę i sobie stąd pojedzie. Nu—na co tu Jegomości na niego... siedzieć? Ja jutro przyślę ćwiartkę cielęciny, co fein!

CHORĄŻY.

Ażebyś sto basałyków zjadł, niewiaro, Judaszu ty jakiś, mordyaszu Boga! Patrz go! Co to ty sobie myślisz... że ja przed Radziwiłłem będę uciekał? Co to ja—gorszy od niego? Czy to nie karczma? Ja się dawno z nim chciałem spotkać i rad jestem, że tego szalbierza, gadułę, łgarza w kumysz zapędzę...

BASIA.

Mój ojcze!

CHORĄŻY.

Daj mi ty pokój.

BASIA (*prosząc*).

Ojcze drogi! zlituj się! Wiész, że to człowiek szalony—po co się narażać na awanturę. Tatku kochany, jedźmy, błagam... proszę... Tu z nim nasypie się ludzi... my sami... Ojcze, ja się boję o ciebie (*obejmując go*). Ja błagam Cię, proszę, zrób to dla mnie—dla twéj Basi. Jedźmy, uciekajmy!

CHORĄŻY (*kręcąc wąsa*).

Niedoczekanie jego.—Cicho-byś była—idź do alkierza i schowaj się, kiedy ci strach... Jeszcze-by czego nie stało, żeby kniaź Koryatowicz Kurcewicz otrąbiony był, iż się zląkł Radziwiłła i umknął przed nim. Żydziby się ze mnie śmieli do stu basałyków.—(*Cicho*) Ty mnie nie znasz, Basiu—z tego nic nie będzie. (*do Szmula*) Słuchaj ty, stary mordyaszu Boga... daj mi tu zaraz na stół jeść!

(*Podsuwa się do tacy, którą Szmul postawił na stole, choć Szmul usiłuje obronić, nalewa wódki, pije, łamie piernik i zakąsuje*).

To nie złe przed obiadem... Słyszysz! tu mi dać jeść! na tym stole. Szczupak faszerowany powinien być...

http://rcin.org.pl

(*Basia zlękniona przysiada i szepce mu coś na ucho... Chorąży odwraca się i spostrzega Dyplowicza w kącie*).

Co asindziéj tu robisz? hę? Już jesteś? już mi na pięty nastajesz? jużeś dogonił? Gdzie ja, tam i wy—jak cień! a to skaranie boże...

DYPLOWICZ (*wysuwa się, kłaniając i zacierając ręce*).

Stopy pana Chorążego całuję, do nóżek upadam! Cóżem winien, że się spotykamy! Miły Boże! Jak pan szczerych przyjaciół ocenić nie umiesz, a ja pański animusz admiruję.

CHORĄŻY.

Animusz, jak animusz, ale ty moję Wulkę admirujesz i chciałbyś mi ją wyrwać, wypieniaczyć... a bojąc się, bym komu nie sprzedał, jak cień mnie ścigasz...

DYPLOWICZ.

Ja! ja! panie Chorąży! klnę się...

CHORĄŻY.

Nie klnij się, do stu basałyków, a w oczy mi nie leź.

DYPLOWICZ (*kłania się i umyka do kąta*).

SZMUL (*który w czasie rozmowy stał zamyślony*).

A co będzie?

CHORĄŻY.

Będę tu siedział i jadł.

SZMUL.

A waj! Rób Jegomość jak lepiéj—ale jak z tego będzie wantura, albo, chowaj Boże, krew pociecze... ja ręce umywam...

(*Basia płacze—ojciec ją uspakaja. Dyplowicz ręce zaciera... Szmul patrzy*).

SZMUL.

A że będzie wantura... to jest pewne... Jegomość Księcia nie lubi, Książę Jegomości nie kocha, Jegomość nie ustąpi, on nie pójdzie... a co po tego?

CHORĄŻY.

Mnie się tak podoba... do stu basałyków...

SZMUL.

Won jest dobry ale impetyk... Czasem jak anioł, a czasem gorszy od samego dyabła...

CHORĄŻY.

A ja gorszy od stu dyabłów!...

http://rcin.org.pl

SZMUL (*wzdycha*).

Ot... kiedy nieszczęście przeznaczono na mojego dom i w taki dzień! (*do Basi cicho*) Niech panienka tatkę zapłacze... bo będzie wielkie nieszczęście.

BASIA.

Ale cóż ja nieszczęsna pocznę! Bylibyśmy pojechali zaraz, gdybyś mu sam nie powiedział bezpotrzebnie (*łamiąc ręce*). A teraz! Co tu począć? (*oczy zakrywa chustką*).

SZMUL.

Panie Kniaź Kurcewicz Kondratowicz... pan jesteś godny figura...

CHORĄŻY.

Nie przekręcaj nazwiska! żydzie!—że jestem godny, to wiem i bez ciebie.

SZMUL.

Bądź Jegomość wspaniałomyślny, a ulituj się nad córeczkiem i nad Szmulem... Jak on tu was zastanie, jak będzie tylko dwa słowa, a od słowa do szabli... i krew, i na mój dom wielki smutek...

CHORĄŻY.

Albo to nie karczma?

SZMUL (*urażony*).

Karczma? Co to karczma... to jest uczciwa austerye... Na co w niego ma być awantura? Książę ma z sobą stu ludzi, a oni wszystkie takie, że im tylko bij a siekaj jemu na sałatę... Won jest dobry pan, ale oni was na szablach rożniosą...

BASIA (*klękając*).

Ojcze!

CHORĄŻY.

Cicho! dziecko... Dyabeł nie tak straszny, jak go malują. Idź mi zaraz na górę i siedź spokojnie. Mnie się nic nie stanie. Burd nie lubię i nie robię, ale tchórzem nie byłem i nie będę... To darmo—zostanę tu... Znam go dawno ze słuchu, zna on mnie z humoru mego—trzeba się raz przecie spotkać w życiu i w oczy sobie spojrzeć.

BASIA.

Ach! ojcze drogi! Żyć z nim nie potrzebujemy, ani z nim wojny prowadzić, na co go jątrzyć?

CHORĄŻY (*całując ją w czoło*).

Nie znasz widać szlacheckiéj natury, Basiu. Ustępować ona z musu nie lubi. Z dobréj woli koszulę odda a pod naciskiem

http://rcin.org.pl

prędzéj życie, niż dumę... Ja jestem trochę więcéj niż prosty szlachciura, bo kniaź Koryatowicz... a Radziwiłła ojcowie moich w nogi całowali.—Popowiczowi nie ustąpię.

BASIA (*łamiąc ręce*).

O Boże! ratuj!

SZMUL (*z rezygnacyą*).

No—co osądzone, to osądzone! Darmo gadać. Żeby Chorąży wprzód choć testament zrobił.

DYPLOWICZ (*na stronie cicho*).

A mnie Wulkę zapisał.

CHORĄŻY (*krzykliwie*).

Milczéć mi! żydzie—jeść! tu! jeść! Jesteś, żebyś mi służył, nie żebyś mi radził.—Jeść, do stu tysięcy basałyków... bo karczmę spalę!

SZMUL (*ucieka, Kniaź goni za nim do alkierza*).

SCENA III.

BASIA—DYPLOWICZ (*w kącie*).

(*Przez drzwi od podwórza w ubiorze podróżnym Szczuka*).

SZCZUKA (*spostrzegłszy Basię, staje jak wryty*).

O Boże! co ja widzę! panna Barbara tu! jakimże wypadkiem?

BASIA.

Pan Józef? To może Pan Bóg zesłał was na ratunek (*przypatruje mu się i poznaje barwę Radziwiłłowską na mundurze*). Ale cóż to te kolory znaczą?

SZCZUKA.

Należę do dworu Księcia Wojewody.

http://rcin.org.pl

BASIA.

Nowe nieszczęście... Jak ojciec mój zobaczy was w téj barwie—on, co i tak był wam przeciwny... wszystko zgubione...

SZCZUKA.

Najdroższa panno Barbaro...

BASIA.

Ojciec...

SZCZUKA.

Gdzie jest?

BASIA.

Tu, w téj chwili nadejść może. Co poczniemy?... wszystko stracone, gdy was zobaczy... Jak można było przywdziać tę barwę?

SZCZUKA.

Mógłżem przewidzieć, iż ona będzie niemiłą Chorążemu? Jam się łudził przeciwnie, iż się powagą Księcia podtrzymam i los mój poprawię.

BASIA.

Ojciec go nienawidzi...

SZCZUKA (*łamiąc ręce*).

Nieszczęśliwe przeznaczenie moje...

BASIA.

Uchodź pan, nim przyjdzie.

SZCZUKA.

Nie mogę, jestem przodem wysłany tu, by czekać na Księcia Wojewoda będzie za chwilę. Zaklinam panią, niech się uspokoi... Ja potrafię wszystko zwyciężyć — ja umrę, lub ty moją być musisz...

(*Słychać wrzawę w alkierzu. Basia się cofa ku drzwiom, udając, że nie spostrzegła Szczuki*).

SZCZUKA.

Gospodarz! Szmul? Gdzie Szmul?

http://rcin.org.pl

SCENA IV.

CIŻ I SZMUL (*wpada, a za nim tuż*) CHORĄŻY.

SZMUL.

Sługa pana koniuszego! co pan każe?

SZCZUKA (*niby nie widząc Chorążego*).

Książę Wojewoda nadjeżdża za kilka minut... chce tu odpocząć, konie zmachane! siana i owsa dla dworu, żeby było co zjeść...

CHORĄŻY (*który wszedł niosąc misę z sobą, popatrzył na Szczukę, siada za stół i zaczyna jeść*).

SZMUL.

Wszystko jest—to jest wszystko było...

(*ręką pokazuje po cichu Chorążego*).

SZCZUKA.

A izba wolna dla Księcia?

SZMUL (*pokazuje ciągle Chorążego*).

Izba... była... fein... czysto... spokojnie... pachnąco... ale... won... zajechał... i...

CHORĄŻY.

Co ty tam gadasz?

SZMUL.

Niczego, niczego.

(*rusza ramionami i oczyma pokazuje Chorążego*).

SZCZUKA (*zachodzi z przodu i kłania się*).

Czołem panu Chorążemu!...

CHORĄŻY.

Czołem? hę? A! to waszeć, panie Szczuka. Ledwiem poznał.. Cóż to to? przebrałeś mi się jakoś .. w liberyą... bardzo do twarzy?...

SZCZUKA.

To mundur przyjacielski...

http://rcin.org.pl

CHORĄŻY.

Piękny, niéma co mówić! (*Do Basi*) Idź wacpanna na górę! idź! proszę! niéma tu co robić dla acanny!

(*Basia błagająco spogląda na Szczukę i wysuwa się*).

SZCZUKA.

Poprzedzam Księcia Wojewodę, jako pełniący obowiązki koniuszego.

CHORĄŻY.

To nie przy psiarni jegomość! proszę!

SZCZUKA.

Panie Chorąży...

CHORĄŻY.

Winszuję! jest przecie koronny, musi być i Radziwiłłowski koniuszy. Winszuję.

SZCZUKA.

Poprzedzam Księcia... tylko co go nie widać.

CHORĄŻY.

Chciałbym, żeby go było widać—ciekawym...

SZCZUKA.

Książę lubi być sam na popasach.

CHORĄŻY.

I ja lubię być sam na popasach... a jednak śmierdzącego Dyplowicza znoszę.

(*pokazuje nań ręką*).

DYPLOWICZ (*z kąta*).

Panie Chorąży... stopki całuję.

SZCZUKA.

Pan Chorąży tu już dawno popasa?

CHORĄŻY.

A wy tu długo popasać myślicie?

(*je ciągle z misy*).

SZCZUKA.

Jak pan nie łaskaw na mnie! czym zasłużył?

CHORĄŻY.

A wam na co moja łaska, wszak macie łaskę księcia. Na dwóch łaskach, jak na dwóch stołkach, siedzieć nie dobrze.

SZCZUKA.

Cóżem ja zawinił?

http://rcin.org.pl

CHORĄŻY.

Dalipan nic — tylko ani znajomości ani konfidencyi ze mną i z panną Barbarą nie życzę sobie. Do krocset basałyków... Jeszcze z tą liberyą!

SZCZUKA.

Cóżem zawinił?

CHORĄŻY.

Do kroć sto basałyków, nie, mówię nie. Daj mi święty pokój, a nie kręć się tam, gdzie my jesteśmy, bo ja szablą muchy spędzam...

SZCZUKA (*łagodnie*).

Panie Chorąży! Ja wszystko zniosę od pana... pan wie, dlaczego...

CHORĄŻY.

Wiedzieć nie chcę.

SZCZUKA.

Raczcie posłuchać.

CHORĄŻY.

Słuchać nie chcę.

SZCZUKA.

Książę Wojewoda nadjedzie, panowie z sobą źle od dawna, on gorączka...

CHORĄŻY.

A ja jestem febra i z gorączką.. Gdyby Lucyfer z Belzebubem mieli zajechać, nie ustąpię. Słyszysz? Dajże mi jeść spokojnie i wara z nosem w to, co ja robię, się wścibiać.

(*Basia wygląda z alkierza dając znaki Szczuce*).

SZCZUKA.

Zaklinam pana Chorążego.

SZMUL.

Już ja jemu kląłem—i nie pomogło...

(*trzęsie głową smutnie*).

SZCZUKA (*cicho*)..

Chyba sam Pan Bóg odwróci nieszczęście! Są zrządzenia boże... Któż wie? może to wyjdzie na lepsze... W każdym razie ojcu Basi, choćby życiem nałożyć przyszło, krzywdy uczynić nie dam.

CHORĄŻY (*jedząc*).

Co tam mruczysz, koniuszy Szczuko? hę? Ja mruków nie lubię... Idź waszeć czekać swego protektora u progu... bo się z gniewu kością udławię, a właśnie szczukę*) też jem... i dosyć kiepska...

*) Szczuka po staropolsku—szczupak.

http://rcin.org.pl

SCENA V.

(*Słychać wrzawę i tętent koni za drzwiami, wołanie, krzyki, potém chód żywy... Drzwi roztwierają się na rozcież,* RADZIWIŁŁ *wchodzi, za nim dwór jego*).

DYPLOWICZ (*w kącie woła*)

Jadą! jadą! przyjechali!

SZMUL (*lata przestraszony szukając tacy, porywa ją, niesie ku drzwiom drżący... Chorąży je, nie ruszając się i nie oglądając*).

BASIA (*z alkierza wygląda i woła*).

Ojcze! Książę!

CHORĄŻY (*odpowiadając jéj*).

Basia na górę i cicho siedzieć! Basia na górę i ani mi się rusz! Bądź spokojna tylko, Kurcewicze siekali, ale ich nie siekano... twardzi są...

(*W czasie téj chwili zamieszania, Książę stoi we drzwiach i patrzy na Chorążego i Szmula*).

SZMUL.

A waj! co to będzie!

KSIĄŻĘ.

A to co? panie kochanku? Któż tu sobie pod tę porę tak poufalutko do mojéj karczmy zajechał? Panie kochanku... jakby w domu...

SZMUL (*zmieszany podając półmisek*).

Jaśnie oświecony Księci Jegomości—uniżenie kłaniam... Jak słońców... jak bez słońców trawa... Jak królów Salomona i Dawida... a waj! wielki purym dla nas, kiedy Książę Jegomości nam swoim sługom... powraca... Vi-vat!

KSIĄŻĘ (*klepiąc go po ramieniu*).

Dziękuję, panie kochanku, za oracyę, ani-by jezuita lepiéj nie potrafił... a wolałbym, panie kochanku, karczmę bez oracyi, byle niezajętą.

http://rcin.org.pl

(*Podchodzi zwolna do stołu i spogląda z góry na Chorążego, który je, wąsy ściera, potém zwolna głowę podnosi i spogląda mu oko w oko*).

Hm! Panie kochanku—Dzień dobry waszeci.

CHORĄŻY.

Hm, sto basałyków! dzień dobry asanu.

KSIĄŻĘ.

Nie zna mnie, panie kochanku, to zabawna rzecz... panie kochanku... Jak się zowiesz? możebyś poszedł sobie gdzieindziéj jeść.

CHORĄŻY.

Do stu basałyków, dlaczego?

KSIĄŻĘ.

Bo jabym tu jadł, panie kochanku...

CHORĄŻY.

Czy jegomość wiesz, że do szlachcica mówisz?

KSIĄŻĘ.

A kto u nas nie szlachcic, panie kochanku? Ale widzisz, panie kochanku, racya fizyka—choć ty jesteś szlachcic, to ja przecie jestem Radziwiłł, panie kochanku, wojewoda wileński.

CHORĄŻY (*głowę podnosząc tylko, ale siedząc ciągle*).

A! to wy jesteście Radziwiłł panie kochanku! No proszę! Nigdybym się tego był nie spodziewał... gdzieś na peregrynacyi brzucha stracił, czy co? Ale kiedy mnie zaszczyciliście rekomendując się, słuszna, bym się ja także wam odrekomendował. Jestem kniaź Hrehory Koryatowicz Kurcewicz, chorąży lidzki, z rodu książąt litewskich ..

KSIĄŻĘ (*stoi chwilę zamyślony*).

Co? co? ho? ho? jakiego rodu?... Terefere kuku, strzela baba z łuku! panie kochanku, witam Kniazia.

CHORĄŻY (*kłania się głową*).

Ja też witam i kłaniam Księciu Wojewodzie.

KSIĄŻĘ (*stoi, milczy, pogląda na swoich—Cisza*).

Hm! co panie kochanku?

CHORĄŻY.

Nic do stu basałyków (*zajada*).

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*do Wołodkowicza*).

Co ty myślisz, Wołodkowicz, czyby go kazać za drzwi wyrzucić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ.

Ja sądzę, że on i sam wyjdzie.

KSIĄŻĘ (*półgłosem*).

Gdzie tam, ja jego ze słuchu znam, panie kochanku! To ten waryat z Siennéj Wulki... On ma ząb do mnie, a ja do niego... bośmy sobie psy gończe łapali i wieszali. Patrzajże, Wołodkowicz, ledwiem nogą na nieświeską ziemię stąpił, zwierzyna, panie kochanku, jest! A ja panie kochanku, od tego ostatniego wypadku, gdy księcia Murzynów w Tunis rozpłatałem jak szczupaka na dwoje, nie mam najmniejszéj ochoty do takiego polowania. Tak mnie czarną krwią obryzgał, żem się odmyć nie mógł... (*myśli*) Gdyby go kazać upiec dla was na pieczyste?.. Za chudy, panie kochanku, wy do tuczonych przywykli...

WOŁODKOWICZ

Same kości, mości Książę—my go nie będziemy jedli.

KSIĄŻĘ.

To dla psów, panie kochanku

WOŁODKOWICZ.

Niegłodne. No i mogłyby nosacizny dostać, bo on ma muchy w nosie.

(*W ciągu téj rozmowy półgłosem, Chorąży zajada z talerza nie oglądając się*).

KSIĄŻĘ.

Ależ, panie kochanku, ja sam ustąpić nie mogę—to się tak nie skończy. Sprobuję—panie kochanku—łagodnie.

(*zbliża się zwolna i opiera na stole*).

Co tam, panie kochanku, słychać w dobrach Kniazia?

CHORĄŻY.

A co? lepiéj niż w Nieświeżu — Księcia Radziwiłła kradną, a mnie nie, bo u mnie niéma co kraść i obrazy bożéj niéma.

KSIĄŻĘ (*do Wołodkowicza cicho*).

Ściął mnie, panie kochanku. (*Do Chorążego*) Asindziéj, panie kochanku dawno już w tych stronach?...

CHORĄŻY.

Nie tak bardzo.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Widać to, panie kochanku, sąsiadów waszych nie znacie, a toćbyście słyszeli, wiedzieli, panie kochanku, że żaden Radziwiłł w kaszę sobie pluć nie da.

CHORĄŻY (*spokojnie*).

Już to prawda, żem snadź nie dawno, kiedy mnie też Radziwiłł nie zna i bierze za spokojnego pieska, co na dwóch łapkach służy, a ja jestem dzikie wilczysko!...

KSIĄŻĘ (*do Wołodkowicza*).

Znów mnie ściął, panie kochanku. (*Do Chorążego*) Widzisz asindziéj, Radziwiłłowie kury czubate... mówią o nich Rad-żywił, a nie powie nikt Rad-zjadł... bo cierpliwości braknie... i straszne gorączki... panie kochanku... jak im kto dopiecze...

CHORĄŻY.

To co?

KSIĄŻĘ.

Gotowi na wszystko—panie kochanku.

CHORĄŻY.

A Kurcewicze są takiego gniazda, że nie czekają, żeby im kto dopiekł, sami pieką.

KSIĄŻĘ (*do Wołodkowicza*).

Niech go kaczki zdepcą, panie kochanku. Szlachcic jak kamień, ani ugryść. (*Do Chorążego*) Pieką! pieką! ale mój panie, co Kurcewicz z Siennéj Wulki może zrobić Radziwiłłowi na Nieświeżu?

CHORĄŻY.

A co Radziwiłł na Nieświeżu może zrobić Kurcewiczowi na Siennéj Wulce?

KSIĄŻĘ.

Co? oto ja, panie kochanku, powiem ci. Jak mu rezon przyjdzie, może spędzić tłokę, Wulkę roznieść, zorać, solą posiać i... ani śladu, gdzie Kurcewicze się gnieździli.

CHORĄŻY.

Proszę! proszę do stu basałyków... Wszak ci to wszystko może być prawda!... ale ja wam powiem, co potém. Radziwiłła pozwą o gwałt i rozbój przed trybunał, a że u nas są i poczciwi sędziowie, osądzą go na g a r d ł o. Toć to u nas ścinali i senatorów, a powinowaty wasz Zborowski skończył na pieńku...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Asindziéj, panie kochanku, probujesz mojéj cierpliwości, ale już jéj mało co jest.

CHORĄŻY.

Zdaje mi się, iż Książę żartujesz sobie z siebie albo ze mnie. No—z siebie Księciu wolno, ale ja uprzedzam, że żartów nie lubię.

(*odwraca się*).

KSIĄŻĘ (*do Wołodkowicza*).

Co tu z nim robić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ.

Dać mu tam pokój.

KSIĄŻĘ.

Nie mogę, panie kochanku—daj ty kurze grzędę... nie mogę. (*zbliża się z ręką na szabli*) Słyszysz asindziéj—fora ze dwora! albo... panie kochanku...

CHORĄŻY (*spokojnie zawsze*).

Słyszysz, Radziwiłł, w karczmie każdy pan. (*Uderza po szabli*). Jeśli ci się zachciało bigosu...

KSIĄŻĘ.

Toć i ja mam siekacza, panie kochanku.

CHORĄŻY.

A no to się sprobujemy, byle gra równa była... bo jużcić we stu na jednego to rozbójnicza rzecz, nie Radziwiłłowska.

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku, tego już nadto.

CHORĄŻY.

Ja téż sądzę tak!

KSIĄŻĘ (*do swoich*).

Tnie mnie i tnie... a asanowie mnie nie sukursujecie, panie kochanku... Co z nim robić?

WOŁODKOWICZ.

Ale splunąć i porzucić... (*Na stronie do Chorążego*) Jedź waszmość, bo się zgubisz...

CHORĄŻY.

Jak się zgubię, wacpan mnie szukać nie będziesz...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*dobywając szabli*).

Ta sama jeszcze, com nią księcia rozpłatał...

CHORĄŻY (*dobywając swoję*).

Koryatowiczówka! pokaż, co umiesz.

(*składają się do pojedynku*).

SCENA VI.

CIŻ—BASIA (*wpada zdyszana*).

KSIĄŻĘ (*spostrzegłszy ją*).

Tylko nam tu, panie kochanku, baby brakło...

BASIA (*do księcia*).

Mości Książę—a czyż to się godzi, na własnéj ziemi, w gospodzie?

KSIĄŻĘ.

A cóż asiądzka chcesz, panie kochanku—ja zostałem wyzwany, on mi despekt wyrządził.

BASIA.

Mój ojciec?

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Ojciec taki szpetny, a córeczka taka ładna!

BASIA.

Mój ojciec? Mości Książę, to być nie może, ojciec mój nigdy nikomu w życiu złego słowa nie powiedział, a mógłżeby Księciu, którego wszyscy znamy tylko z jego dobrych czynów, coś niemiłego rzec?

CHORĄŻY.

Tylkoż ty, sroczko... fora stąd!... oto mi adwokat nieproszony...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Ładna i niczego w gębie...

BASIA.

Ja się domyślam, o co pójść mogło—ojciec mój zajechał tu wprzódy—trudnoć mu było dać się arendarzowi wygnać—przecież w książęcéj gospodzie dla wszystkich miejsca dosyć, Mości Książę?

KSIĄŻĘ.

Ale dalipan, panie kochanku, moja panienko, jam niewinien...

CHORĄŻY.

Nie zaczepiam nikogo, nie ustąpię nikomu.

BASIA (*zasłaniając sobą ojca*).

Mości Książę... tyś szlachetny i dobry...

KSIĄŻĘ (*chowa szablę*).

Ale bądź wacpanna spokojna, nikt się przy płci białéj nie rąbie... Nie tu, to tam, panie kochanku, jakoś Pan Bóg da, że się zobaczymy...

BASIA.

A gdy Książę go poznasz lepiéj, to mu podasz dłoń.

KSIĄŻĘ.

Coś mi się nie widzi!

CHORĄŻY (*chowając szablę*).

Tak, Mości Książę... Góra z górą się nie zejdzie, ale ludzie...

KSIĄŻĘ (*markotno do dworu*).

Na koń! na koń! znajdziemy przecież gdzieś popaść... stara to szkolna maksyma... Kto komu ustąpi, panie kochanku...

(*Idzie ku drzwiom, odwraca się i mówi*).

Do widzenia, Kniaziu!

CHORĄŻY.

Do widzenia, Wojewodo!

KSIĄŻĘ.

Spotkamy się...

CHORĄŻY.

Do usług...

KSIĄŻĘ.

Czołem...

CHORĄŻY (*ręka w bok, dłubiąc w zębach*)

Czołem...

(*Po wyjściu Księcia Chorąży w ślad idzie za nim i wychodzi za drzwi*).

http://rcin.org.pl

DYPLOWICZ (*wysuwa się za nim*).

BASIA (*sama, padając na ławę przy stole*).

O mój Boże! To cud twéj łaski! Ocaliłam ojca... ale moje nadzieje... on... w liberyi?... wszystko stracone!... Klasztor mi został tylko. Ojciec nie dopuści go na próg swojego domu... a jam cudu nie warta! Biedny Józef... Na wieki...

(*zasłania oczy*).

SCENA VII.

KASIA—SZCZUKA (*wpada drzwiami od sieni i staje przed nią*).

SZCZUKA.

Panno Barbaro! słowo jedno, spojrzenie... słówko otuchy i nadziei.

BASIA.

A! to wy! Nadziei? nie mam jéj sama... stracone wszystko... Uciekaj pan, bo gdy ojciec was tu zobaczy...

SZCZUKA.

Nie przyjdzie... będzie stał, póki księcia na gościńcu nie dojrzy... Pozwól mi pani rzec dwa słowa...

BASIA.

Tak, chyba ostatnie, bo się już więcéj nie zobaczymy w życiu...

SZCZUKA.

Ja mam nadzieję.

BASIA.

Ja—żadnéj. Nie znasz pan ojca mojego, teraz gdy was widział na dworze księcia... dom nasz zamknięty dla was.

SZCZUKA.

Miłość go moja otworzy, byleś mi Pani sprzyjała...

BASIA.

Co ja mogę? chyba się we łzy rozpłynąć.

http://rcin.org.pl

SZCZUKA.

Pani—zostaw mi serce tylko, do mnie należy stworzyć przyszłość. Ja ich pojednam, ja zbliżę, ja pogodzę... poruszę wszystko, dam życie...

BASIA.

A i życie?...

SZCZUKA.

Tak! życie dla was... jeśli będzie trzeba — bo bez was i jabym żyć nie potrafił. Wierz mi pani, kto kocha, ten najstraszniejsze zwycięży przeszkody...

BASIA (*podaje mu rękę, którą Szczuka całuje—w téj chwili wchodzi Chorąży i zobaczywszy Szczukę, woła:*)

SCENA VIII.

BASIA (*ucieka do alkierza*).—CHORĄŻY—SZCZUKA.

CHORĄŻY.

Hola, panie kawalerze, hola! Co mi tam waść tak się kręcisz koło mojéj córki?... Ruszaj do Radziwiłłowskich respektowych panien—tam dla ciebie stosowniejsze towarzystwo... Słyszysz, panie Koniuszy, proszę mi nie wchodzić w drogę. Ja tego nie lubię. Koło Basi mi się nie kręć, bo to nie dla Waszeci, nie, nie i po sto razy nie!

SZCZUKA.

Panie Chorąży dobrodzieju, chciéj być dla mnie łaskawszym, nie zawiniłem przecie, żem się do Księcia Wojewody zbliżył, bom mu koligatem i krewnym.

CHORĄŻY.

No, na zdrowie! ja Szczukę tylko na półmisku znam, a w domu mi cuchnie. (*Woła*) Basiu! jedziemy. (*Do Szczuki*) Proszę to sobie z głowy wybić... proszę... obliguję i radzę....

http://rcin.org.pl

(*Basia wychodzi ubrana, Chorąży nie dając się jéj nawet pożegnać, wskazuje drogę do drzwi i sam idzie za nią. Odwraca się w progu i mówi do Szczuki*).

Do nóg upadam pana Koniuszego.

SZCZUKA (*kłania się nizko w milczeniu i odchodzi*).

SCENA IX.

DYPLOWICZ (*sam*).

Trzeba zdążać za niemi... Człowiek musi pracować... Żeby mi się tylko ta Wulka nie wymknęła... bo Kurcewicz ją sprzedać musi... Postawię świecę funtową przed Panem Jezusem, gdy się spełni moje najgorętsze życzenie... Wulka musi być moja. Nie dam jéj nikomu. Chorąży już bokami robi... bankrut... w śpiżarni wszyscy z głodu zdychają... Wulka musi być moją. Panie Boże, ty widzisz serce moje, jam w tobie położył nadzieję! Ty dopomóż! Dam srebrne wotum... Klnę się, że dam... do słuckiéj fary!...

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

http://rcin.org.pl

AKT II.

Ganek w zamku nieświeskim; dokoła widać zabudowania obszerne. Wschody od ganku wychodzą na scenę. Na podwyższeniu siedzi Książę Karol w białym kitlu. Przed nim Dyplowicz w pół zgięty z czapką w ręku. Dwór księcia przechadza się w cichéj rozmowie na przodzie sceny, tak, że jedni znikają za kulisami, drudzy wchodzą.

SCENA I.

KSIĄŻĘ.—DYPLOWICZ.—DWÓR KSIĘCIA.

DYPLOWICZ (*z niezmierną czołobitnością; mówi kłaniając się do kolan i podnosząc często z admiracyą ręce do góry*).

Mości Książę! Byłem świadkiem całego tego procederu Chorążego, to człowiek pychy szatańskiéj... to niegodziwiec i zuchwalec... Żeby śmieć Księciu, dobroczyńcy naszemu, co jesteś słońcem i luminarzem naszym... stawić się tak hardo...

KSIĄŻĘ.

Nic to, nic, przyjdzie, panie kochanku, koza do woza...

DYPLOWICZ.

Przyznaję się, że jabym na miejscu Księcia, nauczył pyszałka...

KSIĄŻĘ.

Czy wy, panie kochanku, w sąsiedztwie tam drzecie się z sobą?

DYPLOWICZ.

A! on mnie drze, ja jego nie mogę (*wzdycha*). Po co jemu ta Wulka, on dawno ją sprzedać powinien, ja mam drugą połowę...

http://rcin.org.pl

Proszę się go, — i nie, i nie. A potém żyd to weźmie, albo lada kto...

KSIĄŻĘ.

A to, panie kochanku, wam się chce wziąć?

DYPLOWICZ (*wzdycha*).

Cóż, kiedy nie mogę... Ja myślałem, że W. Ks. Mość mi dopomożesz... Co to Księciu znaczy, zajechać, szlachcica wypędzić, a potém mnie oddać.

KSIĄŻĘ.

Toćbym, panie kochanku, zajechawszy musiał basarunek zapłacić!

(*śmieje się*).

DYPLOWICZ.

A co księciu, takiemu magnatowi, szkodzi zapłacić?... I ot, jabym miał Wulkę, Chorąży pieniądze, a książę pan satysfakcyę...

KSIĄŻĘ.

Asindziej, panie kochanku, doskonały jesteś do rady... cha! cha!...

DYPLOWICZ (*ręce zacierając*).

A żeby jeszcze staremu dać na kobiercu pięćdziesiąt...

KSIĄŻĘ.

Słuchaj, panie kochanku... niebezpieczna gra! mówisz o bizunach... tu niéma komu dać, a jak mnie rozłakomisz... to ci każę wsypać panie kochanku.

DYPLOWICZ (*cicho*).

Po czemu jeden? Mości Książę.

KSIĄŻĘ (*śmiejąc się*).

Ten mnie bawi, panie kochanku! ten mnie bawi! Co za szkoda, że pieniędzy nie mam!

DYPLOWICZ (*kłaniając się*).

Ja pokredytuję...

KSIĄŻĘ.

Jeszczem, panie kochanku, takiego kpa w życiu nie widział! cha! cha!

(*po chwili*).

Słuchajno Dyplowicz, czy ty kiedy o moich podróżach i peregrynacyach słyszałeś? Tak mi się podobasz, że ci gotów jestem cokolwiek opowiedzieć.

DYPLOWICZ.

Nazbyt byłbym szczęśliwym i uhonorowanym, Mości Książę.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ (*głośno*).

No to posłuchaj, tylko uważnie, bo awantura osobliwa i uszu godna.

(*Dworzanie otaczają księcia i od pierwszych słów zaczynają słuchać z uwagą—Dyplowicz ciągle daje znaki podziwu*).

Było to trochę dawniéj, kiedy się Radziwiłłowi ledwie wąs wysypywał, panie kochanku... (*wzdycha*) lepsze czasy!... Jeszcze i apostołowie w skarbcu stali i dwanaście cegieł złotych było całych... Jużem był naówczas wyszedł z kondycyi, przestawszy służyć za kuchtę u pani Gałeckiéj, a przeniosłem się do Nieświeża; raz tedy raniuteńko, a była wiosna, wyszedłem do ogrodu... szukać ziela na maść dla choréj kobyły, bom się na Ukrainie konowalstwa wszelkiego nauczył... Chodzę, aż spojrzę, słońce na mnie mruga osobliwie... jakby coś, panie kochanku, wiedziało... Wtém załopotało coś skrzydłami, leci ptak i śpiewa mi nad głową: „Dzień dobry księciu"... Patrzę, upuścił mi bilecik. Ptak był osobliwszy, bo chodził w okularach, miał buty czerwone i na łbie federpusz ogromny... Zbierałem się na odpowiedź... kichnął i poleciał...

WOŁODKOWICZ.

Żeś też W. ks. Mość nie miał flinty, aby go do gabinetu zastrzelić...

KSIĄŻĘ.

Ty-bo, Wołodkowicz, zawsze mi przerywasz... panie kochanku, a mnie to myśli psuje. Podnoszę liścik.. pachnący jak róża. Patrzę, zaadresowany: Panu Miecznikowi do rąk własnych... na pieczęci królewska korona... Lak złocisty... Otwieram i znajduję, panie kochanku, romansowe oświadczenie od księżniczki Brambilli, córki króla Aldebarana, o któréj wiele mówiono, że miała siedm twarzy jedna od drugiéj piękniejszych i co dzień w tygodniu brała inną.

DYPLOWICZ.

A! niech ją kaci porwą!

KSIĄŻĘ.

Proszę, panie kochanku, nie przerywać!

WOŁODKOWICZ.

Jakże się ona w księciu zakochała, kiedy Księcia o tysiące mil widzieć nie mogła?

KSIĄŻĘ.

Widzisz, panie kochanku, Wołodkowicz, jak mało wiesz, co na świecie się dzieje; oni w tym kraju mają takie perspektywy, ro-

http://rcin.org.pl

bione z oczu ostrowidzowych, że przez nie widzą pchły na księżycu. Widziała mnie tedy przez perspektywę, gdym po ogrodzie chodził... i odtąd patrzała a patrzała, a że ręce ją bolały od trzymania perspektywy, służące ją ciągle podtrzymywały. List był z formalném oświadczeniem.

DYPLOWICZ.

O to panie historya! a!

KSIĄŻĘ.

Poskrobałem się po łysinie, której wówczas jeszcze, panie kochanku, nie miałem... Co tu robić? niéma rady, trzeba jechać, kulbacz Strzyżyuszkę...

SZCZUKA (*ogląda się i wzdycha*).

KSIĄŻĘ (*do Szczuki*).

Szczuka nie uważa! a ja cię będę egzaminu z tego słuchał! Kulbaczą tedy Strzyżyuszkę... ty, kochany Wołodkowicz, znałeś tę klacz cudowną, lepsza od kobyłki Mahometa. Bywało, panie, skoczy... dwa susy ze Słonima do Lidy, z Lidy do Wilna dwa susy, panie kochanku. Wziąłem z sobą nieboszczyka Parcewicza z tyłu w troki, żeby było komu buty wyczyścić... i w imię boże, na noc do Smorgoń... Drugiego dnia byliśmy nad Bałtykiem, stąd okręt angielski zawiózł mnie, mijając Maderę i Madagaskar, do Egiptu...

WOŁODKOWICZ.

M. Książę, ależ gieografia...

KSIĄŻĘ.

Tylko mi daj pokój z gieografią. Gieografia jest dla studentów, ludzie dojrzali kpią z niéj, panie kochanku... Trzeciego dnia wysiedliśmy na téj wyspie egipskiéj w państwie Aldebarana... a już byłem zawiadomiony, panie kochanku, że tam przystęp niełatwy. Ojciec miał ją na oku, bo była nieco płocha... Stało na straży trzynastu krokodylów, oswojonych i wyuczonych jak moje niedźwiedzie. Chodziły wszystkie na dwóch łapach, szarfy, u boku pistolety angielskie, panie kochanku, szpady, kapelusze stosowane i zegarki u pasa, żeby zawsze wiedziały godzinę; dawano im, panie kochanku, trzy razy na dzień po jednym tłustym bernardynie, panie kochanku (*ogląda się*). Oj! Chwała Bogu, że Katembrynka niéma... Cóżem chciał mówić? (*do Szczuki*) Co ty tam patrzysz ciągle na bramę, słuchaj!

DYPLOWICZ.

A! taka piękna historya, jak żyję nic podobnego nie słyszałem...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Z temi krokodylami, panie kochanku, nie było innego sposobu, tylko trzeba było grać w karty, a kto przegrał, tego zjadły... tym sposobem skonsumowały kilkunastu zakochanych królewiczów i ze sześciu książąt... Każdy z krokodylów, panie kochanku, w co innego grał, najstarszy w maryasza, drugi w makao, trzeci w warcaby... Szczuka! co tobie jest... nie słuchasz?

SZCZUKA.

Słucham, Mości Książę!

KSIĄŻĘ.

Pamiętaj, że jutro wezmę na egzamin, panie kochanku. U drzwi siedział wąż brzuchaty, który tabakę zażywał, i to tylko hiszpankę... dlatego miałem ciemierzycę w kieszeni, panie kochanku... Szczuka, co ci jest u licha?

SZCZUKA.

Ale nic, Mości Książę...

KSIĄŻĘ.

Przypatrz-że się, jak Dyplowicz słucha, to na wzór, panie kochanku, gębę otworzył, aż mu wnętrzności przez nią widać... a wy... w głowach pusto! Nic rozumnego nie chcecie posłuchać, żeby się czegoś nauczyć, panie kochanku... Ej! Szczuka, ja wiem, co się święci z tobą.

SZCZUKA.

Mości Książę, ale nic, słucham...

KSIĄŻĘ.

Tobie ta fertyczna Basia Kurcewiczówna wlazła pod pachę... Ty dla niéj głowę tracisz, panie kochanku...

SZCZUKA (*wzdychając*).

Muszę o niéj zapomnieć...

KSIĄŻĘ.

Ja ciebie na wylot widzę, ty czekasz, panie kochanku, odpowiedzi z Siennéj Wulki, od Kurcewicza, wiedząc, że wyprawiłem tam posłańca...

SZCZUKA.

Co mnie do tego, proszę Księcia.

KSIĄŻĘ.

A kto mnie na to głupstwo namówił, jeśli nie ty?

SZCZUKA.

Ja? Czyż ja? Wasza książęca Mość nie uczyniłeś nic, czego-

http://rcin.org.pl

by nie przystało uczynić Radziwiłłowi... Biedny szlachcic ma także w rodzie książęcą krew...

DYPLOWICZ.

Co za krew?...

SZCZUKA.

Im uboższy, tém mu dumę jego łacniéj taki pan, jak Radziwiłł, przebaczyć może. Łatwiéj Księciu pofolgować, niż jemu. Na Księcia nie powie nikt, że się zląkł albo poniżył, a z niegoby się wyśmiewano...

DYPLOWICZ.

Nie mogę tego słuchać...

KSIĄŻĘ.

Nie źle mówisz, tylko zawsze na swoje koło, panie kochanku, wodę prowadzisz.

SZCZUKA.

Księciu przystało być wspaniałomyślnym i łaskawym...

KSIĄŻĘ.

Ty téż pochlebcą coś jesteś, panie kochanku... A no, tożeście mnie nabechtali, że po téj awanturze w karczmie, w któréj Radziwiłł ustąpił Kurcewiczowi, ja, Wojewoda Wileński, posłałem go jeszcze na barszcz prosić do Nieświeża...

SZCZUKA.

Toć po książęcemu, to po Radziwiłłowsku, to po pańsku.

DYPLOWICZ.

Aż nadto Książę dobry, a na pochyłe drzewo... i kozy skaczą.

SZCZUKA (*cicho do Dyplowicza*).

Ja Jegomości to odsłużę.

DYPLOWICZ (*wysuwa się w tył, kłaniając*).

Servus.

KSIĄŻĘ.

Teraz ciekawym, panie kochanku, co szlachcic zrobi?

SZCZUKA.

Przyjedzie i będzie spokój i zgoda.

DYPLOWICZ (*nieśmiało*).

Nie przyjedzie, ja go znam, jeszcze głupstwo powie...

KSIĄŻĘ.

I mnie się téż widzi, że nie przyjedzie... Widzisz, Szczuko... dawniéj, kiedyśmy to hulali, aż z czupryny kurzyło się, póki nie wyłysiała, bywało i tak, żem zaprosiwszy kogo, dał mu dwadzieścia pięć. Doktór Freind utrzymuje, że to nigdy nie szkodziło

http://rcin.org.pl

nikomu... ale ludzie, panie kochanku, tak zbabieli, że tego teraz nie lubią. Kurcewicz może co słyszał i boi się.

DYPLOWICZ.

Jemuby i pięćdziesiąt nie szkodziło.

SZCZUKA (*do Dyplowicza cicho*).

Ja na waszeci spróbuję.

DYPLOWICZ (*odsuwa się*).

SZCZUKA.

Mości Książę, on się tego nie zlęknie, bo mu i na myśl to nie przyjdzie. Książę słynie z gościnności i żalu do nikogo nie masz.

KSIĄŻĘ.

Mam żal, panie kochanku...

SZCZUKA.

Ale za cóż?

KSIĄŻĘ.

Za co, panie kochanku, za to, że ma taką fanaberyę! W Litwie, panie kochanku, od Wilna i Słonima do Białego Stoku i Brześcia oprócz Radziwiłłów fanaberyi takiéj nikomu mieć nie wolno...

SZCZUKA.

On się ułagodzi...

KSIĄŻĘ.

Zobaczymy.

DYPLOWICZ.

To jeż, to zgaga, to ocet ten człowiek!

SZCZUKA.

Milcz waćpan... (*Dyplowicz znowu się usuwa, Szczuka ogląda się.*) Otóż zdaje mi się, idzie Żura... który do Siennéj Wulki był posłany...

KSIĄŻĘ.

Tak, to on sam, ale widzę już, markotny czegoś...

http://rcin.org.pl

SCENA II.

CIŻ i ŻURA *(po podróżnemu ubrany)*.

ŻURA.

Czołem Waszéj Książęcéj Mości...

KSIĄŻĘ.

A co tam dobrego przynosisz, panie kochanku?

ŻURA *(który spojrzał na Szczukę)*.

Ot nic, Mości Książę... Szlachcica nie było w domu...

KSIĄŻĘ.

Co? co? Kto? ty? nie zastałeś go? Wiele lat jesteś u mnie na dworze?

ŻURA.

Trzeci rok, z łaski Księcia...

KSIĄŻĘ.

Ja myślałem, że dopiéro drugi dzień, bo nie znasz służby, panie kochanku!

ŻURA.

Jakto, Mości Książę?

KSIĄŻĘ.

Jak możesz ty powiedzieć mnie: nie zastałem, panie kochanku? Co to jest „nie zastałem?“ Gdzieżeś był? W Siennéj Wulce?

ŻURA.

Ale kiedy go tam nie było.

KSIĄŻĘ.

Poprośże Marszałka, ażeby ci wyliczył... coś wart .. ażebyś, panie kochanku, wiedział co robić w takim razie, panie kochanku, kiedy Książę posyła do kogo... Jedziesz do Siennéj Wulki, niéma, dokąd pojechał? Do Słucka. Ty za nim... niéma go... dokąd ruszył? Do Wilna, ty do Wilna, do Warszawy, do Stambułu, bogdaj na księżyc, panie kochanku... *(po chwili.)* Ale to gorzéj, panie kochanku, niż nie zastałem... bo ty łżesz... Żura, ja ci z oczów widzę, ciebie Szczuka łokciem trącił.

ŻURA.

Ale... nie, Mości Książę!

DYPLOWICZ *(z tyłu, migając, że Żura kłamie)*.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Tyś go zastał, panie kochanku... on tobie głupstwo powiedział, tyś je zjadł i nie śmiesz się niém ze mną podzielić, panie kochanku. A powinieneś wiedzieć, że posłów ani ścinają, ani wieszają... tylko czasem w Turcyi na hak za żebro, żeby przewietrzyć...

ŻURA.

Ale Mości Książę...

KSIĄŻĘ.

Mów do biesa, mów, nic ci nie będzie...

ŻURA (*wahając się*).

To-bo taki człowiek...

KSIĄŻĘ.

A no, utrapienie, mów, jak było... nic nie zjadaj.

SZCZUKA (*na ucho Żurze*).

Zlituj się, nie jątrz Ksiecia!

KSIĄŻĘ.

Szczuka .. proszę nie szeptać... idź ty mi precz.

DYPLOWICZ (*na migi objawia swą radość*).

KSIĄŻĘ.

Żura, mów całą prawdę, ja ją przełknę, gardło szerokie mam, żołądek dobry, strawię... a co potém z tego wyjdzie... zobaczymy, panie kochanku...

ŻURA.

To Mości Książę... Szlachcic strasznie zacięty...

DYPLOWICZ.

Nie mówiłem?

KSIĄŻĘ.

No, no, odpowiedź przypieprzył, ale ja się do papryki przyzwyczaiłem na Węgrzech, mów...

ŻURA.

Przybyłem do Siennéj Wulki, do dworu.

KSIĄŻĘ.

To chlew, panie kochanku, nie dwór...

ŻURA.

Dworek ubogi, ale chędogi, szlachcic stał w ganku. Gdym konia do kołka przywiązał i submituję się, kazał zaraz miodu przynieść.

KSIĄŻĘ.

Dobry miód ma, panie kochanku?

ŻURA.

Nie zły, Mości Książę, nie dał przyjść do słowa, pij...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Napiłeś się? panie kochanku...

ŻURA.

Trochę musiałem, potém zaraz z poselstwem, że Wasza Książęca Mość, pragnąc bliżéj poznać sąsiada, prosisz go na barszczyk do Nieświeża...

KSIĄŻĘ.

A on co na to? panie kochanku?

ŻURA (*po chwili milczenia, cicho*).

On na to, on na to...

KSIĄŻĘ.

A no, gadaj!

ŻURA.

On na to, powiedz Waszmość Księciu Jegomości, że ja barszczu nigdy nie jadam...

KSIĄŻĘ.

Widzisz! to czemużeś go na flaki nie prosił, panie kochanku?

ŻURA.

Książę kazał na barszcz...

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku, ty nie masz konceptu... A daléj co? mów do ostatnich fusów.

ŻURA.

Powiedział: kłaniaj się Księciu Jegomości i powiedz, że jeżeli w barszczu smakuje, niech tu do Siennéj Wulki przyjedzie, dam takiego, aż mu się gęba wykrzywi...

KSIĄŻĘ.

O dla Boga! a cóż daléj?

ŻURA.

Powiedz, że ja w gościnie nie bywam, ale u siebie rad przyjmuję.

KSIĄŻĘ (*wstaje i siada poruszony*).

Szalona pałka! panie kochanku, on śmie Wojewodę Wileńskiego do siebie zapraszać, na barszczyk z rurą...

SZCZUKA.

Mości Książę!

KSIĄŻĘ.

Milcz-że ty mi, adwokacie nieproszony... Ja go nauczę, ja mu dam... tego już nadto, panie kochanku. Tu idzie o honor mojego domu!... Hej, pana generała prosić.

http://rcin.org.pl

SZCZUKA (*rzuca się do Księcia z rękoma złożonemi*).

Mości Książę, bądź dla niego wspaniałym, bądź szlachetnym... Stary oszalał... ale Książę...

KSIĄŻĘ.

Prosić pana gienerała...

SZCZUKA (*klękając*).

Mości Książę, zaklinam...

KSIĄŻĘ.

Ty mi nie właź w drogę, panie kochanku, bo oberwiesz... panów senatorów moich! To tak mu nie ujdzie płazem...

SZCZUKA.

Ale cóż za grzech, że na barszcz prosił?

DYPLOWICZ.

To dopiéro dobrze! lecę do Wulki... i tam czekam ewentów... Kurcewicz przepadł, a Wulka będzie moja!

(*wymyka się*).

(*Słychać odgłos dzwonu. Zewsząd cisną się starsi ze dworu w mundurach albeńskich, marszałek dworu, komendant zamku, pułkownicy, milicya*).

SCENA III.

KSIĄŻĘ.—SENATOROWIE.—DWÓR.

KSIĄŻĘ (*stojąc woła*).

Panowie Rady! do mojego boku! młodzież na ustęp! ważne rzeczy się traktować będą, Szczuka idź precz... (*Szczuka chowa się za słup w ganku.*) Siadajcie panowie... (*chrząka.*) Mnie wielce miłościwi panowie a bracia! Idzie o honor domu Radziwiłłowskiego... lada szerepetka, szlachcic na jednéj wioszczynie, kurzy mi pod nos bezkarnie. Chorąży lidzki, co nigdy chorągwi nie miał żadnéj, Kurcewicz... który mi moje psy gończe wieszał, com mu przebaczył, zaproszony przeze mnie na barszcz, odpowiada kpinami... prowokuje mnie, panie kochanku!

http://rcin.org.pl

KOMENDANT LARZAC.

Straszna zbrodnia! Mości Książę, ale ja nie sędzia, niech panowie radzą, a *brachium militare* wykona. Każecie ściąć, zetnę, spalić, spalę... na pal wbiję, jeśli trzeba...

KSIĄŻĘ.

Niech panowie senatorowie nieświescy składają wota, co robić, panie kochanku? Pan Wołodkowicz ma głos.

WOŁODKOWICZ.

Moja rada się Księciu nie podoba. Nie chciał barszczu jeść, mniejsza o to... plunąć i kwita...

KSIĄŻĘ.

Ale on mnie prosił na barszcz.

WOŁODKOWICZ (*śmiejąc się*).

No to jedźmy...

KSIĄŻĘ.

Ja? do niego? panie kochanku! niedoczekanie jego i—twoje. Wołodkowicz się zestarzał.

WOŁODKOWICZ.

Jest na Rusi przysłowie: koły moje ne w ład, to ja z moim nazad.

(*kłania się, siada i milczy*).

KSIĄŻĘ.

Wołodkowicz od niejakiego czasu na umyśle słabnie... Czy wasana jaka Omfala prząść uczy, panie kochanku?... Pan Kirkor ma głos.

KIRKOR.

Co tu długo radzić, nie chce szlachcic znać Radziwiłła, Radziwiłł może go nie znosić w Siennéj Wulce... zrobić obławę, wypłoszyć go jak borsuka, dwór z dymem puścić, pole zasiać solą i postawić figurę z napisem: Za duszę Kurcewicza, proszę o trzy zdrowaśki!

KSIĄŻĘ.

Toby było bardzo dobre, gdybym ja jeszcze był miecznikiem litewskim, ale wojewodzie wileńskiemu nie ujdzie, panie kochanku.

KIRKOR.

Jak ścierpieć taką obrazę?

SZCZUKA (*z za słupa cicho*).

Czy godzi się jątrzyć?

KSIĄŻĘ.

Kto tam coś szepcze?... (*Wszyscy milczą*). Pan Puchała ma głos...

PUCHAŁA.

Na co palić i niszczyć?... posłać stu dragonii, szlachcica przywieść, położyć w złotéj sali, śpiewać nad nim Miserere i bić, i bić, i bić...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

I potém płacić? panie kochanku... Nie, nie mam pieniędzy. Dziś mi się Dyplowicz napraszał) ale to bizun najmniéj 50 talarów kosztuje, a człowiek wstrzemięźliwości nie ma, panie kochanku. Nie, i to źle... Pan Kojałowicz ma głos.

KOJAŁOWICZ.

Mości Książę, trudna rada... trudna. Żeby mnie uchybił, wyzwałbym go na rękę i uszy poobcinał... ale Księciu Wojewodzie nie wypada.

KSIĄŻĘ.

Mnie się ręka trzęsie, panie kochanku, a kto go tam wié, jak on ręką włada, byłaby tragiedya, a ja już od tragiedyi odwykłem... Pan Kiszka Ciechanowski ma głos.

KISZKA.

Myślę, myślę... ot, zrobiłbym tak, Mości Książę, wziąłbym szlachcica do dworu, posadził w ciupie i karmiłbym go jednym barszczem, dopókiby o pardon nie prosił...

KSIĄŻĘ.

Dalipan dowcipnie, panie kochanku... ale jeżeli ma żołądek taki twardy, jak głowę, w Nieświeżu barszczu dla niego nie stanie... (*Spostrzega Szczukę.*) Zdrada! zakradł się szpieg... słyszysz ty, chodź tu... Panowie Rady... kryminał! Szczuka słuchał, proszę na ustęp, ja się z nim sam rozprawię!

(*wszyscy wychodzą do pałacu, Szczuka staje przed księciem*).

SCENA IV.

KSIĄŻĘ. — SZCZUKA.

KSIĄŻĘ.

A co? złapali cię, bratku, na gorącym uczynku? słuchałeś?

SZCZUKA.

Słuchałem, Mości Książę.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

To zdrada...

SZCZUKA.

Nie, to miłość dla Waszéj Książęcéj Mości.

KSIĄŻĘ.

Dla Basi...

SZCZUKA.

I dla niéj i dla księcia, bo łacno księciu źli ludzie złą radę dać mogli.

KSIĄŻĘ.

Jakiś ty czuły dla mnie, panie kochanku!

SZCZUKA.

Księcia, jak ojca kocham, jak dobrodzieja szanuję.

KSIĄŻĘ.

A jako szaloną pałkę pilnujesz, żeby głupstwa nie zrobił, panie kochanku?

SZCZUKA.

Książę masz serce anielskie, ale złych ludzi rady, poduszczania, namowy, podbechtywania mogą wciągnąć w sprawę, któréj sam Wasza Książęca Mość, pan mój miłościwy, żałować będziesz... Radziwiłł wyższym być powinien nad podobne... dzieciństwa...

KSIĄŻĘ.

Tybyś powinien bernardynem zostać i kazania prawić, panie kochanku... Gadasz jak z kazalnicy, a głupiś...

SZCZUKA.

Nie, Mości Książę, co mówię, mówię z serca synowskiego, z prawdziwéj miłości méj dla księcia, za któregom życie dać gotów.

KSIĄŻĘ.

A co zostanie dla Basi, panie kochanku?...

SZCZUKA.

Ona już moją nie będzie!

KSIĄŻĘ.

A no, nie desperuj, panie kochanku... Radziwiłłowie nie takich żenili, jak ty... Ale gadaj, cóżbyś zrobił?...

SZCZUKA (*klękając przed nim*).

Książę mój! jabym się uśmiechnął, przebaczył i rękę podał zgorzkniałemu niedolą. Zważ Wasza Książęca Mość, żeć to człowiek wielkiego rodu, w upadku, w ubóstwie, w pogardzie; czyliżby nie przystało księciu dłoń mu wspaniałą wyciągnąć i...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Rozumiem... Ożenić Waćpana z Basią, wyposażyć oboje.. panie kochanku, a staremu puścić sto chat dożywociem...

SZCZUKA.

Tegoby on nie przyjął, Mości Książę.

KSIĄŻĘ.

O! o! myślisz?

SZCZUKA.

Jestem pewny...

(Radziwiłł myśli i uderza się po czole).

KSIĄŻĘ.

Dzwoń na radę, już wiem, co zrobię... dzwonić na panów senatorów...

(Szczuka wybiega. — Dzwon się daje słyszeć, panowie Rady nadchodzą i okalają Radziwiłła).

SCENA V.

KSIĄŻĘ.—SENATOROWIE.—DWÓR.

KSIĄŻĘ *(stojąc, uroczystym głosem).*

Dostojni panowie Rady! Wysłuchawszy głosów waszych w sprawie, panie kochanku, ekstra-zawiłéj, postanowiliśmy postąpić sobie wedle własnéj myśli naszéj. Zatém ogłasza się rozkaz dzienny... na jutro... Dwór, senatorowie i kto Albeńczyk ze mną na barszcz do Wulki, do Kniazia Kurcewicza...

SZCZUKA.

A! ja nieszczęśliwy.

KSIĄŻĘ.

A że Radziwiłł bez okazałości takiego wysokiego rodu człowieka odwiedzić nie może, boby mu chybił, więc gienerał da nam do orszaku dwieście koni.

GIENERAŁ.

Na rozkazy Waszéj Książęcéj Mości.

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Sto kozaków dworskich...

SZCZUKA.

On go zjé! na Boga!

KSIĄŻĘ.

A dworzan pięćdziesięciu... Razem niech będzie trzysta do czterechset koni.

SZCZUKA.

Gdzież on ich tam pomieści? o Boże!

KSIĄŻĘ.

A że J. M. pan koniuszy Szczuka dzwonił na zgodę, komenderujemy go jako kwatermistrza do Wulki, przodem, aby oznajmił, że się Radziwiłł Kurcewiczowi submituje, a spodziewa się, iż go po ludzku przyjmie.

WSZYSCY (*oprócz Szczuki*).

Vivat nasz Wojewoda! Vivat!

SZCZUKA (*ręce łamiąc*).

Ale Mości Książę?

KSIĄŻĘ.

Panie kochanku, czegoż ty jeszcze chcesz? Chciałeś zgody? Będzie zgoda! Radziwiłł inaczéj w gościnę nie jedzie... a na co go szlachcic prosił?

(*do dworzan*).

Weźmiecie panowie z sobą potrosze odzieży i po kilka koszul, bo ja tam zabawić myślę!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

http://rcin.org.pl

AKT III.

Izba w dworku szlacheckim uboga, ale czysta. Pułap z belkami. W pośrodku stół nakryty starym kilimkiem, u drzwi na prawo kropielnica ze święconą wodą. Na ścianie obraz Chrystusa, na drugiéj zbroja, szabla, łuk, kołczan, ławy okryte dywanikami i parę stołków, komin a nad nim stary zegar gdański. Wprost sceny drzwi jedne, drugie w prawo do alkierza.

SCENA I.

CHORĄŻY—BASIA.

BASIA (*chodząc po pokoju ręce łamie*).

Ojcze, kochany ojcze! jedźmy stąd, uciekajmy.—Ty wiész, co przemoc wielkiego pana znaczy. On nas zgubi—jego dobra, jego ludzie, jego ziemie, jego wojska nas otaczają...

CHORĄŻY.

Ależ wara przed prawem! Bezpieczeństwo publiczne prawo nam zastrzega! Czego ja mam się lękać? Ta to lękliwość nasza ich przemoc czyni tak ciężką. Kładli się ludzie plackiem przed niemi, chodzili im téż po karkach... Zepsuto ich lokajstwem, podłością, pochlebstwy, dworowaniem — trzeba, żeby ktoś rozumu nauczył...

BASIA.

Czyż my to czynić mamy? Ojcze kochany! my słabi, biedni, mali, którym przyjdzie pierwszą paść ofiarą... Książę się popra-

http://rcin.org.pl

wić nie da, bo nadto nawykł do panowania i swawoli. Jego gdy rozdrażnisz, nie powstrzyma nic—wyda nas na rzeź, a gdyby i sam nie chciał tego, rozpuszczony dwór domyśli się pańskiéj woli.

CHORĄŻY.

Nie będą śmieli! Wara! niedoczekanie ich! Koryatowicz także coś znaczy—imię stanie mi za tarcz...

BASIA (*płacze*).

O mój drogi ojcze! ja truchleję o ciebie. Myśmy ubodzy, za nami nikt się nie ujmie, on możny, a z nim będą wszyscy...

CHORĄŻY.

Z nami Bóg i sprawiedliwość! Cóżem ja mu zrobił? chyba że mu się kłaniać nie chcę! toć nie kryminał—do kroć stu basałyków! Imponować sobie nie dam nikomu, ani się zjeść. Prędzéj zjé—sto dyabłów! (*stuka pięścią o stół*).

BASIA (*patrząc przez okno*).

A! a! (*zakrywa oczy*).

CHORĄŻY.

I cóż tam znowu? co?

BASIA.

Nic, nic... ja nie wiem... (*na stronie*) Barwa Radziwiłłowska.. a! to on! on! Po co i z czém? (*załamuje ręce*) Ojca sobie narazi jeszcze więcéj... Po cóż? po co?

CHORĄŻY (*zbliżając się ku oknu*).

O, o! To pan koniuszy Szczuka! w swéj lokajskiéj barwie... Cóż to on się tu znowu wybrał w posły—chyba, żeby mi złość zrobić i na awanturę się narazić!

BASIA (*po cichu*).

Byle nie z czém złém! Ratuj Boże!

http://rcin.org.pl

SCENA II.

CHORĄŻY (*staje naprzeciw drzwi*), BASIA (*cofa się do progu alkierza*) SZCZUKA.

SZCZUKA (*z pokłonem*).

Czołem panu Chorążemu...

CHORĄŻY (*ponuro*).

A! witam asindzieja—witam! ale zarazem u progu muszę mu przypomnieć, iż go prosiłem, abyś mnie odwiedzinami zaszczycać przestał. Nie chce mi się w domu własnym grubianinem być— a muszę... (*odwraca się*) Panno Barbaro—na ustęp!

BASIA (*spogląda błagająco na ojca, cofa się do progu alkierza, ale wygląda przez drzwi*).

CHORĄŻY.

Zatém powitawszy—żegnam! żegnam! Niech Pan Bóg szczęśliwie prowadzi...

SZCZUKA.

Przepraszam pana Chorążego, ja tu przybywam nie z własnéj woli, ani dla własnéj sprawy—posłem jestem. Stare to przysłowie, że posłów nie ścinają ani wieszają. Książę Wojewoda mnie przysyła.

CHORĄŻY.

Znowu ten uparty popowicz.

SZCZUKA.

Książę Wojewoda Wileński Radziwiłł.

CHORĄŻY.

Prosił mnie na barszcz—odmówiłem—teraz pewnie na krupnik?

SZCZUKA.

Nie—panie Chorąży—Książę naprzód ukłon wam śle.

CHORĄŻY.

Ukłon? daj go katu, jaki mi się zrobił grzeczny!... a daléj?

http://rcin.org.pl

SZCZUKA.

I powiedzieć każe, iż gdy do Nieświeża nie łaska, to on sam do Wulki zjedzie na zrazy.

CHORĄŻY.

He? on tu? do mnie? Kpisz asindziéj, czy drogi pytasz? on do mnie?

SZCZUKA.

Nie śmiałbym w tak poważnéj materyi żartów stroić. Książę mi sam własnemi powiedział usty: Jedź tam, panie Szczuka, przodem i czekaj na mnie w Wulce. Nie chciał on do mnie się na barszcz pofatygować, to ja do niego przyjadę na zrazy.

CHORĄŻY.

Cha! cha! Czy nie dowiedział się czasem, co na mojéj szabli stoi napisano?

(*zdejmuje ze ściany, wydobywa z pochwy i czyta pokazując*).

Sam tu starce, sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki!

To mu się znać tych przypiekanych zrazików zachciało!

(*chowa szablę i rzuca*).

SZCZUKA.

Spodziewam się, że w Siennéj Wulce i inne się dla dostojnego gościa znajdą.

CHORĄŻY.

Będzie ze mną jadł to, co ja jem, bo ja nikomu nie daję nic innego, choćby Król Jegomość przyjechał... anim kogo głodnym odprawił, choćby żebraka. Kiedyż to ta łaska pańska ma nastąpić?

SZCZUKA.

Dziś zaraz... za godzinę tu być może.

CHORĄŻY (*zwraca sie ku alkierzowi—Basia się chowa*).

Hej! panno Barbaro! słyszysz asanna? Nie udawaj, żeś niesłuchała! Książę Wojewoda na zrazy jedzie... Każże mu misę przygotować, a słono, a pieprzno, cebuli i majeranku dosadzić, aby Księciu Jegomości smakowało.

BASIA (*we drzwiach*).

Książę! tu! u nas! a czémże my go przyjąć potrafimy? Chleb czerstwy! Mięsa mało... Ojcze kochany... Książę pewnie też sam nie przyjedzie... nie będziemy mieli co dać... Pan Szczuka grzeczny, powie, że nas nie zastał... a my z domu uchodźmy... jedźmy... uciekajmy!...

http://rcin.org.pl

CHORĄŻY (*trzęsąc głową*),

Ale zapewne! Jeszcze czego nie stało? (*do Szczuki*) A wielu ich tam z nim?

SZCZUKA (*cicho i smutnie*).

Książę Wojewoda, jak panu Chorążemu wiadomo, bez dworu się nie rusza. Najmniéj trzysta koni, nie licząc przyjaciół, za nim jedzie...

CHORĄŻY (*kręcąc wąsa*).

Trzysta! choćby trzysta, przecież nie ucieknę ani od niego, ani od tych koni... Do trzystu basałyków, niech przybywa choćby w tysiąc, gościnnie przyjmę, póki czém przyjmować stanie—Kurcewiczowi jeszcze na to nie zabraknie.

BASIA.

Ojcze! dziś—ale jutro? co poczniemy jutro?

CHORĄŻY.

Jutro boże, nie nasze, cicho tam! Ja mówię, że mnie stać na to... Wiele mówisz ludzi i koni?

SZCZUKA.

To trudno powiedzieć. Trzysta do czterechset—nie śmiałbym Chorążego oszukiwać, ani przed nim taić.

BASIA.

Nuż... jeszcze zabawi dłużéj! Mój Boże!

SZCZUKA (*cicho*).

Nie wiem...

CHORĄŻY (*stoi zamyślony*).

Póki jest z czego starczyć, Kurcewicz z Siennéj Wulki od gości uciekać nie będzie. Zastawim się, a postawim się... Pas ostatni... łyżkę ostatnią, ostatnią koszulę oddam, a wstydu sobie zrobić nie dam... (*myśli*) Wszak tu dziś był Szmul Słonimiec? (*wychodzi żywo wołając córkę za sobą*) Basiu—proszę ze mną! proszę!

http://rcin.org.pl

SCENA III.

SZCZUKA (*sam, chwytając się za głowę*).

Stało się! Wszystkie moje starania wyszły tylko na to, żem ich—ocalić pragnąc—dobił, bo go ta zgoda do nędzy doprowadzi. Nie było sposobu wyplątać się z téj alternatywy, albo-by go był zniszczył i spalił w gniewie, albo z wielkiéj miłości—zjé. W czterysta koni posiedziawszy dni kilka, zdusi go w tym uścisku, zjé Sienną Wulkę, jak zjadł niejednę wioskę szlachecką, choć potém sowicie ją zapłacił. Ale Chorąży nic od nikogo nie przyjmie i wyjdzie z kijem a z honorem... znam go! gotów własnéj krwi upuścić, aby sobie wstydu nie dać uczynić. Wulka i oni... i Basia padnie ofiarą. Ale byłże sposób zaradzenia temu?... Żadnego niestety!—żadnego! Jedno z dwojga, albo... walka i przemoc... albo zgoda i nędza... (*wzdycha*) A jeśli Chorąży dowie się jeszcze, że to ja na tę nieszczęsną dzwoniłem zgodę—już się tu więcéj i pokazać mi nie da...

SCENA IV.

SZCZUKA—CHORĄŻY (*wraca zadumany, trąc czoło*)

CHORĄŻY (*do siebie*).

Szmul mi się jak na złość zawinął i wyjechał! Nie było co począć—wolałbym z żydem interes, ale żyda niéma. Wstydu nie zniosę—będą mieli co jeść i pić do zdechu, choć-by mi głową nałożyć przyszło. Niech Wulka przepada, aby honor był cały! (*spostrzegając Szczukę*) A waćpan tu jeszcze?

http://rcin.org.pl

SZCZUKA.

Mam polecenie od Księcia, abym tu na niego oczekiwał...

CHORĄŻY.

Wiész asindziéj co? świeże powietrze bardzo zdrowe... tu dworek ciasny i zaducha... Przeszedłbyś się może po dziedzińczyku, bo teraz mam wiele do czynienia i do mówienia bez świadków, a widzę właśnie, że powołany sąsiad Dyplowicz tu ciągnie. (*Do wychodzącego Szczuki*) A od panny Barbary prosiłbym... trzymać się zdaleka... zdaleka... Obliguję...

SCENA V.

(*W chwili, gdy Szczuka wychodzi, wsuwa się* DYPLOWICZ *pośpiesznie temi samemi drzwiami, czapeczka pod pachą*).

CHORĄŻY (*do Dyplowicza*).

No, no, chodź, nie bój się, proszę—wszak sam po asindzieja posyłałem... nic ci się złego nie stanie, włos nie spadnie z głowy... Mam interes pilny...

DYPLOWICZ (*zginając się w ukłonach*).

Che! che! Kochanego sąsiada! Szanownego pana Chorążego—a zawsze żartobliwy! Nóżeczki całuję... Kłaniam uniżenie—Ale cóż to za święto, że mnie wezwać raczyliście?

CHORĄŻY.

Zgadliście—święto! święto u mnie wielkie, honor niepośledni dla Kurcewicza, a Dyplowiczowi zysk—na wasz młyn woda...

DYPLOWICZ.

A! ja bo jeszcze młynka nie mam! nie mam...

CHORĄŻY.

Za to językiem i rękami mielesz dobrze...

DYPLOWICZ.

Che! che! wolne żarty! zawsze facecyjki, kochany Chorąży, nieoszacowany! (*Chce go uściskać, Chorąży się cofa i ręce nadstawia*).

http://rcin.org.pl

CHORĄŻY.

Tylko zdaleka proszę, bez zbytniéj poufałości! panie Dyplowicz... Pogadajmy na seryo, bo czasu do stracenia nie mam. Waść mi siedzisz pod bokiem w Wulce, jak lis na przesmyku i czyhasz, kiedy ja ci w łapę wpadnę... Chciałbyś moję Wuleczkę połknąć? i smakuje ci...

DYPLOWICZ.

Ja? Kto? ja?

CHORĄŻY.

No tak... Radbyś ją wziąć i to jeszcze po swojemu, psim swędem nabywszy...

DYPLOWICZ.

Panie Chorąży? ja? ja? O Jezu miły! co za potwarz! jakie posądzenie! Panie Boże, tyś świadkiem niewinności mojéj. (*oczy ocierając*) Ja, na cudze czyhać dobro? ja? (*bije się w piersi*) Tak to cnota na świecie... tak...

CHORĄŻY.

Proszęż cię, nie łżyj i nie udawaj! My się przecie znamy jak łyse konie. Chcesz ode mnie Wulkę wyszachrować. Otóż twój patron, dyabeł, wyświadczył ci tę łaskę, że ją nastręcza—możesz, byłeś chciał.

DYPLOWICZ (*zrazu gorąco*).

Jakto? (*miarkując się chłodno*) Ja na Wulkę pana Chorążego ochoty nie mam! nie mam!

CHORĄŻY.

A no, to tak-że mów! Nie masz ochoty, bywaj zdrów i pisuj do mnie na Berdyczów—znajdzie się więc inny, co ją zabierze... (*odwraca się*).

DYPLOWICZ.

Ależ—za pozwoleniem! Panie Chorąży! jeśliby to dla pana było dogodne... a warunki nie zbyt ciężkie... dla kochanego sąsiada... choćby ze stratą własną...

CHORĄŻY.

Słuchaj, Dyplowicz... Gadać długo nie pora! albo we dwóch słowach skończymy, albo ty sobie pójdziesz precz... Mnie pilno. Wulki-bym za milion nie oddał, bo to z naszych wielkich dóbr ostatni ziemi szmatek, na grób przeznaczyłem sobie... Ale tu idzie o honor domu...

DYPLOWICZ (*cicho*).

Same piaski i borowina.

http://rcin.org.pl

CHORĄŻY.

Borowina, piaski, błoto... może być!. może!.. No—ale mnie to wszystko drogie, bo to święta ojcowizna! Milcz ino, a słuchaj. Zaprosiłem Radziwiłła do siebie, wziął mnie za słowo, za pół godziny zjedzie tu z całym dworem, może w jakie trzysta koni.

DYPLOWICZ.

Jezu Nazareński! Radziwiłł tu! tu—on! Książę Wojewoda!

CHORĄŻY.

Co dziwnego? Nie pierwszyzna Koryatowiczom Radziwiłłów przyjmować—alem ja, panie sąsiedzie—goły... śpichrze, piwnice, śpiżarnie puste. Tyś sknera i dusigrosz, u ciebie wszystkiego pełno, bo ty wszystkiém handlujesz. Mów więc a prędko, czy mi sprzedasz owies, siano, wino, piwo, miód, chleb... i co u ciebie jest, a czego mnie potrzeba?...

DYPLOWICZ (*kręcąc się*).

Oho! To może więcéj byłoby warto, niż cała Wulka wasza! Piaski takie...

CHORĄŻY.

Cóż Wulka warta?

DYPLOWICZ.

Borowina... grunta jałowe... błoto... na pagórkach paproć rośnie. Ale że to o miedzę i że ja chcę kochanemu sąsiadowi w téj okazyi wygodzić, choćby z własną szkodą—Bóg widzi! Kiedy pan Chorąży jesteś w takiém położeniu—muszę—cóż robić! muszę się poświęcić! za Wulkę dwa tysiące dukatów. Tysiąc na niéj jest zapisane do Sluckiéj fary, no—a tysiąc... niby...

CHORĄŻY.

Mówisz więc tysiąc? Ja nie mam czasu się targować. Pal cię dyabli—Dyplowicz rób umowę lub ruszaj do kroć basałyków... Oto moje ostatnie słowo. Nie wiem, co moja Wulka warta i co warte twoje stęchlizny. Dasz mi siana, owsa, chleba, mięsa, wina, miodu, wszystkiego, czego te ciury Radziwiłłowskie zapragną—ale—w bród! Niech Kurcewicza znają! Nie żałując! Owies im na środku dziedzińca w kupę zsypać, beczki wytoczyć... wołu całego upiec... dwa... Musi być wszystko, czego dusza zażąda... Ja honor mój ratuję...

DYPLOWICZ.

Jabym chciał służyć Chorążemu — ale to z temi ludźmi! jak oni...

CHORĄŻY (*spoglądając na zegar gwałtownie*).

Zgoda, czy nie?

http://rcin.org.pl

DYPLOWICZ.

Ale jeśliby oni...

CHORĄŻY (*naciskając go*).

Zgoda, czy nie?

DYPLOWICZ.

Jednakże... gdyby... wszelako... jakoś...

CHORĄŻY.

Po raz trzeci i ostatni... Zgoda lub...

DYPLOWICZ.

Cóż począć, poświęcam się! Zgoda! Choć ze stratą, byle wam dowieść przyjaźni szczerej. (*kłania się*) Ale Wulka moja.

CHORĄŻY.

Wulka twoja, a co u ciebie zapasów jest, to wszystko moje... S zlacheckie słowo?

DYPLOWICZ.

Co robić! Muszę się poświęcić (*wzdycha*).

CHORĄŻY.

Czekaj — jedna tylko ekscepcya!

DYPLOWICZ (*chwytając go za rękę*)

A! żadnéj żadnéj ekscepcyi!

CHORĄŻY.

Musisz mi dać sześć łokci ziemi w borze na pagórku... na grób dla mnie i sosnę na krzyż nad mogiłą...

DYPLOWICZ.

Panie Chorąży! Pan mnie rozczulasz!

CHORĄŻY.

A teraz, do roboty! żywo! żywo!

DYPLOWICZ (*na stronie*).

Ziemi i sosny nie przyrzekłem, będzie mi musiał dobrze za nie zapłacić!

(*wychodzi*).

http://rcin.org.pl

SCENA VI.

CHORĄŻY—BASIA (*wybiega z alkierza*).

BASIA.

Drogi ojcze! Jam wszystko słyszała—cóż my poczniemy? gdzie się podziejemy?

CHORĄŻY (*z powagą*).

My jutro pójdziemy z kijem i torbami, ale honor Kurcewiczów obronim...

(*Dyplowicz stoi w progu wahając się*).

CHORĄŻY (*zwracając się do niego*)

Dyplowicz, jeszcze słowo.

DYPLOWICZ.

Jakto? jeszcze co? a...

CHORĄŻY.

Nie, nie, tylko jedna dobra przyjacielska rada. Jeśli popełnisz jakie szachrajstwo, jeśli czego zabraknie, jeśli co zechcesz wykraść, jeśli ja się wstydu za Waszeci najem... jakem Kurcewicz... w łeb, jak sobace palnę... Bywaj zdrów..

(*Dyplowicz skuliwszy się, wzdycha i wychodzi—Chorąży za nim*).

---

http://rcin.org.pl

SCENA VII.

BASIA *sama, później* SZCZUKA.

BASIA (*rzuca się na krzesło i płacze*)

Zginęliśmy, tak nasze chciały losy... spełni się, co Bóg przeznaczył.

SZCZUKA (*wsuwa się oglądając nieśmiało, z rękoma złożonemi*).

Panno Barbaro! łzy wasze na moję duszę spadają, ja to jestem tego nieszczęścia przyczyną. Ja! Bóg widzi, że was ocalić chciałem i przejednać! Któż mógł przewidzieć taki koniec, zgodę taką!

BASIA.

A! biedny mój stary ojciec...

SZCZUKA.

Pani, jeśli was dotknie nieszczęście, wszak macie zagrodę moję, domek mój, wszystko, co się mojém zowie, waszém jest... Ja-m winien, ja niech pokutuję, a słodką mi będzie ta pokuta.

BASIA.

Możesz-że myśleć, iż ojciec mój od kogokolwiekbądź co przyjąć zechce? Całe życie strawił nosząc ubóstwo swe wysoko, i mnie nauczył wyżéj cenić cześć niż szczęście... Ja pójdę do klasztoru, ale on! on!

SZCZUKA.

Panno Barbaro! jeśli wy wyjdziecie z Wulki, ja za wami, jak sługa wasz, choćbyście odpędzali, powlokę się jak pies wierny, bo ja bez was żyć nie potrafię. Ja-m téj zguby przyczyną, na mnie ratowania obowiązek.

BASIA.

Nas już nikt nie uratuje (*spogląda oknem*). A! mój Boże! co się tam dzieje! Kupy owsa... beczki toczą... Dyplowicz lata, ojciec się krząta... (*płacząc.*) Zachciałeś Książę zjeść Wulkę biedną... niech ci łzy moje będą na... zdrowie... (*do Szczuki.*) Odejdź pan! Ojciec się gniewać będzie, gdy was tu zastanie, na co mu żółci

http://rcin.org.pl

dodawać!... Idź pan... żegnam go... żegnam... (*podaje mu rękę, którą Szczuka całuje.*) Bądź zdrów! bądź zdrów na zawsze!...

SZCZUKA.

Nie! stokroć nie! do widzenia, dziś, jutro... wszędzie i zawsze...

(*Wychodzi—Basia pada na krzesło i zakrywa sobie oczy*).

SCENA VIII.

BASIA. — DYPLOWICZ.

DYPLOWICZ (*wsuwając się*).

Za pozwoleniem czcigodnéj panny Chorążanki, słóweczko malusieczkie, jedno zapytańko...

BASIA (*zrywając się*).

A! dajże mi waćpan pokój!

(*Wchodzi do alkierza i drzwi za sobą zatrzaska*).

DYPLOWICZ.

Otóż to oni tak się ze swym zbawcą i dobrodziejem obchodzą! Czarna ludzka niewdzięczność! (*ogląda się i zaciera ręce.*) Ale mi się nie szpetnie udało! Pan Bóg mi zesłał tego Radziwiłła. Choć ściśle biorąc, nie jestem obowiązany dać świecy na ołtarz... ale, niech już i w tém będzie moja strata, dam! dam świecę... To przecież interes! (*myśli.*) Skąd on wiedział, że stęchlizna? Prawda! owies zatęchły, ale konie się na tém nie poznają. Wino wodą podleję... trochę. Piwo kwaskowate, ale chłodzące... Interes nie bez kłopotu, ale zawsze dobry... Przecie raz sąsiada się pozbędę i dworek ten sobie zajmę... (*patrzy po izbie.*) Nie zły dworek... Cale nie zły dworek!

http://rcin.org.pl

SCENA IX.

DYPLOWICZ, KSIĄŻĘ RADZIWIŁŁ (*w szaréj długiéj opończy, z podniesionym kołnierzem, bicz w ręku, wchodzi pocichu się rozglądając, Dyplowicz poznawszy go, staje zdumiony i przerażony*).

DYPLOWICZ.

A słowo się stało!... Książę! Książę tu i w takim stroju?

KSIĄŻĘ.

Cyt! cyt! panie kochanku! Nikt mnie nie poznał, bo i poznać nie byli powinni. Przyjechałem sam powożąc się jednokonną kałamaszką, panie kochanku, ażeby zobaczyć incognito, jak mnie téż szlachcic przyjmować myśli, panie kochanku..

DYPLOWICZ (*śmiejąc się*).

Co Książę pan wyrabia! Stopki Księcia całuję i weneruję...

KSIĄŻĘ.

Kurcewicz się, panie kochanku, suto i wspaniale sztyftuje... a mówili, że nic niéma!

DYPLOWICZ (*żywo*).

Co on się sztyftuje? Czyż to on? Wspaniale! Cha! cha, Mości Książę! Czy Wasza Książęca Mość myślisz, że u niego co było? że on co miał? To hołysz! Dopiéro jak się dowiedział, że Książę jedziesz z dworem, tak on do mnie, w prośby, w modły, ledwie, że po rękach nie całował... Dypciu! kochanie!... ratuj! Bierz sobie Wulkę a dawaj im czego zażądają, ażebym wstydu nie miał...

KSIĄŻĘ.

A ty co na to, panie kochanku?

DYPLOWICZ.

No cóż, co miałem robić? Człowiek nie kamień, sforsowany, naciśnięty, musiałem się zgodzić, choć z oczywistą stratą.

KSIĄŻĘ.

Proszę! proszę! oddał ci Wulkę, panie kochanku, aby mnie przyjąć?

http://rcin.org.pl

DYPLOWICZ.

A! oddał... ale to piaski... piachy!

KSIĄŻĘ.

Proszę! panie kochanku! I ty taki poczciwy byłeś, żeś wziął?

DYPLOWICZ.

Przez miłość bliźniego! bo to borowina, błoto i nieużytki...

KSIĄŻĘ.

Wziąłeś, panie kochanku?

DYPLOWICZ.

Wziąłem, Mości Książę.

KSIĄŻĘ (*po chwili namysłu*).

Toś—kiep, panie kochanku.

DYPLOWICZ.

Wolne żarty! dlaczego, Mości Książę?

KSIĄŻĘ.

Boś jemu dogodził, a mnie skrzywdziłeś, panie kochanku.

DYPLOWICZ (*przestraszony*).

Ja! Księcia Jego Mości?...

KSIĄŻĘ.

Tak! tak, panie kochanku! Skrzywdziłeś mnie... obraziłeś... Ja ciebie z bebechami w kaszy zjem, ty nicponiu, panie kochanku!

DYPLOWICZ.

O Jezu miły! ale cóżem zawinił?

KSIĄŻĘ.

Jakto? ty tego nie rozumiesz, panie kochanku? To ci piątéj klepki braknie... Jakżeś ty tego nie pojął, że ja właśnie na to kroiłem, tego pragnąłem, ażeby się ten dumny szerepetka wstydził... A ty mi jego wstyd, całą moję satysfakcyę z rąk wydzierasz... panie kochanku, trutniu jakiś... Ja się na tobie mścić będę, póki życia.

DYPLOWICZ (*pada na kolana i bije się w piersi*).

Mości Książę! miłosierdzia, litości! rozkaż, mów, co mam czynić? Niech i jego z Wulką dyabli wezmą.

KSIĄŻĘ.

Co masz czynić, panie kochanku... Co? Czyż nie rozumiesz, tępa głowo! idź, co najprędzéj! nim mój dwór nadciągnie, zabieraj nazad wszystko z dziedzińca do domu. Powiedz, żeś się oszukał, że umowę zrywasz, że nie chcesz...

http://rcin.org.pl

DYPLOWICZ (*płacząc*).

To on mi w łeb palnie!

KSIĄŻĘ.

A jak ty mi tego nie zrobisz, co każę, panie kochanku, słowo Radziwiłłowskie, ja ci w łeb strzelę... Idź schowaj się, ludzi tylko poślij, ażeby mi tu, panie kochanku, w pół godziny pruszyny owsa, kawałka chleba, kropli napitku nie było. Słyszysz, panie kochanku? Tak Radziwiłł chce i każe. Od Kurcewicza się wywiniesz, ale ode mnie! Ja takich, jak ty zgniótłszy na powidełka, do kieszeni chowam, panie kochanku!

DYPLOWICZ (*drżąc, całuje połę księcia*).

Ojcze mój, dobroczyńco! miéj litość nad nieszczęśliwym, nad żoną i dziećmi...

KSIĄŻĘ.

Przecież nie jesteś żonaty?

DYPLOWICZ (*łkając*).

Ściśle biorąc nie, ale właśnie miałem się żenić i mieć wiele dzieci...

KSIĄŻĘ.

Idź-że mi zaraz, panie kochanku, a rób, co kazałem...

DYPLOWICZ.

A jak on w łeb palnie?

KSIĄŻĘ.

Nie trafi, panie kochanku, ja w tém, że nie trafi... idźże mi zaraz...

(*wypycha za drzwi*).

SCENA X.

KSIĄŻĘ (*rozglądając się*).

Ubożuchno, ale schludnie, a ten skurczypałka Dyplowicz całąby mi był satysfakcyę odebrał... Szczęściem, że się zapobieży, panie kochanku... Kurcewicz to dobra krew, którą muszę posza-

nować, panie kochanku! a za satysfakcyę znowu kieszeń Radziwiłłowska beknie... Ale jużcić i Szczuka coś wart i ten stary zabijaka mi się podoba, choć goły, ale z fanaberyą... Gdzież się on podziewa? Nikt mnie tu nie przyjął, nawet pies nie zaszczekał. Nie poznali mnie, panie kochanku, i nie przewąchali.. To mi się raz w życiu udało!

SCENA X.

KSIĄŻĘ (*chodzi, przypatrując się*).—CHORĄŻY (*w progu alkierza, potém wchodzi do izby*).

CHORĄŻY.

Któż to mi się tak bez ceremonii wkwaterował, nawet opończy nie zdjąwszy?

(*Radziwiłł odwraca się*).

A czy mnie oczy mylą!

KSIĄŻĘ (*kłaniając się*).

Nie, panie kochanku! nie mylą... Wybrałem się incognito do szanownego sąsiada, jak cesarz Józef do carowéj Katarzyny, panie kochanku... Nie chciałem kniaziowi robić kłopotu, więc zaprzągłem sobie sam kobyłę do kałamaszki i choć trochę kulała, panie kochanku, bo mi w Nieświeżu cała stajnia znosaciała i poochwacała się, przywlokłem się do waszeci, na te zrazy.

CHORĄŻY.

Mości Książę... bez żartów, proszę, bez żartów.

KSIĄŻĘ.

Ale bez żartów... panie kochanku... Widzisz asindziej, tego wojewodę wileńskiego ciągle nosić na karku, zacięży w końcu i znudzi, panie kochanku... Zostawiłem go w domu i sam bez niego do pana Chorążego przywlokłem się. Każ że gotować zrazy i tak po szczerości sąsiedzkiéj daj mi rękę.

CHORĄŻY (*z ukłonem*).

Ale zdala, Mości Książę!

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Cóż to, panie kochanku, w domu własnym, na gościa i sąsiada się boczysz? to nie po polsku i nie po naszemu.

CHORĄŻY.

Owszem, radem mu z serca, lecz...

KSIĄŻĘ.

Słuchaj, Kniaziu Chorąży, panie kochanku! Radziwiłł wojewoda czasem miewa fąfry w nosie, ale ten, co go tu dziś u siebie masz, ja ci ręczę, z flakami dobre człeczysko!

(na stronie).

Muszę go zagadywać, póki się tam nie uprzątną, panie kochanku, i nie zrobią, com kazał.

(głośno).

Radziwiłła ogadali przed tobą niewinnie, panie kochanku, to przylepka, choć do rany przyłożyć! Tamten miecznik i wojewoda, czasem sobie pobrykał, panie kochanku, ale jakże było po takich, jak twój Dyplowicz nie jeździć?... To paskudztwo jest, panie kochanku... Ja... jak-em raz był... Gdzieżem to ja był?... panie kochanku?

CHORĄŻY.

Albo to ja wiem, gdzie Książę bywałeś, a kędyś nie bywał?

KSIĄŻĘ.

Ja-bo, panie kochanku, coś innego mówić chciałem... *(zasłania mu sobą okno.)* Bo to, widzisz mój Kniaziu, choć wojewodę zamknąłem na klucz w moim gabinecie, w Nieświeżu, ale moja dwornia, jak się opatrzy, że się on gdzieś im zapodział, panie kochanku, węchem, jak legawce za mną w trop przybiegną... A tego tam chmara, panie kochanku... głodne to... czy im choć jeść będziesz miał co dać?

CHORĄŻY *(spokojnie).*

Znajdzie się.

KSIĄŻĘ.

Będzie tego pewnie ze trzysta koni, panie kochanku.

CHORĄŻY.

No, choćby czterysta..

KSIĄŻĘ.

A, to dobrze, bo ja dla siebie, panie kochanku, niewiele potrzebuję; służąc za kuchtę u pani Galeckiéj, nawykłem do wszystkiego, ale ta moja dwornia, panie kochanku, więksi panowie, niż

ja... I jedzą bestye każdy za czterech i piją za sześciu... a wybredne to!... Co im pan Chorąży dasz?

CHORĄŻY.

Co mam.

KSIĄŻĘ.

A cóż masz? panie kochanku! (*spogląda oknem*) bo ja tu coś, jakoś żadnych przygotowań dla téj szarańczy nie widzę.

CHORĄŻY.

Jak to? jak to?

KSIĄŻĘ.

Coś tam było... panie kochanku... garstka owsa i beczułka oliwy, czy coś? ale i to, pochwytano i pochowano, jak przed kozackim najazdem, panie kochanku.

CHORĄŻY (*cisnąc się do okna*).

Jak to może być? Cóż to jest? Kto śmiał? (*patrzy.*) Co się stało! Na rany Pańskie, to ten wisielec Dyplowicz, ale ja go zabiję!

(*Chce biedz do drzwi, Radziwiłł go chwyta w pół, szamotają się, Książę go z obu stron w twarz całuje*).

KSIĄŻĘ.

Bracie! Kniaziu! Chorąży! słuchaj, panie kochanku! Koryatowicze z Radziwiłłami koligaci, my krew jedna... pocałujmy się... a nie, to zaduszę... panie kochanku. Ja ciebie kocham, ja cię szanuję, ty gorąca pałka jesteś, jak ja, ale dobry człowiek. Słuchajno i nie rwij się, bo zaduszę!

CHORĄŻY (*usiłuje się wyrwać*).

Książę Wojewodo, wstyd mi i hańbę uczyniono!

KSIĄŻĘ.

Żadnego wstydu, hańby żadnéj, panie kochanku. Cześć ci i sława! Spełniło się to tylko, co każdego dnia w psalmie odmawiamy:

„Ty oczyma swemi
Ujrzysz pomstę nad grzesznemi".

Przekonasz się, panie kochanku, posłuchaj. Dyplowicz ci Wulkę chciał zagarnąć, dając mi ją do zjedzenia, ale ja krwawicą moich koligatów się nie żywię, ja—nie wilk, panie kochanku. Zo-

http://rcin.org.pl

baczysz, jak się to misternie skończy. Jużeśmy się, choć z forsą, pocałowali, teraz—zgoda!... Z całym dworem jedziemy na śniadańko do Dyplowicza, on mnie musi przyjąć... tylko... chwileczkę jeszcze...

CHORĄŻY.

Ja nic nie rozumiem...

KSIĄŻĘ.

E! ja to sobie tak plotę. (*na stronie.*) Musieli się przecież uwinąć? (*głośno.*) Panie Chorąży, miałbym jeszcze do was prośbeczkę. W swoim domu nic się nikomu nie odmawia.

CHORĄŻY.

Jeźli w mojéj mocy.

KSIĄŻĘ.

W twojéj, panie kochanku... ale daj mi słowo honoru, że to uczynisz?

CHORĄŻY.

Uczynię, jeśli w mojéj mocy.

KSIĄŻĘ.

W twojéj mocy, panie kochanku, nie gniewać się i pobłogosławić...

CHORĄŻY.

Pobłogosławić, kogo?

KSIĄŻĘ.

Bo to, widzisz, ja ci figla spłatałem, panie kochanku... przyjechał ze mną ksiądz, poczciwy mój Wyhowski i pannie Barbarze ślub dał ze Szczuką.

CHORĄŻY.

Gdzie? jak? na miłość bożą!

(*chce biedz, książę go wstrzymuje*).

KSIĄŻĘ.

To darmo! już się stało! Wzięli ślub naprzeciwko, gdym ja tu pana Chorążego durzył... panie kochanku. (*ściska go.*) Nie gniewaj się... Szczuka dobry człek i karmazyn.. Jesteśmy z nim w koligacyi a bardzo majętny, kto wié, czy nie majętniejszy ode mnie, bo ja wiecznie goły jestem i grosza przy duszy nie mam.

CHORĄŻY.

Ale moja córka, Mości Książę...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Posłuchajcie, Szczuka mi dał pięć tysięcy dukatów gotówką i puściłem mu trzy wsie w Słuczczyźnie zastawą. Czego to goły nie zrobi?... Musiałem ślub dać w dodatku.

CHORĄŻY.

Bez mojego zezwolenia!

KSIĄŻĘ.

Ja rachowałem na to, że ty Radziwiłła gubić nie zechcesz. (*ściska go.*) Nie gub Radziwiłła, oni się kochają... i my z sobą kochać się musimy.

SCENA XII.

CIŻ.—BASIA *ze* SZCZUKĄ *trzymając się za ręce wchodzą, za niemi kilku dworzan Księcia, klękają przed ojcem i Księciem stojącemi razem.*

KSIĄŻĘ.

A co? trzeba, panie kochanku, pobłogosławić, bo się gotowi obejść i bez naszego błogosławieństwa.

CHORĄŻY.

Basiu droga!

(*ściska ją i błogosławi*).

SZCZUKA.

Przebacz, ojcze!

CHORĄŻY.

Radziwiłłowi się oprzeć trudno...

http://rcin.org.pl

KSIĄŻĘ.

Widzisz, panie kochanku, jak nie mogę siłą, to wezmę sercem...

(*Ściskają się, podrzuca czapkę do góry. Z dziedzińca słychać okrzyki i wystrzały moździerzów, wpada Dyplowicz przerażony*).

A teraz, panie kochanku, chodźmy zjeść Dyplowicza, bo trzeba, żeby ktoś za nasze grzechy odpokutował!

GŁOSY (*za sceną*).

Vivat!

KONIEC.

http://rcin.org.pl

SPIS RZECZY.

	Str.
WSTĘP (Twórczość dramatyczna Kraszewskiego) przez *Władysława Bogusławskiego*	5
MIÓD KASZTELAŃSKI, komedya kontuszowa w 5-ciu aktach .	23
CIEPŁA WDÓWKA, komedya we 3-ch aktach wierszem . . .	169
KOSA I KAMIEŃ, przysłowie dramatyczne	257
PANIE KOCHANKU, anegdota dramatyczna we 3-ch aktach .	299
RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE, anegdota dramatyczna we 3-ch aktach	377

http://rcin.org.pl

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

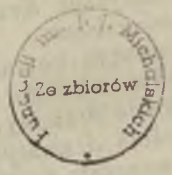

1770/7

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
1770
7.